

NATALIA SOBOCIŃSKA



ZŁAMANE
zasady

ZASADY #3



NATALIA SOBOCIŃSKA

**ZŁAMANE
ZASADY**

ZASADY #3

OŚWIĘCIM 2024

Copyright © 2024

Natalia Sobocińska

Wydawnictwo NieZwykłe

All rights reserved

Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja:

Kinga Jaźwińska-Szczepaniak

Korekta:

Alicja Szalska-Radomska

Joanna Boguszevska

Katarzyna Olchowy

Redakcja techniczna:

Michał Swędrowski

Projekt okładki:

Paulina Klimek

Autor rysunku:

Natalia (natine_czyta)

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Numer ISBN: 978-83-8362-290-3



Spis treści

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Epilog

Przypisy

*Dla wszystkich, którzy czują się wybrakowani.
Obyście odnaleźli brakujące elementy, by móc złączyć je w całość.
Jak puzzel po puzzlu...*

Rozdział 2

CHLOE

Cisza. Moim życiem znowu zawładnęła cisza, której żaden dźwięk nie śmiał zagłuszyć. Nie istniała siła, która przedarłaby się przez otępienie, w które wpadłam. Nie było na świecie niczego, co potrafiłoby wyciągnąć mnie z letargu, w którym tkwiłam. Byliśmy tylko ja i mały świat w mojej głowie.

– Zaczynj oddychać, bo nie uśmiecha mi się przywieźć trupa.

Nic. Nie. Było. W. Stanie...

– Chloe, wdech.

...Sprawić. Abym. Chciała. Dalej. Walczyć.

– Rivera, wdech!

Podskoczyłam, kiedy dobiegł mnie huk i czyjaś dłoń zacisnęła się na mojej szyi, uciskając tchawicę. Zamrugałam zaskoczona, by po chwili poddać się atakowi kaszlu, który mnie dopadł. Płuca wypełniły się powietrzem, gdy wygrałam walkę o swobodny oddech. Rozejrzawszy się dookoła, w końcu dostrzegałam przed sobą wściekłą twarz Scotta. Jego dłoń nadal spoczywała na mojej szyi, utrudniając mi oddychanie.

Odleciałam. Odpląnąłam. Odcięłam się.

Cholerny nieświadomy bezdech, przekłęłam w duchu, uświadomiwszy sobie stan, którego nie doświadczałam od naprawdę długiego czasu. Pojawił się po śmierci mamy, kiedy będąc w rozpacz, przestawałam czuć potrzebę oddychania, bo skupiałam się tylko na bólu, który mnie wypełniał. Podobno źródłem była trauma, jednak rzadko kiedy ufałam specjalistom. To był po prostu czas, kiedy miałam ochotę umrzeć, aby nie czuć dłużej pustki i nie słyszeć ciszy dudniącej w mojej głowie, bo obie doprowadzały mnie do szaleństwa.

Jak widać, historia lubiła się powtarzać.

– Siedemdziesiąt dwie sekundy – warknął Lewis, nie spuszczać wzroku z mojej zdezorientowanej twarzy. – Chcesz się udusić? – Zacisnął mocniej dłoń na mojej szyi, na co wydałam z siebie tylko cichy jęk i pokręciłam nieznacznie głową, bo tylko na tyle było mnie stać; mężczyzna skutecznie utrudniał mi jakikolwiek ruch. – To zapamiętaj, aby, do cholery, oddychać! – zagrzmiął, cofając rękę. – Nie wolno ci umierać.

Wzięłam kilka głębokich wdechów, łapiąc się za obolałe miejsce, które chwilę temu ścisnął Scott Lewis. Pieprzony sadysta. Z nienawiścią obserwowałam, jak ciemnowłosa zajmuje swój fotel w prywatnym samolocie, po czym bierze do ręki jakieś dokumenty i wczytuje się w ich treść. Zacisnęłam pięść na podłokietniku swojego fotela, powstrzymując się przed krzykiem. Byłam tu przecież z własnego wyboru. Leciałam z nim, bo podjęłam taką decyzję. Sama zgodziłam się na wyjazd i towarzystwo tego mężczyzny. Ultimatum, które mi postawił, było tylko jednym, małym szczegółem, który jednak cholernie dużo znaczył.

– Co ci to daje? – zapytałam nagle, zamiast ugryźć się w język.

Scott podniósł na mnie swój wzrok i mierzył mnie nim przez kilka chwil.

– To, że oddychasz? Fakt, że żyjesz i nie zaczniesz rozkładać się w tym fotelu. Nie walczę o swoje po to, aby w momencie wygranej wszystko stracić.

Prychnęłam głośno i pokręciłam głową. Wypełniała mnie teraz złość, którą starałam się tłumić. Przegrałam z nim wojnę i byłam jeńcem. Nie miałam nic do powiedzenia w kwestii swojego losu. Zastanawiało mnie jednak, co z tej wygranej miał on.

– Co ci daje to, że tu jestem? Że ciągniesz mnie ze sobą, cholera wie gdzie i po co?

W oczach Lewisa pojawił się błysk, a po chwili kąciki jego ust wygięły się ku górze.

– Zawsze chciałaś uciec do Buenos Aires – zaczął, obserwując moją reakcję na jego słowa. – Ciekawe dlaczego.

Zmarszczyłam brwi, zaskoczona jego wypowiedzią. Dlaczego Buenos Aires? Nie miałam zielonego pojęcia. Tak było... po prostu od zawsze. Odkąd tylko pamiętałam, to miasto kojarzyło mi się z wolnością i bezpieczeństwem.

– Moja rodzina ma posiadłość właśnie w Buenos Aires. – Scott mierzył mnie wzrokiem przez cały czas, nie spuszczał go ani na sekundę.

A ja ponownie poczułam, że się duszę.

Buenos Aires...

Marzenie po raz kolejny stało się koszmarem.

Kiedy tylko wylądowaliśmy, bez słowa opuściłam samolot. Musiałam zaczerpnąć świeżego powietrza, aby dojść do siebie. Poza tym im dalej od Scotta się znajdowałam, tym mniej struta się czułam. Z niechęcią spjrzałam na czarny samochód, który stał nieopodal i zapewne miał nas przetransportować do miejsca docelowego.

Czy dałoby się cofnąć czas? Tak do momentu moich narodzin? Albo chociaż do tego cholernego wyjścia do klubu? Naprawdę wiele rzeczy zrobiłabym inaczej...

– Jaki piękny dzień – westchnął Scott, kiedy tylko opuścił pokład i uśmiechnął się, przybierając spokojny wyraz twarzy.

Zdjęłam okulary przeciwsłoneczne i spjrzałam na bruneta obojętnym wzrokiem, nie komentując jego słów. Gdybym mogła, sprawiłabym, aby ten pieprzony samolot spadł w locie. Jeśli takim sposobem pozbyłabym się Lewisa, i przy okazji własnego życia, to byłby to pomysł nadzwyczaj genialny.

Zajęłam miejsce na tylnym siedzeniu auta, które za jakiś czas ruszyło z piskiem opon. Zacisnęłam zęby, ponownie wkładając na nos okulary. Scott, który siedział obok, nadal analizował jakieś dokumenty. *Znalazł się, kurwa, biznesmen*, prychnęłam w myślach. Wzięłam głęboki oddech i spjrzałam za okno pojazdu, gdzie obrazy przelatywały mi przed oczami w ekspresowym tempie. Tak musiało być. Postąpiłam właściwie. Ważne, że Matteo został oczyszczony z zarzutu o zamordowanie Victorii. Był bezpieczny i mógł zrobić wszystko, na co miał ochotę. Mógł układać sobie życie na wolności, z dala od Scotta i jego knucia. Na to byłam skazana ja. Szczęście miało swoją cenę, którą przyszło mi zapłacić. Opuszkami dyskretnie odnalazłam pierścionek, który nadal znajdował się na moim serdecznym palcu lewej dłoni. *Przepraszam*, pomyślałam automatycznie, potrafiąc wyobrazić sobie, jakie piekło rozpętało się właśnie w Nowym Jorku, w którego centrum znajdował się Matteo.

– Trzymaj – usłyszałam nagle, przez co spjrzałam na Lewisa. – Telefon. Specjalny, nie do namierzenia. Potrzebne kontakty masz już wpisane. – Zatrzymał spojrzenie na moich oczach o sekundę za długo, mimo to nie odwróciłam głowy. – Żadnych nowych numerów – dodał, a w tonie jego głosu wybrzmiała ta charakterystyczna nutka, która mówiła mi wszystko: żadnych telefonów do przyjaciół, żadnego kontaktu z dawnym życiem, żadnego sprzeciwu.

Bez słowa wzięłam od niego telefon i od razu wsadziłam go do torebki, nie sprawdzając nawet, jakie kontakty znajdują się na liście. Byłam pewna, że nie znałam żadnego z nich. Tak samo jak

nie znałam nikogo w moim wymarzonej Buenos Aires, do którego zabrał mnie Scott; nikogo przecież tutaj nie miałam. Intrygował mnie fakt, że w razie problemów chciałam uciec właśnie tutaj, a jednocześnie to tutaj mieszkał mój obecnie największy koszmar. Zabawne, że Argentyna od zawsze była moim planem B. Co za ironia... Czyżby właśnie ten plan się realizował?

– Jesteś mało rozmowna – zauważył Scott po dłuższej chwili, rozsiadając się na fotelu.

– Skąd wiedziałeś o prawnikach z Newcastle? – zapytałam od razu, ignorując jego zaczepkę. Skoro chciał rozmowy, mogliśmy rozmawiać o rzeczach, które mnie interesowały.

Z gardła Scotta wydobył się cichy śmiech, jakbym zapytała o coś naprawdę irracjonalnego i wręcz oczywistego.

– Wiem o tobie wszystko, Chloe. – Wbił we mnie swoje ciemne oczy, którymi tak okrutnie pożerał moje ciało przez większość czasu spędzonego w samolocie. – Odrobiłem pracę domową. Prawnicy to czubek góry lodowej, prawda? Chłopak ćpun i trup, kradzieże aut dla zabawy, barwienie basenów sąsiadom, imprezy, używki, luki w pamięci, urwane filmy... I to wszystko przez śmierć twojej mamy.

Zjeżyłam się, ale nie przez to, że naprawdę wiedział dużo, o wiele za dużo. Spięłam się na wspomnienie *jej* osoby, bo to słowo nigdy nie powinno wybrzmieć w jego ustach.

– Ona nie jest niczemu winna – syknęłam, zdejmując okulary i mordując wzrokiem mężczyznę. Gdybym ten jeden jedyny raz naprawdę potrafiła zabić spojrzeniem...

– A, no tak. Ojciec... – westchnął, wchodząc na drugą minę, która była gotowa wybuchnąć. – To dlatego tak bardzo ciągnęło cię do starszych mężczyzn, którzy okazali ci choć trochę zainteresowania? – zadrwił, starając się wyprowadzić mnie z równowagi.

– Zamknij się – warknęłam, chcąc zakończyć rozmowę. Nie szła w dobrą stronę i sprawiała, że miałam ochotę pozwolić wybuchnąć wszystkim minom, które we mnie siedziały. Ale po tym nie byłoby odwrotu.

– Jestem do niego podobny? Do twojego ojca? – wypalił, czym mnie zdezorientował. – W końcu – wskazał na siebie i na mnie – przez pewien czas coś nas łączyło. Zastanawiam się, czy to przez kaprys wielkiej Chloe, czy raczej przez moje podobieństwo do jej nieczułego i chłodnego ojca. Z tą różnicą, że ode mnie dostałaś troskę, wsparcie i zrozumienie. Dostałaś wszystko i dostałabyś o wiele więcej, jeśli o cokolwiek byś poprosiła. – Chrząknął, jakby zorientował się, że zszedł z tematu. – Wprawdzie mam dopiero trzydzieści dwa lata, daleko mi do wieku twojego ojca, jednak kto wie, co siedzi w głowach takich jak twoja.

Nie daj się sprowokować. Nie daj się wyprowadzić z równowagi, powtarzałam sobie w myślach. Scott kąsał mnie w każde wrażliwe miejsce, czego się nie spodziewałam, przez co obrona była cholernie trudna. Trafiał w czułe punkty, uprzednio dokładnie je wybierając, i czerpał satysfakcję za każdym razem, kiedy widział, że jego słowa jakkolwiek mnie ruszały. Ale miał rację: wiedział o mnie wszystko. Tylko skąd?

– Pytasz, dlaczego wybrałam ciebie? – zaczęłam, udając zamyśloną. Nie mogłam dalej pokazywać, że ma nade mną władzę. – Wiesz, jak to się mówi: z braku laku...

Mężczyzna w mgnieniu oka zacisnął zęby, wbijając we mnie chłodne spojrzenie. Nie byłam mu nic winna – nie po tym, co mi zrobił; nie po tym, co mi odebrał, a raczej kogo mi odebrał – dlatego wytrwale utrzymywałam z nim kontakt wzrokowy tak długo, jak dałam radę. Jednak złość, która z sekundy na sekundę potęgowała się w jego oczach, sprawiła, że w końcu odwróciłam głowę. Mało mądre było prowokowanie osoby, która przy swoim pasku nosiła pistolet.

Pieprzony Scott Lewis...

Mógł szantażem odsunąć mnie od Matteo i przyjaciół. Mógł wywieźć mnie z Nowego Jorku na drugi koniec świata. Mógł wyciągać brudy z mojej przeszłości. Mógł zmusić mnie do tego, żebym przestrzegała jego zasad; prawda była jednak taka, że nigdy dobrze mi nie szło ich przestrzeganie, za to w łamaniu ich byłam najlepsza. Więc ja, w trakcie tego wszystkiego, mogłam utrudnić mu życie tak bardzo, jak to tylko było możliwe.

Rozdział 3

CHLOE

Kiedy przejeżdżaliśmy przez bramę wjazdową na posesję, zrobiłam głęboki oddech, a gdy tylko samochód się zatrzymał, bez słowa wysiadłam z auta i trzasnęłam drzwiami najmocniej, jak tylko potrafiłam. Zachowując się w ten sposób, przeczytałam sama sobie, jednak przy Lewisie wszystko było sprzeczne. Kilka miesięcy temu czułam się bezpieczna przy najbardziej niebezpiecznej osobie w całym moim życiu. A teraz? Czułam wściekłość z powodu sytuacji, która była skutkiem mojego wyboru. To *ja* sprawiłam, że wszystko potoczyło się tak, a nie inaczej. Ja. To była *moja* decyzja.

Nie czekając dłużej, skierowałam się w stronę schodów, chcąc znaleźć się jak najdalej od człowieka, który był pierwszy na mojej liście osób do zabicia. Gdybym tylko potrafiła sprawić, aby zniknął...

– Nie masz kluczy! – usłyszałam za sobą wołanie Lewisa, jednak mimo trafnego spostrzeżenia zignorowałam go. Gdybym tylko zareagowała i się odwróciła, mój honor spłynąłby po powierzchni schodów i zatrzymał się u jego stóp.

Zaciskając mocno zęby, podeszłam do wielkich drzwi, po czym nacisnęłam klamkę i pchnęłam płytę znajdującą się przede mną. Ustąpiła. *Niespodzianka!*, rzuciłam w myślach, a na moje usta wpłynął delikatny uśmiech, który był mieszanką ulgi i zwycięstwa. Najwyraźniej nie potrzebowałam kluczy. Kiedy drzwi otworzyły się do końca i zauważyłam przed sobą trzy osoby, pewność siebie opuściła mnie w ekspresowym tempie. Zamarłam w bezruchu, sunąc spojrzeniem po mężczyznach znajdujących się w środku. *Jeden, dwa, trzy...*, liczyłam. Aż trzy pistolety wycelowane w moją stronę. Trzy zawały, które przeżyłam. Trzeba było poczekać na te jebane klucze.

– Opuścić broń, cholerni idioci! – usłyszałam za sobą zirytowany głos Lewisa.

Towarzystwo wykonało polecenie niemal natychmiast. Nie czując na sobie potrójnej szansy na śmierć, głośno wypuściłam powietrze z płuc. W mojej głowie odtworzyły się wspomnienia z miejscówek Scotta, kiedy to miałam do czynienia z jego ludźmi. Znali mnie, dlatego byłam tam bezpieczna, a wręcz nietykalna, bo miałam zapewnioną opiekę Lewisa. Mogłam wszystko i każdy niewłaściwy ruch kosztował kogoś rozbity nos czy złamaną kość. Przymyślałam na to oko, bo żyłam na prochach – jebanych prochach, które sprawiały, że czułam się dobrze, a dokładnie tego w tamtym momencie potrzebowałam. Teraz za to odnosiłam wrażenie, że mimo obecności Scotta magiczna ochrona zniknęła, a ja byłam zdana tylko na siebie. Wiedziałam, że jeśli o siebie nie zadbam, nie będzie dobrze. „Miałam przeżyć, by Matteo mógł żyć” – w imię tego założenia byłam w stanie zrobić wszystko.

Dosłownie *wszystko*.

Dlatego gdy tylko odzyskałam zdolność ruchu, odwróciłam się w stronę Scotta, który zatrzymał się w progu i przyglądał się mojej reakcji. Sprawdzał mnie. Testował. Wciągnął mnie do swojego świata i chciał wiedzieć, jak się w nim odnajdę. Chciał mnie tu, więc ja chciałam mu pokazać, że się nie boję.

Choć bałam się jak cholera.

Dobra mina do złej gry. Kaprys na twarzy, i to wcale niewymuszony. Niezadowolone spojrzenie, które jasno wskazywało, że byłam zła. Wszystko – punkt po punkcie – po to, aby pokazać, że się nie boję. Sprawianie pozorów zawsze szło mi dobrze. Grałam w miłość. Czym więc przy tym było udawanie odważnej?

– Dziękuję za ciepłe powitanie – rzuciłam w końcu i wbijając spojrzenie w Lewisa, uniosłam brew. *Szach, skurwielu*, dodałam w myślach. – Popracujcie nad gościnnością. Nie zdążyłam nawet zjeść śniadania, a już ktoś zdążył we mnie mierzyć z broni. Śmierć przed południem, co za nietakt.

Szach i mat.

Scott wpatrywał się we mnie przez chwilę, błędząc spojrzeniem po mojej twarzy. Niespodziewanie prychnął pod nosem, kiwając rozbawiony głową. Nie miałam pojęcia, co go tak rozbawiło, jednak dziwna potrzeba udowodnienia, że radziłam sobie świetnie, sprawiła, że i na mojej twarzy pojawił się lekki uśmiech.

Po prostu graj, Chloe.

– Chloe Rivera. – Mężczyzna wskazał na mnie ręką, zwracając się do osób, które chwilę wcześniej do mnie celowały. – A ci trzej idioci... – kiedy palec Scotta przeciął powietrze i wskazał na facetów przede mną, przeniosłam na nich swój wzrok – ...najebrani rozmawiali ze mną przez telefon, gdy informowałam, kiedy i z kim przylecę. – Ton jego głosu stał się ostry i surowy.

Mężczyźni spojrzeli po sobie niepewnie, nie wiedząc, co powinni powiedzieć czy zrobić. Tutaj chyba nie używało się słowa „przepraszam”. Nie potrafiłam sobie nawet tego wyobrazić.

Wypowiedź Lewisa spotkała się z ciszą, dlatego po chwili mężczyzna kiwnął w stronę podjazdu i warknął:

– Conor, w samochodzie są walizki. Zabierz je do pokoju Chloe.

Wywołany ciemnowłosey bez żadnego oporu przytaknął i opuścił dom.

Zmarszczyłam brwi, słysząc słowa Scotta. *Mój pokój...?* Analizowałam te dwa wyrazy, nie rozumiejąc ich. Moja wizja obecności tutaj różniła się od tego, co zastałam. Było lepiej, niż myślałam. Liczyłam na łóżko w jakiejś piwnicy, może luksusem byłoby niewielkie okno. Po tym wszystkim, co wydarzyło się między mną a Lewisem, naprawdę nie spodziewałam się niczego więcej. W głowie jednak przewijały mi się słowa Federica, który podczas naszych luźnych rozmów – swoją drogą, mających iść w zapomnienie – niejednokrotnie wspominał o dziwnym zachowaniu Scotta. Nazywał je „obsesją” i wszystko nią tłumaczył. Twierdził, że byłam obiektem chorych fascynacji Lewisa i to od dłuższego czasu. Wnioskował to po obserwacji Scotta, który to dopuścił kuzyna Matteo wyjątkowo blisko siebie, dlatego Włoch wiedział o nim naprawdę wiele. Czy faktycznie była to obsesja? Jeśli nawet, to skąd się wzięła? I na jak wiele Lewis był w stanie mi pozwolić, będąc w tym stanie? Postanowiłam to sprawdzić od razu.

– Jestem głodna – mruknęłam do Scotta, który odprowadzał Conora wzrokiem.

– Ogłuchliście? – Mężczyzna zmarszczył brwi, wpatrując się w dwóch typów stojących przed nami.

– Czy ja wyglądam na gosposię? – usłyszeliśmy odpowiedź, na którą lekko się spięłam. Zaczynało się robić wesoło.

Wstrzymałam powietrze, zerkając kątem oka na Scotta. W Nowym Jorku panowała dyscyplina, ale kolega-gosposia chyba nie był jej nauczony, co nie cieszyło Lewisa. Rozwścieczony wyraz jego twarzy jasno wskazywał, że cierpliwość mężczyzny się kończyła.

– Czy ja wyglądam na osobę, którą to interesuje? Możesz być pieprzoną primabaleriną – odpowiedział stanowczym głosem, dając do zrozumienia, że to nie była prośba, tylko kolejny rozkaz. – Ander, ogarnij młodego, bo chyba zapomniął, jak to tu wygląda. Nie toleruję sprzeciwu.

Nawet w rodzinie – mruknął, po czym odwrócił się w moją stronę, a na jego usta wpłynął uśmiech. – Chloe jest gościem honorowym. Nie chciałbym usłyszeć, że źle się z nią obchodzicie. To byłby wasz wielki błąd.

Wypuściłam powoli powietrze, w duchu zastanawiając się, kim jest ten mężczyzna i gdzie podział się skurwieli, który kilka razy próbował mnie zabić.

Ander przytaknął, informując, że rozumie. Po chwili drugi typ również kiwnął głową z wielką niechęcią, wpatrując się we mnie nieprzyjemnym wzrokiem. Przełknęłam ślinę, nie czując się z tym komfortowo. Już wiedziałam, że nie mogłam liczyć na jego przyjaźń. Na szczęście miałam przyjaciół. I nie szukałam nowych.

– Jestem głodna – powtórzyłam, kiedy zapanowała cisza, lecz nic się nie zmieniło, i tym razem swoje słowa skierowałam do mężczyzn przede mną.

– Na co masz ochotę? – zapytał Ander po tym, jak uderzył swojego kolegę w tył głowy, bo ten prychnął na moje słowa.

– Tosty z serem, pomidorkami i do tego kawę z mlekiem – odpowiedziałam, na co chłopak machnął ręką na młodszego przyjaciela, a ten z nieznacznym ociąganiem ruszył w stronę, jak się domyślałam, kuchni.

Poczułam nagły spokój, który sprawił, że pierwszy raz od wielu miesięcy przestałam się bać. I chyba to oznaczało, że do reszty zanikł u mnie instynkt samozachowawczy. Przylatując do Buenos Aires, nie miałam pewności, co tutaj zastanę. Ale nic nie zaskoczyło mnie w życiu bardziej niż to: miałam ochronę Scotta, chociaż spodziewałam się jego nienawiści. Byłam gotowa na najgorsze, bo tak zachowywał się wobec mnie nawet w samolocie, a pręgi na szyi po jego lekcji oddychania na pewno były tego dowodem. Nie był to mój wymarzony dom ani wymarzone osoby, z którymi niestety musiałam przebywać, jednak wiedziałam, że tak będzie najlepiej – najlepiej dla Matteo, bo na to zasługiwał.

Spojrzałam z uśmiechem na oddalającego się chłopaka, w głowie analizując myśl o daniu mu nauki. Tak chciał się bawić? Mogliśmy się pobawić. Ja również nie byłam zachwycona swoją obecnością w tym miejscu, ale jeśli już miałam tu być, mogłam zapewnić sobie nieco rozrywki.

– Albo nie – powiedziałam nagle, powodując pojawienie się niezrozumienia na twarzy Scotta. Ander również wydawał się nie wiedzieć, co się dzieje. – Chcę sałatkę grecką z wodą.

Blondyn zatrzymał się w miejscu i spojrzał na mnie lekko poirytowany, jednak nic nie powiedział i ponownie ruszył w stronę kuchni.

– Albo jednak nie... – westchnęłam nagle, robiąc zamyśloną minę. – Lazania. Tak, lazania z ciepłą, czarną herbatą.

Nawet z takiej odległości dostrzegłam, jak chłopak zaciska pięści i mierzy mnie nienawistnym spojrzeniem po tym, jak znowu się zatrzymał. Ander i Scott stali teraz obok siebie i rozbawieni oglądali przedstawienie.

– Lazania z herbatą, jasne – upewnił się, nie odrywając ode mnie wzroku. – Może jeszcze frytki do tego? – mruknął pod nosem, chyba myśląc, że nikt go nie słyszy.

Uśmiechnęłam się, widząc, jak się denerwuje. I tak miał szczęście, przecież nie męczyłam go jakoś bardzo, a nie zapominajmy, że przed chwilą do mnie celował.

– To za dwadzieścia minut chcę widzieć w moim pokoju te frytki i cheeseburgera – rzuciłam, ruszając za Conorem, który właśnie zaczął wchodzić po schodach, dźwigając moje walizki.

– Co, kurwa? – warknął całkowicie wyprowadzony z równowagi chłopak.

W pomieszczeniu rozbrzmiało coś na kształt śmiechu. Scott stał kilka metrów dalej i starał się zachować powagę, jednak słabo mu to wychodziło. Kto by pomyślał, że rozbawie drania swoimi

kaprysami. Naprawdę mnie zaskakiwał. Nie pokazując jednak, że ktoś nowy zyskał moją uwagę, spojrzałam na zdenerwowanego chłopaka, który stał już w drzwiach kuchni i ponownie mierzył mnie morderczym wzrokiem.

– Za piętnaście minut.

Ten sukinsyn jak nic chciał mnie otruć.

Z niezadowoloną miną spojrzałam na talerz, na którym znajdował się, podobno, cheeseburger. Pytań było wiele: „Gdzie, do cholery, był ser?”. „I mięso?”, „I, kurwa, bułka?”. Wpatrywałam się w breję przygotowaną przez, jak się okazało, Louisa. Gosposia-primabalerina chyba właśnie wypowiedziała mi wojnę, blendując składniki cheeseburgera na gładką papkę. Śmiałam nawet twierdzić, że znalazły się tam również moje frytki.

Westchnęłam ciężko, ponownie utwierdzając się w przekonaniu, że jeśli chciało się, aby coś zostało dobrze zrobione, to powinno się to zrobić samemu. Pokręciłam głową i wzięłam się do rozpakowywania swoich rzeczy z walizek.

Nieprzyjemny dreszcz przemknął po moich plecach, kiedy odłożyłam ostatnią bluzkę na półkę w szafie. Było to strasznie dziwne uczucie, tak jakby ten gest przypieczętował wszystko, co się ostatnio działo. Miałam tu zostać. Miałam tu zamieszkać. Miałam czuć się *tu* jak w domu.

Ale jak można się tak czuć, będąc daleko od swojego ukochanego *domu*?

To, że byłam tutaj, nie znaczyło, że nie wolałabym teraz być w Nowym Jorku, przy Matteo. Już strasznie tęskniłam za przyjaciółmi, z którymi nie miałam nawet okazji się pożegnać. Mogłam sobie tylko wyobrazić, jaką okropną osobą byłam w ich oczach. Po raz kolejny zniknęłam bez słowa, urywając kontakt i nikogo o niczym nie informując. Zapewne po raz kolejny przypięto mi łątkę nieczulej egoistki, mającej gdzieś najbliższych. Osoby, która mówi jedno, a robi drugie. Człowieka, którego obietnice nic nie znaczą. Zapewne mieli teraz o mnie identyczne zdanie jak ludzie z Newcastle. Ruszając z punktu A do punktu B, okazało się, że gdzieś po drodze zabłądziłam, ponownie trafiając do cholernego punktu A.

Pukanie do drzwi sprawiło, że delikatnie drgnęłam. Oderwałam wzrok od szafy, w którą cały czas nieświadomie się wpatrywałam, i przeniosłam go na wejście. Ale nie odezwałam się... Nie istniały słowa, których chciałam użyć. Miałam ochotę krzyknąć, głośno i boleśnie, nie zważając na zdzierające się gardło i okrutny ból głowy, który pojawiał się w takich momentach. Chciałam wrzeszczeć, ale nie mogłam. Musiałam zdusić w sobie nienawiść i udawać, aby przestrzegać zasad układu Scotta. Cholernych zasad, które miałam ochotę złamać już sto razy, by móc jak najszybciej znaleźć się w Nowym Jorku. Znaleźć się przy Matteo. Znaleźć się w *domu*.

– Nie chcesz się rozejrzeć? – usłyszałam nagle zza drzwi głos Lewisa po tym, jak cisza zaczęła się przeciągać.

Przymknęłam powieki, wstając i biorąc głęboki wdech. *Graj, Chloe. Każda gra ma kiedyś swój koniec. Ale jak na razie... graj najlepiej, jak potrafisz*, powiedziałam do siebie w duchu.

– Nie – odpowiedziałam nieco słabym głosem, przez co odchrząknęłam.

– Nie musisz siedzieć cały czas w pokoju.

Przewróciłam oczami, słysząc jego kolejną wypowiedź. A co innego miałam niby robić? Nie czułam się tu swobodnie. Nie miałam pojęcia, na co mogę sobie pozwolić, a od czego powinnam trzymać się z daleka. I tym bardziej nie chciałam, aby oprowadzał mnie Lewis.

– Nie musisz być moją niańką, Scott – odpowiedziałam szczerze, chcąc się go jak najszybciej pozbyć.

Nie usłyszałam już żadnych słów padających z jego ust. Odetchnęłam z ulgą, czując, że mogę pobyć przez moment sama i zebrać myśli. Przez ostatnie kilkanaście godzin byłam skazana

na tego mężczyznę, więc chwila wytchnienia od niego była czymś niesamowitym.

Podeszłam do okna, wyglądając przez nie ostrożnie na zewnątrz. Czułam się strasznie nieswojo w tym miejscu, bo mimo że było więzieniem, nie przypominało tego, w którym spodziewałam się znaleźć. I chociaż piękny ogród, który mogłam podziwiać przez szybę, koił moje nerwy, to jednocześnie przypominał mi o mamie. Przymknęłam powieki, uświadamiając sobie, jak bardzo Lily byłaby zawiedziona tym, w jakim kierunku potoczyło się moje życie. Przed jej tragicznym wypadkiem byłam ułożoną panienką z dobrego domu, która uwielbiała spędzać czas z ojcem, i ostatnie, czego by się dopuściła, to wypowiedzenia na głos przekleństwa. W tamtym czasie naprawdę mogłabym zostać świętą. A teraz? Chryste, chroń ją przed moim widokiem. Córka na dnie to ostatnie, czego by się po mnie spodziewała, i ostatnie, czego ja sama spodziewałabym się po sobie te siedem lat temu, kiedy moje życie było bajką. Bo jakie problemy mogła mieć bogata, kochana przez wszystkich piętnastolatka?

Przez okno widziałam czterech mężczyzn rozpalających w ogrodzie grilla, śmiejących się wesoło i głośno ze sobą rozmawiających. Przyglądałam się temu obrazowi, zastanawiając się nad tym, co obserwowałam. Scott był... niezrównoważony? To chyba najlepsze określenie. Zachowywał się, jakby znajdował się wśród najlepszych przyjaciół, kiedy chwilę wcześniej, gdy przestąpiliśmy próg, prawie zabijał ich wzrokiem. Jakiś czas temu zabronił mi umierać i kazał oddychać, w tym samym momencie mnie podduszając. Mało logiczne, ale przestałam szukać w tym sensu. Mówiliśmy o Lewisie. Nie byłam pewna, co nim kierowało, jednak zdążyłam spędzić w jego towarzystwie tyle czasu, żeby móc coś dostrzec. Coś, co sprawiało, że byłam gotowa negować jego poczytalność. Scott był więc albo zdrowo pojebany, albo poważnie chory. Nie wiedziałam, która wersja była prawdą, i nie chciałam tego sprawdzać. Dopóki nie widziałam z jego strony żadnego zagrożenia, a jego zachowanie wobec mnie nie sprawiało, że przechodziły mnie dreszcze, wolałam nie szukać problemów na siłę.

Oderwałam wzrok od widoku za oknem i korzystając z okazji, że mężczyźni byli zajęci, wyszłam na korytarz. Na palcach, jakbym robiła coś zakazanego, zeszałam po schodach i przystanęłam na ostatnim schodku. *Gdzie dalej?*, zapytałam w myślach samą siebie. Śniadanie od Louisa nie nadawało się do niczego, a mój żołądek nadal domagał się jedzenia. Po dłuższym namyśle skierowałam się do pomieszczenia, w którym wcześniej zniknął chłopak. Zaraz po wejściu do środka na mojej twarzy pojawił się delikatny uśmiech, bo znalazłam się we właściwym miejscu.

Kuchnia. Dotarłam do kuchni.

Zadowolona otworzyłam lodówkę i wyciągnęłam z niej jajka, musiały wystarczyć. Nie chciałam spędzać zbyt wiele czasu na dole. Nie miałam pojęcia, kiedy wpadnę na kogoś, kto byłby zaskoczony moją obecnością w tym miejscu. To była naprawdę ostatnia rzecz...

– Chloe – usłyszałam głos Scotta, kiedy rozbiłam ostatnie jajko na patelni.

To właśnie była ta ostatnia rzecz, której chciałam.

Przykleiłam do ust sztuczny uśmiech i odwróciłam twarz w stronę mężczyzny, który stał w drzwiach razem z Louisem.

Bosko...

– Scott. Louis – stwierdzałam niemrawo, czując na sobie ich spojrzenia.

Ten pierwszy zmarszczył brwi, obserwując to, co robiłam. Skrobanie roznosiło się głośno po pomieszczeniu, bo cholerna jajecznicza przywarła do patelni. Naprawdę cały świat był dzisiaj przeciwko mnie.

– Ktoś tu ma wilczy apetyt – zaczął, podchodząc do lodówki, z której wyciągnął butelkę z whiskey.

Posłałam mu zmęczone spojrzenie i pokręciłam głową.

– Nie. Ktoś tu nie potrafi zrobić cholerniej kanapki – mruknęłam, niby przypadkiem wskazując łyżką na Louisa.

– Kanapki? – zdziwił się Scott.

– Kanapki. Wiesz... bułka, kotlet, ser, ogórek. Prostota sama w sobie, ale nadal za trudna dla niektórych osobników. – Poruszyłam dłonią, ponownie wskazując łyżką na Louisa, który spięty stał w drzwiach. Widziałam, że już miał zamiar się odezwać, jednak nie pozwoliłam mu na to. – Ale jasne, rozumiem. Moje życie jest tak ważne, że strach przed moim zakrztuszeniem się wpędził Louisa w paranoję. Niezwykle doceniam jego zaangażowanie w utrzymanie mnie przy życiu, tylko że... zblendowane papki jedzą dzieci.

Scott westchnął ciężko i spojrzał na chłopaka, nie zamykając jeszcze lodówki.

– Zmiksowałeś jej cheeseburgera? – zadał proste pytanie, na które tamten tylko prychnął.

– Wszystko dla zdrowia i życia księżniczki, tak jak kazałeś – stwierdził z drwiną w głosie.

Scott wyciągnął z lodówki colę i zatrzasnął drzwiczki. Pokręcił głową i zatrzymał się w drzwiach, obok Louisa. Wymienili ze sobą cicho kilka zdań, których treści nie usłyszałam, po czym Scott zniknął, zostawiając mnie ze zdenerwowanym facetem.

– Nie jestem księżniczką – warknęłam, odkładając patelnię na zgaszony palnik. Czułam potrzebę wyjaśnienia kilku kwestii. Nie znał mnie i od samego początku był do mnie negatywnie nastawiony, chociaż nic mu nie zrobiłam.

– Nie mam pojęcia, kim jesteś, ale mam to gdzieś. – Zrobił krok w moją stronę. – Przywiózł cię tu i mało brakowało, a kazałby nam rozkładać przed tobą czerwony dywan. Jest jak pies, i to groźny pies, przed którym wszyscy spierdalają. Wiesz, co się dzieje z psem, gdy pozna sukę? Mięknie i gupieje. A w tym świecie to poważne zagrożenie, bo groźni ludzie mają wrogów. Co zrobić, aby odzyskać groźnego psa? – Podszedł bliżej, nie odwracając wzroku od mojej twarzy i uśmiechając się leniwie. – Zabić sukę.

Z trudem przełknęłam ślinę, niemalże czując, jak jego słowa przedzierają się w głąb mojego umysłu. Bacznie obserwowałam, jak zadowolony z siebie Louis wyciąga z zamrażarki worek z lodem i spokojnym krokiem rusza ku wyjściu z pomieszczenia.

– Dlatego uważaj, księżniczko, i nie bierz groźnego psa na smycz. Może się wtedy okazać, że nieszczęśliwe wypadki chodzą po ludziach – rzucił jeszcze w progu, po czym zniknął.

Wypuściłam ciężko powietrze, które uwięzło mi w piersiach, i oparłam się tyłem o blat kuchennej wyspy. Liczyłam, że kilka głębokich oddechów pomoże mi się uspokoić, jednak się myliłam. Niekontrolowane łzy, które pojawiły się w moich oczach, w końcu znalazły ujście i spłynęły po policzkach.

Jeśli myślałam, że byłam silna, byłam w cholernie wielkim błędzie. Jeśli myślałam, że byłam bezpieczna, kurewsko się myliłam. Jeśli uważałam, że jakoś tu wytrzymam i wszystko się ułoży, byłam jebaną idiotką.

Bo trafiłam do piekła.

Pieprzonego piekła.

Rozdział 4

CHLOE

I znowu było jak w momencie, kiedy miałam czternaście lat. Z tą jednak różnicą, że dziecięce bajki zmieniły się w filmy dla dorosłych. Falbaniasta i szeroka sukieneczka zmieniła się w obcisłą sukienkę, która nieprzyzwoicie się podwijała. Piękne balerinki zostały zastąpione przez czarne szpilki. Idealnie ułożone włosy teraz żyły własnym życiem, bo do dyspozycji miałam tylko szczotkę. A radosny uśmiech na twarzy? On zmienił się w wymuszony grymas, który mógł wzbudzać wiele pytań. Roześmiane oczy wyglądały na puste, a naturalne rumieńce były teraz pod toną makijażu, który próbował ukryć nieprzespane noce.

W moim piekle właśnie urządzano pieprzone przyjęcie.

Moment, w którym Scott wparował do mojego pokoju z informacjami i wytycznymi, był dla mnie po prostu nierealny. Potem, przez cały tydzień, kiepsko spałam, unikałam Louisa, jak tylko się dało, i starałam się nie myśleć o miejscu, w którym przebywałam, osobach dookoła i sytuacji, w której się znalazłam. Ogród ratował mnie przed pogrążeniem się w odmętach mojego własnego umysłu i pomagał unikać ludzi, których zbierało się tu coraz więcej. A teraz bez sprzeciwu musiałam wbić się w okropną kieckę podrzuconą przez Scotta i udawać, jak bardzo cieszyłam się ze swojej obecności tutaj.

Odwrociłam się od lustra, nie mogąc dłużej patrzeć na swoje odbicie – istny obraz nędzy i rozpacz. Niezależnie od tego, jak bardzo próbowałam, wewnętrzna siła mnie zawodziła. Myśl o opuszczeniu pokoju sprawiała, że miałam ochotę się rozpłakać. Byłam naiwną gówniarą, która myliła się pod każdym względem. Nie miałam pojęcia, w co wchodziłam, kiedy się na to godziłam. Nie miałam pojęcia, że Nowy Jork będzie niczym w porównaniu z tym, czym zajmował się Scott w Buenos Aires. Ameryka Północna była dla niego jedynie pieprzonymi wakacjami. To tutaj, w Ameryce Południowej, był jego świat, okrutny świat pełen narkotyków i śladów krwi na jego koszuli, których nawet nie próbował ukrywać. Nie śmiałam pytać, skąd się brały, jednak fakt, że w ogóle istniały, sprawiał, że traciłam oddech.

Bo Scott nie opuszczał rezydencji. Krwawe sceny rozgrywały się tutaj.

Impreza trwała w najlepsze, a ja już po godzinie żałowałam, że się na niej znalazłam. Westchnęłam zirytowana, przepychając się przez tłum ludzi. Nie byłam nawet pewna, czy zmierzałam we właściwym kierunku, bo dom był ogromny, a przez hałas i wielu gości zaczynałam się w nim gubić. Chciałam znaleźć – o ironio – Scotta, obecni tu bowiem ludzie mnie przerażali. Po drinku, którego dostałam od jednego z mężczyzn przedstawionego mi przez – o większa ironio – Louisa, marzyłam tylko o świeżym powietrzu. Skręciłam w korytarz, który miał wyprowadzić mnie na zewnątrz, a przynajmniej taką miałam nadzieję. Miałam dosyć tego przyjęcia, na którym zapach narkotyków, tytoniu i alkoholu zaczął przesiąkać ściany budynku. Dusiałam się na samą myśl o tym wszystkim, chciałam tylko przeżyć ten cholerny wieczór i móc wrócić do normalnego życia, tutaj. Cóż, „normalność” ma wiele znaczeń.

– Gdzie idziesz? – usłyszałam za sobą i poczułam dłoń łapiącą mnie za łokieć.

Spojrzałam z lekkim niepokojem na osobę, która mnie zatrzymała, i musiałam przyznać, że nigdy, przenigdy nie cieszyłam się tak na widok Scotta. Na mojej twarzy pojawił się chyba nawet lekki uśmiech, który bez wątplenia zbił mężczyznę z tropu.

– Muszę wyjść – rzuciłam spanikowanym głosem, przez co Lewis zmarszczył brwi. – Duszę się. Pozwól mi oddychać. – Posłałam mu błagalne spojrzenie i zaczęłam czuć, jak w moich oczach, powoli i bez mojego pozwolenia, zaczynają wzbierać łzy.

Mężczyzna wpatrywał się we mnie dłuższą chwilę, co tylko potęgowało moje poczucie beznadziei. Byłam w najgorszym momencie swojego życia, jeszcze nigdy nie czułam się tak bezbronna. Wszystko było poza moją kontrolą. Jak więc mogłam czuć się pewnie, kiedy nic ode mnie nie zależało...? Nagle twarz Scotta drgnęła. Po chwili kiwnął głową w inną stronę niż ta, w którą zmierzałam, i ciągle trzymając mnie mocno, ruszył w tym kierunku.

Kiedy tylko znaleźliśmy się poza budynkiem, odetchnęłam z ulgą. Chłodny wiatr owiał moją twarz, przynosząc mi ukojenie. Odgarnęłam włosy z czoła, zaczesując je palcami do tyłu. Brak ludzi dookoła działał na mnie uspokajająco. Albo była to zasługa nocy i gwieździstego nieba, które zawsze potrafiły załagodzić moje negatywne emocje. Mój oddech nadal był nieludzko płytki, a serce biło zdecydowanie zbyt szybko.

Sypałam się. Sypałam, rozpadałam, kruszyłam.

Coraz trudniej było mi oddychać. Przymknęłam powieki, jednak to tylko sprawiło, że zobaczyłam przed oczami gwiazdy, pieprzone gwiazdy pod zamkniętymi powiekami. Zdezorientowana otworzyłam oczy, w ostatnim momencie łapiąc równowagę, którą nagle straciłam. Skrzywiłam się, nie wiedząc, co ze sobą zrobić, jak sobie pomóc. Jeśli był to atak paniki, zdecydowanie nie przypominał tych sprzed kilku lat.

– Co się dzieje? – usłyszałam głos należący do ciemnowłosego, który przypomniał mi o jego istnieniu.

– Musiałam się przewietrzyć. – Uśmiechnęłam się słabo, ale jakaś siła powodowała, że nie mogłam spojrzeć mu w oczy.

Wdech. Wydech. Wdech. Wydech. Wdech...

Zatoczyłam się, ponownie tracąc równowagę. Oparłam się o głaz znajdujący się tuż przy ogrodowej ścieżce i zacisnęłam mocno powieki, pod którymi ponownie zaczęły wzbierać łzy.

Co się ze mną dzieje?

Scott podszedł bliżej, dlatego od razu otworzyłam oczy. Obserwowałam, jak uważnie przyglądał się mojej twarzy, której wyraz wręcz błagał o ratunek. Mężczyzna analizował coś przez dłuższą chwilę, po czym grymas wykrzywił mu wargi w dziwny sposób.

– Piłeś coś? – Lewis zadał tylko to jedno pytanie.

Nie jestem pijana. Naprawdę nie jestem...

– Jednego drinka – mruknęłam, czując nieprzyjemny ucisk w głowie.

Widziałam tylko, jak Scott kręci z dezaprobatą głową, a jego klatka piersiowa niebezpiecznie mocno się unosi. Zazgrzytał zębami i westchnął ciężko.

– Zwymiotuj – usłyszałam nagle, przez co przeniosłam na niego zdezorientowane spojrzenie.

– Nie jestem pijana – powiedziałam na głos to, co miałam w głowie. – Nie jestem...

Mężczyzna ponownie westchnął i z dużą siłą przyłożył mi dwa palce do krtani, przyciskając je mocno. W mgnieniu oka poczułam, jak wywołany odruch wymiotny sprawił, że mój organizm miał ochotę pozbyć się obiadu. Bez zwłoki odwróciłam się w stronę krzaków, pozwalając na wszystko, co się działo. Nie miałam kontroli nad niczym. Teraz już nawet nad własnym ciałem. Po chwili ponownie zamknęłam oczy, starając się uspokoić, jednak rozżalenie i upokorzenie mi na to nie pozwalały. Niepokonana Chloe Rivera teraz na kolanach i ze łzami w oczach. Złamała mnie. Cholerny Scott Lewis wygrał, a teraz mógł obserwować swój sukces. Już nie miałam siły się bronić. Podałam się...

– Kto przygotował drinka? – zadał kolejne pytanie, na co lekko się podniosłam, próbując opanować drżenie ciała, które nagle ogarnął nieprzyjemny chłód.

Ale ja nie odpowiedziałam. Głos uwiązał mi w gardle, sprawiając, że byłam skazana na milczenie. Czy cokolwiek by się zmieniło, gdybym odpowiedziała?

Zmarszczyłam brwi, kiedy poczułam, jak coś łąduje na moich ramionach. Spojrzałam kątem oka na to miejsce, dostrzegając marynarkę Scotta. Po chwili dwie silne dłonie złapały mnie delikatnie, jednak stanowczo i podniosły do pionu. Świat przed moimi oczami nadal wirował, ale mój wzrok w końcu zatrzymał się na twarzy Lewisa, który stanął przede mną. Automatycznie odwróciłam głowę, nie chcąc, aby oglądał mnie w takim stanie. Byłam jednym wielkim bałaganem, którego nie szło ogarnąć. Porcelanową lalką z pustymi oczami, która była tak bardzo nieidealna. Baletnicą w pozytywce, która już nigdy nie miała zakreślić się do ukochanej melodii...

Scott jednak nie dał się zbyć. Złapał mnie za szczękę, z wielką ostrożnością odwracając moją twarz w swoją stronę. Bez sprzeciwu się mu poddałam i napotkałam jego ciemne oczy, w których buzowała coraz większa złość. Ja byłam złamana, a on zły. Co za niszczycielskie połączenie.

– Kto przygotował drinka, Chloe? – powtórzył swoje pytanie, odgarniając z mojej twarzy kilka kosmyków włosów, które się do niej przykleiły.

– Nie znam – szepnęłam w końcu, bojąc się dźwięku swojego głosu. – Ale miał dziwny tatuaż na skroni.

Coś w wyrazie twarzy Scotta się zmieniło. Jeśli wcześniej był zły, to teraz obudził się w nim prawdziwy diabeł. Kiedy tak wpatrywał się w znajdującą się za mną ciemność, odnosiłam wrażenie, że w jego głowie szalała burza z piorunami. Jednak gdy ponownie przeniósł na mnie wzrok, łagodny uśmiech na jego ustach i spokój w oczach sprawiły, że wpadłam w jeszcze większe zdezorientowanie. Kciukiem delikatnie starł łzę, która spłynęła po moim policzku, za nic mając wszelkie moje błagania. Płakałam przed Scottem. Jeśli myślałam, że już wcześniej byłam na dnie, to grubo się myliłam, bo... dopiero teraz się o nie rozbiłam.

– Jesteś przerażona – mruknął nagle, a w jego głosie rozbrzmiała nuta zdumienia.

I moje rozżalenie pogłębiło się wtedy jeszcze bardziej. Widział to, więc musiało być ze mną naprawdę źle. Byłam chodzącą tragedią.

Czarnowłosa westchnął ciężko i przytrzymując mnie, ruszył w kierunku budynku. Czułam dziwne ciepło w swoim wnętrzu, a moje powieki zaczęły stawać się coraz cięższe. Kiedy znaleźliśmy się w środku, Scott doprowadził nas chyba do swojego gabinetu. Oparta o blat biurka stałam i patrzyłam, jak nalewał wódkę do dwóch kieliszków. Podał mi jeden z nich, na co zmarszczyłam nos, niezbyt przekonana do tego pomysłu.

– Uwierz, przyda ci się – mruknął, po czym opróżnił swój kieliszek, a potem złapał za szkło do drinków, które stało za szybą.

Obserwowałam Lewisa, jak nagle podszedł do obrazu wiszącego na ścianie, po czym go zdjął. Otworzyła szerzej oczy, dostrzegając, że za nim znajdował się sejf. Mężczyzna wyjął z niego małą buteleczkę i dodał kilka kropel bezbarwnego płynu do szkła, a potem zalał wszystko wódką. Wymieszał napój, wykonując kilka okrężnych ruchów dłoni, w której trzymał szklanekę, wpatrując się przy tym przenikliwym wzrokiem w płyn. Kiedy wszystko ponownie znalazło się na swoim miejscu, stanął obok mnie i zlustrował spojrzeniem moją twarz.

– Dzisiaj przestaniesz się bać. Chodź – szepnął, podając mi swoje ramię.

Nie mogłam odmówić; miałam tak mało siły, że zapewne po kilku samodzielnych krokach wylądowałabym na dywanie w korytarzu.

Przemierzyliśmy długą drogę, aż zatrzymaliśmy się przy schodach i pokonaliśmy kilka stopni w dół. Scott oparł jedną z moich dłoni na balustradzie, kiwając głową na Louisa, który zaskoczony i z ukrywaną niechęcią już po chwili zajął miejsce Lewisa u mojego boku. Gdy tylko poczułam dłoń chłopaka na talii i ramieniu, moja ostatnia komórka z wołą walki błagała, abym zrobiła cokolwiek, aby pokazać, że mi się to nie podobało. Ja jednak tylko przymknęłam powieki na kilka sekund, próbując wyłączyć odczuwanie bodźców z zewnątrz. Coraz mniej rozumiałam, zresztą niewiele też pamiętałam, co działo się już od momentu, gdy opuściłam towarzystwo mężczyzny, którego przedstawił mi Louis i który wręczył mi drinka.

– Jestem wdzięczny, że jesteśmy tu wszyscy razem – rozbrzmiał Scott, który stał dwa stopnie niżej i zwracał się do gości. – Wróciłem, aby odbudować w pełni to, co stworzył mój ojciec. Z wiarą i nadzieją stoję tu przed wami, licząc, że wspólnie przywrócimy świetność rodzinie. – Rozejrzał się po pomieszczeniu, jakby kogoś szukał. – Niektórzy z was są przy mnie krótko, inni od wielu lat wspierają mojego ojca i mnie. Dlatego zastanawiające jest... – usłyszałam, że ton jego głosu zaczął się zmieniać i brzmieć bardzo nieprzyjemnie – ...że ci, którzy obdarowani są moim zaufaniem za wieloletnią lojalność, potrafią z premedytacją walić kijem w gniazdo szerszeni.

Goście spojrzeli po sobie, niczego nie rozumiejąc. Sama nie byłam pewna, czy się nie przesłyszałam. Bez wątplenia musiałam coś źle zrozumieć z powodu swojego stanu, bo logiczne myślenie – o ile jeszcze byłam do niego zdolna – podpowiadało mi, że w słowach Lewisa brakuje jakiegokolwiek sensu. Bo co, do cholery, miały szerszenie do lojalności?

– Javier, *amigo!*¹ – Głos Scotta ponownie stał się miły, a ruchem głowy mężczyzna zaprosił swojego przyjaciela do siebie.

Kiedy moim oczom ukazał się człowiek z tatuażem na twarzy, zamarłam w bezruchu. Palce Louisa mocniej zacisnęły się na moim ramieniu, co widocznie znaczyło, że mu się wyślizgiwałam. Było ze mną coraz gorzej. Co ja tu właściwie robiłam? Smak wódki nie polepszał mojego samopoczucia, a raczej w zaistniałym momencie zachęcał do ponownego wymiotowania. Chciałam się znaleźć w swoim pokoju, z dala od tych ludzi.

– Znamy się całe życie. – Głos Scotta ponownie rozbrzmiał w holu. Obok mężczyzny stał już wspomniany Javier. – Uczyłeś mnie od małego, jak nie dać się złapać i jakie są najlepsze miejsca na zabawę. – W pomieszczeniu dało się słyszeć śmiech. – Nauczyłeś mnie również, co to znaczy szanować i bronić tego, co należy do nas. Dzisiaj skorzystam z tej rady.

Mężczyźni mierzyli się spojrzeniami, a ja miałam wrażenie, że trwało to wieki, jednak w tym stanie nie byłam pewna niczego. Wyglądało to na poważną walkę, której rozstrzygnięcie oznaczać miało wielką tragedię. Tłum milczał, wypełniając pomieszczenie idealną ciszą. Działo się chyba coś, czego nie rozumiałam... Aż nagle walka dobiegła końca: Javier wziął szklane naczynie, które podał mu Scott, i wznosił je lekko, po czym upił łyk.

– Drink od Chloe – mruknął Lewis i ruchem ręki wskazał w moją stronę.

Javier powędrował wzrokiem za dłońią Lewisa, natrafiając nim na mnie. Gdy tylko nasze spojrzenia się spotkały, zacisnął mocno zęby. Na sekundę zerknął na swój napój, po czym powrócił ciemnymi oczami do mnie. Z trudem przełknęłam ślinę, starając się nie uciec. Chociaż nawet jakbym chciała, to nie byłabym w stanie z dwóch powodów: nie miałam na to siły i Louis trzymał mnie zbyt mocno. Ale coś nagle zaczęło do mnie docierać... Drink, dziwne objawy, zmuszenie mnie do wymiotowania tego, co wypiliśmy, wódka, która „miała mi się przydać” – a wiadomo przecież, że najlepiej działała na odwagę – i całe to przedstawienie. Niewątpliwie w moim drinku znajdowało się coś, co nie powinno było się tam znaleźć. Wyczytałam to z wyrazu twarzy mężczyzny, który teraz patrzył na mnie z nienawiścią pomieszaną ze strachem.

– Bronię tego, co moje! – ryknął nagle Scott, a mnie przeszedł dreszcz. – Kiedy trzeba, bronię członków rodziny. A kiedy zagrażają innym członkom – wskazał ponownie dłonią w moim kierunku – robię, co muszę.

Nie rozumiałam. Nie rozumiałam do momentu, w którym Javier zaczął się krztusić i złapał się za szyję. Obserwowałam, jak dziwnie się miota, nie spuszczać ze mnie wzroku. Bezwiednie zacisnęłam mocniej dłoń na ręce Louisa, czując, jak ogarnia mnie panika.

– Wytrzymaj to – rozkazał mi na ucho, mocniej mnie przytrzymując na wypadek, gdyby nogi odmówiły mi posłuszeństwa.

I tak się stało, kiedy po dłuższej chwili dostrzegłam wypaloną dziurę w gardle mężczyzny, który po chwili bezwładnie spadł ze schodów i wylądował na podłodze z szeroko otwartymi oczami. Moje serce przestało bić i mogłam przysiąc, że trwało to zbyt długo, abym przeżyła. Tłumiłam każdy dźwięk, który chciałam z siebie wydać. A byłam gotowa krzyknąć do zdarcia gardła.

– Chloe Rivera należy do rodziny! – krzyknął Scott, a jego głos poniósł się po holu. Nie było nikogo, kto miałby odwagę się mu sprzeciwić. Lewis był w tak koszmarnym humorze, że nikt o zdrowych zmysłach nie ryzykowałby konfrontacji z nim, dlatego też nikt nie patrzył bezpośrednio na niego. – Jest beta.

Słowa mężczyzny ledwo do mnie docierały, targało mną zbyt wiele emocji. Zmarszczyłam brwi, zastanawiając się, skąd takie poruszenie wśród ludzi. Uścisk Louisa ponownie się wzmocnił, a z jego ust wydobyło się ciche: „Skurwysyn”. Zacisnęłam zęby, kiedy palce mężczyzny wbiły się za mocno w moją talię. Jeśli ból miał trzymać mnie przy zdrowych zmysłach, potrzebowałam czegoś znacznie mocniejszego, bo ten nawet w jednej setnej nie zagłuszał tego, co działo się w mojej głowie.

– Chloe.

Natychmiast spojrzałam na Scotta, nie kryjąc przerażenia. A ten cholerny spokój na jego twarzy i ciepło bijące z oczu sprawiły, że poczułam się jeszcze gorzej. *Pieprzony wariat*, pisałam w duchu.

– Odpocznij – nakazał, na co tylko przytaknęłam sztywno głową, próbując odwrócić się, aby pokonać parę cholernych stopni w górę i móc zamknąć się w pokoju. Jednak Scott nie skończył mówić: – Louis, bądź przy niej.

Zacisnęłam na moment powieki, słysząc, że nie dane mi będzie uwolnić się od tego kretyna. Obserwowałam, jak mężczyźni mierzyli się spojrzeniami, tocząc niemą walkę. Ostatecznie Louis schylił głowę, na co Scott pokiwał swoją.

– Dam ci drugą szansę. I obym nie musiał tego żałować – dodał.

Chłopak obok mnie przytaknął i nim się zorientowałam, pomógł mi wejść na szczyt schodów, po czym bez słowa odprowadził mnie pod drzwi mojego pokoju. Cisza, która panowała dookoła, była jednocześnie torturą i wybawieniem. Kiedy weszłam do pomieszczenia, przyłożyłam otwartą dłoń do ust, wydając z siebie pisk, który mimo wszystko starałam się powstrzymać. Oddech urywał się niespodziewanie, a płuca domagały się więcej tlenu, który w tym momencie dostarczany był tylko dzięki płytkim wdechom. Serce prawie wyskoczyło mi z piersi, a dudnienie w uszach dezorientowało jeszcze bardziej.

Naprawdę takim sposobem Scott chciał sprawić, że przestanę się bać?

– Pierwszy raz nie jest łatwy – usłyszałam nagle głos od strony drzwi, o które opierał się wpatrzony w okno Louis. – Kolejne razy to już tylko liczby, a nie ludzie. A jeszcze później przestajesz liczyć. O takich osobach po prostu się zapomina.

Patrzyłam na chłopaka, czując, jak łzy wzbierają w moich oczach. Malujący się na jego twarzy wyraz żalu był dla mnie niezrozumiały, jednak w zaistniałej sytuacji nie chciałam nawet próbować go zrozumieć. Punkt widzenia Louisa był straszny, jednak wiedziałam, że w tym chorym świecie taka była prawda. Może i brutalna, ale prawda.

Rozdział 5

CHLOE

Przez kilka kolejnych dni nie opuściłam pokoju. W swoich czterech ścianach czułam się złudnie bezpieczna, jednak takie bezpieczeństwo było lepsze od zejścia po schodach, na których na moich oczach zmarł człowiek. Okrucieństwo świata, w którym się znalazłam, zostało mi zaserwowane w najmniej delikatny z możliwych sposobów. Znałam śmierć, straciłam wiele osób w swoim życiu. Sama prawie podzieliłam ich los, i to przez człowieka, który wczoraj pokazał, jak niewiele znaczyło dla niego ludzkie życie.

Otępiąła siedziałam na parapecie okna, wpatrując się przez nie w ogród, który uspokajał mnie swoją zieloną barwą i szeleszczącymi podczas podmuchów wiatru liśćmi. Tak strasznie chciałam się w nim znaleźć, jednocześnie tak bardzo nie chcąc pokonywać do niego drogi. Bez wątpienia zaprzeczałam sama sobie.

Nie zareagowałam, kiedy nagle usłyszałam dźwięk pukania, a po chwili otwierania drzwi. Potem nastąpiło czyjeś ciche westchnienie i ten ktoś wyszedł. Kiedy tylko drewniana płyta ponownie się zamknęła, zerknęłam kątem oka na stolik przy wejściu. Talerz z niedojedzonym obiadem zniknął. Jak wielkie były ich starania, aby nie dać mi się zagłodzić. Pokręciłam nieznacznie głową, ponownie wbijając wzrok w ogród.

– I jak? – dobiegł mnie głos z korytarza.

– Prawie nic nie zjadła – mruknął Louis, który widocznie kilka sekund temu zabrał talerz.

– Scott się zdenerwuje – warknął Ander po krótkiej chwili.

– Jak jest skurwysynem bez ogłady, to niech się teraz wkurwia. – Louis wydawał się naprawdę zły. – Przywiózł kurewsko delikatną książniczkę i co? Myślał, że po jego przedstawieniu będzie biła mu brawo?

Ciche westchnienie zakłóciło ciszę.

– Przykro mi, stary.

– Przestań – prychnął Louis. – Tak działa ten świat. A Javier zrobił to przeze mnie. Wcześniej kazał mi opowiedzieć sobie o nowej i nie spodobał mu się jej wpływ na Scotta. Nikomu się on, kurwa, nie podoba.

– A teraz ogłosił ją betą – mruknął Ander, jakby była to najgorsza informacja na świecie. – Wiesz, co to oznacza?

– Że mamy grubo przejebane – warknął blondyn.

Po chwili usłyszałam dźwięk oddalających się kroków.

Niespodzianka! Ja również nie byłam zadowolona z tego, jak reagował na mnie Scott. I nie moją winą było, że ten chory skurwiel obrał sobie za punkt honoru trzymanie mnie przy sobie jak jakieś trofeum. Gdyby nie groził bliskiej mi osobie, nawet nie pomyślałabym, żeby się tu znaleźć. Czy według nich byłam tu na wakacjach i super się bawiłam?

Westchnęłam ciężko, uświadamiając sobie, że byłam już naprawdę wykończona, zarówno na zewnątrz, jak i wewnątrz. I to chyba wewnętrznie wykończyłam się szybciej, bo opuchlizna z wiecznie zapłakanych oczu zaczęła schodzić przez brak atakujących ich łez. Nie było już ich i nie było żadnych emocji, które potrafiłyby mi udowodnić, że nadal coś czułam. Jakby tryb zombie

włączył się sam z siebie i nic, dosłownie nic, nie było w stanie mnie z niego wyrwać. Ale tak chyba było lepiej: bez uczuć, bez zaangażowania, bez jakichkolwiek oczekiwań.

Podnosząc się z podłogi, ponownie westchnęłam. Musiałam wyjść. Musiałam znaleźć w sobie tyle siły, aby przetrwać ten cholerny dzień, ten i każdy kolejny. A było to strasznie trudne, patrząc na to, że znajdowałam się z dala od osób, na których mi zależało, w obcym państwie, w jednym domu z Lewisem, w dodatku po widowiskowym morderstwie. I mimo mojej niechęci do tego miejsca i całego towarzystwa było mi już chyba szczerze wszystko jedno... Wszystko jedno, gdzie będę, kogo spotkam, co zobaczę. Bo czy mogło spotkać mnie coś gorszego od tego, co zdarzyło się na tych przeklętych schodach kilka dni temu? Bardzo w to wątpiłam. A teraz, schodząc po nich, nie odczuwałam nic, żadnego przerażenia czy paniki, jakby nic nigdy się tu nie wydarzyło. Chyba naprawdę umarłam wewnętrznie.

– Kogo my tu mamy – usłyszałam lekko zaskoczony głos Conora, kiedy weszłam do kuchni.

Kogo...? Jedną wielką tragedię, pomyślałam; on nie musiał o tym wiedzieć. Bez słowa podeszłam do lady i wyjęłam jabłko ze stojącego na niej koszyka. Chcąc pokroić owoc na kawałki, wzięłam do ręki nóż. W tym czasie do pomieszczenia weszli Ander i Louis w towarzystwie nieznanego mi człowieka. Był zza granicy, o czym świadczyła jego uroda. Chińczyk, Koreańczyk, może Japończyk... Zignorowałam ich, starając się nie odciąć sobie palca. Chciałam tylko zjeść. Nic więcej mnie teraz nie obchodziło.

– Chińczycy się denerwują. – Ander zwrócił się do Conora po hiszpańsku, aby obecny obywatel Chin go nie zrozumiał.

I on zapewne nie zrozumiał, bo nie przejął się słowami, które rozbrzmiały w pomieszczeniu. On nie, mnie jednak coś tknęło.

– Nic dziwnego, jesteście strasznie wkurwiający – odpowiedziałam również po hiszpańsku, co zaskoczyło obecnych, oczywiście wszystkich oprócz Chińczyka.

– Księżniczka ma ukryty talent – zadrwił Louis, a ja na jego słowa przewróciłam oczami. – Czym jeszcze nas zaskoczysz, wasza wysokość?

Mierzyłam wzrokiem człowieka, który naprawdę zachodził mi za skórę. W innym stanie zignorowałabym go, nie chcąc doprowadzać do konfrontacji, ale teraz? Nie miałam nic do stracenia.

– Interesujące, jak często stawiasz mnie na piedestale i sam sytuujesz się w roli poddanego – mruknęłam, nie spuszczając z niego oczu. – To jakiś fetysz? A może po prostu sam nie potrafisz myśleć i wygodnie ci wykonywać cudze rozkazy?

Twarz Louisa „ozdobił” uśmiech, który bardziej przypominał grymas niezadowolenia. Dzielnie trwałam w walce na spojrzenia, czując, że nie przegram. Mogłam tak stać i czekać na jakąkolwiek jego reakcję, nawet jeśli miałyby być sporo opóźniona.

– Nie wiem, co widzi w tobie Scott – zaczął Louis, postanawiając się wreszcie odezwać.

– A ja chyba wiem – mruknął nagle Ander z nieukrywanym, tajemniczym uśmiechem na ustach. – Spójrz na nią. Jest jak Raquel.

Chłopak zmarszczył brwi i spojrzał na Conora, który tylko wzruszył ramionami.

– Ta obsesja na jej punkcie trwa zdecydowanie za długo, aby widział w niej tylko Raquel – stwierdził nagle Conor. – Pamiętacie jego wyjazdy? Jeszcze za czasów, gdy Raquel żyła. Wtedy...

– Morda, Conor – warknął Ander, jakby słowa mężczyzny miały wyjawić skrywaną tajemnicę.

Wpatrzona w trójkę mężczyzn wsłuchiwałam się w ich słowa, mając w głowie jedno pytanie: *Kim, do diabła, była Raquel?* Mimo swojej ciekawości bez słowa wyminęłam towarzystwo

i opuściłam pomieszczenie, nie chcąc spędzać z nimi ani sekundy dłużej. Rozmawiali tak, jakby mnie tam nie było, co sprawiało, że sytuacja stawała się dla mnie naprawdę niekomfortowa.

Wpadłam jednak z deszczu pod rynnę.

Gdy tylko opuściłam budynek, by niezauważona przemknąć do ogrodu, wpadłam na osobę, którą chciałam widzieć jako ostatnią. Mimo wszystko podeszłam do Scotta, kiedy tylko przywołał mnie gestem dłoni.

– Wyszłaś – mruknął zdumiony, jednak z nutą ulgi w głosie.

– Niechętnie – przyznałam, unikając jego wzroku. Potrzebowałam tematu zastępczego, który nie skupiałby się na mnie. – Chińczyk stoi w kuchni jak bałwan, przysłuchując się hiszpańskiej rozmowie twoich znajomych – rzuciłam nagle, wzruszając ramionami.

Lewis westchnął, przykładając rękę do głowy. Potarł swoje czoło, a jego szczęki zacisnęły się, by po chwili się rozluźnić. Spojrzał na mnie, nie kryjąc swojej irytacji.

Temat zastępczy chyba podziałał.

– Cóż, trzeba mieć klasę, aby umieć obchodzić się z interesantami – odpowiedział, krzywiąc się. – Nie wszyscy ją mają.

Ponownie wzruszyłam ramionami i ugryzłam kęs pokrojonego wcześniej na kawałki jabłka. Między nami zapanowała dziwna cisza. Czułam na sobie spojrzenie Lewisa, jednak nie miałam zamiaru go odwzajemniać. Już byłam gotowa, aby odejść, kiedy zatrzymał mnie jego głos:

– Będę miał dla ciebie niespodziankę.

– Publiczne egzekucje mnie nie uszczęśliwiają – wymsknęło mi się, na co mężczyzna uśmiechnął się pod nosem.

– Musiałem to zrobić – stwierdził bez cienia skruchy. – Tutaj wszystko opiera się na dyscyplinie. Jeśli przepuściłbym coś takiego w rodzinie, każdy zacząłby robić, co mu się podoba.

– Ale ja nie jestem rodziną – syknęłam, nie mogąc dalej słuchać tej jego chorej gadki. – Jestem tutaj z przymusu i muszę użerać się z tymi idiotami.

Twarz Scotta natychmiast spoważniała, a potem mężczyzna zrobił kilka kroków w moją stronę. Przyglądał mi się uważnie, więc w końcu znalazłam w sobie odwagę, by spojrzeć mu prosto w oczy.

– Fakt, nie jesteś tylko rodziną. – Pokiwał głową, po czym delikatnie ją przekrzywił. – Jesteś betą, Chloe. To dużo więcej i wystarcza, aby ci idioci chylili przed tobą czoła. Tylko takim sposobem będziesz tu bezpieczna.

– Co to jest... beta? – mruknęłam, rozkładając ręce. Słyszałam to określenie dość często, jednak nikt nigdy nie wyjaśnił mi jego znaczenia.

– Historia panowania naszej rodziny jest bardzo długa – zaczął, nie odrywając ode mnie wzroku. – Kiedyś, jeszcze za czasów mojego pradziadka, niektórzy nazywali nas wściekłymi psami. Mój pradziadek nie miał litości. Bardzo lubił swoje psy... i uwielbiał pokazywać je innym. Głodził je, a później wypuszczał. To dopiero były pokazy. – Scott cały czas obserwował moją reakcję na swoje słowa. – Ludzkie krzyki wypełniały tę rezydencję wyjątkowo często – dodał, a ja dopiero wtedy zrozumiałam, co miał na myśli.

Chryste...

– Odeszliśmy od tych praktyk. Jednak historia rodziny jest jej nieodłączną częścią, dlatego tytuły zostały. – Rozłożył ręce. – Ja jestem alfą, najważniejszym w hierarchii, przywódcą całego tego imperium, które przekazał mi ojciec. Alfa nigdy nie jest bezpieczny, dlatego potrzebne jest zabezpieczenie, tak na wszelki wypadek. Za to ty, kiedy mianowałam cię betą, nie tylko zostałam

drugą, najważniejszą osobą w hierarchii. To oznacza również, że gdyby cokolwiek mi się stało... – zrobił przerwę, dostrzegając na mojej twarzy grymas – ... wszystko stanie się twoje. Bo to ty wówczas zostaniesz alfą, Chloe.

Zmarszczyłam brwi, nie mogąc się powstrzymać. Słowa, które wypowiadał, były tak cholernie irracjonalne.

Bo, że, kurwa, co?!

– To jest naprawdę bardzo zły pomysł – palnęłam. – Nie pomyślałeś, że mogłabym... po prostu cię zabić, rzucić to wszystko w cholerę i wrócić do Nowego Jorku? Wolna od ciebie?

Scott zaśmiał się beztrudnie i pokręcił głową, wbijając intensywne spojrzenie w moje oczy. Naprawdę wydawał się nie przejmować taką możliwością, a przecież tylko jego życie dzieliło mnie od świętego spokoju. Dlaczego więc tak ryzykował?

– Nie jesteś morderczynią, Chloe. – Westchnął, a na jego usta wpłynął delikatny uśmiech. – Można zarzucić ci naprawdę wiele, ale nie to. Pointy i ogrody pełne kwiatów nie pasują do pistoletu i krwi.

Zacisnęłam zęby, słuchając jego słów. Nie wiem, co złościło mnie bardziej: to, że wątpił w moją desperację, czy to, że wymieniał tak pasujące do mnie atrybuty?

– Nienawidzę cię z całego serca i doskonale o tym wiesz. Więc dlaczego ja? – zapytałam, zaczynając się irytować.

To było naprawdę za dużo. Zadając to pytanie, byłam gotowa na każdą jego odpowiedź. Czekałam na jakiegokolwiek mało logiczne wyjaśnienie, które sprawiłyby, że Scott stałby się w moich oczach jeszcze bardziej szalony. Naprawdę myślałam, że mnie nie zaskoczy. Myliłam się.

– Bo tylko ty masz w sobie tyle siły i inteligencji, aby nie dać się zabić.

Rozdział 6

CHLOE

Powoli zaczynałam wątpić, czy ludzkość naprawdę miała jakikolwiek wpływ na swój los, czy brała to, co dostawała, postanawiając się dostosować i nazywać to własnym wyborem. Bo jeśli kiedykolwiek wolna wola istniała, mnie omijała szerokim łukiem. W dzieciństwie kierowała mną mama, starając się wszczepić mi swoją miłość do baletu. Później próbował ojciec, chociaż przez Lorein nie miał nade mną wielkiej władzy i chyba był to okres, w którym wykorzystywałam przysługującą mi ilość wolnej woli. W Nowym Jorku myślałam, że byłam wolna, ale sama zniewoliłam się grą – grą bez żadnych zasad. A później w najgłupszy z możliwych sposobów poznałam człowieka, który w tym momencie trzymał mnie na smyczy.

Nie chciałam. Nie chciałam być częścią tej popapranej rodziny. Nie chciałam, aby ktokolwiek się o mnie troszczył. Nie chciałam, aby Lewis mi ufał. Nie chciałam być beta. Cholera, nie chciałam mieć do czynienia z tym towarzystwem, z Buenos Aires, z Argentyną i najlepiej z całym światem! Newcastle nie było niebem, jednak to wyjazd do Nowego Jorku przysporzył mi najwięcej problemów i takim oto sposobem znalazłam się tu, gdzie jestem. Co z tego, że miałam ze Stanami również przyjemne wspomnienia. Były tylko wspomnieniami, które teraz trzymałam w głębokiej otchłani swojej głowy, nie chcąc rozpamiętywać, co straciłam.

Westchnęłam ciężko, czując, jak wiatr przyprawia mnie o gęsią skórkę. Wstałam z koca, który tutaj przywlekłam, i złapałam za jego materiał, aby zabrać go ze sobą. Chowałam się w ogrodzie od czterech godzin. Cztery godziny pełne ciszy i spokoju. Tylko ja, natura, roślinki i ten przeszywający wiatr, który pojawiał się znikąd i namawiał, abym wróciła do rezydencji. Długo mu odmawiałam, jednak teraz czułam, że byłam na granicy przeziębienia. Dwadzieścia pięć stopni Celsjusza i wiatr jak zimą. Świat naprawdę szlag trafiał i zmierzał ku klimatycznej masakrze.

Kiedy znalazłam się w budynku, do moich uszu dotarły wesole krzyki i śmiechy. Zmarszczyłam brwi, zaskoczona tymi odgłosami. Przez kilka sekund zastanawiałam się, czy naprawdę chciałam sprawdzić, co się dzieje. Po ostatniej „imprezie” zbierałam się aż do dzisiaj. Nie wpłynęła ona na mnie dobrze i na pewno długo doskwierać mi będą jej konsekwencje, więc czy potrzebowałam więcej wrażeń? Nie. Ale za to potrzebowałam przejść przez salon, z którego dochodziły głosy, aby wejść po cholernych schodach na piętro, gdzie znajdował się mój pokój. Przymknęłam powieki, nastawiając się na wszystko. Musiałam po prostu przestać czuć... Nie było to trudne, powoli nabierałam wprawy. Jeden głęboki wdech... Powolny wydech... I już. Zobojętnienie przychodziło mi tak naturalnie, jakbym żyła z nim naprawdę długi czas.

Albo miałam po prostu do tego talent.

Gotowa na każdą rewelację ruszyłam przed siebie, wchodząc w paszczę lwa. Pierwsze spojrzenie, na jakie trafiłam, okazało się należeć do Scotta. Mężczyzna wydawał się naprawdę wyluzowany, a na jego rozluźnionej twarzy znajdował się szeroki uśmiech. Rozwalony w fotelu trzymał w dłoni szklane naczynie, na którego dnie znajdowała się bursztynowa ciecz.

Zadzwońcie na numer alarmowy. Mamy alkoholika. I szantażystę. I mordercę. Pakiet trzy w jednym.

– Chloe! – zawołał, kiedy mnie dostrzegł, przez co kilka osób siedzących do mnie tyłem odwróciło się w kierunku wejścia, w którym stałam.

I nagle odniosłam wrażenie, że chyba już byłam przeziębiona, a gorączka serwowała mi halucynacje. Otworzyłam szerzej oczy, widząc dobrze znaną mi osobę, która w tym momencie siedziała na kanapie, również racząc się alkoholem. Nie wierzyłam w to, co się działo. Nigdy nie spodziewałam się takiego zagrania. Słyszając kilka dni temu o niespodziance, nie sądziłam, że Lewis zaskoczy mnie aż tak bardzo.

Bo oprócz niego, Louisa i Conora w pomieszczeniu znajdował się ktoś jeszcze.

– Federico? – mruknęłam, ściskając koc w pięści i koncentrując swoją uwagę na niespodziewanym gościu. Jego widok mi nie pomógł. Teraz mogłam śmiało stwierdzić, że byli do siebie tak bardzo podobni...

– We własnej osobie – odpowiedział również lekko zaskoczony, kiedy odzyskał kontenans po tym, jak moja nagła obecność zbiła go z tropu.

Gwałtownie przenieśliśmy spojrzenie na Lewisa, który rozsiadł się wygodnie w swoim fotelu, obserwując moją reakcję i upijając łyk whiskey.

– W co ty grasz? – zadałam stanowczo pytanie, zakładając ręce na piersiach.

Coś bardzo mi tu nie pasowało. Bardzo.

– Chloe... – upomniał mnie, jawnie okazując swoje niezadowolenie.

Niezadowolony Scott?! Ale... jakiej innej reakcji ode mnie oczekiwał? Ściągnął tu Fede cholera wie po co i na co, chociaż głównym założeniem wywiezienia mnie z Nowego Jorku było odcięcie mojej osoby od tamtych ludzi.

– To niespodzianka. Nie lubisz ludzi, którzy przewijają się przez ten dom. Chciałem, abyś chociaż na chwilę miała towarzystwo kogoś, kogo lubisz – wytłumaczył.

– Ona nikogo nie lubi – wtrącił Fede, patrząc na mnie z cwaniackim uśmiechem na twarzy.

Federico Cortez i jego dobra mina do złej gry. Wiedziałam, na jakich warunkach funkcjonowała ta gra i jak ważne było, aby przy Lewisie nie została złamana żadna jej zasada.

– Ciężko lubić kogoś, kto otwarcie proponuje seks zajętej dziewczynie – odbiłam piłeczkę, przypominając sobie nasze spotkanie w bractwie. Każdy argument był dobry, dopóki nie pokazywaliśmy, że coś nas łączy. W cztery oczy mogliśmy zachowywać się jak najlepsi znajomi, jednak przy Lewisie, jego humorkach i wyjątkowej zaborczości ryzyko było zbyt wielkie, aby sobie na nie pozwolić.

– Nie przeszkadzało ci to w Livorno. – Mrugnął do mnie, na co przewróciłam oczami. Szybka i mało przyjemna odzywka z jego strony. Historia z pomyłonym pokojem w domu rodzinnym Matteo chyba już nigdy nie miała dać mi spokoju.

– Sam widzisz – zwróciłam się do Lewisa, rozkładając ręce na boki. – Kolejne niespodzianki konsultuj ze mną, bo masz okropne pomysły. A jego – wskazałam na Federica – odeślij na drugi koniec świata, Nowy Jork jest wystarczająco daleko. Niech wraca, skąd przypełznął, i się tu nie pokazuje – rzuciłam, wbijając swoje spojrzenie we Włocha.

Tak bardzo podobni...

– Nie rób scen – usłyszałam zmęczony głos Scotta, na co zaśmiałam się krótko.

– Jeszcze nie zaczęłam – odszczeknęłam, odwracając się w stronę schodów, po czym bez słowa opuściłam towarzystwo, wchodząc na piętro.

Nie mogłam uwierzyć, że sprowadził Federica. Po co? Dlaczego? Oboje doskonale pamiętaliśmy jego niezadowolenie, kiedy jeszcze w Nowym Jorku za czasów naszej dziwnie bliskiej relacji dostrzegł, że się dogadujemy. To od tego momentu, dla wspólnego bezpieczeństwa, postanowiliśmy grać przed Scottem na pokaz. Jednak skoro widział, że nasz kontakt zdecydowanie się pogorszył, skąd wpadł na pomysł, aby sprowadzić tu Włocha?

Gdy znalazłam się w pokoju, przeszłam się kilka razy po pomieszczeniu, starając rozładować nieprzyjemne napięcie, które zaczęłam odczuwać. Dziwny ból w klatce piersiowej nie pozwalał mi swobodnie oddychać. Niespokojna stanęłam przed lustrem, biorąc głęboki i bolesny wdech. W odbiciu widziałam dziewczynę, którą byłam tylko w tym pokoju, za zamkniętymi drzwiami. Wpatrywałam się we łzę, która spłynęła po moim policzku i zatrzymała się na krawędzi twarzy. Starłam ją pośpiesznie, ponownie czując, jak się rozpadam.

Na tym miało to polegać? Scott chciał mnie łamać raz za razem, kiedy tylko znajdę jakikolwiek sposób na funkcjonowanie tutaj? Zobojętnienie było moją ucieczką, więc sprowadził Corteza. A kogo mogłam spodziewać się w przyszłości? I w jakim stanie?

Pokręciłam głową i skierowałam się w stronę łazienki. Chłód, który ogarnął moje ciało, mógł mieć teraz naprawdę wiele źródeł. Już nie wiedziałam, czy był spowodowany nieprzyjemnym wiatrem, który przeszywał mnie w ogrodzie, czy może pochodził z mojego wnętrza. Zrzuciłam z siebie wszystkie ubrania, po czym stanęłam pod prysznicem, pozwalając, aby gorąca woda spływała strumieniami po moim ciele. Przyjemne ciepło rozgrzewało każdy skrawek mojej skóry, jednak nie potrafiło złagodzić tego nieprzyjemnego uczucia chłodu, który znajdował się we mnie.

Po długim prysznicu, spod którego nie miałam najmniejszej ochoty wychodzić, ponownie znalazłam się w swoim pokoju. Na zewnątrz panowała już ciemność, przez co mrok wdarł się również do sypialni, co było naprawdę przyjemne. Bez włączania światła podeszłam do szafy, chcąc zastąpić ręcznik, którym owinięte było moje ciało, wygodną piżamą. W połowie drogi jednak się zatrzymałam, widząc, że ubrania, które wcześniej zostawiłam na podłodze, leżały ułożone na łóżku. Bez sekundy zawahania odwróciłam się w stronę, z której przyszłam, rozglądając się w poszukiwaniu intruza, i w tym momencie ktoś znieścacka przyłożył mi dłoń do ust, przyciskając mnie tym samym do siebie. Niewiele myśląc, zaczęłam się miotać i wyrywać.

– Nie krzycz – usłyszałam głos tuż przy uchu, na co gwałtownie zamarłam.

Osoba za mną powoli odsunęła dłoń od moich ust, a ja, nadal zestresowana i przerażona, korzystając z okazji, ugryzłam ją. Napastnik chyba się tego nie spodziewał, dodatkowo w momencie, kiedy lekko się ode mnie odsunął, runął na podłogę, bo podcięłam mu nogi. *Co ja najlepszego wyprawiam?*, pomyślałam. Ale dotarło to do mnie dopiero po jakimś czasie.

– Tego nauczył cię Matteo czy Scott? – dobiegł mnie zduszony głos, na którego dźwięk pokręciłam głową.

– Ojciec – burknęłam, wzruszając ramionami. – Kazał również kopać w splot słoneczny. Masz szczęście, że ten pomysł nie przyszedł mi jako pierwszy do głowy – dodałam, jednak nie dostałam żadnej odpowiedzi. Zrobiłam kilka kroków w stronę szafy, rzucając po drodze: – Czego chcesz, Federico?

– Teraz to masażu – jęknął. – Kurwa.

– Niczego nie żałuję. – Sapnęłam.

– Nie jestem przecież twoim wrogiem – mruknął, westchnąwszy.

Teraz to ja nie odpowiedziałam. Wiedziałam o tym, doskonale o tym wiedziałam, jednak odpychając od siebie wszystkich, a już szczególnie osobę związaną z Nowym Jorkiem, chroniłam samą siebie.

– Jak się trzymasz?

I padło pytanie, na które totalnie nie byłam gotowa. Chociaż minęły trzy tygodnie, nie potrafiłam o tym myśleć, a co dopiero rozmawiać.

Zacisnęłam zęby, przybierając maskę obojętności, którą tak dobrze znałam. Światło księżycy wpadało do pokoju, oświetlając jego wnętrze, a ja tak bardzo chciałam, aby potrafiło oświetlić

również mrok w mojej duszy.

– Żyję – odpowiedziałam spokojnie, stając przed szafą. Spojrzałam w charakterystyczny dla siebie sposób na Fede, który bezbłędnie odczytał moje spojrzenie i bez słowa odwrócił się tyłem, abym mogła się ubrać.

– Wiedzą, że miałem związek z twoim zniknięciem i że jesteś gdzieś ze Scottem – kontynuował, przerywając ciszę panującą w pokoju. – Stają na głowie, aby cię odnaleźć.

– Przecież nie zaginęłam – odparłam, starając się, aby głos mi nie zdrzął, co było naprawdę trudne. – Po prostu odeszłam.

– Byłaś zmuszona, to różnica. Nigdy nie uwierzę, że znalazłaś się tu z własnej woli.

– Nikt mnie nie zmuszał – jęknęłam, nie mając siły mu tego tłumaczyć. On nadal nie znał prawdziwego powodu mojego zniknięcia. – Sama zadecydowałam. Po prostu postąpiłam słusznie.

– Spojrzałam w lustro, które zawieszono było obok szafy, lecz widząc w nim dziewczynę ze szklanymi oczami, przymknęłam na moment powieki.

– Nie pierdol. – Federico zaśmiał się nerwowo. – Zostawienie Matteo i wybranie Scotta było słuszne? Naćpali cię czymś?

Nie chciałam, aby on wiedział. Jednak ukrywałam prawdę tak długo, że zaczęła mi ona strasznie ciążyć.

– Pozwoliłam nam żyć – wydusiłam z siebie.

Zamknęłam szafę, na co Fede odwrócił się w moją stronę. Księżyc zniknął za chmurami, przez co w pomieszczeniu zapanowała ciemność, sprawiając, że ledwo dostrzegałam twarz Włocha. Wyczułam jednak, że chłopak jest zdezorientowany.

– Gdybym nie zniknęła, Matteo zostałby skazany za morderstwo, którego nie popełnił – kontynuowałam. – Co to za życie? Jego w więzieniu, moje ze świadomością, że mogłam zrobić cokolwiek, aby mu pomóc... – Wzięłam głęboki oddech. – Więc, proszę, nie mów, że ich zostawiłam. Nie mów mi, że zostawiłam Matteo. Nie opuściłam go. Ja go ratowałam.

Rozdział 7

CHLOE

Nieprzespana noc nie była spełnieniem moich marzeń. Nad ranem, w trybie zombie, zeszedłam do kuchni, chcąc zrobić sobie kawę. Czułam, że tylko ona będzie w stanie sprawić, żebym jakkolwiek przeżyła dzisiejszy dzień. Przeszłam próg pomieszczenia i spotkałam się z towarzystwem Federica i Louisa. Westchnęłam i bez słowa podeszłam do blatu, na którym stał ekspres. Idealna cisza przerywana była tylko przez maszynę, która wydawała z siebie przeróżne dźwięki. Przez cały ten czas czułam na sobie dziwne spojrzenie, które należało do osoby znajdującej się w lewym kącie pomieszczenia.

– Niezręcznie... – usłyszałam po chwili głos Louisa, więc odwróciłam się w stronę chłopaka, nie rozumiejąc, do czego nawiązywał.

Fede również patrzył na niego zdezorientowanym wzrokiem. Żadne z nas nie miało pojęcia, o co chodziło blondynowi, który nagle wstał i ruszył w moim kierunku, biorąc po drodze jabłko znajdujące się w koszyku na blacie.

– Coś więcej? – zapytał Federico, kiedy Louis nie miał zamiaru kontynuować.

– Jasne – odparł rozbawiony, po czym ugryzł kęs owocu. – Wczoraj wieczorem wymykałeś się z jej pokoju, a dzisiaj nie odzywacie się do siebie słowem. – Uniósł sugestywnie brwi. – Niezręcznie – powtórzył, a ja, słysząc to po raz kolejny, skupiłam na nim całą swoją uwagę.

– Do czego zmierzasz?

– Doskonale wiemy, że robisz wszystko, co każe ci Scott – rzucił, kiedy znalazł się obok mnie, i kiwnięciem głowy wskazał na Fede stojącego kilka metrów dalej. – Przespałaś się z nim.

Bez wahania wymierzyłam bezczelnemu mężczyźnie policzek, nie dając sobie nawet sekundy na przemyślenie swojego działania. Bezmyślność miała swoją cenę, a Louis wydawał się tylko czekać na podobną sytuację. Zaledwie sekundę później poczułam przeraźliwy ból w okolicach policzka i brzucha. Zgięłam się wpół, jednak silne pociągnięcie za włosy sprawiło, że się wyprostowałam. Louis, z nieukrywaną satysfakcją, stanął przede mną z perfidnym uśmiechem na ustach.

– Nigdy więcej tego nie zrobisz – mruknął, zaciskając pięść przy nasadzie moich włosów tak mocno, że aż wydałam z siebie niekontrolowany syk.

W końcu uścisk Louisa zniknął, a ja odbiłam się od wyspy kuchennej za sobą. Próbując złapać oddech, którego chłopak pozbawił mnie silnym uderzeniem w brzuch, podniosłam głowę i dostrzegłam, jak Federico z furią na twarzy rusza w naszą stronę.

– Nie wtrącaj się – warknęłam do Włocha, zatrzymując go.

Najpierw przejechałam kciukiem po policzku, który piekł, a później po ustach, krzywiąc się z bólu i wyczuwając metaliczny posmak. Spojrzałam na palec, który pokryty był krwią, po czym wsadziłam go sobie do ust. Pod wpływem adrenaliny minęłam Federica, który przyglądał mi się niepewnie, i stanęłam przed Louisem, opartym teraz o ścianę z zadziornym uśmiechem na ustach.

– Chcesz jeszcze? – zadrwił.

To była sprawa między mną a nim, lecz jeśli tak bardzo chciał wciągać w nią Scotta, nie mogłam mu tego zabronić.

– Może i robię większość rzeczy, których chce Scott – przytaknęłam, patrząc mu w oczy. – Ale za to on robi wszystko, czego chcę ja. Od dawna. – Na mojej twarzy pojawił się lekki uśmiech, podczas gdy chłopakowi przede mną mina zrzedła. – Groźny pies lubi zabijać za zbliżenie się do sukki – szepnęłam tak, aby usłyszeć mógł mnie tylko on. – Uważaj na siebie.

Lekko obita zaczęłam kierować się w stronę wyjścia, mrużąc ciche „zostaw” do Federica, który chciał mi pomóc. Nie potrzebowałam pomocy. W tym miejscu oznaczała ona słabość. Kiedy uderzyłam Louisa, po ułamku sekundy spodziewałam się odwetu. Nie przemyślałam swojego ruchu, jednak przyjąłam każde jego konsekwencje, bo tylko w taki sposób mogłam pokazać, że też się tu liczę i nie pozwolę, by mnie poniżano.

Powoli wdrapałam się na szczyt schodów, czując na sobie spojrzenie, które niewątpliwie należało do Federica. Kiedy zamknęłam drzwi swojego pokoju, osunęłam się po nich plecami, co lekko uśmierzyło ból w okolicach brzucha. Louis doskonale wiedział, gdzie celować. Przekląłam pod nosem, kiedy w końcu podjęłam próbę wstania. Skierowałam się do łazienki, żeby doprowadzić swoją twarz do porządku. Krew, która wcześniej ciekła mi z rozciętej wargi, zdążyła już zaschnąć, tworząc strużkę na mojej brodzie. Podniosłam bluzkę do góry, odsłaniając zaczerwieniony brzuch.

– Kurwa – syknęłam do siebie, zastanawiając się, czy to wszystko było tego warte. Jednak gdy tylko przypominałam sobie twarz Louisa, z której zmyłam ten pieprzony uśmiech, utwierdzałam się w przekonaniu, że tak, to było tego warte.

– Co ty sobie myślałaś?! – usłyszałam nagle od strony drzwi; Federico chyba myślał, że drzwi w moim pokoju były tylko dla ozdoby.

Opuściłam bluzkę, nie patrząc w kierunku chłopaka. Zaciśnęłam zęby, po czym przyłożyłam zwilżony ręcznik do ust. Staralam się nie dawać oznak, że cholernie boli mnie ta czynność, jednak grymas na mojej twarzy był silniejszy ode mnie i mówił prawdę. Rzuciłam materiał na blat i wyszłam z łazienki, mijając bez słowa chłopaka, który zaczął się irytować. Podszedł do mnie i złapał boleśnie za szczękę, przez co stanęliśmy zwróceniu ku sobie twarzą w twarz. Przyglądał mi się dokładnie przez dłuższą chwilę, podczas której nieustępliwie patrzyłam mu w oczy.

– Jesteś zbyt uparta, aby doznać wstrząśnienia mózgu – stwierdził, nadal mnie trzymając.

– Albo zbyt wkurwiona – syknęłam, przedłużając walkę na spojrzenia.

– Mógł zrobić ci krzywdę.

– Krzywdzi mnie każdego dnia samą swoją obecnością!

Gdy chłopak to usłyszał, puścił mnie. Potem posłał mi dziwne spojrzenie, jakby czegoś się we mnie doszukiwał.

– Co mu powiedziałaś, że aż tak się wystraszył?

Kącik moich ust powędrował w górę, gdy usłyszałam ostatnie słowo. Osiągnęłam swój cel.

– Prawdę – rzuciłam, zerkając na Federica z dziwną radością. – Samą prawdę.

Kiedy wieczorem Scott wrócił ze spotkania, robiłam wszystko, aby go unikać. Nie uśmiechało mi się paradować przed nim ze spuchniętą twarzą i rozciętą wargą, co jasno wskazywałoby na to, że pojawił się swojego rodzaju problem. Nie chciałam słuchać jego wygrażania i pytań, które wymagałyby ujawnienia, jak naprawdę było między mną a Federikiem. Kiedy jednak nasze drogi skrzyżowały się tuż przy schodach, mężczyzna musiał wyczuć, że coś jest nie tak. Minęłam go, odwracając od niego głowę i bez zwłoki zaczęłam pokonywać stopnie, słysząc za sobą wołanie mojego imienia, co spotkało się z brakiem mojej reakcji. I gdy tylko przekroczyłam próg swojego pokoju, gotowa zamknąć za sobą drzwi, czyjaś ręka skutecznie mi to uniemożliwiła. Z wielkim

wysiłkiem próbowałam dopchnąć płytę do końca, jednak osoba po jej drugiej stronie była silniejsza.

– Wołałam cię – usłyszałam upomnienie, kiedy odpuściłam i odeszłam kilka kroków od drzwi, odwracając się tym samym tyłem do Scotta. – Co się z tobą, kurwa, dzieje?

Uśmiechnęłam się krzywo, zdając sobie sprawę, że nie miałam szans. Może i mój plan unikania Lewisa był świetny, jednak wykonanie go okazało się trudniejsze, niż przypuszczałam. Bez słowa odwróciłam się na pięcie, stając oko w oko z mężczyzną. Obserwowałam, jak na jego twarzy zaczęła pojawiać się konsternacja, która za sekundę przerodziła się w złość. Podszedł bliżej, łapiąc ostrożnie za moją żuchwę i dokładnie przyglądając się lewemu policzkowi. Sztuczne światło w pokoju oświetlało całą masakrę, którą wyrządził mi Louis.

– Kto? – zadał pytanie śmiertelnie poważnym głosem, wymuszając na mnie, abym na niego spojrzała.

Nie wydałam z siebie jednak żadnego dźwięku. Jeśli powiedziałabym cokolwiek, cała prawda wyszłaby na jaw, a Scott, w szale, który dosyć często miewał, mógłby odesłać Federica do Nowego Jorku. W czarnym worku.

Jednym ruchem strąciłam rękę Lewisa, ruszając w stronę łazienki. Ale mężczyzna nie zamierzał odpuścić. Objął mnie w pasie, po czym podniósł i ponownie postawił przed sobą. Zabolało jak diabli. Grymas na mojej twarzy musiał być wyraźnie dostrzegalny, ponieważ czarnowłosa zmarszczył brwi i łącząc wątki, uniósł lekko moją koszulkę, a potem gwałtownie ją opuścił i oddalił się ode mnie o kilka kroków. Przymknęłam powieki ze świadomością, że mój brzuch zdobił niemałej wielkości siniak.

A on już wiedział.

– Kto? – powtórzył i stanął ponownie przede mną. Jego oczy ukazywały tylko mrok.

– Czy to ważne? – Sapnęłam.

– Chryste, Chloe! Jesteś nietykalna – wyrzucił z siebie rozzłoszczony. – Jesteś beta.

Parsknęłam pod nosem.

– Co nic tu nie znaczy – odpowiedziałam, kręcąc głową. – Liczy się siła, a nie stanowisko. – Patrzałam mu uparcie w oczy, w których nadal szalały niepokromione emocje. – Nie pokażę, że jestem słaba, skarżąc się i szukając u ciebie pomocy.

Zapanowała cisza. Lewis nie spuszczał ze mnie wzroku nawet na sekundę, a ja wytrwale znosiłam jego spojrzenie, nie mając zamiaru się pod nim ugiąć. Już raz mnie złamał. Nie zamierzałam dać mu tej satysfakcji po raz drugi.

– Nie tego dla ciebie chciałem, przywożąc cię tu. – Sapnął, przeczesując jedną ręką włosy, a drugą wskazując na mnie. – Miałaś być zdrowa, bezpieczna i...

– Miałam być już martwa – przerwałam mu.

Przypomnienie tego, czego chciał dla mnie w Londynie, sprawiło, że po moich plecach przeszedł nieprzyjemny dreszcz. Troska Lewisa i sposób jej okazywania przeczyły wszelkiej logice, jednak nie można było wymagać, aby jego popieprzony umysł myślał z sensem.

– Spokojnie – dodałam, czując, że to koniec tej konfrontacji, którą chyba wygrałam, bo Scott nie odezwał się więcej ani słowem na moje zarzuty. – To, czego nie spieprzyłeś w moim życiu ty, spieprzę sama.

Od zawsze wiedziałam, że jeśli chciałam robić coś naprawdę dobrze, potrzebowałam osoby, która mi to pokaże. Samoukiem mógł być każdy, jednak szło za tym ryzyko niepoprawnych przyzwyczajęń, które będą mogły zniszczyć wszystko, a ja od zawsze wymagałam od siebie

perfekcji. W tym momencie nie było inaczej, chodziło bowiem o moje zdrowie, a może nawet życie.

– Scott mnie zabije, jeśli dowie się, że każdego dnia spuszcza ci lanie – odezwał się Federico, nie wyglądając na zadowolonego.

Uśmiechnęłam się lekko, uchylając się przed ciosem, który wyprowadził w moją stronę. Czy Federico chciał zrobić mi krzywdę? Oczywiście, że nie. On nie, ale nigdy nie byłam pewna, czy ktoś inny nie chciałby spróbować swojego szczęścia w starciu ze mną. Jeśli chciałam mieć jakiegokolwiek szanse, musiałam znać chociaż podstawy samoobrony. W innym wypadku każdy mógłby rozłożyć mnie na łopatki w ułamku sekundy tak samo jak Louis.

– On przecież wie. – Wzruszyłam ramionami, przez co na twarzy chłopaka pojawiło się niezrozumienie. A myślałam, że to oczywiste. – Nie udałoby mi się przecież unikać go tak, aby nie widział siniaków – wyjaśniłam. – Chciał, abym się tu odnalazła, dlatego nie może zabronić mi niczego, co sprawi, że będzie mi lepiej. Zapewne też rozumie, że muszę się bronić. Mam pozycję, ale co mi po niej, kiedy nikt nie traktuje mnie poważnie.

– Pozycję? – Fede się zaśmiał. – Jaką pozycję? – mruknął, cofając się o krok i tym samym unikając spotkania z moją nogą.

Mój oddech stawał się coraz cięższy. Oprócz tego, że ćwiczyliśmy, to od dłuższego czasu również rozmawialiśmy. Potrafiłam znieść naprawdę duży wysiłek fizyczny, jednak jak każdy miałam swoje granice.

– Bety. – Sapnęłam, wyprowadzając cios, przez co moja dłoń niespodziewanie spotkała się z twarzą blondyna. Zaciśnęłam pięść, po czym ją rozluźniłam, czując rozchodzący się w niej ból. – Kurwa, Federico... – jęknęłam, a potem zmarszczyłam brwi zaskoczona brakiem jego obrony. Naprawdę byłam przekonana, że był w tym lepszy ode mnie. Coś jednak poszło nie tak.

Fede dotknął swojego nosa, krzywiąc się lekko.

– Popierdoliło cię? – warknął.

– To ty się nie broniłeś – wytłumaczyłam, nie czując się winna. Nie tak to miało wyglądać i oboje o tym wiedzieliśmy.

– To wiem. Chodzi o betę – mruknął, zdejmując koszulkę i tamując nią krwotok ze swojego nosa. – Nie chcesz tego.

Zmrużyłam oczy zdumiona jego tonem, którego się nie spodziewałam. Brzmiał, jakby naprawdę był na mnie zły.

– Owszem, nie chcę – odpowiedziałam po krótkiej chwili. – Jednak mam dosyć bycia traktowaną jak przybłęda, którą można pomiatać na każdym kroku. Sam widziałeś, co zrobił Louis. Nie bał się konsekwencji, bo wiedział, że ich nie będzie. – Usiadłam na podłodze, oddychając głęboko. – Jestem betą, tak powiedział Scott. Teraz tylko muszę udowodnić, że jestem wystarczająco... wystarczająca, aby ktokolwiek zaczął traktować mnie poważnie.

Włoch patrzył na mnie skonsternowany, a w jego oczach czaiło się coś niebezpiecznego. I mimo że jedynym światłem w piwnicznym pomieszczeniu była słabo świecąca żarówka, dostrzegałam na jego twarzy całą paletę emocji, które jednogłośnie krzyczały, że chyba mnie popieprzyło.

– Mam wrażenie, że nie wiesz, w co wchodzisz. – Westchnął, przecierając twarz koszulką. – Powiedział ci o polowaniu? – zapytał cicho, na co zmarszczyłam brwi. Fede pokiwał głową z grymasem na twarzy, zarzucając koszulkę na ramię. – Oczywiście, że, kurwa, nie wiesz. Nie powiedział ci, żebyś nie zaczęła wariować. – Posłał mi ostatnie spojrzenie, w którym wręcz palił się ostry sprzeciw. – Jeśli do tego to zmierza, więcej nie pomogę.

Zdezorientowana obserwowałam, jak chłopak znika na szczycie schodów. Rozłożyłam ręce, nie rozumiejąc niczego z tego, co właśnie się wydarzyło: chęci Federica zmieniły się w ciągu sekundy. Przechesałam dłonią włosy, zastanawiając się, co dalej. Straciłam jedyną osobę, która mogła mi jakkolwiek pomóc. Od siedmiu dni liczyłam tylko na niego i wierzyłam, że jego wsparcie coś mi da. Owszem, dało... jeszcze większy mętlik w głowie.

– Już spisał cię na straty? – usłyszałam drwiący głos, na którego dźwięk zacisnęłam wargi ze złością.

Jakim sposobem on pojawiał się zawsze w najmniej odpowiednim momencie?

– Chciałbyś – mruknęłam, odwracając się w stronę Louisa. – Czego chcesz? – zapytałam spokojnie, bo nie miałam nastroju na kłótnię, a już w szczególności z nim.

Niespodziewany gość zaśmiał się krótko, po czym zaczął pokonywać schody prowadzące w dół.

– Wyluzuj, księżniczko. – Zeskoczył z trzech ostatnich stopni i po chwili znalazł się tuż obok mnie. – Powiedzmy, że rewanżu.

– Rewanżu? – Zaśmiałam się, patrząc na Louisa. – Po co?

– Jaka to satysfakcja pokonać dziewczynę, która nie potrafi walczyć – nawiązał do sytuacji w kuchni.

– Jaka to satysfakcja ogólnie pokonać dziewczynę – sprostowałam, po czym uniosłam brew. – Kretyn i do tego damski bokser.

Louis teatralnie przyłożył dłoń do serca, udając, że go to ruszyło. Cały czas wpatrywał się w moją twarz z nikłym uśmiechem na ustach, którego nie potrafiłam rozgryźć.

– Jak się tym przejmę, to dam ci znać, wtedy wrócimy do tematu. Czyli za jakieś... nigdy – rzucił, nie kryjąc rozbawienia. Widząc jednak, że nie bawiłam się tak samo dobrze jak on, westchnął ciężko i rozłożył ręce. – Federico dużo ci pokazał. Teraz ty pokaż, czy to wszystko jest warte zachodu.

Patrzyłam z nienawiścią na chłopaka, który ewidentnie mnie prowokował. Najgorsze w tym wszystkim było to, że nie potrafiłam odpuścić; taki już miałam charakter. A zwłaszcza nie po tym, jak została we mnie tylko złość, która motywowana była strachem.

– Żebyś się nie zdziwił – warknęłam, przystając na jego propozycję.

Wiedziałam, że nie miałam z nim szans. I tak jak przewidywałam, po krótkiej chwili leżałam na podłodze, unieruchomiona przez chłopaka. Nienawistnym spojrzeniem wpatrywałam się w blondyna, który spokojnie siedział na mnie i wyglądał, jakby dla niego była to dopiero rozgrzewka. Czułam, jak jego kolano naciska na moją krtań, czym utrudniało mi oddychanie.

– Nie zdziwiłem się – przyznał zadowolony, po czym wstał i skierował się w stronę wyjścia. – Fajnie było cię pokonać.

– Czekaj. – Sapnęłam, łapiąc powietrze, a Louis, będąc już w połowie schodów, obserwował, jak powoli wstaję. – Potrzebuję cię – odparłam.

Zabrzmiało to źle. Bardzo źle i desperacko. I na domiar złego: dwuznacznie.

– Mam wpaść wieczorem? – Podniósł brew, robiąc głupią minę, na której widok przewróciłam oczami.

– Nigdy w życiu. Potrzebuję cię tutaj. Ktoś musi mnie nauczyć... tego. – Wskazałam na podłogę, na której chwilę wcześniej rozgrywała się nierówna walka. Co dziwne, było tak, jak powiedziałam: potrzebowałam jego pomocy. Federico zrezygnował, więc nie miałam wielu możliwości.

Louis zmrużył oczy, patrząc to na mnie, to na podłogę.

– Miałbym spędzać z tobą więcej czasu niż to konieczne? – zapytał najwyraźniej niezadowolony, na co bez entuzjazmu pokiwałam lekko głową.

– Oberwę od ciebie niejedną raz, jeśli ci to pomoże zdecydować. – Wzruszyłam ramionami, szukając jakiegokolwiek argumentu, który by mi pomógł. – Proszę.

Na jego twarzy pojawił się ledwo dostrzegalny uśmiech, jakby blondyn usłyszał coś zabawnego. W końcu Louis westchnął głośno i ruszył schodami na górę.

– Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem – rzucił, zanim całkiem zniknął mi z oczu. – Jutro przed śniadaniem, księżniczko.

Rozdział 8

CHLOE

Chyba nigdy wcześniej nie byłam tak poobijana, wliczając w to nawet wypadek limuzyny w Londynie. Louis nie wiedział, co to taryfa ulgowa, o czym przekonałam się na własnej skórze, i to kilkakrotnie. Wszystko miało jednak swoją cenę, a fakt, że po sytuacji w kuchni mężczyzna zyskiwał do mnie coraz większy szacunek, cieszył mnie niezmiernie.

Bez pośpiechu zesłam schodami na parter. Minęłam w holu Scotta, który krzychał coś do telefonu w nieznanym mi języku. Wysłam z budynku, marszcząc brwi i zastanawiając się, co tak bardzo wzburzyło Lewisa. Co albo kto.

Ewidentnie coś w idealnym życiu Scotta się popsło, bo pewnego dnia bez żadnego ostrzeżenia wpadł do mojego pokoju z bronią w ręce. Nie, nie mierzył do mnie. Z przerażającą powagą wręczył mi ją, stwierdzając, że wprowadza nowe środki ostrożności. Nie powiedział dokładnie, o co chodzi, jednak wydawał się tym naprawdę przejęty. Najwyraźniej wisiło nad nim większe niebezpieczeństwo niż zazwyczaj, a skoro nad nim, to i nad nami. Do dziś nie potrafiłam zrozumieć jego toku myślenia... W końcu wręczył mi pistolet, pierdolony pistolet, którym w ułamku sekundy mogłabym go zabić, jednak on wydawał się tym wcale nie przejmować. Naprawdę wierzył, że nie byłam morderczynią, czy miał asa w rękawie? Tego nie wiedziałam.

Na zewnątrz mój spokój nie trwał jednak długo. Ledwo zdążyłam usiąść na krześle, w altanie, w której rozgrywały się wszystkie pijackie wieczory tej bandy, kiedy niespodziewanie dobiegł mnie głos Conora:

– Lewis chce cię widzieć. Natychmiast.

Spojrzałam zaniepokojona na mężczyznę, który tylko kiwnął głową w kierunku budynku. Westchnęłam ciężko i ruszyłam w stronę gabinetu Scotta, słysząc za sobą kroki Conora. Gdy tylko weszłam do środka, Lewis podniósł na mnie wzrok znad stosu papierów, po czym lekko się uśmiechnął i wysunął kilka kartek przed siebie.

– Usiądź. Zaraz zaczniemy – mruknął, ponownie wbijając oczy w dokumenty.

Bez słowa usiadłam obok niego i również zwróciłam uwagę na stos kartek. Wodziłam po nich wzrokiem do czasu, aż usłyszałam dźwięk dochodzący od strony wejścia. Wtedy na chwilę zerknęłam w kierunku drzwi, przez które przeszli Federico, Ander, Conor i Louis, po czym bez zwłoki powróciłam do świdrowania spojrzeniem dokumentów. Zignorowałam nawet mówiącego coś do mężczyzn Scotta.

Zapiski, jak się okazało, były hasłami, chyba ulicami, dziwnymi rysunkami oraz liczbami. Kiedy uświadomiłam sobie, że na jeden ze szkiców patrzę pod złym kątem, przechyliłam głowę. Zmrużyłam oczy, dostrzegając budynek zaprojektowany w stylu neoklasycyzyzm, z okazałą kopułą pośrodku całej budowli. Wyglądał znajomo, a w sprawach sztuki, nawet architektonicznej, rzadko kiedy się myliłam. Im dłużej wpatrywałam się w kartki, tym bardziej wszystko zaczynało do siebie pasować: budynek, ulica, liczby jako kod pocztowy i jedno nazwisko, które odczytałam wśród płątaniny różnych słów.

– To senator – szepnęłam, podnosząc głowę i patrząc na Lewisa. – I Kapitol w Waszyngtonie.

Scott spojrzał na mnie zaskoczony, nawet nie kryjąc swojej reakcji. Zaciśnął usta w wąską linię i odchrząknął, przytakując. Nagle po moich plecach przebiegł zimny dreszcz. Otworzyłam szerzej

oczy, nie spuszczać Lewisa z oczu.

– Cholera, to senator. Nawet nie mów... – ucięłam, kiedy mężczyzna odwrócił głowę, jakby nie chciał się do tego przede mną przyznać. – Czy ty masz jakieś granice?

– Wiesz, dlaczego rodziny takie jak moja potrafią utrzymać się przy władzy przez wiele pokoleń? – zadał mi pytanie, którego się nie spodziewałam. Kiedy nie doczekał się odpowiedzi, kontynuował: – Bo usuwamy ludzi, którzy zagrażają naszym interesom. Senator Stanford od ponad roku wspiera brazylijską firmę farmaceutyczną.

– To takie straszne, że ktoś tworzy leki, które pomagają ludziom? – Prychnęłam.

– Które zabijają ludzi – poprawił mnie. – Rodziny Carvalho i Fiorello działają na czarnym rynku, testując leki na ludziach.

Otworzyłam szerzej oczy, zaskoczona nie tylko informacjami, które usłyszałam, ale także obojętnym tonem Lewisa. Nie żałowałam tych osób, interes musiał mieć więc gdzieś indziej.

– A ty co, instytucja charytatywna? Odezwała się w tobie chęć naprawy świata i ratowania ludzkości? – zadrwiłam, chociaż wiedziałam, że nie o to chodziło.

Scott zaśmiał się pod nosem i pokręcił głową.

– Powiedzmy, że to sprawa osobista – mruknął, wpatrując się w dokumenty. – Stanford zlecił zabójstwo mojego ojca.

Oparłam się o kanapę, czując, że dostaję za dużo trudnych do przetworzenia informacji. Głowa zaczynała mnie boleć, a mięśnie karku nieprzyjemnie się spięły. Ciało reagowało, zanim zdążyła zareagować psychika.

Kurwa, ja pierdolę, mać!

– I przez niego moja matka popełniła samobójstwo – dodał.

Wystarczy. Koniec. Stop!

Nie miałam siły na więcej takich rewelacji. Sunęłam wzrokiem po twarzach osób znajdujących się w pomieszczeniu, które z kamiennymi minami unikały kontaktu, uparcie wpatrując się w notatki na stoliku.

– To zemsta, Chloe – wyjaśnił Scott, opierając się dłońmi o blat. – Kto pierwszy, ten lepszy. Pamiętasz?

Pamiętałam. Pamiętałam doskonale naszą rozmowę, kiedy niespodziewanie zgarnął mnie z ulicy w Nowym Jorku i zamknął ze sobą w miejscu, gdzie nie miałam szans na ucieczkę.

– Zemsta nie musi oznaczać morderstwa – mruknęłam w końcu, nie odpuszczając. – Jego śmierć nie zwróci ci rodziny.

– Nie oczekuję tego – prychnął. – Nie oczekuję niczego. Czasami nie pozostaje nic innego, jak tylko wysłać wiadomość w jedynym uniwersalnym języku. *Sangre por sangre.*

Przymknęłam powieki, słysząc ostatnie zdanie, które wypowiedział. *Krew za krew*, szepnęłam do siebie w myślach.

– To nie jest rozwiązanie.

– To moje prawo! – huknął wyprowadzony z równowagi Scott. – Mam do tego pieprzone prawo i nikt mnie nie powstrzyma. – Obdarzył mnie surowym spojrzeniem, który nie uznawał sprzeciwu. – Podważ moje zdanie jeszcze raz...

– A mnie też zabijesz? – wtrąciłam, wstając, na co Scott zacisnął zęby, nie odpowiadając mi ani nie odwracając ode mnie głowy. – Już to przerabialiśmy – szepnęłam, uśmiechając się krzywo. – Już próbowałeś, a ja nadal żyję. – Rozłożyłam ręce i po chwili bez słowa skierowałam się do wyjścia. Zatrzymałam się dopiero w progu, po czym zwróciłam w kierunku Lewisa, który

świdrował mnie wzrokiem. – Jeszcze będziesz żałował, że mnie nie zabiłeś, kiedy miałaś okazję. – Powiedziawszy to, bez zwłoki wyszłam na korytarz prowadzący w stronę schodów.

Kiedy tylko dotarłam do swojego pokoju, trzasnęłam drzwiami i usiadłam na łóżku, biorąc kilka głębokich oddechów. Nie zdążyłam jednak zrobić nic więcej, bo do pomieszczenia bez pukania wpadł wyraźnie przejęty Federico.

– Mamy mało czasu – rzucił. – Nie możesz zostać alfą i nie możesz być betą. Cholera, Chloe, ty naprawdę nie masz pojęcia, w co się wplątujesz.

Spojrzałam zaskoczona na chłopaka, marszcząc brwi. Usłyszałam dzisiaj wiele rewelacji. Czy chciałam słuchać więcej?

– To mnie oświeć.

Nie chciałam, ale musiałam.

– Zacznijmy od tego – kontynuowałam – czym jest polowanie.

Fede odwrócił wzrok, a przez jego twarz przebiegł grymas, który nie zwiastował niczego dobrego.

– Zabiją ich wszystkich – odezwał się po chwili, w końcu patrząc mi prosto w oczy. – Zabiją wszystkich, na których ci zależy.

– Co? – palnęłam, jednocześnie czując, że nie mogłam złapać tchu.

– Alfa musi być bezwzględny. W rodzinach takich jak ta dzieci od małego są wychowywane w takim przeświadczeniu, dlatego kiedy te dzieciaki już dorosną i dochodzi do przejęcia władzy, nie mają skrupułów nawet wobec rodziny. – Federico zaciął się i zaklął pod nosem. – Conor mi mówił, co wydarzyło się na przyjęciu powitalnym. Javier był wujem Scotta.

Wstrzymałam powietrze, jakbym nagle przestała potrafić oddychać. On nawet się nie zawahał... Lewis z taką łatwością podjął decyzję o zabiciu własnego wuja, że na samo wspomnienie tej sytuacji mój żołądek wykonał fikołka.

– Osoby spoza rodziny mianowane betą nie mają takiego podejścia – kontynuował. – Kiedy zostaną alfą, nie może istnieć nikt, kogo wróg mógłby wykorzystać przeciwko nim. Kiedy umrą wszyscy, na których ci zależy, będziesz bezwarunkowo mogła skupić się na nowej rodzinie. Chcesz takiej rodziny?

Otworzyłam szerzej oczy, słuchając słów blondyna. Chciałam Matteo i córki, którą straciłam. Nie mogłam jednak mieć ani jednego, ani drugiego. Ale wiedziałam, że na pewno nie chciałam mieć rodziny składającej się z morderców, którzy bez wahania zabiliby ludzi, na których mi zależy.

– Kto dokładnie miałby...? – zaczęłam, ale nie dokończyłam. To słowo nie przeszłoby mi przez gardło.

– Wszyscy: rodzina, przyjaciele... i każdy, kto w jakimkolwiek stopniu mógłby być dla ciebie ważny. – Spojrzał na mnie z bólem w oczach. – Matteo również. W teorii nie liczy się małżonek, bo ktoś musi zapewnić przedłużenie rodu, ale do tej bazy raczej nie dotarliście.

Spojrzałam na pierścionek na swoim palcu, odczuwając chłód metalu mocniej niż zawsze. *Matteo...*, pomyślałam, lecz zaraz w mojej głowie pojawiła się pustka. Byłam tak zajęta nienawidzeniem Scotta i próbą przeżycia tutaj bez rozsypania się, że na moment zapomniałam, z jakiego powodu to robię. Poczułam, jak w moich oczach wzbierają łzy. Spojrzałam za okno, nie chcąc, aby blondyn dostrzegł, jak zareagowałam na jego słowa. Jedno imię, którego nie słyszałam od tak długiego czasu...

– Mowy nie ma, że na to pójdę – szepnęłam, przenosząc wzrok na Federica.

– Nie będziesz miała wyboru. Tylko alfa może odwołać betę, a wiemy, że Lewis nigdy tego nie zrobi.

– Zabezpieczył się – odparłam cicho, uświadamiając sobie jego idealny plan.

Federico spojrzał na mnie zdezorientowany.

– Za życia może trzymać mnie z dala od Matta – uściśliłam. – Znalazł też sposób, aby robić to po swojej śmierci.

– Nie chcę wyjść na pesymistę, ale... – Fede nie dokończył. Nie musiał, bo wiedziałam, co chciał powiedzieć, i zdawałam sobie sprawę z beznadziejności sytuacji i że nie było z niej korzystnego wyjścia.

W pomieszczeniu zaległa cisza. W przeciwieństwie do tego, co działo się w mojej głowie; tam panował chaos, który nie pozwalał mi racjonalnie myśleć.

– Wiesz, jak powstał świat? – zapytałam bez zastanowienia, dezorientując tym Włocha. – Nastąpił Wielki Wybuch. Chyba przyszedł czas, aby stworzyć nowy świat i złamać przy tym wszystkie zasady.

Rozdział 9

MATTEO

Siedziałem na kolejnym nudnym wykładzie, zastanawiając się, kiedy się skończy. Po zajęciach na uczelni czekało mnie spotkanie z przedstawicielem jednej z wytwórni, która zaproponowała mi kontrakt. Od dłuższego czasu moja przyszłość była ostatnią sprawą, o której miałem siłę myśleć. Nie potrafiłem odnaleźć się nawet w teraźniejszości, dlatego kolejne lata były dla mnie czymś, czego nie potrafiłem sobie wyobrazić. Dodatkowo, nawet jeśli musiałem podjąć jakąś decyzję, nie miałem najmniejszej ochoty wybierać akurat tej wytwórni, jednak nie mogłem jej ot tak odrzucić.

– Umieram – usłyszałem szept siedzącego obok mnie Zacka.

Historia sztuki była największą podłością ze strony władz uczelni, bo kto chciałby się jej uczyć? Ogólna historia sztuki, miliony ilustracji przedstawiających szkice, rzeźby, malunki i inne cuda, którymi zachwycał się profesor, na mnie nie robiły żadnego wrażenia. Chyba po prostu przestałem potrafić dostrzegać piękno.

Kiedy zajęcia się skończyły, wszyscy z ulgą wyszliśmy z sali. Rozprostowałem plecy, czując, jak bardzo byłem spięty. Spojrzałem na towarzystwo, które podzielało mój stan – młodzi, zdrowi ludzie pokonani przez cztery godziny gadania o pięknie świata.

– Muszę się napić – mruknął Ben, pocierając oczy. Rzucił nam wyczekujące spojrzenie, licząc, że się dołączymy. – Jest piątek.

– Mam spotkanie – westchnąłem, żałując, że wypadło akurat dzisiaj.

– Będziemy w bractwie. Zaopatrzę cię – odezwał się Logan, na co przytaknąłem.

Bez słowa ruszyłem korytarzem w stronę wyjścia, chcąc mieć rozmowę z wytwórnią już za sobą. Czułem, że sam sobie szkodzę, jednak dziwne otępienie sprawiało, że nie zwracałem na to uwagi. Studiowałem sztukę w Silver, aby mieć szansę zaistnieć. Było to przecież cholerne Silver, więc kończąc je, teoretycznie, mogłem wszystko. Ta jedna nazwa na dyplomie miała otworzyć mi każde drzwi. Problem polegał na tym, że nie chciałem otwierać żadnych z nich. Moją głowę przez cały czas zajmował całkiem inny temat.

Miesiąc. Minął miesiąc. Nie miałem nawet pewności, czy nadal żyje. Nie potrafiłem jej znaleźć, jakby rozplynęła się w powietrzu. Nawet Coleman nie miał pojęcia, jak interpretować nieobecność Rivery. Nie skontaktowała się z nim przed swoim zniknięciem. Nic nie powiedziała. Nie próbowała jakkolwiek zapewnić sobie powrotu. Mogło oznaczać to tylko jedno: nie planowała wrócić.

Gdy znalazłem się w lobby, spotkała mnie niemiła niespodzianka. Spojrzałem na Federica, zastanawiając się, jak zareagować na jego obecność. Nie widziałem go od dwóch tygodni. O niego zapytałem też Colemana, który twierdził, że Fede musiał być przy matce, bo ta trafiła do szpitala. Najlepsze w tym wszystkim było to, że ciotka Camilla czuła się świetnie, spędzając już drugi miesiąc na Hawajach.

– Musimy pogadać – stwierdził od razu, na co prychnąłem.

– Chciałem rozmawiać z tobą dwa tygodnie temu. Wyjechałeś. – Wyminałem go, przechodząc przez bramę i wychodząc na głośną ulicę Nowego Jorku.

Wróciłem do swoich przemyśleń, od razu stwierdzając, że gdyby nie żyła, Lewis zrobiłby wszystko, abym się o tym dowiedział. Nie przepuściłby takiej okazji, aby nas wszystkich zranić. Aby zranić mnie. Była to zarówno dobra, jak i zła strona tej sytuacji. Chciałem dowiedzieć się, co

się z nią działo. Miałem więcej pytań niż odpowiedzi, przez co czułem, jakbym został zawieszony w próżni.

Nie miałem wpływu na nic. Dosłownie na nic.

Spotkanie minęło wyjątkowo szybko. Możliwe, że stało się tak za sprawą mojego zachowania, które – przyznaję – nie należało do najgrzeczniejszych. Od jakiegoś czasu nie byłem miły dla nikogo, bo świat nie był miły dla mnie. A kiedy był, zaczynał się walić. Powiedziała: „Tak”, a później zniknęła. To było niesprawiedliwe.

W drodze powrotnej do akademika odpaliłem papierosa. Pogoda nawet dopisywała, a koniec kwietnia zaszczycił nas słońcem, chociaż zapowiadano w tym miesiącu opady deszczu. Spojrzałem na telefon, kiedy poczułem wibracje. Połączenie przychodzące od Federica sprawiło, że zmarszczyłem nos. Odrzuciłem je. I tak po raz drugi, i trzeci, i czwarty. Nie miałem pojęcia, po co Federico tak się do mnie dobijał, jednak nie miało to znaczenia. Nie chciałem wiedzieć. Pieprzony zdrajca wolał trzymać stronę Scotta zamiast rodziny. A słowa: „Zabrał Chloe, ale naprawdę nie wiem dokąd”, które usłyszałem od niego po jej zniknięciu, nie wydały mi się ani trochę szczere.

Kiedy dotarłem do bractwa, Ben już rozkręcał zabawę, siedząc w samych spodniach na kanapie. Spojrzałem na niego z pytaniem wymalowanym na twarzy, jednak nie doczekałem się odpowiedzi. Nasza „normalność” odbiegała od „normalnej normalności”, ale zdążyliśmy się już do tego faktu przyzwyczaić.

– Matteo Cortez, gwiazda Orph Music! – zawołał, kiedy mnie zauważył.

– Mowy nie ma. – Zaśmiałem się krótko, zajmując miejsce obok przyjaciół i starając się odnaleźć w rozmowie.

– Majowe Tulipany już niedługo. Myślałam, że gdy do nich dojdzie, będę zachwycona, a kiedy są na horyzoncie, nie mam ochoty brać w nich udziału – rzuciła Vivien.

Tulipany?, pomyślałem, marszcząc brwi.

– Ty chyba nie nadążasz, Matt – rzuciła Vee, dostrzegłszy moją reakcję.

Spojrzałem na dziewczynę, która wpatrywała się we mnie znudzona. Wzruszyłem ramionami, nie będąc zaskoczony jej pretensjonalnym tonem.

Nie byłem w stanie pojąć, jak bardzo ludzie potrafią się od siebie oddalić, dopóki nie zniknęła Chloe. A co do mojej relacji z Vivien... Nie wiem, czego dziewczyna ode mnie oczekiwała. Zrobiłem wszystko, co było w mojej mocy, mimo to przez cały czas czułem, jakby miała do mnie żal, że zrobiłem za mało. Prawda była jednak taka, że jeśli Chloe chciałyby, żeby ją ratować, dałyby jakikolwiek znak. Nie dostaliśmy go.

– A no nie – burknąłem, rozsiadając się na kanapie. – Będziesz zbierać kwiatki?

Vee uśmiechnęła się ironicznie, puszczając mimo uszu mój szyderczy ton głosu.

– Nie, Cortez. Przyjęcie organizowane przez akademię w maju. Na początku maja kwitną tulipany. Łapiesz czy zwolnić jeszcze bardziej? – syknęła, na co Alec szepnął jej coś do ucha. – Nieważne.

Prychnąłem i wstałem, kierując się w stronę balkonu. Nie miałem ochoty po raz kolejny słuchać, jak bardzo wkurwiające jest moje zachowanie. Miałem to w dupie. Nie tylko ja się zmieniłem. Zmieniło się wszystko.

Otworzyłem szklane drzwi i wyszedłem na balkonowy taras, wyciągając z kieszeni paczkę papierosów i odpalając jednego z nich. Oparłem się plecami o ścianę i zacząłem obserwować widok, który miałem przed oczami. Nie było dobrze, w żadnym stopniu. Złe myśli ciągle nie

dawały mi spokoju, a pytanie: „Dlaczego?”, nawiedzało mnie w snach. Miłość miała uskrzydlać, a w rzeczywistości podcięła mi skrzydła, gwarantując bolesny upadek.

Westchnąłem, słysząc dzwonek telefonu. Jeśli Federico naprawdę nie będzie miał dobrego wytłumaczenia na to, dlaczego mnie nęka, po raz kolejny zapewnię mu limo pod okiem. Tym razem pod drugim, aby wyszło po równo. Po chwili zwłoki wyciągnąłem telefon z kieszeni spodni i przyłożyłem go do ucha.

– Tak? – rzuciłem obojętnym tonem, czując w gardle lekkie pieczenie spowodowane dymem.

Mijały sekundy, a po drugiej stronie słuchawki nikt się nie odzywał.

– Halo? – ponowiłem pytanie.

Czekałem kolejne sekundy, marszcząc brwi. Mimowolnie rozejrzałem się dookoła, aby się upewnić, że nikt mnie nie obserwuje. Dziwne było mówienie do telefonu, kiedy nikt nie odpowiadał. Nieco odsunąłem urządzenie od ucha, po czym spojrzałem na ekran, spodziewając się zobaczenia na nim imienia kuzyna. Jednak w miejscu, gdzie powinien pojawić się numer telefonu dzwoniącego albo numer zastrzeżony, wyświetlało się tylko kilka informacji o możliwości włączenia trybu głośnomówiącego, rozłączenia połączenia czy zawieszenia go. Poza tym na ekranie nie było nic.

Minęła chwila, zanim przypomniałem sobie, że to nie pierwsza taka sytuacja w moim życiu. Zawsze ten, kto dzwonił do mnie w taki sposób, posiadał dobre zabezpieczenia i zdecydowanie nie chciał, abym mógł oddzwonić. Od prawie dwóch lat nie otrzymałem podobnego połączenia, co sugerowało, że poprzedni użytkownik tego typu telefonu zrezygnował z takiego kontaktu ze mną. A był nim Lewis. Nie dzwoniłby znowu w ten sam sposób.

I w tym momencie poczułem, jakby ktoś kopnął mnie w brzuch.

– Chloe? – wyszeptałem, czując, jak tracę grunt pod nogami.

I chociaż stałem na balkonie, kilka pięter nad ulicą Nowego Jorku, miałem wrażenie, że spadam. W odpowiedzi usłyszałem tylko urywane wciąganie powietrza, co dało mi pewność, z kim rozmawiam. Coś, czego kompletnie się nie spodziewałem, rozgrywało się właśnie teraz. Nie byłem na to gotowy. Nie wiedziałem, co mógłbym powiedzieć. Nie miałem pojęcia, co robić. Radość mieszała się z przerażeniem, co skutkowało chwilowym otępieniem. Po miesiącu ciszy dostałem możliwość rozmowy z nią. I miałem tylko jedną szansę.

Jedną. Pieprzoną. Szansę.

– Chloe – powtórzyłem, uświadamiając sobie, jak dawno nie wypowiadałem jej imienia na głos. – Będzie dobrze. Wszystko będzie dobrze. – Jedna szansa, a ja pierdolę jak typowa matka. – Proszę, wróć. Cokolwiek się dzieje, pokonamy to razem. Nie istnieje problem, którego nie da się rozwiązać. – Przestałem nawet myśleć, co mówię, słowa wychodziły z moich ust jak z automatu. – Wiem, że jesteś gdzieś ze Scottem, i wiesz, że cokolwiek cię do tego zmusiło, nie jest tego warte. Musisz wrócić. Nawet nie na studia, ale do mnie. Potrzebuję cię. – Nie obchodziło mnie, że właśnie wychodziłem na największego słabeusza, liczyło się tylko, aby ją przekonać. Niezależnie od tego, ile by mnie to kosztowało, musiałem namówić ją do powrotu. To była moja jedyna szansa. – Nie wiem, co się dzieje... Nie potrafię bez ciebie funkcjonować i nie chcę. Rzeczywistość bez ciebie nie jest taka sama i nie mogę w takiej żyć. Zmieniłaś wszystko. – Zamilkłem, czekając na jakąkolwiek reakcję dziewczyny.

Wszystko, co mówiłem, płynęło z mojego serca, które w tym momencie biło jak szalone i prawie wyskoczyło z mojej klatki piersiowej. W ustach mi zaschło i czułem, jakby świat się zatrzymał. Sekundy mijały, a w telefonie słyszałem tylko ciche, nierówny oddechy. Nie wiedziałem,

czy nie chciała mówić, czy może nie mogła, ale nie zamierzałem odpuścić. Nie zamierzałem zmarnować tej szansy, kiedy czułem się gotowy.

– Chloe, błagam – jęknąłem, mając wrażenie, że zaczyna brakować mi powietrza. – Ja cię... Ja...
– nie dokończyłem, bo nagle usłyszałem pikanie, co oznaczało, że mój rozmówca zakończył połączenie.

Spojrzałem na ekran, widząc tylko tapetę. Zacisnąłem zęby, bo w oczach zbierały mi łzy. Przymknąłem powieki, starając się je zatamować. Westchnąłem i bez chwili zwłoki ruszyłem do środka, lecz kiedy tylko znalazłem się przy przyjaciółach, poczułem dziwne zastopowanie. Chciałem zatrzymać tę piękną chwilę dla siebie, jednocześnie pragnąc, aby pomogli mi znaleźć Chloe.

– Musimy porozmawiać – oznajmiłem, spoglądając w stronę męskiej części znajomych.

Moja wypowiedź nie spotkała się z wielkim entuzjazmem: Zack spojrzał na mnie z podniesioną brwią, leżący na kanapie Logan jedynie otworzył oczy, a Ben cały czas wpatrywał się w sufit. Jedynie Alec westchnął i wstał, kiwając lekko głową. W pewnym stopniu rozumiałem reakcje chłopaków. Od kilku tygodni zachowywałem się jak dupek, jednak nie myślałem, że aż tak ich to ruszy. Przecież byłem taki, gdy się poznaliśmy. Nagle zaczęło im to przeszkadzać...?

Alec w końcu spojrzał na mnie posępnym wzrokiem i wzruszył ramionami. Westchnąłem cicho, po czym podszedłem do niego i powiedziałem mu na ucho kilka słów. Kiedy się odsunąłem, jego oczy lekko się otworzyły, a ja jedynie przytaknąłem.

– Zbierać się, mamy coś do załatwienia – rzucił po chwili, czym lekko mnie zaskoczył. Nigdy nie był pierwszym, który angażował się w nasze sprawy, a już na pewno nigdy nie namawiał na nic innych. Wiecznie wycofany i cichy Alec stał się sprawcą poruszenia.

Trójka przyjaciół spojrzała po sobie ze zdumieniem w oczach, ale ostatecznie wszyscy wstali. Alynn, Vivien i Amy również wyglądały na zaskoczone, jednak je zignorowałem. Nie było czasu na wyjaśnienia.

– Zadzwoniła – wyrzuciłem z siebie, kiedy tylko znaleźliśmy się w moim pokoju.

Przyjaciele wymienili się spojrzeniami. Ben wydawał się najbardziej oszołomiony, dlatego już myślałem, że przejął się tym najbardziej, kiedy niespodziewanie zapytał:

– Ale kto?

Schowałem twarz w dłoniach, nie wierząc, że to działa się naprawdę, a Logan pokręcił głową, nie mając chyba siły na wyjaśnienia. Jak wielkim kretyńcem trzeba było być, aby nie połączyć tak prostych faktów?

– Chloe – odpowiedziałem oczywistym tonem, na co Ben zareagował cichym: „Aaa”.

– Czyli ją znajdziemy. – odparł uradowany Zack, wstając ze swojego łóżka, na które chwilę wcześniej się rzucił.

Taa... Gdyby to było takie proste...

– Dzwoniła z tego supertelefonu Lewisa – dodałem na głos, co sprawiło, że zapał Zacka natychmiast zmalął. Wiedzieliśmy, co to oznaczało.

– Czyli jej nie znajdziemy... – westchnął, ponownie opadając na łóżko.

Spojrzałem na Bena, który potrafił rzeczy, o jakich nam się nie śniło. W końcu to poniekąd jego ojciec tworzył bajery, z których korzystał Scott.

– Chcesz, abym namierzył telefon, który skonstruowany został po to, aby go nie namierzyć? – Spojrzał na mnie z powątpiewaniem. – To się nie uda, a nawet jeśli, to zajmie wieki. Szybciej poszłoby nam wystrzelenie nas na satelitę i dokładne przeszukanie zawartości jej danych.

Pociągałem za końcówki swoich włosów, intensywnie myśląc. Byliśmy tak blisko a tak daleko. Świat był przeciwko nam od początku. Zanim jednak ktokolwiek z nas zareagował, od strony drzwi dobiegł głos:

– Zadzwonimy do taty.

Spojrzeliliśmy w stronę wejścia, w którym jak gdyby nigdy nic stała Amy.

– Podśluchiwałaś? – zapytał Ben, na co dziewczyna wzruszyła ramionami. – Mogłem się tego spodziewać, jesteś moją siostrą – odpowiedział cicho.

– Postanowione – rzucił Zack, zgadzając się na pomysł Amy. – Przygotuj się, Logan. Pora poznać teścia.

Rozdział 10

CHLOE

Myślałam, że robiąc to, czego chciał Lewis, ratowałam Matteo, a okazało się, że skazywałam go na śmierć. Najwyraźniej cokolwiek bym w swoim życiu nie zrobiła, wszyscy prędzej czy później mieli być zagrożeni. Szukałam wyjścia idealnego, lecz w głowie non stop przewijał mi się tylko jeden pomysł, który wydawał się całkowicie sensowny. Co więcej, nie opuszczały mnie myśli, które burzyły cały plan w mojej głowie. *Czy to wszystko, co miałam zamiar tu zrobić, miało sens? Czy mam dokąd wracać? Do kogo wracać i po co wracać?* Jedno połączenie wystarczyło. Jedna złamana zasada Scotta sprawiła, że miałam pewność. Głos tej jednej osoby i jej słowa przyczyniły się do potoku łez, które spływały po moich policzkach i których nie potrafiłam powstrzymać. Z bólem serca zakończyłam połączenie, domyślając się, co Matteo chciał powiedzieć. Nie w takich okolicznościach chciałam usłyszeć te słowa. Nie chciałam, aby były one wędką na ściągnięcie mnie do Nowego Jorku. Zasługiwały na lepszy moment.

– Ja ciebie też – szepnęłam, wpatrując się otępiąła w telefon, chociaż ostrość widzenia mocno szwankowała przez łzy.

Nadszedł czas na nowy początek świata. Świata, w którym Chloe Rivera Morgan przestanie istnieć.

Słyszając pukanie do drzwi, stałam z policzków łzy i zamrugałam szybko kilka razy, by odgonić te w moich oczach.

– Rivera! – usłyszałam z korytarza krzyk i zacisnęłam zęby.

– Czego? – zawołałam, podchodząc do drewnianej płyty, a uprzednio schowawszy telefon do szuflady.

Chłopak jednak mi nie odpowiedział. Uniosłam brew, po czym ostrożnie otworzyłam drzwi. Założyłam ręce na piersiach, widząc Luisa opartego o ścianę naprzeciwko mnie.

– Nie będę darł się do ciebie przez ścianę – odparł z pretensją w głosie, zachowując się, jakby był moim ojcem. – Scott wyleciał do Waszyngtonu i zrobił ze mnie niańkę – wyjaśnił. – Nie odpierdalaj, bo nie potrzebuję kłopotów ze Scottem. A ty uwielbiasz kłopoty.

Czyli Lewis w pewnym sensie zrobił z Louisa mojego ojca, podsumowałam. Zmierzyłam wzrokiem twarz chłopaka, doszukując się słabego punktu w jego przemówieniu. W mojej głowie pojawił się okropny pomysł, jednak tylko w taki sposób miałam szansę wykluczyć tę oto przeszkodę w swoim planie. Nie sądziłam, że Scott da mi niańkę, a w dodatku, że zostanie nią właśnie Louis. Niektóre sprawy wymagały poświęcenia.

– Obiecuję, będę grzeczna. – Uśmiechnęłam się delikatnie, przez co chłopak spojrzał na mnie podejrzliwie, nie spodziewając się takiej odpowiedzi. – Nie mam dzisiaj zamiaru sprawiać żadnych kłopotów.

Zamknęłam drzwi, kiedy blondyn bez słowa ruszył w stronę schodów. Westchnęłam ciężko, tłumacząc sobie, że robiłam to dla dobra swojego planu. Ruszyłam w kierunku szafy i wyjęłam strój kąpielowy, ponownie wzdychając. Moje życie to jedno wielkie nieporozumienie.

Gdy tylko się przebrałam, spokojnym krokiem zeszałam do kuchni, gdzie z lodówki z alkoholem wyjęłam pierwsze lepsze wino. Wpatrywałam się w nie przez dłuższą chwilę, po czym wzięłam

lampkę i wolnym krokiem skierowałam się w stronę ogrodu, mijając w salonie blondyna, który odprowadził mnie wzrokiem.

Dawałam mu godzinę.

Ze spokojem położyłam się na leżaku, odkładając przyniesione rzeczy na stolik. Spojrzałam w niebo, na którym dumnie świeciło słońce, a dzięki temu temperatura przekraczała dwadzieścia stopni. Bez pośpiechu wlałam wino do szkła i upiłam łyk, spoglądając kątem oka na budynek, w którego salonie chłopak przyglądał mi się przez szybę.

Skłamałam. Byłam gotowa sprawić największe kłopoty, z jakimi kiedykolwiek miał styczność.

Po godzinie, kiedy butelka była już pusta, z wielkim uśmiechem na twarzy usiadłam i rozejrzałam się dookoła.

– Louis! – krzyknęłam, zamykając na chwilę oczy. Naprawdę to robiłam. Świat zwariował.

Minęło kilka minut, zanim blondyn stanął w drzwiach, opierając się o ich framugę.

– Moje imię w twoich ustach, co za nowość – zadrwił, ruszając w moim kierunku. Spojrzał na stolik, uśmiechając się krzywo. – Ty po prostu jesteś pijana.

– Nieprawda – bąknęłam, kiedy jednak wstałam, lekko się zachwiałam.

– Właśnie widzę – mruknął, mierzając mnie wzrokiem.

– Potrzebuję, aby ktoś posmarował mi plecy. – Uśmiechnęłam się serdecznie, wyciągając w jego stronę krem.

Chłopak spojrzał na tubkę, jednak nie wykonał żadnego ruchu.

– Okej, zrobię to sama. Tylko wiedz, że jeśli wpadnę do tego basenu, próbując to zrobić, to utonę i będzie to twoja wina, bo nie dopilnowałeś...

– Daj to – przerwał mi, na co uśmiechnęłam się promiennie i podałam mu krem, po czym odwróciłam się tyłem. – Siadaj, bo się przewrócisz – usłyszałam, więc wykonałam polecenie.

Dłoń chłopaka delikatnie przejechała po moim karku, na co westchnęłam cicho.

– To takie przyjemne – wymruczałam, powoli opuszczając ramię od stroju, aby chłopak mógł dokładnie rozprowadzić krem na moim ramieniu.

– To zwiastuje kłopoty... – odparł gburowato, po czym wydał z siebie pomruk niezadowolenia.

Zaśmiałam się cicho, przejeżdżając palcami po swojej szyi. Louis postawił tubkę z kremem na stoliku i poprawił moje ramię, przesuując je na właściwe miejsce. Zmarszczyłam lekko brwi i odwróciłam się w jego kierunku.

– Coś się stało? – zapytałam zdezorientowana, wstając. Pech chciał, że niefortunnie się zachwiałam, wpadając tym samym w ramiona Louisa. Widziałam, jak mięśnie jego szczęki napięły się gwałtownie, a klatka piersiowa przestała się poruszać. I byłam zadowolona z tego, jak na mnie reagował.

– Rivera – zaczął ostrzegawczo, na co przygryzłam wargę, nie spuszczać wzroku z jego twarzy.

– Siedzę tu od ponad miesiąca. Sama, znudzona i chyba zaraz umrę. Jak ta cholerna księżniczka zamknięta w wieży, której nikt nie przyszedł z pomocą – burknęłam i nie dając mu szansy na odpowiedź, bez zastanowienia musnęłam jego usta, a po chwili ponownie spojrzałam na jego twarz. – Uratujesz swoją księżniczkę?

– Ja pierdołę, kurwa, jebana, mać. – Louis wypuścił powietrze, wypowiadając przy tym wiązaną przekleństw tak, jakby była modlitwą.

– Amen – rzuciłam ze śmiechem.

A sekundę później poczułam jego wargi na swoich ustach.

Wiecie, czego nauczyłam się w Newcastle? Każdy mężczyzna, prędzej czy później, łamał zasady dla kobiety. A faceci bez kręgosłupa moralnego stali na samym początku tej kolejki.

– Suka – usłyszałam warknięcie blondyna, na co zacisnęłam zęby, próbując zaakceptować to, co zrobiłam. – Knująca suka.

Spojrzałam na poirytowanego chłopaka, który mierzył mnie nienawistnym spojrzeniem. Jeśli kiedykolwiek myśleliście, że zabawa z kajdankami to superpomysł na rozgrzanie atmosfery, podsunę wam jeszcze jeden na ich zastosowanie: działa jak naprawdę dobra smycz. Louis stał w samych bokserkach, przykuty kajdankami do rury w piwnicy. Zapewne nie tego się spodziewał, kiedy pozwolił sobie na chwilę zapomnienia. I, co dziwne, sam wybrał piwnicę. Ukrycie swojego występku było chyba głównym powodem tego wyboru, jednak nie mogłam narzekać. Pomógł mi, nie będąc tego nawet świadomym.

– Zamknij się, już to mówiłeś – mruknęłam, kierując się w stronę schodów.

Wyszłam z piwnicy, zamykając za sobą dokładnie drzwi. Złapałam się za głowę, próbując utwierdzić się w przekonaniu, że postępowałam właściwie, w pewnym sensie. Moje „właściwe postępowanie” kosztowało dziewięćdziesiąt tysięcy dolarów i czekało na sygnał, aby przyjechać.

Chyba mnie popierdoliło. Chyba na pewno, bo po dwóch godzinach wróciłam do piwnicy z małym pudełkiem. „Czerwony do instalacji elektrycznej, bo to zegar. Niebieskiego nie ruszać. Zielony podłączyć do miejsca obok czerwonego, gdy ma zacząć się odliczanie. Przeżegnać się i spierdalać. Trzydzieści minut” – instrukcja, która została mi przedstawiona, była jasna i nie miałam zamiaru z nią dyskutować. Przymknęłam powieki, wiedząc, że nie było odwrotu. Po przeszukaniu gabinetu Scotta i znalezieniu listy kontaktów jego dostawców mogłam jeszcze zrezygnować. Ale teraz...? Trzymałam w dłoniach bombę. Pieprzoną bombę.

– Co jest, kurwa – mruknął zszokowany Louis, kiedy dostrzegł, co niosłam.

Zignorowałam go, zdejmując pokrywę od skrzynki elektrycznej. Stanęłam o krok dalej, przyglądając się temu cacku z dalszej odległości. *Co ja najlepszego wyprawiam?*, powtarzałam jak mantrę.

– Rivera, zostaw, to nie jest zabawka – zareagował szarpiący się z kajdankami chłopak. – Zrobisz coś źle i będzie po nas – rzucił przejęty.

Przygryzłam wargę. Wiedziałam, że miał rację. Bomba miała zniszczyć całą konstrukcję budynku. Jeśli teraz podłączyłabym coś nie tak, spowodowałabym zwarcie i zostalibyśmy usmażeni. Zamyślona wpatrywałam się przed siebie, szukając w głowie rozwiązania. Natrafiłam jednak na ścianę w moim cudownym planie, z którego nie mogłam się już wycofać.

– Dlaczego to robisz? – usłyszałam nagle pytanie.

– Jeśli ci powiem, będę musiała cię tu zostawić – odpowiedziałam, z bezsilności siadając na podłodze.

– Nie jestem naiwny, zmieciesz z powierzchni wszystko w promieniu stu metrów. Ten dom nie podoba ci się aż tak bardzo, że chcesz go... wysadzić? – rzucił, na co zaśmiałam się pod nosem.

– Nie jesteś naiwny? Uwierzyłeś, że upiłam się jedną butelką wina – zauważyłam, na co niezadowolony zacisnął zęby. – Naprawdę nie dostrzegłeś, że przez cały czas podlewałam nim trawę przy leżaku? – dodałam, nie kryjąc rozbawienia, co w obecnej sytuacji spowodowane było nerwami i stresem.

– To była pułapka – zorientował się w końcu, parząc na mnie z wyrzutem.

– Einstein zabiłby ci brawo za spostrzegawczość i szybkość myślenia – zadrwiłam, obracając w dłoniach pudełko. Wzięłam głęboki wdech, zastanawiając się, co zrobić. – Lewis zabrał mi wszystko. Teraz ja zrobię to samo jemu.

– Jeśli wysadzisz budynek, znajdzie kolejny. I zaczniesz ścigać ciebie – odparł oczywistym tonem.

– Wiem. – Uśmiechnęłam się nerwowo i podniosłam na chłopaka wzrok. – Dlatego bomba wybuchnie, kiedy Scott będzie w środku. I ja też.

Twarz Louisa zamarła. Skonsternowany wpatrywał się we mnie z lekko ściągniętymi brwiami, jakby w ten sposób chciał mnie przejrzeć.

– Jeżeli nie będziesz utrudniał, to nie dopiszę cię do listy trupów.

– Dopisz mnie do listy – usłyszałam po kilku minutach, a jego oddech nieprzyjemnie owionął mój kark.

Zamarłam, czując za plecami obecność Louisa. Był blisko, zdecydowanie za blisko jak na miejsce, w którym go skułam. Przełknęłam ślinę i powoli odwróciłam się w stronę chłopaka. Stał niecały metr ode mnie i, kiedy tylko zwróciłam się w jego stronę, unióśł dwie ręce w geście poddania; na jednym nadgarstku nadal znajdowała się stalowa obręcz.

– Chyba wiem, jak chcesz uwolnić się od tego syfu. To odważne, głupie i naprawdę może się udać. – Nie spuszczał mojej zapewne bladej jak ściana twarzy z oczu.

– N-nic nie wiesz – wydusiłam, powoli godząc się z porażką. W tym życiu los nigdy mi nie sprzyjał. Byłam z tym oswojona i wręcz na to gotowa.

– Nie? Upozorowanie własnej śmierci brzmi jak naprawdę dobry plan. – Zaśmiał się krótko. – Nie jestem tu, bo lubię słuchać rozkazów Scotta. – Zrobił mały krok w moją stronę. – Nie lubię słuchać niczyich rozkazów. Jednak nie mogę odejść, bo tacy ludzie... – skrzywił się – nie kończą dobrze. A nawet jeśli chciałby ryzykować, nie mam dokąd ani do kogo pójść.

Zacisnęłam zęby, starając się nie pozwolić swojemu żołądkowi na pozbycie się ostatniego posiłku. To miał być koniec. Nie miałam szans.

– Wiem, jak to podpiąć – mruknął nagle Louis, odbiegając od tematu. – Rozkuj mnie, a pomogę.

Trwaliśmy w walce na spojrzenia przez jakiś czas; ta rozgrywka była naprawdę długa. Nie wierzyłam mu. Nie mógł mówić poważnie. Podpuszczał mnie, bo tylko w taki sposób mógł się uratować – ja miałam go uwolnić, a on naprawić wszystko, co zrobiłam, zanim wróciłby Scott, a może nawet mu o tym powiedzieć. Będę martwa. A jeśli nie ja...

– Masz mnie za idiotkę? – zapytałam w końcu, próbując udawać, że panowałam nad sytuacją.

– Gdybym chciał cię powstrzymać, nie informowałbym cię, że jestem za tobą, tylko podduśił cię łańcuszkiem. – Wskazał na kajdanki, których obręcz łączyło ze sobą kilka pierścieni. – Scott próbował cię zabić, co jednak mu nie wyszło – usłyszałam, na co zmarszczyłam brwi. – Wielu próbowało go zniszczyć, nikomu się jednak to nie udało: nie żyją. Ty masz plan, który może się udać, bo Lewis ci ufa. I to jego największy błąd. Więc jeśli istnieje realna szansa na pozbycie się go, nie będę siedział z boku. Nie mam już nikogo. I chcę zacząć żyć na własnych warunkach, bez Scotta.

Przymrużyłam oczy, przyglądając się dłuższą chwilę jego twarzy. Nie kłamał. Po cwaniackim uśmiechu, który był niemal zawsze przyklejony do jego ust, nie było teraz ani śladu, a zastępująca go powaga sprawiła, że chyba mu uwierzyłam. Mógł mnie nienawidzić, jednak jeszcze większą nienawiścią darzył Lewisa.

– Spieprz to, a dostaniesz kulkę – ostrzegłam go, sięgając do tylnej kieszeni spodni po kluczyki.

Uwolniony blondyn rozmasował obolałe nadgarstki. Posłał mi spojrzenie pełne wyrzutu, po czym zabrał się do ubierania. Cierpliwie czekałam, aż pozbiera z podłogi resztki godności...

znaczy się, ubrań, i stanie obok mnie. Kiedy to nastąpiło, podałam mu małe pudełko. Ten ruch mógł mnie albo uratować, albo zabić. Podjęłam ryzyko.

– Zbajerowanie mnie było częścią twojego planu czy chciałaś mnie po prostu upokorzyć? – zapytał, grzebiąc w kablach.

– Usuwałam przeszkody, a ty byłeś jedną z nich – powiedziałam szczerze, cały czas nieufnie przypatrując się jego działaniom. – I chyba chciałam cię upokorzyć.

Chłopak parsknął pod nosem i pokręcił głową.

– Wiesz, że nie musisz trzymać ręki na spuście? – zauważył niby obojętnym tonem. – Jak coś spieprzę, to wybuchniemy wszyscy.

– To się nazywa motywacja – prychnęłam, przyglądając się, jak chłopak zdecydowanymi ruchami podłącza najróżniejsze kabelki do pudełka z bombą.

„Czerwony do instalacji elektrycznej. Niebieskiego nie ruszać. Zielony podłączyć do miejsca obok czerwonego, gdy ma zacząć się odliczanie”.

Został już tylko zielony.

Przez długi moment panowała cisza, którą przerwał Louis, mówiąc:

– Gotowe. – Spojrzał na mnie wyczekująco. – I co teraz...?

Wzięłam głęboki wdech, czując, jak od wewnątrz zżera mnie przerażenie.

– Pakuj się – mruknęłam. – Najpotrzebniejsze rzeczy. Zawieź je do motelu, ale takiego, w którym sam diabeł czułby się jak w domu. Nikt nie może zwrócić na nas uwagi. Kiedy będzie po wszystkim, pojedziemy tam. A później... – Zamilkłam na moment, bo głos zaczął mi drżeć. – Każde z nas dostanie szansę na nowe życie.

Rozdział 11

MATTEO

Cały w nerwach czekałem przez kolejny dzień, aż dostaniemy jakąkolwiek informację odnośnie do telefonu, z którego dzwoniła Chloe. Ojciec bliźniaków z wielką nieufnością podszedł do ich prośby, jednak Amy zdecydowanie była jego oczkiem w głowie, więc zrobiłby dla niej wszystko. Zresztą, nawet jej to obiecał. Dla mnie była to dosyć niezobowiązująca obietnica.

Znudzony leżałem na łóżku z laptopem na udach, przeglądając internet. To wszystko trwało zdecydowanie za długo. Miałem nadzieję, że Chloe jeszcze się odezwie. A właściwie, że da kolejny znak życia. Po tak długim czasie jej nieobecności było to coś niesamowitego i chciałem więcej. W tym samym momencie, kiedy o niej pomyślałem, spojrzałem na telefon, słysząc jego dzwonek. To byłoby za piękne, aby mogło być prawdziwe. Nacisnąłem zieloną słuchawkę, przykładając urządzenie do ucha.

– Słucham – powiedziałem spokojnie, nie wiedząc, czego się spodziewać.

– Nie wierzę, że do ciebie dzwonię – usłyszałem i od razu cały się spiąłem.

Tego na pewno się nie spodziewałem.

– Też w to nie wierzę, Ethan – rzuciłem kąśliwie, wychodząc na balkon.

– Bez zbędnych uprzejmości – skwitował mężczyzna, wzdychając. – Mogę prosić do telefonu Chloe?

Zmarszczyłem brwi, łącząc wątki, co chwilę mi zajęło. Nie miałem pojęcia, jak powiedzieć bratu Chloe, że jego ukochana siostrzyczka... Zaginęła? Zniknęła? Wyjechała?

– Gdyby tu była, z chęcią oszczędziłbym sobie katuszy wynikających z rozmowy z tobą – stwierdziłem wymijająco.

– Nie odbiera moich telefonów.

– Zrobiła sobie przerwę od wszystkiego. – Szukanie odpowiedniej wymówki jeszcze nigdy nie było takie trudne. – Wyjechała... kilka dni temu.

Po drugiej stronie zapanowała cisza. Błagałem w duchu, aby chłopak nie dociekał i po prostu dał temu spokój. Jednak Ethan, odkąd go znałem, nigdy nie zrobił niczego, co by mi cokolwiek ułatwiło.

– Matteo, to nie zabawa. Wczoraj przelała z konta ojca dziewięćdziesiąt tysięcy – usłyszałem po kilku sekundach i na moment zamarłem, starając się wszystko na spokojnie sobie przyswoić. – Nie korzystała z tego konta, odkąd wyjechała do Nowego Jorku na studia. Nie mamy jej tego za złe. Jednak nie idzie stwierdzić, na jakie konto zostały przelane pieniądze. Chcę się tylko upewnić, że u mojej siostry wszystko w porządku.

– Mówiłem, że wyjechała. – Sapnąłem, głowę mając zajęętą już innym tematem. – Może na tę podróż potrzebowała pieniędzy? Wycieczki kosztują.

– Poproś, aby zadzwoniła, gdy wróci – usłyszałem najpierw zrezygnowany głos chłopaka, a potem dźwięk zakończonego połączenia.

Spojrzałem na ekran, zaniepokojony informacją od Ethana. *Na cholere! Chloe takie pieniądze? I to w takim momencie?*, zastanawiałem się. Nie potrafiłem tego zrozumieć.

Wstałem i skierowałem się do pokoju Bena i Logana. Kumple dzielnie czuwali przy telefonie, czekając na jakiegokolwiek wiadomości od ojca bliźniaków. Wszedłem do środka bez pukania, chcąc

podzielić się z przyjaciółmi nowymi informacjami.

– I jak? – zapytałem, chcąc wy badać, jak mają się poszukiwania.

– Jest postęp. – Ben się uśmiechnął. – Telefon logował się w Ameryce Południowej.

Zmarszczyłem brwi, mimo że była to dobra nowina. Dobra, ale nie do końca. „Ameryka Południowa”... Brzmiało jak abstrakcja, chyba że znało się Chloe i jej plany ucieczek. Ale to byłoby za proste, o wiele za proste. Scott nie pozwoliłby sobie na takie ryzyko.

– Zawężcie obszar Ameryki do Argentyny – powiedziałem na głos to, co przyszło mi do głowy. Chyba tylko ja z tego towarzystwa wiedziałem, że to tam Chloe od zawsze planowała uciec, gdyby działo się coś złego.

Przyjaciele spojrzeli na mnie jak na wariata, jednak widząc mój zacięty wyraz twarzy, Ben wykonał prośbę i napisał krótką wiadomość do ojca.

– Tata pisze, że coś się zmieniło, a system zamiast przez trzy dni będzie skanował maksymalnie cztery godziny. – Ben ucieszył się z dobrych informacji.

Mnie to jednak nie pocieszyło.

– Wypłaciła prawie sto tysięcy dolarów z konta swojego ojca – wypaliłem, dezorientując wszystkich znajdujących się w pomieszczeniu. – Dlaczego?

– Za sto tysięcy można kupić wiele – zauważył Zack, siedzący na fotelu w rogu pokoju; wcześniej go tu nie zauważyłem. – Buty, sukienki, auta, nową tożsamość...

Wiedziałem, że chciał zażartować, jednak w tej sytuacji humor wybitnie mi nie dopisywał. Westchnąłem jedynie, spoglądając ufnie na telefon Bena. Mogłem ryzykować i wszystko przyspieszyć albo przegrać wszystko. Liczyłem na umiejętności jego ojca, jednak liczył się czas, którego nie miałem za wiele.

– Zawęż Argentynę do...

– ...Buenos Aires – wypowiedzieliśmy jednocześnie.

Spojrzałem na niego zaskoczony, a on w tym samym momencie podniósł wzrok na mnie. Sytuacja była naprawdę dziwna i niekomfortowa. Kumpel podsunął mi telefon pod nos i pokazał najnowszą wiadomość od swojego ojca, w której widniała nazwa tego miasta.

– A ty skąd wiesz? – zapytał, mrużąc oczy.

– Albo prowadzi mnie miłość, albo mam, kurwa, trzecie oko – rzuciłem. – Dostaniemy zdjęcia satelitarne?

– Jeśli dasz mi sekundę, abym poprosił o nie supergeniusza, i nie wyrecytujesz nagle poprawnego adresu, to tak – mruknął Ben i zaczął pisać kolejną wiadomość. – Jak kiedykolwiek wyjdzie na jaw to, co teraz robimy, będziemy dzielić celę z moim starym – ostrzegł nas poważnym tonem głosu.

– Logan codziennie dostawałby wpierdol – parsknął Zack, na co wspomniany chłopak spojrzął na niego posepnie. – No co? Amy ma zakaz umawiania się z chłopakami z tej akademii, a ty...

– Zamknij się, Zack – przerwał mu Ben, stając po stronie Logana chyba pierwszy raz w całej historii związku przyjaciela i siostry. – I nie stójcie tak nade mną, to nic nie da. Idźcie się przejść czy coś. – Machnął na nas ręką.

Westchnąłem ciężko, wychodząc z przyjaciółmi z pomieszczenia i kierując się w stronę salonu bractwa. Dołączyliśmy do Ayllyn i Vivien, które siedziały już na jednej z kanap i oglądały wiadomości.

– Jakieś afery w Waszyngtonie i Argentynie – wyjaśniła Ayllyn, ścisząc głośność w laptopie, abyśmy mogli swobodnie rozmawiać.

– Coś wiadomo? – odezwała się Vivien, patrząc to na mnie, to na Zacka.

Kumpel spojrział na mnie kątem oka, na co kiwnąłem głową. Była ich przyjaciółką, powinna wiedzieć.

– Dzięki trzeciemu oku Matta wiemy, że Rivera jest w Buenos Aires – wytłumaczył, na co dziewczyny zmarszczyły brwi, jednak nic nie powiedziały.

– Odzyskamy ją – szepnąłem, nie wiedząc, czy mówię do przyjaciół, czy do siebie. Mieliśmy szansę znaleźć ją i sprowadzić do domu. Byłem gotowy na wszystkie przeciwności losu, przynajmniej tak zdawało mi się w tamtej chwili.

– Chodźcie! – Po kilkudziesięciu minutach usłyszeliśmy krzyk Bena dochodzący z piętra.

Jak na rozkaz wszyscy wstaliśmy i wbiegliśmy po schodach, kierując się do pokoju, w którym zaszył się Ben. Od razu po przekroczeniu progu ruszyłem w stronę laptopa, na którego ekranie z daleka dostrzegłem budynek. Chłonałem oczami ten obraz, jakbym oczekiwał, że gdzieś na nim zobaczę Chloe.

– To okazała rezydencja. Willa znajduje się na uboczu, ale blisko niewielkiego lotniska i portu. – Ben przekazał nam tę informację z dumą w głosie.

– Sukinsyn wiedział, gdzie się urządzać – mruknął Zack, przyglądając się zdjęciu.

Wszyscy staliśmy i przez kilka sekund nie wiedzieliśmy, co robić. Każde z nas wpatrywało się w widok miejsca, które było domem Chloe przez ostatnie kilka tygodni.

– Chwileczkę – usłyszałem przerażony głos Aylyn i dostrzegłem, że jej radosny wyraz twarzy zmienił się w skupiony. Dziewczyna niemal natychmiast włączyła swojego laptopa i weszła na portal informacyjny, który przeglądała jakiś czas temu w salonie bractwa. – Niemożliwe. – Odłożyła urządzenie na łóżko, cofając się o krok, by dać nam na nie dobry widok.

W kilka sekund znalazłem się obok Aylyn, niczego nie rozumiejąc. Dopiero kiedy postawiła laptopa Bena obok swojego i porównała zdjęcie budynku z ujęcia satelitarnego z ukazującym się na drugim ekranie nagraniem, zamarłem.

Nie...

Nie, nie, nie, nie, nie.

Kurwa, nie!

Wsluchiwałem się w głos dziennikarki, która na żywo relacjonowała wydarzenia:

– Strażacy od kilku godzin starają się ugasić szalejące płomienie, które doszczętnie strawiły rezydencję w Buenos Aires. Odnajdywane są zwęglone szczątki. Podejrzewa się, że nikt obecny w budynku podczas wybuchu nie przeżył...

Przestałem słuchać. Nie mogłem się ruszyć. Wpatrywałem się w ekran, na którym ogień niszczył budowlę, pokazaną nam przez Bena kilka sekund wcześniej. Przyglądałem się, jak budynek co chwilę zawala się coraz bardziej, stwarzając nowe ogniwa pożaru.

– Od dłuższego czasu władze podejrzewały, że była to kryjówka...

Słowa dziennikarki docierały do mnie w zwolnionym tempie, ale kiedy wszystkie elementy układanki stały się całością, poczułem przeraźliwą pustkę, która zamieniła się w ból.

To nie mogła być prawda. Znaleźliśmy ją. Ona tam była, w budynku trawionym przez ogień.

– Musimy poważnie porozmawiać, bo mamy problem. I w dupie mam, że tego nie chcesz – dobiegł znajomy głos od strony drzwi. Kiedy nikt nie odpowiadał, Federico wszedł do pomieszczenia, stając obok nas. – Widzę, że już wiecie.

Głosy, które rozbrzmiewały w pokoju, były dla mnie już tylko tłem. Siedziałem w fotelu w stanie otępienia, nie wiedząc, co ze sobą zrobić. Mogli krzyczeć, kłócić się, a nawet pobić, jednak żadna z tych rzeczy nie zmieniłaby potwornej prawdy, która przysłańiała mi wszystkie

inne możliwości. A one przecież istniały. Jednak w tym momencie moją głowę wypełniał najgorszy scenariusz.

– Ona nie żyje – szepnąłem, zbierając w sobie wszystkie siły. – Nie żyje.

W pomieszczeniu zapanowała cisza. Wszyscy rzucali sobie dyskretne spojrzenia, niepewnie zerkając też na mnie. Poczułem, jak pod wpływem narastających emocji coś we mnie pęka. Przerazało mnie to, ponieważ jeszcze nigdy w życiu nie doznałem czegoś aż tak silnego. Całe dwadzieścia cztery lata obyłem się bez tego uczucia, a teraz rozsadzało mnie ono od środka. Odczułem, jak do moich oczu cisną się słone krople, by po chwili spłynąć mi po twarzy.

– Nie mamy pewności... – zaczął Logan, jednak mu przerwałem.

– To wszystko twoja wina – warknąłem, zwracając się do Federica, na co ten zamknął na moment oczy, biorąc głęboki wdech. – Gdybyś jej nie pomagał, nie znalazłaby się tam.

– Od kilku dni próbowałem z tobą o niej porozmawiać – zaczął spokojnie, a ja zmarszczyłem brwi. – Byłem tam. Widziałem się z nią.

Nie mogłeś mówić, kurwa, od razu, dlaczego chciałeś ze mną rozmawiać?!

Nie panowałem nad sobą. W ciągu sekundy wstałem i znalazłem się obok blondyna, biorąc zamach, który sprawił, że Fede cofnął się kilka kroków. Patrzyłem z nienawiścią na człowieka, który niszczył w moim życiu wszystko, czego się dotknął. Dopadł do mnie Logan, próbując mnie powstrzymać i uspokoić.

– Należało mi się. – Fede sapnął, rozglądając się dookoła. – Mówiła, że chce stworzyć świat od nowa, zapewne świat bez Lewisa. Gadała coś o Wielkim Wybuchu. Musiała mieć dobry plan.

– I naprawdę myślisz, że było nim wysadzenie się w powietrze razem z budynkiem?! – krzyknąłem, tracąc resztki opanowania.

Federico odwrócił wzrok, nie odpowiadając.

– Skąd pewność, że to jej dzieło? – zapytał niepewnie Ben, wskazując na laptopa, na którego ekranie nadal leciało nagranie na żywo z Buenos Aires.

– Bo to... Chloe – udało mi się z siebie wydusić jej imię, co spowodowało kolejną falę rozżalenia. – Kiedy ma plan, świat staje w płomieniach.

Trzy dni.

Minęły trzy dni.

Gdyby cudem przeżyła, już dałaby jakiś znak życia. Łudziłem się na próżno. Ta historia nie miała mieć dobrego zakończenia. Chloe nie żyła i we mnie również coś umarło. Po tym wszystkim, co przeszliśmy, poświęcenia i walka zdały się na nic. Właśnie tak wyglądał koniec, a „długo i szczęśliwie” istniało tylko w bajkach. Ból, który mnie wypełniał, paraliżował. Chciałem krzyczeć, płakać, błagać wszechświat i każdego boga, aby mi ją oddał. Chciałem robić to na głos, jednak nie miałem siły. Cała batalia z niesprawiedliwością tego świata odbywała się w mojej głowie, nie dając mi chwili wytchnienia.

Straciłem ją. Straciłem cały mój świat. I nie zdążyłem jej powiedzieć, że nim była. Nie powiedziałem jej najważniejszych rzeczy, które wypełniały mój umysł od długiego czasu. Nie wiedziała, że uwielbiałem dźwięk jej śmiechu. Nie wiedziała, jak pięknie wyglądała w mokrych włosach. Nie wiedziała, że tańcząc, praktycznie latała, i że jak zahipnotyzowany mogłem patrzeć na nią godzinami. Nie wiedziała, że ją kocham.

Czas się jednak nie zatrzymał. Dzień przyjęcia z okazji Majowych Tulipanów nadszedł, a ja czułem, jakby los naprawdę ze mnie drwił. Miałem tam iść? Pozować uśmiechnięty do zdjęć

i udawać, że byłem szczęśliwy? Rozmawiać z przedstawicielami różnych stacji artystycznych, by budować znajomości przydatne dla mojej przyszłości?

Jakiej przyszłości...?

Wieczorem, kiedy akademik lekko opustoszał, poczułem się nareszcie wolny. Przyjaciele bez entuzjazmu pożegnali mnie w lobby, kiedy się dowiedzieli, że nie miałem zamiaru nigdzie się wybierać. Nie chciałem udawać ani kłamać pod publikę. Chciałem w końcu zostać sam – bez żadnych współczujących spojrzeń, głupich pytań i obchodzenia się ze mną jak z dzieckiem. Takie zachowania dobijały mnie jeszcze bardziej.

Leżąc na łóżku w swoim pokoju, spojrzałem po raz kolejny na ekran laptopa, na którym jarzyła się strona serwisu z biletami lotniczymi. Zamknąłem go, wzdychając. To byłaby głupota. Nawet gdybym tam poleciał, nie miałyby to sensu. Nie znalazłbym jej.

Zabrawszy ze sobą paczkę papierosów, usiadłem na balkonie. Odpaliłem jednego, wpatrując się w niebo i ponownie zatapiając się w myślach. Problemem w tym momencie był również Ethan. Nie mogłem powiedzieć mu prawdy. Gdyby dowiedział się, jak bardzo nie znał swojej siostry, zabolałoby go jeszcze bardziej. Lepiej dla jej rodziny, aby myśleli, że się odcięła i wyjechała, by móc żyć po swojemu. Było to okrutne, jednak miałem pewność, że nikt nie będzie kwestionował tej wersji wydarzeń. Tak bardzo pasowała ona do charakteru Chloe.

Wróciłem do środka, wzdychając, po czym ruszyłem w stronę wyjścia z bractwa. Musiałem się napić, a najbliższy barek znajdował się w pokoju Vivien. Nikt nie spodziewałby się, że ta nieco roztrzepana dziewczyna potrafiłaby zgromadzić w swoim pokoju tak potężne zapasy alkoholu.

Nigdzie się nie śpiesząc, zszedłem po schodach, a kiedy znalazłem się na odpowiednim piętrze, poczułem dziwny ucisk w żołądku. W pokoju, do którego zmierzałem, nie byłem od momentu odkrycia, gdzie znajdowała się Chloe. Nieprzyjemne mrowienie przebiegło mi po karku. Przemierzałem korytarz, gdy nagle dostrzegłem osobę wychodzącą z jednego z pokoi. Ciemnowłosa postać mignęła mi przed oczami i w pośpiechu zniknęła za zakrętem. Zdałem sobie sprawę, że gdyby ktoś mnie tu teraz zauważył, moja wizyta w damskiej części akademika mogłaby zostać naprawdę różnie zinterpretowana.

Gdy dotarłem pod drzwi pokoju Vee, coś sobie uświadomiłem: to one chwilę wcześniej zostały zamknięte. Wszędzie poznałbym niebieskie włosy Vivien, jednak to nie ona wychodziła ze swojego pokoju. Zanim pędem ruszyłem przed siebie, na moment mnie zamroczyło. Dziwna radość sprawiła, że na mojej twarzy pojawił się delikatny uśmiech. I chyba w moją duszę z wielką siłą uderzyła nadzieja, która dodała mi nagle sił, bo w biegu ledwo wyrabiałem zakręty.

Będąc w lobby, przekląłem pod nosem. Nikogo nie było. Rozejrzałem się dookoła, szukając jakiegokolwiek wskazówki. Byłem gotowy się poddać, chociaż coś w mojej głowie krzychało: „Walcz!” Bo jeśli to była Chloe...”. I w tym momencie spojrzałem na szklane drzwi, na których przyklejone zostały plakaty dotyczące dzisiejszego wydarzenia. *Majowe Tulipany*, przeczytałem, nie wypowiadając słów na głos. Jeśli Chloe wróciła, to na pewno chciała nawiązać kontakt, aby poczuć się bezpiecznie.

Obdzwoiłem wszystkich przyjaciół, jednak przez cholerne przyjęcie nikt nie odbierał. Bez chwili zwłoki biegiem rzuciłem się w stronę wyjścia i praktycznie wypadłem na ulicę, zatrzymując pierwszą lepszą taksówkę.

– Waldorf Astoria – rzuciłem do kierowcy, zamykając za sobą drzwi.

To było szaleństwo.

Kiedy znalazłem się pod budynkiem hotelu, od razu ruszyłem w stronę drzwi frontowych. Wjechałem windą na odpowiednie piętro i skierowałem się do sali głównej. Z niecierpliwością

czekałem, aż na recepcji pojawi się ktokolwiek z sekretariatu Akademii Silver – tylko te osoby miały upoważnienia, do wpuszczania ludzi na prywatne przyjęcia. Gdy nastąpił ten moment, prawie rzuciłem w kobietę legitymacją studencką, która była przepustką do prawdy, a gdy oddała mi dokument, udałem się do sali, w której miało odbyć się przyjęcie. W pewnym momencie jednak się zatrzymałem. Skoro każdy wchodzący miał obowiązek potwierdzić swoją tożsamość, musiała istnieć baza zaproszonych osób. Cofnąłem się do recepcji, uśmiechając się czarująco do kobiety za ladą.

– Chciałbym jeszcze wiedzieć, czy na sali jest już Chloe Rivera. Albo... Morgan. – Zawahałem się, bo nie wiedziałem, pod jakim nazwiskiem powinienem się jej tu spodziewać. – Nie udało nam się dotrzeć razem, chciałem wiedzieć, czy na nią zaczekać, czy już jest – dopowiedziałem, widząc, że starsza kobieta spojrzała na mnie podejrzliwie. Starłem się użyć tyle wdzięku osobistego, na ile było mnie w tym momencie stać.

Blondynka pokiwała głową i wlepiła wzrok w ekran komputera, a ja stałem i czekałem, zastanawiając się, czy już zwariowałem. Naprawdę czułem, że traciłem rozum.

– Panna Morgan pojawiła się kilka minut temu. Odmówiła pomocy – usłyszałem w końcu, jednak przyswoiłem tylko pierwsze zdanie z tej odpowiedzi.

O kurwa. Jeszcze nie zwariowałem...

Przez moment nie mogłem oddychać. Podziękowałem kobiecie i odszedłem kilka kroków, czując, jak serce próbuje wyrwać się z mojej piersi. Nie wierzyłem, że to wszystko było prawdą. *Jakim sposobem...? Jak...? Dlaczego...?*, myślałem. Nawet nie potrafiłem złożyć w głowie sensownego pytania, które byłoby w tym momencie najważniejsze.

Kiedy pierwszy szok minął, ruszyłem w stronę sali, rozglądając się dookoła. Przez przypadek wpadłem na Logana, który kierował się w stronę stołu z ciastami. Mój widok go zaskoczył, jednak to, co miałem mu powiedzieć, miało zaskoczyć go jeszcze bardziej. Wróciliśmy razem do stolika, który zajmowała reszta naszych przyjaciół, nie mniej zdziwionych moją obecnością. Z niewyjaśnionych przyczyn ogarnęły mnie nerwy i strach przed tym, że mi nie uwierzą i wezmą za desperata.

– Chloe tu jest! – Zaryzykowałem stwierdzenie.

Przyjaciele zmarszczyli brwi, zerkając po sobie.

– Jesteś przemęczony – usłyszałem głos Zacka.

Ze złości zacisnąłem pięści na krawędzi stołu. Musiałem wyglądać ciekawie – ubrany w dresy i zwykłą koszulkę, kiedy dookoła mnie znajdowali się ludzie w oficjalnych strojach.

– Ktoś był w twoim pokoju – odezwałem się do Vivien, która nachyliła się w moją stronę, gdy usłyszała te słowa. – W waszym pokoju. Szukała właśnie ciebie, bo byłaś dla niej na dobre i na złe. I zarejestrowała się na liście wchodzących osób. Tutaj. Kilka minut temu – wyjaśniałem. – Jest tutaj.

Na twarzach wszystkich pojawiła się niepewność. Cholernie bałem się pomyłki, kosztowałyby ona nas zdecydowanie za dużo, mnie kosztowałyby zdecydowanie za dużo. Myśl, że ktoś ze mną pogrywał, przez co mogłem spotkać się z wielkim rozczarowaniem, nie dawała mi spokoju. Czekałem na reakcję przyjaciół, jednak ci milczeli.

Nagle Logan wstał i rozejrzał się dookoła.

– Naprawdę myślisz, że tak ją znajdziesz? – zapytałem, nie kryjąc oburzenia.

– Nie. Patrząc na jeden ze stolików. Federico zniknął – usłyszałem w odpowiedzi i cały się spiąłem.

– Nadal uważacie, że mi się to wszystko zdaje?

Nikt się nie odezwał, każdy z nich spoglądał na mnie z konsternacją w oczach.
– Chloe żyje.

Rozdział 12

CHLOE

Widziałam to przez cały czas. Przed oczami nieustannie miałam widoki rodem z horrorów. Potrząsnęłam głową, jakbym chciała odgonić złe myśli, te jednak od kilku dni nie opuszczały mnie ani na sekundę. Stałam na schodach, między dwudziestym siódmym a dwudziestym ósmym piętrem hotelu Waldorf Astoria, czekając. Byłam tu bezpieczna – schody były awaryjnym sposobem przemieszczania się po budynku, windy spełniały oczekiwania gości zdecydowanie bardziej.

Spojrzałam na telefon; od ostatniej wiadomości minęło siedem minut. Musiał się ze mną zobaczyć. Tylko on mógł wiedzieć, że żyję. Tylko on wiedział, co teraz powinnam zrobić. Kiedy usłyszałam ciche powiadomienie, od razu odblokowałam ekran.

Od: Fede

Remontowane piętro, za cztery minuty.

Uśmiechnęłam się słabo, zaczynając wspinaczkę po schodach. Musiałam w cztery minuty dotrzeć na trzydzieste czwarte piętro.

Kiedy znalazłam się w odpowiednim miejscu, delikatnie pchnęłam boczne drzwi i powoli weszłam do środka, rozglądając się po ciemnym korytarzu. Mijałam kolejne pomieszczenia, szukając osoby, z którą miałam się tu spotkać. Dostrzegłszy w pewnym momencie łunę światła, zatrzymałam się i przyjrzałam miejscu, z którego dochodziła. Niespodziewany hałas sprawił, że schowałam się we wnęce drzwi, przerażona starając się opanować niespokojny oddech.

Znaleźli mnie, przemknęło mi przez myśl.

– Chloe? – usłyszałam cichy, znajomy głos, na którego dźwięk odetchnęłam z ulgą.

Zrobiłam kilka kroków w stronę chłopaka, który zatrzymał się na mój widok. I wtedy pękłam. Nigdy nie czułam się tak zniszczona. Wszystko to, co miało miejsce, po prostu mnie zabiło. Co więcej, miałam pewność, że się po tym nie pozbieram, bo za każdym razem, gdy zamykałam oczy, widziałam wszystko ponownie.

Przedwczesny wybuch. Chaos. Ogień. Zawalające się sufity, ścinany. Krzyk Scotta. Podejrzenia zdrady. Strzały. Krew, dużo krwi. Zimna broń przyłożona do mojej skroni. Kolejne dwa strzały, jeden po drugim... Wszystko to działo się tak szybko, że w mojej głowie migwały tylko fragmenty wydarzeń.

Pamiętałam łzy, które wylewały się falami z moich oczu i wysychały, nim zdążyły dotrzeć do krawędzi szczęki. Pamiętałam czerwone kałuże, które powstały na podłodze, w salonie. Pamiętałam rzeczy, o których pamiętać nie chciałam. Nie pamiętałam za to, jak znalazłam się poza budynkiem. Nie miała pojęcia, jak dotarłam do motelu. W głowie został mi tylko widok krwi pod przysnicem. Miałam na rękach krew ich wszystkich, dosłownie i w przenośni.

To ja ich zabiłam.

– Chodź tu – usłyszałam głos, który wydobył się ze ściśniętego gardła blondyna, lecz mimo jego prośby stałam w miejscu, nie mogąc wyrzucić z pamięci tego, co zrobiłam.

I dopiero teraz zorientowałam się, że moja twarz jest cała mokra od łez.

Federico westchnął ciężko i podszedł do mnie, by delikatnie przytulić moje poranione ciało. Ból, który poczułam, nie był dla mnie w żadnym stopniu niekomfortowy. Bolało przez cały czas.

– Nie chciałam tego – wychrypiałam ledwo, bo moje gardło było całe poparzone. Poczułam, jak kolejna łza spływa mi po policzku. – Miał zginąć tylko on.

Hotel Langham przy Piątej Alei był miejscem, w którym w końcu poczułam, że mogę odetchnąć. Pierwsze miejsce w Nowym Jorku, w którym nie czułam potrzeby oglądania się za siebie, stało się dla mnie miłą odmianą. Potrzebowałam snu i odpoczynku. Otworzyłam jednak oczy, słysząc podniesiony głos, a potem marszcząc brwi, powoli podniosłam się i usiadłam na łóżku. Syknęłam, czując okropny ból ręki. Spojrzałam w stronę przedramienia, na którym dostrzegłam bandaż. Nie chciałam nawet myśleć, co się pod nim znajduje.

– Nie mam pojęcia, gdzie ona jest! – dotarło do moich uszu kolejne warknięcie. – Nie wiemy, czy żyje, a ty oskarżasz mnie o ukrywanie jej?

Otworzyłam szerzej oczy, a mój oddech automatycznie przyśpieszył.

Nie było dobrze. Ktoś wiedział, że przeżyłam. Będą mnie szukać. Byłam głupia, myśląc, że Federico jest „bezpieczną opcją”. Pracował przecież dla *niego*. Znał ludzi, którzy mogli mnie ścigać. Nie po to upozorowałam własną śmierć, aby teraz wszystko, co zrobiłam, straciło sens.

Niezgrabnie zesłam z łóżka i zaczęłam szybko się ubierać, z trudem zarzucając na siebie koszulę i krzywiąc się z bólu. Usłyszałam dźwięk otwieranych drzwi, a potem gwałtownie spojrzałam w ich kierunku i zauważyłam w progu Fede. Zamarłam w bezruchu, wbijając spojrzenie w twarz Włocha. Blondyn spojrzał na mnie zdezorientowany, ciągle trzymając przy uchu telefon.

– Nie wiem, gdzie jest Chloe, Matteo – odparł, wzdychając, a ja, słysząc to imię, poczułam, że brakuje mi powietrza. – Dam znać, gdy czegoś się dowiem. – Chłopak zakończył rozmowę, po czym zmierzył mnie wzrokiem, co było dla mnie cholernie niekomfortowe.

Nie wyglądałam dobrze.

– Muszę zabrać cię do szpitala – usłyszałam, na co z zaciętą miną zaprzeczyłam ruchem głowy.

Po moim trupie.

– Chloe, jesteś poparzona. Cała w siniakach. Ledwo mówisz. A niektóre rany trzeba zszyć – mówił powoli, jakby rozmawiał z dzieckiem.

– To zabieraj się do roboty – szepnęłam, siadając na łóżku.

– Czy ja wyglądam na lekarza albo chociaż na osobę, która wie, co robić? – zapytał, wzdychając.

– Czy ja wyglądam na kogoś, kto pozwoli zabrać się do szpitala? – odbiłam piłeczkę, przyglądając się hardo blondynowi. – W teorii jestem martwa, Federico. I niech właściwi ludzie nadal tak uważają. Nie dawajmy im powodów do wątpliwości.

On tylko przeklął pod nosem, przeczesując włosy dłonią i przechadzając się po hotelowym pokoju. Wodziłam za nim wzrokiem, czekając na jego decyzję.

– Okej – usłyszałam po dłuższej chwili. – Okej – powtórzył, jakby sam chciał się przekonać co do tego pomysłu. – Skoro tego chcesz, zróbmy to: spróbujmy cię naprawić. Ale mam warunek: powiesz mi, co tam się wydarzyło.

Przełknęłam ślinę, patrząc z przerażeniem na blondyna. Widziałam to za każdym razem, gdy tylko zamykałam oczy, a on jeszcze ode mnie wymagał, abym dzieliła się tym na głos? W mojej głowie pojawiła się jednak pewna wymówka. Wskazałam na swoją szyję ręką, po czym wzruszyłam ramionami. Chciałam mu tym gestem przekazać, że było zbyt dużo do opowiadania i przez to mogłam poważnie uszkodzić gardło.

Federico westchnął zrezygnowany.

– Nie chcę z tobą walczyć – odezwał się w końcu. – Muszę wiedzieć, co się wydarzyło, skoro mam cię chronić. Skoro Matteo wie, że żyjesz, inni odkryją to w kilka kolejnych godzin. – Zamilkł, jednak nie spotkał się z żadną reakcją z mojej strony. – Tylko ja mam kartę od pokoju. Nikomu nie otwieraj. O wychodzeniu nie muszę mówić, jesteś zbyt przerażona, aby postawić nogę za progiem.

Pokiwałam głową, krzywiąc się i obserwując, jak chłopak zbiera się do wyjścia. Dopiero kiedy drzwi zakomunikowały sygnałem dźwiękowym, że zostały zablokowane, odetchnęłam z ulgą, czując się bezpieczna.

Nie miałam pojęcia, co teraz. To wszystko stało się tak szybko, że nie zdążyłam zaplanować, co chciałam zrobić dalej. Ponownie położyłam się na łóżku, wpatrując się w zegar na ścianie, który strasznie głośno tykał. Wspomnienia wróciły same...

– *Udało się?* – szepnęłam, spoglądając niepewnie na Louisa.

Chłopak, wstrzymując oddech, podłączył jeden kabelek, po czym do naszych uszu dobiegł cichy dźwięk wydobywający się z małego pudełeczka.

– *Jak słyhać, tak.* – Odetchnął z ulgą, uśmiechając się zwycięsko. – *Mamy pół godziny.*

– *Tyle wystarczy.*

Kiedy znaleźliśmy się na górze, zamknęłam cicho drzwi do piwnicy.

Trzydzieści minut.

Zamknęłam oczy, kiedy zegar wiszący na ścianie odliczył trzy minuty. Trzy, a nie trzydzieści. Chłód, który poczułam na skórze, wstrząsnął mną dogłębnie. Zarzuciłam na siebie koc przewieszony przez oparcie krzesła, po czym podeszłam do ściany i podwyższyłam na panelu klimatyzacji ogrzewanie do dwudziestu czterech stopni.

Zamarzałam.

Spojrzałam na biurko, na którym dostrzegłam telefon stacjonarny. Zaciśnęłam zęby, zastanawiając się, czy warto. Po chwili jednak podeszłam do urządzenia i wybrałam dobrze mi znany numer.

– Halo? – usłyszałam po drugiej stronie.

Zebrałam w sobie wszystkie siły i licząc na to, że Fede uda się załatwić i tę sprawę, wyszeptałam:

– *Potrzebuję ubrań, zimno mi.*

– *Ogarnę sprawę.*

Rozłączyłam się.

Była to lekka ironia, jednak chciałam, aby było gorąco. Nienawidziłam zimna, a teraz, kiedy moje poparzone ciało stykało się z pokojowym powietrzem, odczuwałam chłód bardziej niż normalnie. Wszystko nadal mnie bolało. Tak samo jak wtedy...

Jęknęłam z bólu, unosząc powoli głowę. Obraz przed moimi oczami rozmywał się co kilka sekund, dlatego zaciśnęłam powieki i zmusiłam się, aby usiąść. Rozejrzałam się dookoła, czując, jak gorące powietrze dociera do moich nozdrzy. Atak kaszlu przerwał na moment wszystkie wykonywane przeze mnie czynności.

Kiedy nareszcie mogłam normalnie oddychać, zobaczyłam przed sobą płomienie. Wstałam, z przerażeniem dostrzegając, jak ogień szaleje po całym pomieszczeniu. Wybuchło za wcześnie..., uświadomiłam sobie.

– *Chloe!* – usłyszałam przeraźliwy krzyk, po którym nastąpiły dwa strzały.

Otworzyłam szerzej oczy, cofając się o kilka kroków. To było istne piekło. Ktoś zniemacka złapał mnie za ramiona. Odwróciłam się zdezorientowana i zszokowana, dostrzegając za sobą Louisa.

– *Musimy uciekać!* – wydarł się, na co otępiła pokiwałam głową.

– Chloe! – usłyszałam po raz kolejny krzyk, przez co spojrzałam w stronę, z której dobiegł. Nie mogłam tak tego zostawić.

– Nie mamy na to czasu – syknął Louis, ciągnąc mnie w stronę wyjścia, na co zacisnęłam pięści.

– On musi zginąć – powiedziałam jak w transie, ruszając w kierunku dochodzącego głosu.

– To się zaraz zawali! – Ostry ton Louisa zatrzymał mnie na moment.

– Uciekaj. – Sapnęłam. – Muszę się upewnić, że to wszystko nie pójdzie na marne.

Usłyszałam dźwięk otwieranych drzwi, przez co podskoczyłam lekko i niepewnie zaczęłam wpatrywać się w czujnik karty. Dopiero kiedy zaświecił się na zielono i do pomieszczenia wszedł Federico, odetchnęłam z ulgą. Chłopak rzucił na łóżko torbę, którą dałam mu przed wyjazdem, i skierował się do łazienki. Otworzyłam bagaż, po czym wyjęłam z niego swoje ubrania. Nie było ich dużo, a cała reszta spłonęła w Buenos Aires. Przez chwilę wpatrywałam się we wnętrze torby, w której miałam cały swój dobytek.

Wkrótce do pokoju wszedł Fede.

– Wracając, zamówiłem w recepcji kolację – poinformował mnie, odkładając przyniesioną apteczkę na stolik nocny. Wbił we mnie spojrzenie, na co tylko zacisnęłam zęby.

– Zaczynaj – szepnęłam w końcu.

Czas mijał, a ja co chwilę czułam, jak ból wypełnia wszystkie komórki mojego ciała. Syknęłam cicho, słysząc przeprosiny blondyna, kiedy zajmował się moim ramieniem. Rana nie była winą chłopaka, tym bardziej doceniałam jego gest. Cortez zgrabnie poradził sobie również z rozcięciem na nodze, zszywając je dokładnie. Spojrzałam na szafkę, zastanawiając się, czy na pewno to wszystko wytrzymam. Jedynym znieczuleniem była butelka z whiskey, którą przyniósł Fede i która była już trochę opróżniona. Nikt nie chciałby być szyty na żywca. Ponownie złapałam za szkło, ignorując spojrzenie Federica. Nie miał prawa mnie oceniać.

Kiedy usłyszeliśmy pukanie do drzwi, chłopak wstał i ruszył w ich kierunku, aby otworzyć. Obydwoje byliśmy strasznie głodni, dlatego na samą myśl o jedzeniu pod drzwiami ucieszyłam się jak dziecko. Jednak sekundę później cała radość zniknęła, a w jej miejscu pojawił się niepokój.

– Wiem, że ona tu jest – dotarł do moich uszu znajomy głos, na co zacisnęłam usta w wąską linię.

Nie musiałam długo czekać.

Kilka sekund później do pomieszczenia wpadła osoba, której nie spodziewałam się tu zobaczyć. Jeśli ktokolwiek oprócz niego wiedział, że tu byłam, już byliśmy martwi. Patrzył na mnie wzrokiem, którego nie mogłam znieść – było w nim wszystko. Jednym spojrzeniem omiótł moje całe ciało i lekko się skrzywił. Tak, skrzywił się. Nie byłam tą dziewczyną, którą znał i którą uwielbiał oglądać. W tym momencie wymierzył cios w ostatnie miejsce, które miałam siłę chronić – poczułam taki ucisk klatki piersiowej, że na moment zapomniałam, jak się oddycha. Spojrzałam obojętnym wzrokiem na Fede, który przyglądał nam się zaniepokojony. Uśmiechnęłam się słabo, kolejny raz łapiąc za butelkę i upijając duży łyk, palący moje poparzone już gardło.

Matteo Cortezie, chyba właśnie złamałeś moje serce.

– Ona potrzebuje lekarza. A nawet dziesięciu! – usłyszałam krzyk Matteo zza drzwi, przez które chwilę temu z lekkimi trudnościami przeszłam.

Nie chciałam, aby patrzył na mnie w ten sposób. Albo to ja nie chciałam go widzieć. Sama już nie miałam pewności, co mną kierowało.

Spojrzałam na swoje odbicie w łazienkowym lustrze i gdy tylko to zrobiłam, moją twarz wykrzywił grymas. Ja również nie mogłam na siebie patrzeć.

– Wiem – dobiegł mnie kolejny głos. – Ale nie możemy jej tam zabrać.

Przymknęłam powieki, czekając na wybuch Matteo. Federico był jego kuzynem, a tak mało o nim wiedział.

– Pojechało cię?!

No i nastąpił wybuch.

– Skończyłeś architekturę, a teraz studiujesz sztukę! Nie masz jebanego pojęcia, w jak poważnym jest stanie!

– Ale wiem, w jak poważnym niebezpieczeństwie będzie, kiedy się wychyli! – Ostry ton głosu Federica sprawił, że coś we mnie drgnęło.

Westchnęłam ciężko i otworzyłam drzwi łazienki. Wyszłam z pomieszczenia, od razu kierując się do swojej torby. Czułam na sobie dwa spojrzenia, które starałam się ignorować. Nie wytrzymałam jednak długo.

– Fede, zabierz go stąd – wychrypiałam w końcu.

Obecność Matteo sprawiała, że czułam się bardzo niekomfortowo. Nie byłam w stanie wysiedzieć w jednym pomieszczeniu z osobą, dla której byłam wszystkim. Jak miałam wytłumaczyć mu, że jego „wszystko” w tym momencie rozbite było na milion kawałków i nigdy, przenigdy nie będzie już tym samym, czym było kiedyś?

– Chloe... – Zaskoczony ton głosu Matta lekko mną wstrząsnął. Moje imię w jego ustach brzmiało tak obco...

– Jest bezpieczna, daj jej czas – szepnął Federico, jednak jego kuzyn nie zamierzał odpuścić.

– Dałem jej ponad miesiąc. – Sapnął. – Nie wiedziałem, gdzie jest, czy jest bezpieczna i czy żyje. Nie pozwolę jej znowu doprowadzić do takiej sytuacji. Nie pozwolę jej ryzykować własnego życia, gdy nie znam powodu. Chcę wiedzieć, co działo się z nią przez ten cały czas!

Odwrociłam głowę w stronę okna, próbując zagłuszyć nieprzyjemny ból głowy.

– Ma problemy z mówieniem. – Federico również nie odpuszczał, zaczynając się denerwować.

– Okej – wyszeptałam nagle, wbijając spojrzenie w Matteo. – O czym chcesz posłuchać? Jak prawie zostałam otruta cholera wie czym? Jak oglądałam roztapiające się gardło człowieka? Jak próbowałam wywalczyć sobie szacunek wśród ludzi Scotta, bo jego ochrona nie wystarczała? Jak słuchałam w wiadomościach o morderstwie senatora, wiedząc o tym tydzień wcześniej? A może o tym, jak podłożona bomba wybuchła za wcześniej, gdy byłam w budynku?

Broda Matteo co jakiś czas drgała. Nie chciał o tym słuchać, a musiał usłyszeć najgorszą rzecz. I naprawdę myślałam, że byłam gotowa wypowiedzieć ją na głos, jednak spojrzenie Federica sprawiło, że przystopowałam. Nawet on był zaskoczony tym, co powiedziałam. Ostatnia informacja dobiłaby ich obu.

– Nie chcesz o tym słuchać, Matteo – wyszeptałam. Łzy napłynęły do moich oczu, dlatego wbiłam wzrok w ścianę. – A ja nie chcę o tym mówić.

W pomieszczeniu zapanowała cisza. Czułam na sobie spojrzenie Matta, jednak nie miałam tyle odwagi, aby odwrócić głowę w jego stronę. Nie chciałam po raz kolejny dostrzec jego spojrzenia. Dla niego byłam skrzywdzona, złamana, poturbowana...

– Matteo, powinieneś iść. – Głos Federica przerwał ciszę.

Miałam wrażenie, że się rozpadam, a obecność Matteo tylko pogłębiała ten stan.

– Dla mnie nic się nie zmieniło – zaczął nagle, dezorientując mnie. – Nie było cię ponad miesiąc, a ja... przez cały ten czas czekałem. Z nadzieją, że pozwolisz sobie pomóc. Przez ostatnie lata mogłaś liczyć tylko na siebie, ale teraz stanowimy zespół. Nie jesteś sama.

Przymknęłam powieki, słuchając jego słów i czując, jak słone łzy moczą mi wargi. To był *on*. To był mój Matteo. Serce pękało mi na myśl, że ja po tym wszystkim nie byłam już jego Chloe.

– Nigdy cię o nic nie błagałem. Ale teraz błagam: pozwól mi sobie pomóc. – Głos drżał mu tak bardzo, że przeniosłam na niego spojrzenie.

Był bliżej, znacznie bliżej mnie. Jego lazuruwe oczy tonęły we łzach, niczym w oceanie. Patrzyłam na człowieka, który zachowywał się, jakbym umierała. Tak strasznie nie chciałam go ranić. Ale raniłam... Bo płakał. Matteo znajdował się obok mnie i płakał, na zmianę przepaszając i prosząc. A ja byłam zbyt słaba, aby wyrwać się z otępienia, w które wpadłam. Moje obumarłe serce nie chciało zabić, by dać nam nadzieję. Cierpiałam wewnątrz, ale przecież nie umierałam.

Byłam martwa, ale nie umierałam.

– Błagam, nie pozwól zrobić jej niczego głupiego – szepnął do kuzyna Matteo, widząc, że nic nie przynosi efektów i że zamykam się w sobie jeszcze bardziej niż wcześniej, a potem opuścił pokój.

Złapałam palcami pierścioneł, który od dłuższego czasu wisiał zawieszony na mojej szyi. Przyjmując go, usłyszałam obietnicę i złożyłam obietnicę. Mieliśmy zacząć od początku, na nowych zasadach. Tylko on i ja, razem przeciwko całemu światu.

Tylko czym były te obietnice i zasady po tym, jak cały świat stanął w płomieniach...?

Spojrzałam na zegar, odliczając kolejne trzy minuty. Trzy minuty, które stały się dla mnie ostatnią prostą przed przestąpieniem progu piekła. Zrezygnowana wstałam z łóżka i zarzuciłam na siebie hotelowy szlafrok. Powoli ruszyłam w kierunku kuchni, chcąc znaleźć coś, co pozwoliłoby mi zasnąć. Znieczulenie podczas szycia stało się wybawieniem. Potrzebowałam więcej, by zagłuszyć wspomnienia i sumienie, które nie dawały mi spokoju.

Kucnęłam przed dolną szafką, pełniącą funkcję barku, i otworzyłam ją, licząc, że znajdę w niej jakikolwiek alkohol. Drogie hotele uwielbiały rozpieszczać swoich gości trunkami, jednak tym razem spotkało mnie rozczarowanie.

– Schowałem je – usłyszałam za sobą głos.

Zacisnęłam zęby, po czym wstałam i się odwróciłam. Zmierzyłam spojrzeniem Federica, który stał w progu i założył ręce na klatce piersiowej.

– Jestem dorosła – przypomniałam mu z pretensją w głosie.

– A chcesz zachować się jak gówniara – rzucił niemal od razu. – Nie możesz pić, to szkodzi twojemu gardłu. Ledwo mówisz! Masz ochotę zacząć porozumiewać się teraz na migi?

– Z wielką radością – szepnęłam, bez żadnych oporów wystawiając przed siebie dłoń i pokazując chłopakowi środkowy palec. – Przekaz wystarczająco jasny?

Nie usłyszałam jednak żadnej odpowiedzi. Możliwe, że Fede również przeszedł na niewerbalną formę rozmowy, jednak niewiele widziałam, bo już stałam odwrócona do niego tyłem. Złapałam za karton soku jabłkowego i nalałam go do stojącej na blacie szklanki. Upiłam łyk napoju i skierowałam się w stronę sypialni.

– Nie wiedziałem. – Głos blondyna zatrzymał mnie, przez co ponownie odwróciłam się w jego kierunku. – Nie wiedziałem, że było aż tak źle. Byłem święcie przekonany, że przy nim jesteś bezpieczna.

– W takim razie byłeś jeszcze głupszy ode mnie – mruknęłam beznamiętnie, a z mojej twarzy zniknęły jakiegokolwiek emocje.

Ten temat sprawiał, że robiłam się obojętna. Zawsze. To było silniejsze ode mnie. Buenos Aires stało się wspomnieniem, które przychodząc, miało ze sobą pokazny kij bejsbolowy – każda wzmianka była jak uderzenie, przed którym nie potrafiłam się obronić.

– Powiesz mi, co dokładnie się tam wydarzyło? – Jego prośba brzmiała bardzo przekonująco.

– Nie mogę – wydusiłam z siebie, zaczynając się denerwować. *Uderzenie za uderzeniem...* – To mnie złamało, Federico. Zniszczyło doszczętnie, a nigdy nie sądziłam, że cokolwiek będzie w stanie to zrobić. – Poczułam, jak w moich oczach zbierają łzy. – Nie obarczę tym wszystkim nikogo więcej. Nie szukam rozgrzeszenia. – Powiedziawszy to, szybkim krokiem skierowałam się w stronę sypialni, zostawiając za sobą chłopaka, który z pewnością liczył na inną odpowiedź.

Zamknęłam za sobą drzwi i zrobiłam kilka głębokich oddechów, słysząc w głowie dwa strzały, jeden po drugim. A później ciszę, długą, głuchą ciszę.

Rozdział 13

CHLOE

Podobno kłamstwo powtarzane wielokrotnie potrafi stać się prawdą. Chciałam tego. Naprawdę cholernie mocno tego chciałam.

– Nic mi nie jest, Ethan – skłamałam, siląc się na normalny ton głosu, jednak z poparzonym gardłem nie było to łatwe. – Wszystko w porządku.

– Brzmisz jakoś inaczej – zauważył, na co przymknęłam powieki.

Kiedy tylko Federico przekazał mi, kto dzwonił do Matteo, złapałam za telefon, by zadzwonić do brata. Utwierdziło mnie to również w przekonaniu, że obaj byli w kontakcie. Kuzynostwo Cortez, oczywiście. Byłam tylko z Fede, a jednak Matteo wiedział dość dużo, zważywszy na fakt, że go tu nie było.

– Przeziębiam się – mruknęłam, stając przed lustrem w łazience. – Przecież powiedział ci, że pojechałam na wycieczkę. A pieniądze? Zgubiłam swoją kartę, musiałam użyć tej od ojca. Ethan, wszystko jest w jak najlepszym porządku.

Zacisnęłam dłoń na łazienkowym blacie, słuchając kolejnych niewygodnych pytań brata. Miałam tylko nadzieję, że moje odpowiedzi chociaż w pewnym stopniu go uspokoją. Zasługiwał na prawdę jak oni wszyscy, ale nie mogłam jej dać nikomu. Nikomu.

Kiedy zakończyliśmy rodzinną rozmowę o moich nieodpowiedzialnych wybrykach, odetchnęłam z ulgą. Poczucie winy nie dawało mi spokoju i wiedziałam, że jeszcze długo nie da. Razem z połamanym kręgosłupem moralnym zajęli miejsca w pierwszym rzędzie dramatu zwanego moim życiem i bawili się naprawdę dobrze.

– Za dużo gadasz – usłyszałam słowa dobiegające od strony drzwi, przez co przeniosłam wzrok na Federica, który łąził za mną bez przerwy, pilnując, abym nie postąpiła niewłaściwie. – Nie powinnaś się w ogóle odzywać, kiedy nie wiemy, jak będzie z twoim głosem.

Prychnęłam pod nosem, kręcąc głową. To przestało mieć znaczenie. Tak jak wszystko inne.

– Chrzańć to – powiedziałam szczerze, rozkładając ręce. – Już nie zatańczę. I tym bardziej nie zaśpiewam. Nie mam przyszłości. A wiesz dlaczego? – Wbiłam w niego swoje spojrzenie, jednak on się pod nim nie ugiął, tylko nieustępliwie wpatrywał się w moją twarz. – Bo jestem, kurwa, martwa. I tak pozostanie.

Zdenerwowana wyszłam z łazienki, kierując się w stronę kuchni. Nie potrzebowałam jego obecności. Trupy z reguły niewiele potrzebowały. Ktokolwiek miałyby mnie ścigać po śmierci Scotta, myślał, że zginęłam w nieszczęśliwym wypadku, ataku, porachunkach... zwał jak zwał. Jakąkolwiek wersję by przyjęli, nie mieli żadnych dowodów na to, że przeżyłam. Pozbywając się swojej przeszłości, zapewniłam ją wszystkim swoim bliskim.

– Dzwonił Logan.

Zatrzymałam się na dźwięk imienia przyjaciela. Powoli oparłam dłonie o blat, czując, jak zaczyna brakować mi powietrza.

Fede spokojnym krokiem wszedł do pomieszczenia i oparł się o ścianę przede mną.

– Nie mogą dotrzeć do Matteo.

– Wiedzą o mnie? – szepnęłam, powoli tracąc grunt pod nogami.

– Chyba nie – mruknął niepewnie. – Nie wiedzą, co go trapi, a mój numer był jednym z niewielu ostatnio wybieranych w jego telefonie.

– To dobrze. Jest dobrze – westchnęłam, siląc się na uśmiech.

Oni nie mogli wiedzieć...

– Chloe, musisz się z nimi spotkać – odparł Federico.

Zaskoczył mnie swoimi słowami. Ukrywałam się, dlatego dość nierozsądnym postępowaniem byłoby skontaktowanie się z dosyć dużą grupą znajomych. To zaprzeczało całej idei.

– Widziałem, ile czasu poświęcili, aby cię znaleźć – dodał. – Nie zasługują na to, co teraz robisz.

Spojrzałam uważnie na blondyna, który zarzucał mi, że swoim zachowaniem krzywdziłam przyjaciół. Poczułam nagle wielką blokadę w głowie. Nawet jeśli bym się z nimi spotkała, co miałabym im powiedzieć? Nie potrafiłam znaleźć słów, które chciałabym im przekazać. Nic już nie wyglądało tak samo. Nie mogliśmy usiąść wspólnie w stołówce jak kiedyś. Wszystko pozmieniało się tak bardzo, że nie wiedziałam nawet, czy jestem tą samą osobą, którą znali.

– Chloe, uwierz, to pomoże wam wszystkim – nalegał.

– Naprawdę? Kółko wzajemnego wsparcia nam pomoże? To właśnie przez naszą przyjaźń podejmowałam decyzje, które mnie raniły. Dla Matteo robiłam rzeczy, które doprowadziły mnie do tego miejsca. Widziałeś, jak na mnie patrzył? Nie jestem już jego Chloe, nie jestem osobą, która coś dla niego znaczyła. Sama nie czuję się sobą.

Na moment zapanowała cisza. Przez umysł przeleciały mi wszystkie mądrości Scotta, które uznawałam za głupie gadanie. Jednak im dłużej nad nimi myślałam, dochodziłam do potwornego wniosku: Lewis mnie znał. Choćbym chciała zapierać się przed tym rękami i nogami, taka właśnie była prawda.

– Scott miał rację – rzuciłam beznamiętnym głosem w przestrzeń przed sobą. – Mam kompleks bohatera: próbuję ratować wszystkich dookoła, bo nikt nie potrafił uratować mnie i moich bliskich kilka lat temu. A przecież na świecie co chwilę zdarzają się złe rzeczy, więc dlaczego ja uparcie próbuję im zapobiec?

– Nie nadaję się do takich rozmów. – Federico nie ukrywał, jak niekomfortowo czuje się w tym momencie, na co uśmiechnęłam się lekko.

– Wiem. Dlatego mówię to właśnie tobie. Nie będziesz mnie głupio pocieszał – szepnęłam, ruszając w stronę sypialni.

Fakt, że Lewis miał rację, powodował, że czułam furję. Znał mnie lepiej, niż ja znałam samą siebie, a mimo to nie spodziewał się, że to ja będę tą osobą, która go zabije. Nasuwało się tylko pytanie, czy była to kwestia jego zaufania, czy nieznamości mojej mrocznej strony, którą sama właśnie poznawałam, jeszcze nigdy nie dotarłam do tak ciemnej części swojego umysłu. Wolałam chyba myśleć, że jednak mnie nie znał. Fakt, że mogłam pozbawić życia kogoś, kto przejrzał mnie na wylot, troszczył się o mnie i mi ufał, sprawiał, że zaczynałam mieć wyrzuty sumienia.

Kolejnego dnia, nad ranem obudził mnie okropny ból głowy. Jęknęłam, próbując się podnieść i sięgnąć po szklankę z sokiem. Załedwie sekundę później usłyszałam dźwięk rozbijanego szkła. Przekląłam pod nosem, przyciskając dłoń do czoła. Wzięłam kilka głębokich wdechów, starając się w taki sposób usmierzyć ból – ból ostry, nagły i rozdzierający, którego zaczęłam doświadczać po wybuchu. Złagodzenie go zajęło trochę czasu, kiedy jednak całkowicie minął, odetchnęłam z ulgą.

Zebrawszy się w sobie, aby wstać, powoli podniosłam się do pozycji siedzącej. Spokojnym krokiem wyszłam z sypialni, kierując się do kuchni po coś do picia. Jednak moment, w którym

przestąpiłam próg oddzielający mój pokój i salon, był momentem, w którym żałowałam, że zaufałam Federicowi.

– Naprawdę? – warknęłam, patrząc na niego z nienawiścią w oczach.

On tylko spojrzał w sufit, unikając odpowiedzi.

Nie wiem, co czułam. Chyba zrobiło mi się duszno. Nie było w tym nic dziwnego, w końcu w hotelowym salonie, oprócz mnie i Federica, znajdowało się jeszcze pięć osób. Czułam na sobie pięć par oczu i nie miałam pojęcia, co zrobić. Nigdy bym nie pomyślała, że niecałe dwanaście godzin później, po rozmowie z Fede na ich temat, on sprowadzi ich do hotelu.

– Słabo wyglądasz – odezwał się w końcu ktoś, po kim się tego spodziewałam; tylko właściciel tego głosu miałby w sobie tyle odwagi, aby przerwać panujące w pokoju milczenie.

Spojrzałam na Bena ze słabym uśmiechem na ustach.

– Bywało gorzej – szepnęłam, czując coś dziwnego w środku, jakby przyjemnego, a jednocześnie rozdzierającego. Nie potrafiłam jednak określić, co to było.

– Na przykład wtedy, kiedy myśleliśmy, że jesteś martwa. – Gorzki głos Zacka rozniósł się po pokoju.

Odwrociłam wzrok od niezapowiedzianych gości, wbijając go w ścianę. Nie mogli odpuścić. Nic nie wiedzieli, a byli pierwsi do roztrząsania tego tematu. Jak widać, szczególnie Zack miał mi za złe to, jak postąpiłam. Nie czułam do niego o to żalu. Zasługiwałam na każdą, nawet najokropniejszą reakcję w tej konfrontacji.

– Koniec interwencji – zarządziłam w końcu, odwracając się na pięcie i ruszając w stronę sypialni, w której chciałam się zamknąć i poczekać, aż wszyscy stąd wyjdą.

Nie tak miało to wyglądać. Federico zabrał mi możliwość zadecydowania, w jaki sposób i na jakich warunkach chciałam pogodzić się z własną przeszłością. Pozbawił mnie tego, czego w tym momencie potrzebowałam najbardziej: wyboru.

– Znowu to robisz! – usłyszałam za sobą krzyk, przez który wstrząsnął mną dreszcz. – Uciekasz. Nie to obiecywałaś.

Wzięłam głęboki wdech, cofając się i zwracając ku przyjaciółom. Spojrzałam z zaciętą miną po twarzach zebranych, zatrzymując spojrzenie na Matteo. Jego oczy kruszyły każdy fragment mojej duszy i naprawdę zaczęłam nienawidzić tego spojrzenia.

– Nie wiem, co obiecała wam tamta Chloe... Co obiecała tobie – szepnęłam wprost do niego, czując wyjątkowo mocny ból gardła. – Ale jej już nie ma.

– Wmawiasz to sobie. – Matteo wstał z fotela. – Obwiniasz się o wszystko, a zrobiłaś to, co należało.

Uśmiechnęłam się ironicznie pod nosem, słuchając jego słów.

– Nie wiecie, co zrobiłam. – Westchnęłam, zamykając oczy.

Dwa strzały.

I kolejne dwa.

A po nich długa, głucha cisza...

– Więc nam powiedz. Zrób cokolwiek oprócz ukrywania się. – Matteo wpatrywał się we mnie błagalnym wzrokiem.

Zamrugałam kilka razy, zerkając na Zacka, który nieustępliwie mierzył mnie spojrzeniem. Czułam się, jakbym była naga, i chociaż wiele z ran było ukrytych pod ubraniem, odnosiłam wrażenie, jakby widział je wszystkie – zarówno te na ciele, jak i na duszy. Ben... Gdyby nie powaga sytuacji, powiedziałabym, że ktoś go podmienił. Wiecznie uśmiechnięta twarz była teraz ponura, a w jego oczach błąkało się niezrozumienie. Nie rozumiał? Nie był w tym sam, bo Alec skakał

spojrzeniem to na mnie, to na Matta, starając się połapać w tej chorej rozmowie. Tylko Logan na mnie nie patrzył. Z lekko opuszczoną głową wpatrywał się w swoje dłonie, które miał położone na udach. Musiał wyczuć, że go obserwowałam, bo wyprostował się i wtedy nasze spojrzenia się spotkały.

A ja rozumiałam: on wiedział. Logan wiedział, co zrobiłam, a ja już wiedziałam, że on wiedział.

Nieprzyjemny dreszcz wstrząsnął moim ciałem, gdy zorientowałam się, że nie było to już dłużej moją tajemnicą. W wyrazie twarzy przyjaciela było jednak coś, co sprawiło, że nieprzyjemny ciężar uciskający moją klatkę piersiową osłabł. Logan Grayson, osoba o niemal niezachwianym kręgosłupie moralnym, która zawsze starała się postępować słusznie, przyjęła ten fakt ze zrozumieniem; dostrzegałam je w jego oczach.

– Ulży ci, gdy powiesz to na głos – szepnął, kiedy nasz kontakt wzrokowy zaczął się przeciągać.

Przymknęłam powieki, pozwalając porwać się ciemności. Widziałam wszystko jeszcze raz. Wspomnienia przeleciały mi przez umysł w zaledwie dwie sekundy. Kiedy otworzyłam oczy, wszyscy patrzyli na mnie wyczekująco. Był tylko jeden sposób, aby odeszli: prawda.

– Wybuchła za wcześnie – powiedziałam w końcu, przenosząc wzrok na Federica. – Bomba, którą zakupiłam w tajemnicy przed Scottem od jednego z jego dostawców. Wybuchła za wcześnie. – Zamarłam, słysząc, jak niestabilnie brzmi mój głos. – Gdy się ocknęłam, padły dwa strzały. Scott, w szale gniewu i poczuciu zdrady, zastrzelił Andera i Conora. Tak po prostu – przerwałam, zauważając, że szczeka Federica drgnęła. – Później zastrzelił Louisa. A następnie ja, w całym tym rozpętanym piekle, zastrzeliłam Scotta.

W pokoju zapanowała idealna cisza. Nikt się nie odezwał, każdy w milczeniu analizował moje słowa, którymi wydałam na siebie wyrok. Już wiedzieli, dlatego mogli odejść. Wiedzieli, a od tego nie było odwrotu.

Prawda nie była czymś, o czym można ot tak zapomnieć.

Siedziałam na fotelu oddalonym kilka metrów od przyjaciół. Wpatrywałam się tępo przed siebie, słuchając ich dyskusji. Nie miałam pojęcia, jak przekazać im, że to, co usłyszeli, nie było najgorszą informacją, którą powinni się przejmować. Spojrzałam na Federica, który teraz upierał się, że nie mogę jechać do szpitala. Nie mówił jednak dlaczego, stąd wywiązała się ta zaciekle dyskusja. Fede zatajał przed nimi informacje i działał dla mojego dobra, a oni nie potrafili tego zrozumieć.

– Powiedz im, Fede – mruknęłam w końcu, przez co spojrzenia zebranych przeniosły się na moment na mnie.

Blondyn spojrzał niepewnie, pochodząc bliżej.

– Jesteś pewna? Nie będzie odwrotu – szepnął tak, bym tylko ja usłyszałam jego słowa.

– Nie ma odwrotu, odkąd zorganizowałeś tu spotkanie towarzyskie – rzuciłam niezadowolona, przypominając sobie, jak cholernie zła byłam na tego faceta.

Kiedy chłopak lekko się odsunął, poczułam na sobie mordercze spojrzenie Matta. Próbowałam je zignorować, jednak niebieskooki nie zamierzał odpuścić.

– Ona też? – warknął do kuzyna.

Federico zmarszczył brwi, nie rozumiejąc jego pytania, które nie miało nic wspólnego z tematem, na który rozmawialiśmy. Wszyscy byliśmy nim zaskoczeni.

– Ją też chcesz mi zabrać?

Starszy blondyn parsknął śmiechem, chowając twarz w dłoniach.

– Masz paranoję – mruknął, siadając na kanapie i opierając się o zagłówek.

– A ty ewidentnie masz coś do niej – syknął Matteo, zaczynając się denerwować.

Spojrzałam błagalnym wzrokiem na Logana, jednak ten zaprzeczył ruchem głowy. Jeśli ktokolwiek czegoś nie zrobi, pozabijają się.

– Pomogłeś jej zniknąć. Byłeś u niej w Buenos Aires. To z tobą skontaktowała się, kiedy wróciła. Dlaczego? – warknął Matt, wpatrując się nienawistnym spojrzeniem w kuzyna.

Przymknęłam powieki, aby pomyśleć, i chyba w tym samym momencie Matteo rzucił się na Federica, ponieważ kiedy otworzyłam oczy, zauważyłam ich na podłodze.

– Matteo! – krzyknęłam pretensjonalnie, wstając. Gardło zapiekło mnie nieprzyjemnie, przypominając, że nie było w najlepszym stanie.

Na nic jednak zdały się nasze próby rozdzielenia mężczyzn. Nienawiść aż kipiała z Matteo, a Federico zdawał się mieć dosyć wiecznych oskarżeń. Między nimi od dawna istniała niezgoda i chyba właśnie w tej chwili szala goryczy została przelana. Moja również.

– Udaję martwą, bo inaczej was zabiją! – Mój wyjątkowo donośny wrzask rozniósł się po całym pomieszczeniu. Poczułam, jak do moich oczu mimowolnie cisną się łzy, i odruchowo złapałam się za szyję. Nie wiem, czy było to spowodowane tym, że powiedziałam to w końcu na głos, czy tym, że poczułam, jak moje gardło pali żywym ogniem.

Ignorując przyjaciół, skierowałam się w stronę kuchni. Nalałam do szklanki wodę i powoli ją wypijałam, starając się złagodzić pieczenie.

– W porządku? – usłyszałam za plecami głos Zacka, który wszedł za mną do kuchni.

Zaprzeczyłam ruchem głowy, odkładając szklankę na blat. Kiedy spojrzałam na chłopaka, poczułam dziwne ukłucie w sercu.

Zack... Mój wiecznie uśmiechnięty i radosny Zack teraz wyglądał tak, jakby ktoś zabrał mu całe to szczęście, które posiadał.

Szczęście..., pomyślałam i zamrugałam kilka razy, coś sobie uświadamiając. Szczęście Zacka było wiecznie podrasowywane. Przełknęłam z trudem ślinę, zastanawiając się, czy naprawdę chciałam to zrobić. Ostatnim razem zatrzymałam się w ostatnim momencie, stojąc już prawie na krawędzi. Czy chciałam próbować ponownie testować swoje granice?

– Wszystko mnie boli – jęknęłam w stronę przyjaciela, nie ukrywając bólu na swojej twarzy. Był prawdziwy. – Federico zabrania mi znieczulać się alkoholem, schował wszystkie butelki. A mnie tak cholernie wszystko boli: zewnątrz i wewnątrz. – Spojrzałam na Zacka, na którego twarzy malował się wyraz czystego współczucia. – A wiem, że ty masz... – Zamilkłam, kręcąc nagle głową. – Nieważne.

– Ważne, Chloe – zareagował od razu. – Jeśli tylko mogę coś dla ciebie zrobić, aby ci pomóc, nie wahaj się prosić.

Uśmiechnęłam się delikatnie, chociaż w duszy czułam, że to kolejny krok do mojego upadku.

– Wiem, że masz vicodin – szepnęłam cicho, aby przypadkiem nikt z obecnych w salonie mnie nie usłyszał. – Gdybyś mógł załatwić mi kilka tabletek...

Właśnie zrobiłaś kolejny krok po schodach na samo dno, Chloe.

Zack westchnął ciężko, jednak pokiwał głową na znak, że się zgadza.

– Daj mi godzinę. Postaram się zdobyć tyle, ile to możliwe.

Gdy znaleźliśmy się w salonie, przyjaciel poinformował tylko resztę chłopaków, że musi coś załatwić, i bez chwili zwłoki wyszedł, wyciągając po drodze telefon z kieszeni. Po jego wyjściu pięć par oczu padło na mnie. Nie wiedziałam, co powinnam ze sobą zrobić. Powiedziałam wszystko. I już nic nie zależało teraz ode mnie.

– Znajdziemy rozwiązanie. – Logan uśmiechnął się lekko, starając się mnie pocieszyć. – Musi być na to jakiś sposób.

– Nie jestem chora, tylko stanowią zagrożenie – wychrypiałam poirytowana.

Nie potrzebowałam współczujących słów i litościwych uśmiechów. Skoro Federico zapewne wyjaśnił im, o co teraz toczyła się gra, powinni wiedzieć, w jak wielkim niebezpieczeństwie się znajdują.

– I znowu to samo... – westchnął Ben. – My chcemy chronić ciebie, a ty nas. Dokąd nas to wszystkich doprowadziło? Ty zniknęłaś bez słowa i prawie wybuchłaś, a my, nieosobiście, złamaliśmy co najmniej setkę przepisów o cyberprzestępczości. Siedzi w tym już nawet mój ojciec. Pakujemy się w to dalej?

Zacisnęłam pięści, nie mogąc zaprzeczać prawdzie: Ben miał rację, cokolwiek bym nie myślała. Zawsze staraliśmy się chronić się wzajemnie, co w ostateczności raniło którąś ze stron.

– Lewis nie żyje. Ten problem mamy z głowy – zaczął Alec. – Ale przed tobą był pewnie inny beta, lub była. Przynajmniej jakaś beta musiała być, tak to chyba działa. Scott musiał mieć zabezpieczenie, zanim pojawiłaś się tam ty. Więc teraz możemy udawać, że nie żyjesz, a wtedy beta... nie, nie beta... alfą zostanie ktoś inny – odparł z wyraźną nadzieją w głosie.

Pierwsza część pomysłu była naprawdę dobra, dlatego sama wprowadziłam ją w życie. Udawałam martwą, aby nikt mnie nie szukał i siłą nie ściągał cholera wie gdzie. Problem stanowił jednak drugi fragment planu.

Przygryzłam wargę, odwracając wzrok od zadowolonego chłopaka.

– To chyba nie będzie możliwe – szepnęłam, walcząc ze wspomnieniami rojącego się w mojej głowie.

Ben spojrzał na mnie zaskoczony, wymuszając, bym popatrzyła również na niego. Kiedy to zrobiłam, rozłożył ręce, a jego pełne niedowierzania oczy otworzyły się szerzej.

– Pieprzysz. Jego też zabiłaś? – rzucił, przez co dostał z łokcia od siedzącego obok Logana.

– Nie ja, Scott – warknęłam, próbując się bronić i wymazać z pamięci widok martwego mężczyzny z tatuażem na twarzy. – Zabił Javiera z mojego powodu, jednak byłam zbyt otumaniona i przerażona, aby wtedy rozumieć, co się dzieje.

Krzesło zaszurało. Matteo wstał od stolika i podszedł do okna, odwracając się do nas tyłem. Nie mógł mnie chronić i to chyba bolało go najbardziej.

– To jesteśmy w dupie – podsumował Alec, swoimi słowami powodując, że atmosfera w pomieszczeniu zrobiła się nie do wytrzymania.

– Jakoś to naprawię – szepnęłam, nie wiedząc, kogo starałam się pocieszyć: siebie czy ich.

– Naprawimy – poprawił mnie Logan. – Praktycznie rzecz biorąc, to my zaprosiliśmy cię do klubu, gdzie poznałaś Scotta.

– Ale żaden z was nie kazał mi się z nim poznawać – mruknęłam, znowu czując nieprzyjemny ból głowy.

Wspomnienia nie działały na mnie dobrze. Gdybym mogła, cofnęłabym się o te półtora roku i nigdy, przenigdy nie popełniła tego błędu.

Po raz kolejny przewróciłam się na drugi bok, starając się zasnąć. Nie było to łatwe, bo myśli eksplodowały w mojej głowie, jedna za drugą. Ratowałam się lekami od Zacka, które chłopak dostarczył mi w naprawdę szybkim tempie. Nie chciałam nawet pytać, skąd miał takie znajomości i jakim sposobem był w stanie zdobyć tyle leków. Byłam wdzięczna, że je od niego dostałam. Nic więcej nie miało znaczenia.

W próbie zaśnięcia nie pomagał nawet fakt, że za ścianą, w drugim apartamencie, spali przyjaciele, którzy nie chcieli odstąpić mnie na krok. Zaczynałam coraz bardziej obawiać się o bezpieczeństwo nas wszystkich – nie byli w odpowiednim miejscu, skoro ja znajdowałam się tuż obok. Byłam zagrożeniem, które na wszelki wypadek powinno trzymać się od nich z daleka.

Podniosłam się spokojnie, po czym usiadłam na łóżku i złapałam za komórkę. Przez dłuższą chwilę zastanawiałam się nad wybraniem tego numeru, jednak wiedziałam, kto mógł mi pomóc – ktoś, kto miał wpływy i pozycję, aby doszukać się szczegółów, których my nigdy byśmy nie odkryli. Nie miałam jednak wyboru. Po raz kolejny potrzebowałam jego ratunku.

– Chloe? – usłyszałam zaskoczony ton głosu mężczyzny, kiedy odebrał ode mnie telefon.

– Hej – szepnęłam, starając się zebrać myśli. – Mam kłopoty...

Minęło dziesięć minut. Tylko dziesięć minut, odkąd zakończyłam rozmowę z Ethanem. Zarzuciłam na ramię torbę, po czym powoli otworzyłam drzwi sypialni. Rozejrzałam się dookoła, skupiając wzrok na śpiącym na kanapie Federicu. Powolnym krokiem ruszyłam w stronę wyjścia z apartamentu, starając się nie obudzić blondyna. Nikt nie mógł mnie widzieć, bo raczej nie przekonałabym ich, aby trzymali się z daleka i za mną nie szli. Po raz kolejny podejmowałam taką decyzję i jak za każdym razem nie była ona łatwa. Niezależnie od tego, jak bezpiecznie czułam się w ich towarzystwie, wciąż byłam dla nich zagrożeniem. Do czasu rozwiązania problemu musiałam zostawić ich bez słowa. Po raz enty.

Kiedy po cichu zamknęłam za sobą drzwi główne, odetchnęłam z ulgą. Mimo to czułam, jak adrenalina w moim organizmie zaczyna się podnosić.

– Wiedziałem – usłyszałam znajomy głos, na którego dźwięk zamarłam.

Przyłapał mnie.

Odróciłam się powoli w stronę chłopaka, nie wiedząc, jak powinnam się zachować.

– Nie rozumiesz – zaczęłam, podejmując próbę wytłumaczenia swojego zachowania.

Na twarzy Matteo pojawił się grymas niezadowolenia. Nie istniało wyjaśnienie, które nie byłoby bolesne. Wciąż to samo: odchodziłam, zostawiałam go, opuszczałam...

– Nie rozumiem? Czego? Tego, że uciekasz? – Matteo zaśmiał się gorzko. – Znowu? Doświadczyłem tyle razy twojego zniknięcia, że byłbym idiotą, wierząc, że teraz zostaniesz – powiedział tak obojętnym głosem, że przeszedł mnie dreszcz.

Tak cholernie się zmieniliśmy. Życie tak strasznie nas skrzywdziło. Cofając się wspomnieniami do naszego pierwszego spotkania, pocałunku czy wspólnie spędzonych nocy, mogłam śmiało stwierdzić, że mogliśmy mieć wiele. Naprawdę mogliśmy mieć wszystko. A zostaliśmy z niczym.

– Masz rację... Nie zostanę – odpowiedziałam krótko i zbijając w siebie wszystkie siły, odróciłam się na pięcie, po czym ruszyłam przed siebie korytarzem.

– A co z nami? – Głos chłopaka przyjął lekko dramatyczny ton.

Zatrzymałam się, wstrzymując powietrze. Tak bardzo nie chciałam usłyszeć tego pytania. Wiedziałam, co powinnam zrobić, jednak to zniszczyłoby mnie doszczętnie. Nie mogłam być jednak egoistką po tym wszystkim, co dla mnie zrobił. I chociaż jego osoba była jedynym spoiwem, które trzymało moje serce w całości, musiałam je rozbić, aby jego mogło wciąż bić.

Odróciłam się w kierunku Matteo i dostrzegłam na jego twarzy wahanie. Powoli ruszyłam do niego, zdejmując z szyi naszyjnik. Złapałam za pierścionek, przyglądając mu się z wielkim bólem w sercu. Kiedy stanęłam naprzeciwko Corteza, na jego twarzy pojawił się lekki uśmiech, przez co poczułam się jeszcze gorzej. Nie zasługiwał na to. A ja nie zasługiwałam na niego.

Po chwili wahania złożyłam na jego ustach delikatny pocałunek, przez co blondyn z wielką ostrożnością przyciągnął mnie do siebie. Po moich policzkach zaczęły spływać łzy, których nie

potrafiłam zatrzymać. Przed oczami przeleciało mi tyle wspomnień, które sprawiały, że czułam się jeszcze gorzej ze swoim wyborem.

Zasługiwaliśmy na więcej. Powinniśmy być szczęśliwi.

Bez zwlekania wcisnęłam w dłoń Matta łańcuszek z zawieszką, zamykając na nim jego palce, i odsunęłam się od chłopaka.

– Przepraszam – wydusiłam z siebie, widząc, jak na jego twarzy pojawia się wyraz zaskoczenia, a po chwili przerażenia, kiedy zorientował się, co trzyma w dłoni.

Nie mogłam tego dłużej wytrzymać. Odwróciłam się i prawie biegiem skierowałam się do windy. Kiedy jej drzwi się zamknęły, a zszokowany Matteo zniknął mi z oczu, oparłam się o ścianę, starając się uspokoić.

Będę się za to smażyć w piekle.

Rozdział 14

CHLOE

Spadałam. I choć próbowałam się ratować, każdy czyn sprawiał, że spadałam z jeszcze większą prędkością. Mój upadek zdawał się nieunikniony i nie istniał żaden sposób, aby mu zapobiec. Byłam skazana na konsekwencje swoich decyzji, które podejmowałam lekkomyślnie, nie zdając sobie sprawy, jak wielkie będą miały one znaczenie. Błędy, które ciążyły na mojej duszy, stały się częścią mnie. Potrafiłam wymieniać je jak litanie.

Śmierć mamy. Co w jej wypadku mogło być moim błędem? Wszystko. Może denerwowałam ją tak bardzo, że postanowiła wyruszyć w kolejną trasę, chociaż nie musiała. Może rządziłam się pieniędzmi tak, że czuła się zmuszona zarobić więcej. Może za mało nalegałam, aby została i nie zostawiała nas na tak długo. Może za mało pokazywałam, jak bardzo ją kocham i jak bardzo jej potrzebuję w moim życiu.

Wyjazd Ethana. Postanowił wyjechać po śmierci mamy, jednak przyczyn mogło być wiele. Może zostałam zbyt wielką egoistką i zapomniałam, że zawsze byliśmy nierozłączni. Może skupiona na sobie nie dałam mu wystarczającego wsparcia, którego ode mnie oczekiwał. Może poznanie Lorein i przejście od niej pewnych wzorców zachowań sprawiło, że przestał widzieć we mnie osobę, którą kochał, i chciał zniknąć, bym i ja zniknęła mu z oczu.

Ojciec i Carmen. Życie pod jednym dachem stało się dla nas koszmarem, który sama zapoczątkowałam. Może powinnam mieć więcej wyrozumiałości w stosunku do ojca, który szukał pocieszenia po odejściu Lily. Może nienawiść do Carmen, której jeszcze nie znałam, była zbyt gwałtowna. Może szczęście tej dwójki tak bardzo mnie drażniło, ponieważ naiwnie myślałam, że ojciec powinien do końca życia zostać sam, bo tylko w taki sposób oddałby należny szacunek swojej zmarłej żonie a mojej mamie. Ale przecież miał własne życie, które toczyło się dalej. Życie, z którego chciał korzystać i w którym chciał, abym uczestniczyła. Nie zrobiłam tego. Odcięłam się. Postanowiłam ich nienawidzić.

Moja naiwność. Naiwnie wierzyłam, że jestem panią swojego losu i mam prawo do wszystkiego, co tylko sobie wymyślę. Uważałam, że wszystko było mi wolno, a zasady były po to, aby je łamać. Bawiłam się życiem, nie czując żadnych wyrzutów sumienia, żadnego poczucia winy.

Gra w miłość. Pozwoliłam zrobić z miłości grę. Z pięknej miłości, która powinna uskrzydlać, zrobiłam brudną grę, która nie miała nic wspólnego z pięknem. Udawaliśmy, kłamaliśmy, oszukiwaliśmy się wzajemnie. A może gdybyśmy z Matteo poznali się nieco bliżej, tak po prostu, wszystko zadziałałoby inaczej. Może gdybym naprawdę odrzuciła styl życia z Newcastle i wytrwała w swoim postanowieniu, Matteo zainteresowałaby się mną jak zwykły mężczyzna normalną kobietą. Może trafilibyśmy na siebie mimo wszystko, bez obłudy i fałszu, w których się pogubiliśmy.

Scott. Scott Lewis i wszystkie problemy, które spadły na nas przez niego. Człowiek niebezpieczny i groźny, z obsesją na moim punkcie. Może gdybym nie była taka lekkomyślna, udałoby mi się uchronić nas wszystkich przed jego osobą. Może gdybym nie szukała zabawy, nie znalazłabym również problemów. Gdybym mogła cofnąć czas, postąpiłabym całkowicie inaczej.

Nigdy nie podeszłabym do tego człowieka, nigdy nie pozwoliłabym nam się poznać. Byłabym mądrzejsza i oszczędziłabym nam naprawdę wielu kłopotów.

Problem tkwił jednak w tym, że nic nie wiedziałam – ani wcześniej, ani w tym momencie. Nie znałam jeszcze prawdy, nie pamiętałam tylu rzeczy, a wspomnienia tych wydarzeń zbladły za sprawą dużej ilości alkoholu i narkotyków. Nie wiedziałam, że nie uniknęłabym osoby Scotta w Nowym Jorku.

Dlaczego? Bo poznaliśmy się jeszcze przed moim wyjściem do klubu. Bardzo dawno, dawno temu...

Rozdział 15

MATTEO

Leżałem wygodnie na materacu, kiedy zauważyłem, że siedzący na swoim łóżku Zack non stop przygląda mi się z miną, jakby próbował mnie rozgryźć. Wyjąłem z ucha słuchawkę i posłałem mu wyczekujące spojrzenie, jednak chłopak się nie odzywał. Zirytowany wstałem i skierowałem się do wyjścia, zaciskając zęby.

– Matt. – Głos współlokatora mnie zatrzymał, przez co obejrzałam się na niego przez ramię. – Powiesz mi, co się wydarzyło?

Prychnąłem pod nosem, wychodząc z pomieszczenia. Co niby miałem mu powiedzieć? Że zachowałem się jak ostatni idiota, dając się pocałować, a po chwili zostawić? Te słowa nie przeszłyby mi przez gardło. Niezależnie od tego, jak wyglądała sytuacja, nikt nie mógł poznać prawdy.

Zszedłem do salonu bractwa, gdzie na kanapie siedzieli Ben i Logan. Ciekawym zjawiskiem było obserwowanie ich razem. Po wielu bitwach i wielkiej wojnie dwóch przyjaciół chyba zaczynało się dogadywać.

– Jakie plany na dziś? – Wyszczrzyłem zęby, rzucając się na fotel naprzeciwko znajomych.

Spojrzeli na mnie zaskoczeni, po czym zerknęli na siebie ukradkiem.

– Za dwa dni egzaminy – zauważył Logan, wskazując na książkę, którą aktualnie czytał. – Uczymy się.

– Amy też się uczy? – zapytałem, dezorientując tę dwójkę. – No co? Jestem ciekawy, czy uczyła się na bieżąco, czy Logan ją rozpraszał.

Ben zacisnął usta, wpatrując się we mnie ze złością. Uśmiechałem się na sam widok niezadowolenia na jego twarzy.

Logan wziął głęboki oddech, po czym cicho mruknął:

– O co ci chodzi?

– Opuść. – Spokojny ton głosu Bena zdeorientował nas obu. Logan niepewnie spojrzał na przyjaciela, który cały czas wpatrywał się we mnie. – Chloe zniknęła, a on znowu jest dupkiem – dodał, a ja, usłyszawszy te słowa, zamarłem w bezruchu i zmroziłem go spojrzeniem pełnym nienawiści. – No co? Mówię nieprawdę?

Zdenerwowany wstałem i podszedłem do przyjaciela.

– Pojęcia nie masz, o czym mówisz – syknąłem, na co Ben również wstał.

– Jak to jest Matteo, że tylko dziewczyna potrafi ratować cię przed twoim najgorszym obliczem? Że tylko Chloe powstrzymuje cię przed psuciem wszystkiego, czego się dotkniesz?

Nawet nie wiem, kiedy się zamachnąłem. *Co ja najlepszego, kurwa, wyprawiam?*, pomyślałem, ale było już za późno. Jednak... Ben nie miał racji: Chloe nie powstrzymywała mnie przed samym sobą, potrafiłem robić to sam. Jego morda sama prosiła się w tym wypadku o cios.

Gdy kumpel opadł na kanapę, a z jego nosa wypłynęła strużka krwi, rozejrzałem się dookoła. Kilku studentów się nam przyglądało, a ci mniej odważni udawali, że nic się nie wydarzyło. Spojrzałem na drwiącą minę obitego chłopaka i gdyby nie fakt, że nie byliśmy sami, uderzyłbym go jeszcze raz za spojrzenie, którym mnie obdarzył. Bo ono wyrażało wszystko, czego w sobie nienawidziłem, i było mi cholernie ciężko funkcjonować normalnie, widząc ten cholerny uśmiech

zwycięstwa. Zdenerwowany bez słowa skierowałem się w stronę swojego pokoju, chcąc zostać sam.

Kiedy wszedłem do sypialni, trzasnąłem głośno drzwiami. Zack wypadł zaskoczony z łazienki, a ja na jego widok przekląłem pod nosem. Zapomniałem, że tu był. Cholera, dlaczego w tym momencie, gdy chciałem być sam, wszędzie byli ludzie?

– Uspokój się. Ona jak zawsze wróci – zaczął, a we mnie coś pękło.

„Ona jak zawsze wróci”... Dlaczego te słowa były tak strasznie bolesne i sprawiały, że jakaś część mnie miała ochotę krzyczeć z rozpaczy? Chloe zawsze wracała po tym, kiedy niespodziewanie zniknęła. Teraz jednak nie odeszła bez słowa. Pożegnała się ze mną, łamiąc mi tym samym serce.

– Nie tym razem – odpowiedziałem przyjacielowi, oddychając ciężko.

– Wybrałeś sobie skomplikowaną dziewczynę, jednak ostatecznie zawsze szło po twojej myśli. Ona...

– Rzuciła mnie – przerwałem mu, siadając na łóżku, po czym oparłem się ciałem o ścianę.

Mina Zacka zmieniała się kilkakrotnie – najpierw wyglądał na zdezorientowanego i zaskoczonego, potem na oburzonego, aż w końcu na jego twarzy pojawiło się coś, czego nie chciałem widzieć: współczucie.

– Że co zrobiła?

– Rzuciła mnie – powtórzyłem, czując na języku nieprzyjemny smak tego wyrazu.

– Niemożliwe – mruknął Zack, siadając naprzeciwko mnie, na swoim łóżku. – Kiedy?

Skrzywiłem się na samo wspomnienie tego wydarzenia, bo naprawdę liczyłem, że gdy do mnie podchodziła, zrozumiała, że byłem po jej stronie i chciałem za wszelką cenę być przy niej i ją wspierać. Wierzyłem w to do momentu...

– W noc, w którą zniknęła. Przyłapałem ją na ucieczce. – Odwróciłem wzrok od twarzy Zacka, widząc jego szeroko otwarte oczy. – Pocałowała mnie, a sekundę później oddała pierścionek i odeszła.

Wspomnienia bolały niemiłosiernie, jednak nie mogłem dłużej trzymać ich w sobie, bo rozniósłbym wszystkich dookoła siebie.

– Nie bierz tego na poważnie. Jest przerażona. Może odsuwając cię od siebie, starała się cię chronić – zaczął, jednak nie pozwoliłem mu mówić dalej.

– Ja też jestem przerażony – warknąłem, nie kryjąc się z niczym. – Zniknęła na prawie dwa miesiące. Widziała rzeczy, na które nie idzie się przygotować ani uodpornić. Wysadziła w powietrze budynek! A później zastrzeliła Scotta... Wróciła, cała w siniakach, poparzona, by dać się zszyc Federicowi. Fede! W pieprzonym hotelu! – Wstałem, nie mogąc usiedzieć na miejscu. – To nie jest do niej podobne. Zachowywała się czasami lekkomyślnie, jednak nigdy nie robiła aż tylu rzeczy, których nikt z nas się po niej nie spodziewał. A w tym momencie jest cholera wie gdzie i z kim! – zacząłem krzyczeć. – Dlatego uwierz mi: też jestem przerażony! Bo to, czego doświadczyła, wpłynęło na nią tak bardzo, że przestała być sobą – gadałem jak najęty, podczas gdy Zack przyglądał mi się ze strachem w oczach. Westchnąłem ciężko, chowając twarz w dłoniach. – Jestem przerażony, bo nie wiem, co mam robić.

Zapadła dłuższa cisza. Z jednej strony żałowałem, że ktokolwiek wiedział, jak się teraz czułem. Z drugiej strony jednak poczułem lekką ulgę, że już nie byłem w tym wszystkim sam. Zack wiedział, jak to wszystko wygląda, i miałem nadzieję, że rzuci jakimś motywującym tekstem, którym wcześniej zawsze mnie irytował, lecz teraz czułem potrzebę usłyszenia czegoś podobnego. Jednak życie jak zawsze układało się inaczej, niż byśmy tego chcieli.

– Życie z Chloe nigdy nie było sielanką. Zdajmy egzaminy – usłyszałem, przez co przenieśliem spojrzenie na przyjaciela, mając w głowie jedno pytanie: „Jak te dwa tematy się ze sobą łączą?”. – To jeszcze tylko kilka dni. Kiedy się skończą, spróbujemy cię naprawić.

Przymknąłem powieki, nie czując się dobrze z tym określeniem. Chloe mnie nie popsowała. Ona mnie naprawiła, bo to bez niej nie potrafiłem prawidłowo funkcjonować.

Nie potrzebowałem naprawy.

Potrzebowałem Chloe.

Spojrzałem zaskoczony na adres maila i upewniłem się, że to na pewno była moja skrzynka pocztowa. Dziwnym uczuciem było osiągnięcie tak wysokich wyników przy tak niskim stopniu zaangażowania w naukę. Spojrzałem kątem oka na Zacka, który siedział na swoim łóżku z laptopem na kolanach i uśmiechał się szeroko.

– Osiemdziesiąt pięć – rzucił, jakby wyczuwając moje niezadane jeszcze pytanie. – A ty?

– Osiemdziesiąt trzy. – Mówiąc to, uśmiechałem się, bo naprawdę nie wierzyłem, że wymawiałem taką liczbę. Ciągle wpatrywałem się w treść maila, chcąc być pewnym, że nie mam przywidzeń, ale niezależnie od tego, jak długo to robiłem, cyfry się nie zmieniały.

– Dlaczego jesteś zaskoczony? Nie szła ci tylko historia sztuki, a to przedmiot, który nie idzie każdemu. Osiągnęliśmy sukces. – Przyjaciel się ucieszył. – Skończyliśmy, kurwa, studia. Mimo wszystkich przeciwności losu... skończyliśmy je.

Już miałem odpowiedzieć, kiedy do pomieszczenia niespodziewanie wbiegła Aylyn.

– Dziewięćdziesiąt dwa! – krzyknęła, rzucając się Zackowi na szyję.

Westchnąłem, szybkim krokiem opuszczając pokój, aby nie przeszkadzać zakochanym. Powoli zszedłem do salonu bractwa, nie wiedząc, co ze sobą zrobić.

To był praktycznie koniec – skończyłem studia. To były moje ostatnie dni na tej uczelni i wśród tych znajomych. Byliśmy wolni. Mogliśmy wyjechać, dokąd tylko chcieliśmy, i tam być szczęśliwi. Tylko dlaczego nie cieszyła mnie ta wolność? Nie miałem pojęcia, co chciałem teraz robić. Nie było miejsca, w którym chciałem się znaleźć. Zawsze myślałem, że po ukończeniu studiów będę wiedział, jaki kierunek chcę obrać w swoim życiu. Minęły trzy lata, a wiedziałem mniej niż wcześniej. Co za ironia.

Kiedy wyszedłem przed budynek, aby zapalić, usłyszałem dzwonek telefonu. Spojrzałem zaskoczony na ekran i zobaczyłem imię osoby dzwoniącej. Przez moment się wahałem, jednak postanowiłem nie odbierać. Co miałem mu powiedzieć? Że jego siostra znowu pojechała na wycieczkę? Jednak kiedy Ethan nie odpuszczał i zaczął dzwonić po raz czwarty, ugiąłem się i odebrałem.

– Raz to pomyłka, dwa to zamiar, trzy to atak, a cztery to już chyba groźba – rzuciłem do brata Chloe, opierając się o zimną ścianę uniwersytetu i wyliczając liczbę przychodzących od niego połączeń.

– Nie ma czasu na żarty. – Śmiertelnie poważny ton głosu Ethana lekko mnie zaniepokoił. – Czy Chloe wróciła do Nowego Jorku?

Chwila... Jak to: „wróciła”? Przecież dopiero co z niego wyleciała.

– Nie – odpowiedziałem i zmarszczyłem brwi. – Rzuciła mnie i wyjechała kilka dni temu.

– Tak, wiem.

Na te słowa zamrugałem szybciej kilka razy. Bo niby skąd Ethan wiedział?

– Była u mnie, dosłownie przez kilka minut. Cała poraniona. I chyba połączyła jakieś wążki w całość, bo po naszej rozmowie na temat takiej jednej rodziny zniknęła, wtedy gdy nastawiałem wodę na herbatę... – Mężczyzna wpadł w słowotok, aż w końcu westchnął ciężko. – Nie wierzę, że

będę prosił o to ciebie, ale wyjątkowym trafem, który pewnie nazywa się Chloe, nigdzie nie mogę znaleźć swojego paszportu, aby wydostać się z Londynu, a wyrobienie nowego zajmie mi wieki. Więc ja nie zdążę.

– Gdzie nie zdążysz? – zapytałem, całkiem nie rozumiejąc tego, o czy mówił.

– Musisz lecieć do Newcastle – odparł śmiertelnie poważnym tonem głosu, tak jak na początku rozmowy. – Mam podejrzenia, by sądzić, że Chloe leci właśnie zabić naszego ojca.

Spojrzałem na zdezorientowanego Zacka, który chyba nie bardzo rozumiał, co do niego powiedziałem. Czekałem na reakcję przyjaciela, ale jak można było przyjąć spokojnie słowa Ethana?

– Mówiąc: „Naprawimy cię”, nie myślałem, aby lecieć do Australii, by ratować właściciela Anthares przed jego niestabilną emocjonalnie córką i jednocześnie twoją byłą – oznajmił powoli, ściągając brwi.

– Nie proszę cię o pozwolenie, tylko o radę – rzuciłem poirytowany, opierając się o ścianę pokoju.

Słowa Ethana cały czas do mnie docierały i powodowały chaos w mojej głowie. Początkowo podchodziłem sceptycznie do jego podejrzeń, jednak coś w środku bez przerwy mi podpowiadało, abym zastanowił się nad nimi dwa razy. W końcu brat Chloe nie dzwoniłby do mnie, gdyby nie był tego pewny. Nie potrafiłem tylko znaleźć powodu, dla którego Rivera chciałaby skrzywdzić własnego ojca. Nie układało się między nimi, czego niejednokrotnie byłem świadkiem, jednak oskarżenie jej o to, że tak nagle chciałaby go zabić, jakoś mi do niej nie pasowało. Zack miał rację w jednym: była niestabilna – to, co działo się w jej głowie, na pewno nie było niczym dobrym – ale mimo wszystko nie posunęłaby się do morderstwa własnego ojca. Zabiła Scotta, lecz niezależnie od tego, jak wielką nienawiścią darzyła Williama, nigdy nie sprawiłaby, aby znalazł się w niebezpieczeństwie.

– Dobra, lecimy – usłyszałem po chwili, przez co przeniósłem na przyjaciela wzrok.

– Lecimy? – powtórzyłem, nie rozumiejąc, co miał na myśli.

– No co? Fajnie się oglądało, jak Chloe denerwuje ojca. Nie przegapię tego.

– Jasne. Tym razem chce go tylko zabić – szepnąłem, odwracając się w stronę okna.

Zacisnąłem zęby, starając się uspokoić. Zack chyba nie rozumiał, co powiedział, bo odpalił laptopa i zaczął szukać biletów lotniczych, jednak ja od razu skojarzyłem moment, kiedy mógł być świadkiem wojny rodziny Rivera. Ten jeden pieprzony raz, kiedy tam był, zmienił wiele.

Wieczorem poczułem dziwną pustkę, widząc wnętrza szafy, które przez trzy lata nieustannie było wypełnione różnymi ubraniami, a teraz nie znajdowało się w nim nic. Przeniósłem spojrzenie na dwie walizki stojące w kącie pokoju – zmieściło się w nich całe moje życie. Stwierdziłem, że zabiorę ze sobą wszystko. Nie miałem pojęcia, jak potoczą się kolejne dni, jednak wątpiłem, abym tu wrócił po pozostawione rzeczy. Myśląc o tym, czułem dziwny ciężar na klatce piersiowej, który utrudniał mi oddychanie. Pewien okres mojego życia właśnie się kończył.

– Jedziemy na wakacje!

Do pokoju wpadła radosna Aylyn, przez co zmarszczyłem brwi i przeniósłem spojrzenie na lekko speszonego Zacka. Chwilę zajęło mi zrozumienie, co się tu odwalalo, lecz kiedy już dotarło to do mnie w pełni, myślałem, że wybuchnę.

To były chyba, kurwa, żarty.

– Tego nam wszystkim trzeba. – Chłopak uśmiechnął się, przytulając do siebie blondynkę i posyłając mi niepewnie spojrzenie.

– Australia jest idealnym miejscem na odpoczynek po tych wszystkich latach nauki!

Jak było widać, zapal Aylyn nie malał, za to mój gniew powoli zaczynał rosnąć. To nie miały być wakacje. Leciłem ratować Chloe przed nią samą, a nie wylegiwać się na plaży w słońcu. Kompletnie nie tak miało to wyglądać.

– Zack... – westchnąłem ciężko, kiedy dziewczyna niemal wybiegła z pokoju, aby pakować się dalej.

– Matteo... – zaczął przyjaciół, jednak nie pozwoliłem mu dokończyć.

– Nawet nic nie mów – rzuciłem, tym samym ucinając temat. Czułem, że ta rozmowa skończyłaby się naprawdę źle, jeśli byśmy do niej doprowadzili.

– Nie możemy ich tu tak bez słowa zostawić. Szczególnie że to nasze ostatnie chwile razem.

Zack nie dał się zbyć, a dzięki jego wytłumaczeniu po części zacząłem rozumieć, dlaczego tak postąpił. Jednak prawie zakrztusiłem się powietrzem, gdy sens jego słów w pełni do mnie dotarł.

– Czeka... „Ich”? Kogoś więcej niż Aylyn? – zapytałem podniesionym głosem, ale chłopak zareagował tylko wzruszeniem ramion.

– No wiesz: Aylyn, Vivien, Amy, Ben, Logan, Alec – wyliczał powoli, a jego głos cichł z każdym kolejnym imieniem.

I z każdym kolejnym imieniem moje oczy otwierały się szerzej. Ale w sumie to był Zack. Mogłem się tego po nim spodziewać.

Przymknąłem powieki, uświadamiając sobie, że gdyby nie obecne okoliczności, byłbym przeszczęśliwy, mogąc spędzić nasze ostatnie chwile razem, gdzieś z dala od Nowego Jorku, w spokojnej i miłej atmosferze. Problem polegał jednak na tym, że po raz kolejny głównym powodem mojego wyjazdu ze Stanów była Chloe Rivera. A kiedy w grę wchodziła ta dziewczyna, można było spodziewać się najgorszego.

Gdy samolot wylądował, a my znaleźliśmy się poza lotniskiem, odetchnąłem z ulgą. To była najdłuższa podróż na świecie i zapewne ciągnęła mi się bardziej z powodu ciągłego poczucia niepewności. Rozmyślałem, co będzie, jeśli wkroczę do rezydencji i zastanę na podłodze martwego Williama. Ciekawe, czy Carmen by po nim płakała... Pokręciłem głową, zniesmaczony swoimi myślami. Ojciec Chloe miał się dobrze, a temat Carmen nie był moją sprawą. Byłem tu, bo chciałem mieć pewność, że Chloe nie popełni wielkiego głupstwa i że cała ta wesoła gromada, która stała teraz obok mnie, była tu przez czysty przypadek. I cicho liczyłem, że oni też tak uważali.

– Okej. Jedźcie do hotelu i bawcie się dobrze. Niedługo do was dołączę. – Uśmiechnąłem się, na co Zack kiwnął głową, bo jako jedyny wiedział, co miałem w planach.

– Jest tutaj? – odpowiedział mi głos Vivien, a mnie aż ścisnęło w klatce piersiowej.

Rozejrzałem się po twarzach zebranych. I wtedy zauważyłem swój błąd: uznałem własnych przyjaciół za bandę idiotów, którzy nie zorientują się, że wakacyjna wycieczka na drugi koniec świata jest tylko przykrywką dla moich prawdziwych intencji. Przecież byliśmy, kurwa, w Australii. W pieprzonym Newcastle. Na niby-wakacjach, chociaż pogoda w maju nie była na nie idealna. Tak bardzo nie chciałem ich okłamywać.

– Zobaczę – wydusiłem z siebie, łapiąc za swoje walizki.

Ruszyłem na drugą stronę ulicy, gdzie znajdował się budynek z samochodami na wynajem krótkoterminowy. Kiedy po długich rozmowach udało mi się dostać auto, wyjąłem telefon z kieszeni swoich spodni. Czułem, że powinienem zadzwonić i uprzedzić, że przyjadę. Tylko że do kogo miałem dzwonić? Do Chloe? Mogłem ją tym spłoszyć. Do jej ojca? Nie miałem nawet numeru. Do Ethana? Co mi po człowieku, który utknął w Londynie? Nie miałem nawet pewności, czy to, co mówił, będzie miało jakiegokolwiek odzwierciedlenie w rzeczywistości. Cholera,

przeleciałem pół świata z powodu jednego podejrzenia Ethana. Miałem nadzieję, że to nie był głupi żart ani pomyłka z jego strony, bo rozszarpałbym chłopaka gołymi rękami. Ostatecznie zadzwoniłem do Chloe. Jeśli mieliśmy jakkolwiek dojść do porozumienia czy współpracy, musiała wiedzieć, że tu jestem i ma moje wsparcie. Kiedy jednak trzeci raz włączyła się poczta głosowa, zrezygnowany schowałem telefon i postanowiłem jechać do jej domu bez zapowiedzi.

Podskoczyłem przestraszony, kiedy po wyjeździe na parking wypożyczalni zatrzymałem auto, by ustawić nawigację, i nagle usłyszałem pukanie w szybę.

– Jadę z tobą. – Głos Vivien zabrzmiał zdecydowanie, kiedy dziewczyna otworzyła drzwi.

Zdezorientowany patrzyłem, jak Vee wkłada swoje walizki na tylne siedzenia i zajmuje miejsce pasażera. Nie, nie, nie. Nie tak miało być. Nie rozumiałem, dlaczego czekała tu ponad godzinę na mój powrót z budynku.

– Vivien – zacząłem, jednak jej postawa zniechęciła mnie do dalszych prób przekonywania, że był to zły pomysł. Odwróciłem od niej wzrok zaraz po tym, jak niemal zabiła mnie spojrzeniem. Westchnąłem cicho i położyłem dłonie na kierownicy. – Jeśli Alec mnie zabije, to będzie twoja wina.

Droga do centrum nie zajęła nam wiele czasu. Miasto, choć zakorkowane, było dosyć intuicyjnie rozplanowane. Szczególnie że musiałem trzymać się tylko wybrzeża, aby dotrzeć do domu rodzinnego Rivery. Dziwna cisza, która panowała między mną a Vee, powoli zaczynała mi przeszkadzać.

– Dlaczego chciałaś jechać? – odezwałem się w końcu, przerywając niewygodne milczenie.

– To moja przyjaciółka – stwierdziła bez zająknięcia. – Nikt nie poinformował ani mnie, ani Ailyn, że wróciła. A później wam związała. – Prychnęła, wypowiedziawszy ostatnie zdanie lekceważącym tonem. – Ktoś musi dopilnować, aby tym razem wszystko potoczyło się tak, jak należy.

Poczułem dziwne ukłucie w sercu, słuchając słów przyjaciółki. Kilka dni temu całkiem zapomniałem, że krąg osób, którym zależy na Chloe, nie zamyka się na osobach, które miały do czynienia z Lewisem.

– Chloe trochę się zmieniła – zacząłem niepewnie, nie wiedząc, w jaki sposób przekazać niebieskowlasej, z jakiego powodu naprawdę tu jestem.

– Jak my wszyscy.

Wypuściłem powietrze przez zęby. Z Vivien nie trzeba było owijać w bawełnę. Obawiałem się, jak zareaguje na moje słowa, ale nie miałem wyboru. Powinna wiedzieć, co zrobiła Chloe. Powinna wiedzieć, czego mogła się tutaj spodziewać.

– Chloe wysadziła dom Scotta w Buenos Aires, a później go zastrzeliła – powiedziałem na jednym wydechu, kątem oka obserwując reakcję dziewczyny.

Ona jednak siedziała niewzruszona.

– Należało mu się po tym wszystkim, co jej zrobił – stwierdziła z kamiennym wyrazem twarzy. – To nie morderstwo, tylko przysługa dla świata.

Vivien była jedną z nielicznych dziewczyn, które nie mdlały na widok krwi, a pająk na ścianie nie robił na nich wrażenia. Miała w sobie coś, czego nie potrafiłem nazwać. Buntownicza dusza, która od zawsze reagowała inaczej, niż się spodziewano, była zarówno jej atutem, jak i przekleństwem. Odważna, szalona i momentami nieco porywcza. Łamała schematy, nie respektowała granic i wyrażała siebie czasami w kontrowersyjny sposób. Była bardzo podobna do Chloe. Obie miały w sobie coś z wojowniczek – walczyły cały czas i w dodatku były przy tym takie kobiece.

– Co wiesz o jej ojcu? – zaryzykowałem pytanie, skupiając spojrzenie na drodze.

– Niewiele. Duża firma, nieszczęśliwa śmierć żony, tragiczne podejście do dzieci i okropny gust... lubował się w dużo młodszych od siebie kobietach – wypaliła dziewczyna, a ja wyczułem jej bardzo negatywne nastawienie do tego człowieka. Nie widziała go nigdy na oczy, a obdarowywała tak wielką niechęcią, że było to aż straszne. Jednak to również cholernie przypominało zachowanie Chloe. Obie były bardzo do siebie podobne, dlatego musiałem poznać jej zdanie.

– Co musiałby zrobić, aby Chloe chciała go zabić? – zapytałem i natychmiast poczułem na sobie oburzone spojrzenie Vivien. Jeszcze nigdy w życiu nikt nie wiercił mi tak bardzo dziury w głowie. Aż zacząłem żałować swoich słów. Niektóre rzeczy powinienem zachowywać jednak dla siebie, jeśli nie chciałem zostać uznany za zdrajcę, który stracił wiarę we wszystko, co dobre w Chloe.

– Przeszła wiele, ale nie jest morderczynią. Nie taką – wysyczała dziewczyna. – Masz szczęście, że prowadzisz, bo w innej sytuacji strzeliłabym ci w twarz.

Uśmiechnąłem się pod nosem, widząc jedyny plus mojego położenia. Jak dobrze, że kierowałem rozpedzonym autem.

Po raz kolejny między nami zapanowała cisza. Byłem idiotą, myśląc, że Vee uwierzy w moje podejrzenia, a raczej w podejrzenia Ethana. Z biegiem czasu sam coraz mniej im dowierzałem.

W pewnym momencie w aucie rozbrzmiał dźwięk telefonu.

– Nie odbieraj – warknęła Vivien, spoglądając na tablicę rozdzielczą, na której widniała szalona prędkość.

– To dzwonek Chloe – wydusiłem z siebie, wyciągając z kieszeni bluzy telefon.

– Więc odbieraj! Na co czekasz?

Spojrzałem lekko zdezorientowany na przyjaciółkę, która zmieniła zdanie dosłownie w sekundę, jednak po chwili nacisnąłem zieloną słuchawkę.

– Chloe? – Sam nie poznałem swojego głosu: brzmiał tak obco, niepewnie.

– Wyjedźcie. – Ton głosu dziewczyny bardzo różnił się od mojego. Ona była tak cholernie pewna siebie. – Nie powinno was tu być.

– Skąd wiesz, że tu jesteśmy? – zapytałem.

– Ty i Zack nadal udostępniaacie mi swoje lokalizacje, a Aylyn wrzuciła na swój profil już trzy zdjęcia z „wycieczki do Australii” – mruknęła niezadowolona. – Nie trzeba być geniuszem, aby się połapać, co się dzieje.

Westchnąłem ciężko, nie wiedząc, co powiedzieć. Nie mogłem znaleźć odpowiednich słów.

– Powiedz, że nie chcesz tego zrobić – szepnąłem nagle, kątem oka dostrzegając, jak Vivien wskazuje mi zakręt, w który powinniśmy wjechać. – Dzwonił do mnie twój brat i mówił o tobie i waszym ojcu straszne rzeczy. Nie chcesz tego zrobić. – Zamilkłem, czekając na potwierdzenie, że cholerny Ethan się mylił. Nie dostałem go.

– Należy mu się. – Głos Chloe zaczął się łamać. – Za to wszystko, co zrobił. Zniszczył naszą rodzinę.

Zaskoczony nie odzywałem się przez moment. Nie spodziewałem się po niej tak nagłej zmiany tonu: teraz brzmiała, jakby była bliska płaczu.

– Powiedz, gdzie jesteś. Załatwimy to jakoś... Razem – szepnąłem, zaciskając mocniej dłoni na kierownicy.

– Quest przy Pacific – usłyszałem w odpowiedzi.

Po chwili jazdy dostrzegłem baner reklamowy podanego przez dziewczynę hotelu, który znajdował się po drugiej stronie miasta. Gwałtownie skręciłem w zakręt, przez co Vivien uderzyła

się o boczną szybę.

– Popieprzyło cię? – jęknęła, łapiąc się za głowę.

– Jedziemy po nią – szepnąłem, nie wiedząc nawet, czy mówię do przyjaciółki, czy do siebie.

Kiedy znaleźliśmy się pod hotelem, bez zastanowienia wbiegłem do holu, kierując się od razu w stronę recepcji. Jak wielkie było moje zaskoczenie, kiedy po wielu próbach wyciągnięcia informacji od sztywnego mężczyzny dowiedziałem się, że Chloe Rivera wymeldowała się dwadzieścia minut temu. Dokładnie chwilę po tym, jak skończyliśmy rozmawiać.

– Kurwa – syknąłem, odchodząc od lady.

– Co jest? – Vivien wyraźnie zaczęła się denerwować, więc nie było sensu ukrywać przed nią prawdy.

– Oszukała nas.

Rozdział 16

CHLOE

Kiedy taksówkarz dowiózł mnie pod właściwy adres, wysiadłam z auta. Stałam przed rezydencją, zsunęłam okulary przeciwsłoneczne i dokładnie przyjrzałam się budynkowi. Spędziłam w nim całe swoje życie. Jednak gdy uświadomiłam sobie, kto za to wszystko zapłacił, poczułam nieprzyjemny dreszcz na karku.

Ten ktoś wszystko zniszczył...

Powoli weszłam na posesję, wpisując wcześniej kod do bramy. Zaskoczona zauważyłam, że przy drzwiach wejściowych stoi ochroniarz. Czyżby się mnie spodziewali? A może papla Ethan obwieścił całemu światu, że miałam zamiar się tu pojawić? Skoro wiedział Matteo, mogli wiedzieć wszyscy. Uśmiechnęłam się do mężczyzny, uświadamiając sobie, że go znam. A minęły tylko dwa lata.

– Gabe! – zawołałam i rozłożyłam ręce w geście powitania.

– Chloe? – Mężczyzna wydawał się zaskoczony, a to oznaczało, że oni wszyscy nic o mnie nie wiedzieli. – Praktycznie cię nie poznałem.

Uśmiechnęłam się w duchu, przypominając sobie sytuacje, w których mnie widywał. Były to głównie momenty, kiedy pijana dzwoniłam do niego z prośbą o transport. Biedny facet przez cztery lata musiał się ze mną użerać, jednocześnie próbując ukryć przed moim ojcem „impresową wersję” mnie po nocnych przygodach. Wiele mu zawdzięczałam.

– Jak ja za tobą tęskniłam. – Zaśmiałam się wesoło, po czym bez ostrzeżenia przytuliłam dobrze zbudowanego mężczyznę. Ale czym było zwykłe objęcie w porównaniu do tych sytuacji, kiedy to wnosił mnie praktycznie nieprzytomną po schodach, abym dostała się bezpiecznie do swojego pokoju i nie natrafiła na ojca.

Chwilę zajęło, zanim poczułam, jak oddaje uścisk. Uśmiechnęłam się pod nosem, powoli przesuwając rękę wzdłuż jego paska i opuszczając bardziej prawy rękaw mojej czarnej bluzy. Kiedy odsunęłam się od Gabe’a, dostrzegłam, że przygląda mi się zdezorientowany, a po chwili na jego twarzy pojawiło się zmartwienie.

– Jesteś ranna? – zapytał, wskazując na moją twarz.

Przyłożyłam dłoń do miejsca nad łukiem brwiowym, czując pod palcami lepką maź. Zamrugałam kilka razy, marszcząc brwi, po czym przetarłam czoło lewym rękawem.

– Wypadek przy pracy – parsknęłam, starając się wyluzować. Głowa ponownie zaczęła niemiłosiernie mnie boleć. Spojrzałam kątem oka na torbę, w której znajdował się mój ratunek. – Spokojnej pracy – dodałam na odchodne, przekraczając próg.

Gdy drzwi się za mną zamknęły, bez chwili zwłoki rozpięłam boczną kieszeń torby i wyciągnęłam z niej fiolkę. Przymknęłam powieki, łykając jedną kapsułkę. *Będę wdzięczna Zackowi do końca życia za to, co dla mnie zrobił*, pomyślałam. Odetchnęłam głęboko i wysunęłam prawą dłoń z rękawa, w której znajdował się czarny glock. Gabe, mimo upływu lat, miał swoje przyzwyczajenia: nigdy nie dopinał kabury, którą nosił przypiętą do paska, po swojej lewej stronie. Dlatego wyjęcie pistoletu z pokrowca było naprawdę łatwe, zarówno dla niego, jak i dla mnie. Ponownie wzięłam głęboki wdech, zaczynając myśleć o powodzie, dla którego się tu

znalazłam. *Ojciec...* Jeśli nie będzie miał dobrego wytłumaczenia, zrobię to, co powinno go spotkać ponad pięć lat temu.

Kiedy weszłam w głąb domu, do moich nozdrzy dotarł intensywny zapach z kuchni. Westchnęłam, przypominając sobie o Carmen. Byłam bardzo ciekawa, czy wiedziała, czego dopuścił się jej wybranek. Jeśli nie, była ofiarą. Jeśli tak, była tak samo winna jak on. Wszystko w tym momencie było czarno-białe.

Uśmiechając się lekko, przeszłam przez salon i zatrzymałam się w drzwiach kuchni. Stojąca przy piekarniku kobieta nagle się odwróciła, zapewne wyczuwając obecność kogoś jeszcze w tym pomieszczeniu.

– Chloe? – Carmen wysiliła się na radość, jednak po wielu latach naszej walki ciężko byłoby nabrać się na jej entuzjazm.

– Tatusi w domu? – zapytałam spokojnie, obserwując jej zachowanie.

– W ogrodzie – usłyszałam w odpowiedzi, na co parsknęłam pod nosem.

Co za ironia, westchnęłam w duchu. Tatusi był „w ogrodzie”, do którego nie potrafił wejść od jej śmierci.

– Zawołaj go. – Oparłam się o framugę drzwi, zastanawiając się, co tak naprawdę chciałam zrobić. – Ale nie mów mu o mnie.

Kobieta zmarszczyła brwi, nie rozumiejąc, o co mi chodzi, jednak dla świętego spokoju – jak podejrzewałam – zawołała mojego ojca. Mężczyzna spokojnym krokiem wszedł do pomieszczenia przez drzwi kuchenne. Spojrzał z uśmiechem na Carmen, która wpatrywała się we mnie, przez co powędrował wzrokiem w moim kierunku. Jego twarz wyrażała takie samo zaskoczenie jak mina macochy, tak jak się tego spodziewałam. Jednak planowałam zaskoczyć go jeszcze bardziej.

– Tęskniłeś?

– Co ty tu robisz? – usłyszałam na powitanie, przez co skrzywiłam się lekko.

– Auć – mruknęłam, wpatrując się w ojca. – To zabolało.

Carmen przyglądała mi się niepewnie, chyba nie potrafiła mnie rozgryźć. Nie dziwiłam się jej, w końcu wyrażanie emocji nie było w tym domu czymś codziennym.

– Dlaczego nie jesteś na uczelni? – padło z ust mężczyzny.

Myślałam, że oszaleję. Zaciśnęłam zęby, uśmiechając się litościwie. Był moim ojcem, a nic, kompletnie nic o mnie nie wiedział.

– Gdybyś choć trochę interesował się swoją córeczką – patrzyłam drwiąco na Williama – wiedziałbyś, że od dwóch miesięcy mnie na niej nie było.

W pomieszczeniu zapanowała cisza. Byłam ciekawa, co ojciec miał teraz w głowie. To przez niego przechodziłam przez piekło, podczas gdy on nawet nie zainteresował się, co u mnie. Ojciec na medal.

– Rzuciłaś studia? – Wzrok ciemnowłosego stał się bardzo poważny. – To było do przewidzenia. Nigdy nie byłaś wytrwała, wszystko szybko ci się nudziło.

Prychnęłam, słuchając ataku skierowanego w moją stronę. Nie miałam pojęcia, do czego William dążył, jednak byłam pewna, że mu to uniemożliwię.

– Lewis. – Wypowiedzenie tego nazwiska kosztowało mnie wiele. Miałam wrażenie, jakby raniło moje gardło jeszcze mocniej.

Nie poczułam się lepiej, kiedy reakcja ojca, który otworzył szerzej oczy i wyraźnie się spiął, potwierdziła moje najgorsze podejrzenia.

Ojciec na jebany medal...

– Czas chyba urządzić rodzinną naradę – rzuciłam bez przedłużania.

– Chloe, nie zachowuj się jak dziecko – odezwał się William, na co wzięłam głęboki wdech i podniosłam prawą dłoń, ukazując rodzinie to, co w niej miałam.

– Czy dziecko ma takie zabawki? – Uśmiechnęłam się krzywo, mierząc wzrokiem osoby stojące przede mną. – Naradę zrobimy w salonie.

Gdy tylko się w nim znaleźliśmy, spojrzałam na siedzącą na kanapie dwójkę, zastanawiając się, jak to rozegrać. Wszystko musiało pójść idealnie. Nie było czasu na zabawę w kotka i myszkę, bo chciałam usłyszeć, co miał mi do powiedzenia.

– Pozwoliłeś im ją zabić? – zapytałam w końcu, decydując się na konfrontację.

Ojciec spojrział na mnie zdeorientowany. Mógł tylko udawać, że nie wiedział, o co mi chodzi; w końcu po kimś miałam umiejętność gry aktorskiej.

– Skarbie, nie wiem, kogo masz na myśli, ale wszystko możemy jakoś naprawić.

Słowa mężczyzny wprowadziły mnie w furję.

– Naprawić? Wskrzesisz mamę? Zapłacisz im? Cofniesz czas i sprawisz, abym nie miała wypadku w Londynie? Aby nie straciła dziecka? A może zmienisz moje ostatnie dwa miesiące piekła w zwykłe życie na uczelni? Cholera, powinnam zdawać egzaminy i spędzać czas z przyjaciółmi, a nie oglądać trupa, sama prawie się nim stając! – Czułam, że wściekłość mnie roznosi. Nie potrafiłam dłużej zachowywać zimnej krwi. – Powiedz mi po prostu, że nie zginęła przez ciebie. Że mama nie została zamordowana przez to, że się im postawiłeś i przestałeś płacić. Błagam, powiedz, że nie umarła z twojej winy!

W pomieszczeniu zapanowała idealna cisza. Carmen z przerażeniem wpatrywała się we mnie, słuchając moich słów. Nie wiedziała, o czym mówię. Ojciec również wyglądał na zszokowanego, ale nie informacjami, tylko faktem, że wszystko wiem.

– Przez ostatnie dwa lata myślałam, że popełniłam głupotę i przez nią trafiłam na złego człowieka. Zwykły błąd, taka kolej rzeczy. Jednak teraz wszystko w końcu do mnie dotarło. Pieprzone dwa lata pokutowałam za twój błąd, a nie swój. Scott Lewis był moim koszmarem przez dwa lata! – krzyknęłam, czując, jak w oczach wzbierają mi łzy. – Byłam ubezpieczeniem, prawda? W razie gdybyś znowu postanowił się im postawić.

Zaprzecz.

Błagam, zaprzecz.

Zakończ to i zaprzecz.

Wolałam być szaloną wariatką, niż mieć rację. Bo jeśli rodzina Lewisów była jakkolwiek powiązana z moją, cały mój pobyt w Nowym Jorku i obecność Scotta były idealnie zaplanowane, a ja byłam marionetką w ich pieprzonym teatryku.

– Mówili, że cię nie skrzywdzą.

Otworzyłam szerzej oczy, nie wierząc w to, co usłyszałam. Nie zaprzeczył. Schowałam twarz w dłoniach, uświadamiając sobie, że dokumenty znalezione przypadkiem w gabinecie Scotta nie były podłożone. Szukając listy jego kontaktów, wpadłam na wydruki z rachunków bankowych. Wzięłam pierwszy lepszy do ręki i zauważyłam, że w górnym rogu kartki widniało znajome nazwisko. Moje nazwisko. Pieprzony William Rivera płacił niemałe pieniądze człowiekowi, który zniszczył mi życie. Mój własny ojciec przyczynił się do mojego upadku.

Uciskający ból głowy po raz kolejny dał o sobie znać. Uniosłam wzrok na ciemnowłosego i pokręciłam głową.

– Nie skrzywdzą? – mruknęłam cichym, pozbawionym siły głosem. – Płacisz im od lat. Postawiłeś się tylko raz, a oni zabili ci żonę. Zabili mi mamę! Co w takim wypadku znaczą słowa „nie skrzywdzą”? Już to zrobili... – szepnęłam, zbierając myśli. – Przez ciebie straciłam mamę.

W konsekwencji tego straciłam też brata. A kiedy po kilku miesiącach przyprowadziłeś ją – wskazałam na Carmen – straciłam i ciebie. W wieku szesnastu lat nie miałam już nikogo. – Zamilkłam.

Po chwili, słysząc głosy od strony drzwi frontowych, zrobiłam głęboki oddech. *Jest tu. Zdążył. Cholera*, przeklęłam w duchu.

– Rozgość się, Matteo! – krzyknęłam po chwili namysłu, spoglądając na ojca. – Dlaczego pozwoliłeś im wejść do mojego życia? Gdyby nie oni, miałabym szczęśliwe życie. Byłabym szczęśliwa – szeptałam jak w amoku. – Więc pewnie widziałeś, co stało się w Buenos Aires.

Ojciec z kamiennym wyrazem twarzy pokiwał głową i chciał coś powiedzieć, jednak mu na to nie pozwoliłam.

– Zabiłam ostatniego z rodziny Lewisów – stwierdziłam dobitnie, przez co twarz Carmen zbladła. Sama poczułam, jak w reakcji na te słowa mój organizm słabnie i zapada się w sobie. – Pozbyłam się problemu, któremu ty nie byłeś w stanie sprostać. Ratowałam swoje życie, bo nie mogłam na ciebie liczyć. Zemściłam się za siebie i za mamę. I wiesz co? – Poczułam, jak emocje ściskają mnie za gardło. – To wszystko było tego warte.

Łzy zaczęły spływać po moich policzkach, kiedy w progu salonu pojawił się Matteo. Bał się. Człowiek, który znał mnie najlepiej na świecie, właśnie patrzył na mnie z przerażeniem. To sprawiło, że po raz kolejny coś we mnie umarło. Mój urywany oddech co rusz zakłócał zaległą ciszę.

Musiałam powiedzieć coś jeszcze.

– Wiesz, czego jednak żałuję? – Spojrzałam na ojca przez łzy, ścierając je z policzka. – Że nie było cię w tamtym budynku, kiedy wszystko wybuchło i świat zmienił się w piekło. Powinieneś tam być. Powinieneś za to wszystko zginąć.

Od dłuższego momentu siedziałam przy stole, grzebiąc widelcem w makaronie. Spoglądałam zadowolona na Ethana, który co jakiś czas patrzył gdzieś za siebie, a ja w takim momencie podrzucałam mu trochę swojego obiadu. Nienawidziłam tego dania chyba nawet bardziej od brukselki, chociaż miałam wrażenie, że w sosie, którym oblany był makaron, znajdowało się właśnie to warzywo. W pewnym momencie ciemnowłosa zerknęła na swój talerz i uśmiechając się pod nosem, przeniósł na mnie swoje spojrzenie. W jednym momencie wybuchliśmy stłumionym śmiechem, przyciągając uwagę naszej kucharki.

– Smakuje? – zapytała, wychylając się zza drzwi kuchni do jadalni.

Zagryzłam wargę, aby ponownie się nie roześmiać.

– Bardzo – odpowiedziałam w końcu, nabijając na widelec kawałek warzywa.

Kobieta pokiwała głową i wyszła, a ja dokładnie w tym samym momencie odłożyłam wszystko na talerz. Trucizna dla mojego organizmu.

– Za dwa tygodnie twoje szesnaste urodziny – zaczął Ethan, na co pokiwałam głową. – Słodka szesnastka.

– Nareszcie będę mogła poznać twoich znajomych. – Uśmiechnęłam się promiennie, na co brat prychnął niezadowolony. – Taka była umowa!

– Są od ciebie starsi o cztery lata – zauważył.

– Luna mnie lubi – próbowałam go przekonać, zakładając ręce na piersiach. – A pamiętasz, że Dann obiecał, że nauczy mnie jeździć autem? Twoi znajomi często ze mną rozmawiają... I tylko ty masz co do tego zastrzeżenia.

Ethan zacisnął zęby, patrząc na mnie zrezygowany.

Nie wiedziałam, dlaczego tak bardzo nie chciał, abym miała większy kontakt z jego przyjaciółmi. Lubiłam ich i wyglądało na to, że oni mnie też. Jediną przeszkodą był właśnie Ethan, który wyznaczył durną datę moich szesnastych urodzin jako dzień przepustki do ich świata. Przez kilka miesięcy myślałam tylko o tym, więc teraz nie mógł złamać danej mi obietnicy. Nic nie miało aż takiego znaczenia jak nasze obietnice.

– Jeszcze niecały miesiąc – westchnął, na co prawie podskoczyłam na krześle. – Może do tej pory wszyscy umrzemy – dopowiedział, mrużąc pod nosem, a ja kopnęłam go pod stołem. – Uważaj, młoda – rzucił ostrzegawczo, na co uśmiechnęłam się do niego słodko.

– Bo...

Naszą rozmowę przerwał tata, który w tym samym momencie wszedł do pomieszczenia.

– I jak obiad? – zapytał wesoło, na co postaliśmy sobie z bratem porozumiewawcze spojrzenia. Mężczyzna analizował coś dłuższą chwilę, po czym zaśmiał się spokojnie. – Mam uwierzyć, że Ethan od piętnastu minut nie zjadł nic, a ty prawie wszystko? – skierował do mnie pytanie, na które w odpowiedzi przytaknęłam głową. Nie uwierzył; widziałam to w jego oczach, którymi przyglądał nam się z czułością i zrozumieniem. On też nie znosił tego dania.

Kiedy usłyszeliśmy dzwonek do drzwi, tata westchnął i spojrzał na zegarek. Zmarszczył brwi, a po kilkunastu sekundach zerknął w stronę korytarza, którym kroczyła nasza gospodyni wraz z dwoma policjantami. Zerknęłam niepewnie na Ethana, a po chwili przeniosłam wzrok na tatę. Uśmiechnął się nerwowo pod nosem, nie dając nic po sobie poznać.

– Pewnie znowu alarm w domku letniskowym – powiedział, zatrzymując wzrok na moim talerzu. – Zostawcie to i zmykajcie, w spizarnce powinny być jakieś pączki. Nie mówcie mamie. – Mrugnął do mnie i Ethana.

Zaśmiałam się cicho i posłusznie razem z bratem opuściłam jadalnię. Kątem oka dostrzegłam jeszcze, jak tata zaprasza policjantów do gabinetu.

– Wychodzę – zakomunikował Ethan, na co spojrzałam na niego pełna nadziei. – Nie, jeszcze dwa tygodnie. Zadzwoń po Annie albo tę drugą, która tak szeroko uśmiecha się na mój widok.

Zachichotałam, na co brat przewrócił oczami i ruszył w kierunku wyjścia. To nie była moja wina, że moje koleżanki lubiły Ethana. Nie znały go, jednak mój starszy brat był w tym domu jak jakiś rzadki zwierzak, a one ciągle chciały go obserwować. Ale, tak jak wspominał wcześniej, dzieliły nas cztery lata. Moje rówieśniczki mogły sobie tylko o nim pomarzyć.

– Słucham?! – Krzyk taty rozniósł się po wschodniej części rezydencji, przez co lekko się zaniepokoiłam.

Mężczyzna rzadko kiedy się denerwował, a krzyczał jeszcze rzadziej. Był człowiekiem opanowanym, który starał się wszystkie sprawy załatwiać kulturalnie i w spokoju. Nawet kiedy na wiosennym bankiecie pani Rowell wylała na jego ukochaną koszulę cały kieliszek szampana, ten tylko się zaśmiał i zaczął żartować o wynalezieniu materiału, z którego można będzie zmyć wszystko, a potem, przez resztę bankietu, towarzyszył mamie z wielkim uśmiechem na twarzy, nie przejmując się wielką plamą na białej tkaninie. I nawet podczas załamania rynku, kiedy zapowiadało się, że wiele firm, w tym i taty, będzie miało problem z zamknięciem kwartału, całkiem się tym nie przejmował. Usiadł z nami przy stole, śmiejąc się z ludzi, dla których liczą się tylko pieniądze. Wspominał też coś o swoim przyjacielu, który miał całkiem inne podejście do sprawy i trafił do szpitala z zawałem. Tata zastanawiał się wtedy głośno, czy kupno alkoholu człowiekowi, który prawie umarł ze strachu przez kryzys kwartalny, to dobry pomysł. Twierdził, że nawet bez alkoholu taki ktoś zachowuje się nieracjonalnie.

Dlatego tak bardzo zaniepokoił mnie jego wybuch w tym momencie. Musiało wydarzyć się coś naprawdę złego, skoro tak zareagował.

Po cichu podeszłam do schodów, które przylegały do ściany gabinetu po wschodniej stronie domu. Usiadłam na nich i przyłożyłam głowę do białego kamienia, chcąc podsłuchać, o czym rozmawiają tata i policjanci. Kiedy jednak kilka kolejnych słów dotarło do moich uszu, żałowałam, że to zrobiłam. To nie mogło być prawdą.

Moją panikę przerwał dzwonek do drzwi. Spojrzałam na hol, który znajdował się sześć metrów ode mnie. Wróciła... A więc oni nie mieli racji. Właśnie dzwoniła do domu, zapewne skróciła trasę i teraz stała pod drzwiami, kilka metrów dalej.

Podbiegłam zadowolona do wejścia i nacisnęłam klamkę. Jak wielkie było moje zdziwienie, kiedy nie zobaczyłam uśmiechniętej szatynki, za to moim oczom ukazał się mężczyzna ubrany na czarno. Spojrzał na mnie również lekko zaskoczony.

– Tak? – zapytałam, starając się zachować dobre maniery.

– Jestem przyjacielem pana Rivery. – Uśmiechnął się, pokazując teczkę, z którą przyszedł.

– Miło mi pana poznać, jestem Chloe. – Odpowiedziałam mu grzecznym uśmiechem. – Zawołać tatę?

Mężczyzna zwlekał z odpowiedzią. Po chwili uśmiechnął się jednak szerzej, zdejmując okulary przeciwsłoneczne. Zamarłam. Miał jedną gałkę oczną całkowicie białą, przez co przeszedł mnie dreszcz. Takie obrazy widywałam tylko w filmach.

– Nie trzeba – odpowiedział zrelaksowany, lustrując otoczenie dookoła domu. Kiedy natrafił wzrokiem na podjazd, na którym stało policyjne auto, spiął się. Odwrócił się w moim kierunku i podał mi teczkę. – Przekażesz to tacie? Tylko nie otwieraj.

– Oczywiście – odpowiedziałam, łapiąc za czarny pakunek.

– Dziękuję. – Mężczyzna mierzył mnie spojrzeniem, po czym włożył na nos okulary. – Do zobaczenia, Chloe. – Mówiąc to, miał zapewne na myśli jakiś bankiet, jednak nie zastanawiałam się nad tym dłużej.

Kiedy przeszłam przez hol i znalazłam się kilka kroków od schodów na piętro, drzwi gabinetu nagle się otworzyły i stanął w nich tata. Spojrzałam na jego czerwone oczy i już wiedziałam: to, co podsłuchałam, było prawdą.

Nie wiem, kiedy w moich oczach pojawiły się łzy. Patrzyłam na niego, a on na mnie i czekaliśmy. Ból, który w tym momencie mi towarzyszył, był nie do zniesienia. Myślałam, że nie istnieje nic gorszego niż to, co czułam w tej chwili.

– Skarbie – zaczął słabym głosem, na co zadrżałam. – Mama nie wróci.

Myliłam się.

Istniało coś gorszego.

Dopiero teraz poczułam ból, który sprowadził mnie do piekła.

– Wiedziałaś? – skierowałam pytanie do Carmen, która siedziała zszokowana obok mojego ojca. Jej mina wyrażała jasno, że nie miała o tym pojęcia. W pewnym sensie stała się ofiarą i mojego ojca, i sytuacji, w której właśnie się znaleźliśmy.

Ciemnowłosa dopiero po chwili pokręciła głową, patrząc na mnie przerażonym wzrokiem. Wszyscy byliśmy przerażeni...

Westchnęłam, uśmiechając się lekko.

– Byłaś dla niego dobra, chociaż ani trochę na to nie zasługiwałaś. – Sapnęłam, patrząc na kobietę. – Zapewne analizujesz teraz wszystkie lata wspólnego życia i zastanawiasz się, dlaczego niczego nie zauważyłaś. To drań bez serca, który...

– Chloe – usłyszałam nerwowy głos ojca.

– Pamiętasz, kiedy staliśmy naprzeciwko siebie w tym pieprzonym holu i czekaliśmy na zbawienie? – zapytałam go, wspominając jeden z najgorszych momentów w moim życiu. – Jak liczyliśmy, że to sen, z którego się obudzimy, i że wszystko będzie dobrze, a ona wróci? Aż powiedziałeś to na głos, a ja poczułam, jak sam diabeł śmieje mi się w twarz. I nie pomyliłam się bardzo, prawda? – Przewiercałam spojrzeniem patrzącego na mnie niepewnie ojca, a Matteo, który do tej pory stał w drzwiach, zaczął powoli przesuwac się w moim kierunku. – Miałam w rękę czarną teczkę, którą twój znajomy dał mi w drzwiach. Kiedy ty rozmawiałeś z policją, ja stanęłam twarzą w twarz z mężczyzną, który był za to odpowiedzialny, prawda? Uśmiechał się w taki sposób, że ciężko byłoby mi to zapomnieć. Sam diabeł śmiał mi się w tamtym momencie w twarz – powtórzyłam głośnie. – Wiesz, co powiedział potem? „Do zobaczenia”. Pieprzone „do zobaczenia, Chloe”. I zobaczyliśmy się, pięć lat później.

Ojciec zmarszczył brwi, jakby coś w tej historii mu się nie zgadzało.

– Lorenzo Lewis zmarł dwa lata po tragicznej śmierci twojej mamy, a chwilę później samobójstwo popełniła jego żona, Raquel – zaczęła pewny siebie.

Raquel..., powtórzyłam w myślach. Poczułam, jakby ktoś z wielką siłą uderzył mnie w brzuch, zabierając mi tym samym oddech. Tajemnicza Raquel, do której zostałam porównana, była matką Scotta. Przeszedł mnie dreszcz na samą myśl, że mogłam mieć cokolwiek wspólnego z kobietą, która wychowała potwora.

– A jego syn przejął rodzinny interes – odpowiedziałam po chwili ciszy. Wpatrywałam się intensywnie w starszego mężczyznę, zastanawiając się, ilu rzeczy jeszcze nie wiedziałam. – Scott Lewis dostał w spadku wszystko. Pytanie brzmi: dlaczego siedem lat później dostał też mnie?

Ojciec zacisnął zęby, patrząc uparcie przed siebie.

– Trzy.

Zmarszczyłam brwi, nie rozumiejąc, o co mu chodziło. Nienawiść zarówno do siebie, jak i całego świata była widoczna na jego twarzy gołym okiem.

– Co „trzy”? – dopytałam.

– Nie siedem lat, Chloe. Trzy lata – wypowiedział to tak słabym głosem, że moje serce zamarło.

– C-co? – wydusiłam z siebie tylko tyle.

– Po śmierci Lily nastąpiła cisza. Myślałem, że już na zawsze. Zamordowali mi żonę, pozorując wypadek, w którym zginęły dziesiątki ludzi. Wierzyłem, że to koniec – mówił cicho, jakby wypowiedane słowa mogły sprowadzić na ten świat prawdziwy chaos. – Kiedy poznałaś Lorein...

– Nie będziemy o niej rozmawiać – przerwałam mu ostro.

– Nie o nią tu chodzi, ale o życie, jakie zaczęłaś wieść – powiedział nieco głośniejszym poirytowany tonem, że mu przerwałam. – Użytki, problemy z prawem, brak jakiegokolwiek odpowiedzialności... Praktycznie się nie widywaliśmy. Byłaś często poza domem, w jej towarzystwie, z jej znajomymi, których poziom był bardzo daleki od tego, który prezentowałaś.

– Idealna Chloe Rivera się stoczyła. Co za rodzinna tragedia – burknęłam.

– Początkowo próbowałem reagować, zakazywać, rozmawiać, ale ta dziewczyna miała na ciebie naprawdę silny wpływ. Zbyt silny. Nie pamiętasz wieczoru z siedemnastego listopada?

Zmarszczyłam brwi, zaskoczona jego pytaniem. Nie pamiętałam, co robiłam dwa dni temu, więc tym bardziej, co działo się w listopadzie, cztery lata temu.

– Był okropny sztorm, a ty byłaś poza domem. Nie odbierałaś telefonu, nie miałem pojęcia, gdzie jesteś i czy wszystko z tobą w porządku. Aż w końcu usłyszałem dzwonek do drzwi. Ten sam dzwonek, który kilka lat wcześniej zadzwonił po śmierci twojej mamy. Słyszac go po raz kolejny,

miałem przed oczami same najczarniejsze scenariusze. – Zamilkł i spojrzał na mnie tak, że aż odwróciłam głowę. – Otworzyłem, bo pierwszy dobiegłem do drzwi. I zobaczyłem cię za nimi. Padał deszcz, wiało jak na koniec świata, a ty stałaś uśmiechnięta przed progiem. Nie wiem, co wtedy wzięłaś, ale nigdy później nie poruszaliśmy tego tematu. Nie miałem pojęcia, jak miałbym powiedzieć ci to, co powinnaś wtedy wiedzieć.

Ojciec motał się w swoich słowach. Zbaczał z tematu, przez to coraz mniej rozumiałam, co się działo i o czym rozmawialiśmy. I chociaż czułam, że to, co ma mi do powiedzenia, nie będzie przyjemne, chciałam wiedzieć. Chciałam poznać całą prawdę.

– Do sedna – wydusiłam z siebie.

– Stałaś pod drzwiami podtrzymywana przez mężczyznę i majaczyłaś coś o Buenos Aires. – Jego ton głosu się zmienił: stał się zdenerwowany i niższy. – W ciemności go nie rozpoznałem. Dopiero kiedy wprowadził cię do holu, zrozumiałem... Jego podobieństwo do swojego ojca było uderzające, a widok ciebie, ledwie przytomnej, w jego ramionach, sprawiał, że koszmar powrócił.

Mój oddech stał się nierówny, a serce biło z zawrotną prędkością. To, o czym mówił, było dla mnie nowością. Nie pamiętałam takiej sytuacji. Niczego takiego nie pamiętałam...

– Scott patrzył na ciebie, jakbyś była uosobieniem religii, którą wyznawał. W jego spojrzeniu było coś niepokojącego, coś mrocznego i nie do powstrzymania. Jego uśmiech nawiedza mnie w najgorszych koszmarach.

Miałam wrażenie, że spadam, chociaż nadal siedziałam w fotelu. Słowa ojca sprawiały, że poczucie bezpieczeństwa i bez troski, które kojarzyło mi się z tamtymi latami, wyparowało. Od samego początku byłam pod kontrolą Scotta. Nie pamiętałam, jak go poznałam. Tutaj, w Newcastle. Nie pamiętałam tego, gdzie się spotkaliśmy, co się między nami wydarzyło, ani tego, że odprowadził mnie do domu. Nie pamiętałam, co mówiłam, a fakt, że podobno wspominałam o Buenos Aires, mroził mi krew w żyłach. Scott mnie zaprogramował... Od samego początku miejsce mojej ewentualnej ucieczki było miejscem, w którym mieszkał. Nie pamiętałam tego wieczoru i to sprawiło, że w moich oczach ponownie pojawiły się łzy.

– Czego chciał? – Drżący już głos złamał się na drugim wyrazie.

Spojrzałam na Matteo, o którym na moment zapomniałam. A jednak nadal tu był i przysłuchiwał się tej rozmowie. Najgorsza rodzinna tajemnica właśnie wyszła na jaw, a za nią wysypała się masa kolejnych... Był świadkiem czegoś, czego się nie spodziewałam, przyjeżdżając tutaj.

– Chciał odnowić płatności – odpowiedział William, wpatrując się w ścianę. – Nie było już Lily, ale byłaś ty: uwieszona na jego szyi w tym stanie, pod całkowitą jego kontrolą. Zagroził, że jeśli nie będę płacił dalej, skrzywdzi cię.

– Ile byłam warta? – mruknęłam niemal od razu, obdarzając go nienawistnym spojrzeniem. – Ile musiałeś płacić za moje bezpieczeństwo, że tak bardzo mnie za to znienawidziłeś? – Chciałam wiedzieć. Chciałam, aby podał cenę, która jeszcze bardziej rozbiła naszą rodzinę.

Nasza walka na spojrzenia trwała długo.

– To nie jest dobry pomysł – odezwał się Matteo, który wciąż stał kilka metrów ode mnie, a Carmen automatycznie pokiwała głową, zgadzając się z chłopakiem.

Prychnęłam pod nosem, spoglądając w kierunku Corteza. Przerazenie na jego twarzy zniknęło, a na jego miejscu pojawiała się złość, okropna złość.

– Nie chcesz wiedzieć, jaką cenę zapłaciła nasza córka? – Uśmiechnęłam się lekko, kiedy po moich słowach na twarzy blondyna pojawiła się nienawiść.

– Córka? – jęknęła Carmen.

I nadeszła fala mojego żalu.

– Miałaby pół roku. – Spojrzałam na ojca, nie kryjąc swoich uczuć. – Gdyby żyła, miałaby teraz pół roku! Gdyby Scott nie kazał nas zabić, twoja wnuczka miałaby pół roku! – krzyknęłam, czując, jak te słowa rozdzierają mnie od środka.

I uświadomiłam sobie, że nadal nie pogodziłam się z jej stratą.

Myślałam o tym nie raz i zawsze miałam wrażenie, że ze wszystkim się pogodziłam. Teraz jednak, kiedy cała prawda wyszła na jaw, byłam wściekła. To była *jego* wina. Wszystko się posypało, bo znał tych ludzi. A ja byłam ubezpieczeniem.

– Chloe – zaczął niepewnie Matt, ponownie patrząc na mnie z przerażeniem w oczach.

W tym momencie ja również bałam się sama siebie.

– Pół miliona... – Ojciec odkaszlnął, na co zamrugałam.

– Słucham?

– Pół miliona miesięcznie za twoje życie. – Spojrzał na mnie rozgoryczony, a ja poczułam, jakby ktoś kopnął mnie w brzuch.

Sześć milionów rocznie.

Matteo wziął głęboki wdech i podszedł do okna.

– O kurwa – szepnął, odwracając się w stronę mojego ojca, jednak kolejne słowa skierował do macochy: – Może zrobimy coś do picia?

Carmen od razu wstała, a obok niej pojawił się Matt. Ewakuował on jedyną osobę, która akurat dzisiaj nie zasługiwała na całe to piekło.

– Jesteśmy superrodzinką – dodał.

Kiedy wyszli, zaczęłam chodzić po pomieszczeniu. Nie tego się spodziewałam, przylatując tutaj. Mój cel był konkretny: zabić ojca, bo on zabił mamę. Teraz jednak odnosiłam wrażenie, że wrogiem był ktoś inny, i to od naprawdę długiego czasu.

– Wiesz, że te pieniądze były dla mnie niczym – zaczął. – Firma przynosiła niesamowite zyski. Cenili cię bardziej niż twoją matkę. I uwierz, nie płaciłem za ciebie, bo musiałem. Chciałem zapewnić ci spokojne życie i zadośćuczynić to, co miało miejsce siedem lat temu. Tylko ja wiem, jak bardzo pokutuję za to, co stało się z Lily.

– Nie miałam spokojnego życia – szepnęłam, czując, że się załamuję. – Wszystko, tylko nie spokojne. To – zdjęłam z siebie bluzę, a później i bluzkę, zostając w samej bokserce – za nic w świecie nie było spokojne życie.

Ojciec przyjrzał się mojej skórze, która w wielu miejscach była poparzona. Grymas wykrzywający mu twarz tylko utwierdził mnie w przekonaniu, że było ze mną źle, bardzo źle. Dodatkowo ten cholerny ból głowy...

– Nie wiedziałem – mruknął, patrząc mi w oczy, a mnie wydawało się, że mówił szczerze. – Płaciłem i wierzyłem, że wywiążą się z umowy: miałaś wyjechać i żyć po swojemu, i być bezpieczna. Jestem twoim ojcem, Chloe. Ostatnie, czego chcę, to twojej krzywdy.

W oczach zaczęły wzbierać mi łzy. Nie wiem, czy z powodu wzruszenia, szczęścia, czy może z bezsilności. Wszystkie emocje kumulowały się we mnie, tworząc naprawdę niebezpieczną mieszankę.

– Skarbie...

Kiedy usłyszałam pieszczotliwy wyraz, którym zwracał się do mnie w dzieciństwie, wszystko puściło. Ale tylko na sekundę.

Upuściłam pistolet, łapiąc się obiema rękami za głowę, w której znów pojawił się ten cholerny ból. Z tą różnicą, że tym razem odczuwałam go sto razy mocniej. Jęknęłam, starając się

zapanować nad własnym ciałem, co było niemożliwe. Mój mózg praktycznie wybuchnął i to nie pierwszy raz. Był to kolejny atak, odkąd wyleciałam z Buenos Aires, najsilniejszy ze wszystkich. Kucnęłam, starając się zmniejszyć wysokość swojego upadku, gdyby miało do niego dojść.

– Matteo! – Krzyk mojego ojca rozniósł się po pomieszczeniu.

Chłopak w kilka sekund znalazł się obok nas. Przeżony rozglądał się dookoła, jakby szukał sposobu, jak mi pomóc.

– Carmen, apteczka z łazienki! Szybko, nie mamy...

Przeniosłam wzrok na tatę, który kucnął obok mnie i coś mówił, jednak ja go już nie słyszałam, przez co poczułam, jakbym była sama. Ból nadal tlił się w mojej głowie, nie dając mi spokoju. Zerknęłam na Carmen, która biegła w naszą stronę z małym, białym pudełkiem w dłoniach i o mały włos nie wywróciła się na dywanie. W końcu przede mną znalazł się Matteo, z przeżonym wyrazem twarzy. Patrzyłam na jego usta, którymi wypowiadał jakieś słowa; tych również nie słyszałam. Zmarszczyłam brwi, skupiając się na ruchach jego warg. Kiedy odczytałam zdanie, powieki zaczęły mi ciążyć, a ból rosnąć.

„Nie zostawiaj mnie” – były to słowa, które chłopak wypowiedział przez sen, kiedy oczyszczał się z syfu podanego mu przez Lewisa na balu. I był wtedy nie mniej przeżony niż teraz.

– Nie zostawiaj mnie, Chloe – dotarło do moich uszu. – Nie rób mi tego, nie zostawiaj mnie samego.

Poczułam, jak coś w mojej głowie eksploduje, a chwilę później ukołysał mnie błogi spokój. Nim to jednak nastąpiło, zawyłam z bólu ze wszystkich sił, czując, jak moje gardło odmawia pod koniec posłuszeństwa.

I wszystko nagle zniknęło.

Rozdział 17

MATTEO

Spojrzałem zmartwiony na Vivien, która stała przy szpitalnym oknie i płakała. Przymknąłem powieki, przypominając sobie, że zanim wszedłem do domu Chloe, kazałem jej czekać przed budynkiem niezależnie od wszystkiego. Vee nie posłuchała. Widok, który zobaczyła po tym, jak usłyszała krzyk Chloe i wpadła do rezydencji, wstrząsnął nią bardzo. Widziała ją pierwszy raz od dwóch miesięcy.

Ja sam nie wiedziałem, co o tym myśleć. Byłem na siebie wściekły, że wcześniej nic nie zauważyłem. Musiały być jakie sygnały odnośnie do tego, że coś się z nią działo. Tylko dlaczego byliśmy tacy ślepi? Dlaczego ja byłem taki ślepy? Przeszła tyle, że konsultacja lekarska była wręcz oczywista; Federico nie miał przecież pieprzonego wykształcenia medycznego. W złości na kuzyna i rozgoryczeniu po tym, jak Chloe mnie zostawiła, zapomniałem, że racjonalne decyzje nigdy nie były jej przyjaciółmi. Uwielbiała popełniać błędy, ryzykować i trzymać się z daleka od tego, co słuszne. Krzyk, który wydobył się z jej gardła chwilę przed tym, jak straciła przytomność, aż do teraz odbijał się echem w mojej głowie i brzmiał jak najgorszy koszmar. Cierpiała. Tak cholernie cierpiała, a ja nie zrobiłem nic, aby jej pomóc.

– Vivien. – Wstałem w końcu ze szpitalnego krzesła i ruszyłem w kierunku dziewczyny. Nie wiedziałem, co jej powiedzieć. Że przepraszam? Że jest mi cholernie przykro?

– Ona z tego wyjdzie, prawda? – szepnęła niebieskowłosa, odwracając się nieco w moją stronę. Wpatrywała się we mnie z takim błaganiem w oczach, że coś mnie zakłuło. – Proszę, powiedz, że ona z tego wyjdzie.

– Wyjdzie – odpowiedziałem cicho.

Policzki przyjaciółki zalała kolejna fala łez, a chwilę później dziewczyna wpadła w moje ramiona, zanosząc się szlochem. Lekko zaskoczony objąłem ją ramieniem, wdychając.

– To Chloe – dodałem. – Wyjdzie bez szwanku ze wszystkiego.

Ledwo zdążyłem wypowiedzieć te słowa, drzwi sali się otworzyły i wyszedł przez nie zmarkotniały mężczyzna razem z lekarzem. Spojrzeliśmy na nich, a siedząca kilka krzeseł dalej Carmen wstała i szybkim krokiem skierowała się w ich stronę.

– Zrobimy wszystko, co w naszej mocy. Najwięcej zależy od niej samej – podsumował medyk, na co ojciec Chloe przytaknął i podziękował, podając lekarzowi rękę.

Vivien otarła łzy rękawem bluzy, kiedy człowiek w białym fartuchu odszedł korytarzem. Wpatrywaliśmy się nieustannie w pana Riverę, który wziął głęboki wdech i głośno wypuścił powietrze, wbijając wzrok w sufit. Nie było dobrze. Twarz Williama niczego nie wyrażała, przez co już wiedziałem, po kim Chloe miała umiejętność zakładania masek.

Geny tatusia...

Zmarszczyłem brwi, kiedy ojciec dziewczyny wyciągnął telefon i przystawił go do ucha. Rozmawiał z kimś przez krótką chwilę, po czym się rozłączył i od razu na nas spojrzał.

– Silne wstrząśnienie mózgu trzeciego stopnia – wyrzucił z siebie nagle, patrząc na naszą dwójkę. – Podejrzenie zespołu powstrząśnieniowego. Nie wiadomo, ile będzie pamiętać, kiedy się obudzi. Poparzone trzydzieści pięć procent powierzchni ciała, w różnych stopniach. Naderwane struny głosowe. Uszkodzenie komórek nerwowych. – Wziął głęboki wdech, kiedy skończył

wyliczankę, która wydawała się nie mieć końca. – Cholera... Co działo się z moją córką przez ostatnie tygodnie? – zapytał lekko podniesionym tonem, którym jednak nie zrobił na mnie wrażenia.

Patrzyłem pustym wzrokiem przed siebie, analizując to, co usłyszałem. Jej stan był poważny, co wiedziałem już wcześniej. Teraz jednak, znając dokładne obrażenia, czułem przerażenie. Wszystko zależało od Chloe i jej organizmu. Była silna, w to nigdy nie wątpiłem. Musiała sobie z tym poradzić. Musiała walczyć: dla siebie, dla mnie, dla nas wszystkich. Nie mogła się poddać.

– Przeżyła wybuch bomby w rezydencji, w Argentynie – odezwał się, przez co mężczyzna na mnie spojrzał. Wpatrywaliśmy się w siebie przez moment. – Może niech pan lepiej zapyta, co się z nią nie działo. Będzie szybciej.

Bez słowa przesiedzieliśmy kolejną godzinę na korytarzu. Trwając w otępieniu, każdy zajmował się swoimi myślami, a moje były okrutnie bolesne. To wszystko stało się z mojego powodu. Wyjechała ze Scottem, abym został uniewinniony. Zostawiła całe swoje życie, abym był bezpieczny i szczęśliwy. Gdyby nie ja, nie musiałyby zniknąć, nie musiałyby walczyć, nie wydarzyłyby się nic, co zakończyłoby się właśnie w taki sposób. I teraz nie siedzielibyśmy na głupim korytarzu, czekając na zbawienie. A ona by tyle nie cierpiała.

– Matteo! – Krzyk Aylyn rozbrzmiał w korytarzu.

Spojrzałem w prawą stronę i ciężko westchnąłem. Żałowałem, że przekazałem im prawdę przez telefon, bo wszyscy zasługiwali na więcej. W tamtym momencie byłem jednak zbyt zajęty myśleniem o dobru Chloe.

– Jesteśmy tu, bo jednak go zabiła? – wyrzucił z siebie Zack, jako jedyny znając prawdziwy powód mojego przylotu tutaj, po czym spostrzegł, kto siedział kilka krzeseł dalej. Przeklął pod nosem, uśmiechając się nieśmiało.

– Też miło cię widzieć, Zack – odpowiedział spokojnie William, przez co chłopak zawstydził się jeszcze bardziej.

– Co się stało? – zapytał Logan, który dotarł do nas chwilę później, a za sekundę minął go Alec, który zamknął w swoich ramionach zapłakaną Vivien.

Każdy skupił się na mnie, przez co utwierdziłem się w przekonaniu, że to wszystko była moja wina. Spojrzałem na Zacka, który obejmował ramieniem zaszlochaną Aylyn, potem przeniosłem wzrok na Logana, o którego opierała się Amy, a za chwilę na Aleca i Vivien. Powinni być szczęśliwi. Wszyscy.

– Matteo.

Zerknąłem zdołowany na Bena, który stał z boku i chyba odczytał moje myśli bezbłędnie.

– Nawet tak, kurwa, nie myśl. To nie przez ciebie.

– To moja wina. – Dojrzały, męski głos był szybszy niż ja; w jednym momencie spojrzeliśmy na Williama, który patrzył teraz przed siebie. – Rodzina Lewisów najpierw zabrała mi żonę, a teraz prawie zabiła mi córkę.

– Sześć milionów rocznie to kwota, za którą raczej powinni traktować ją lepiej – wymknęło mi się. I wszystko w tym momencie popsulem. Zamknąłem na moment oczy, chcąc po prostu zniknąć, po czym zlustrowałem wzrokiem twarze przyjaciół, którzy nie mieli pojęcia, o czym mówiłem.

– Doceniam twoją szczerość, Matteo – mruknął William, na co zmarszczyłem brwi. – Ostatnio rzadko mam z nią do czynienia.

Nie takiego człowieka znałem. Przyznawanie się do winy i dziękowanie za brutalną prawdę nie było w jego zwyczaju. Kiedy tylko miałem z nim kontakt, był chłodny, milczący i wyniosły.

Kajający się Rivera to obce zjawisko.

– Będziemy czekać tu na zbawienie? – odezwał się Ben, wpatrując w ścianę przed sobą. – Czekać, aż się wybudzi albo aż jej stan się pogorszy?

Miałem ochotę go udusić. *A co lepszego mamy do roboty? Co jest ważniejsze od Chloe i jej życia?*, pomyślałem, jednak zanim zdążyłem się odezwać, usłyszeliśmy dziwny dźwięk. Ben gwałtownie odwrócił się w stronę ojca Chloe i w ostatnim momencie złapał dźwięczący przedmiot. Zaskoczony spojrzał na to, co trzymał w rękach, a był to pęk kluczy.

– Jedźcie do domu odpocząć. Wyglądacie, jakbyście potrzebowali tego bardziej niż tlenu – wyjaśnił, wbijając oczy w drzwi, za którymi znajdowała się jego córka. – Nie zostanie tutaj. Zadzwoń, gdzie trzeba. Jeszcze dzisiaj przenosimy Chloe do domu.

– Będziemy bawić się w szpital? – zakpił Ben, na co zacisnąłem zęby.

Przysięgam, że dosłownie chwila dzieliła moją pięść od ponownego spotkania się z jego twarzą. Tak głupi to nie mógł być nawet on. Właśnie w tym momencie straciłem wiarę w tego człowieka.

– Panie Williamie! – Damski głos wypełnił martwą ciszę na korytarzu, a chwilę później przemknęła obok nas jakaś dziewczyna, o mało nie wpadając na starszego mężczyznę.

– Lorein? – Zaskoczony przytulił do siebie rudowłosą, a gdy ta się odsunęła, posłał jej pytające spojrzenie.

Wszyscy przyglądaliśmy się tej scenie zdezorientowani, nie wiedząc, co powiedzieć. Kim była ta dziewczyna?

– Tata do mnie zadzwonił, pracuje tu – wyjaśniła, na co ojciec Chloe pokiwał głową ze zrozumieniem. – Co ta kretynka znowu zrobiła? – Powiedziawszy to, Ruda podeszła do szklanej szyby, za którą znajdowała się Chloe, cały czas nas ignorując.

Omiotłem spojrzeniem twarze przyjaciół, którzy mieli podobne miny do mojej. Cholera, jak można nie zauważyć ośmiu osób? Bez słowa podszedłem do okna, przy którym stała dziewczyna, znajdując w sobie odwagę, aby spojrzeć na Chloe. Jej widok, takiej leżącej bez żadnej siły na szpitalnym łóżku, sprawił, że poczułem do siebie jeszcze większy żal.

Nie potrafiłem jej ochronić.

Znowu.

Zaparkowaliśmy cztery auta pod rezydencją. Opuściłem czarnego mercedesa, patrząc na rudowłosą, która właśnie wysiadała ze swojego czerwonego auta marki Aston Martin. Za kilka chwil z dwóch kolejnych samochodów wyszli przyjaciele. Ja stawiałem na luksus, oni na wygodę, a ruda żmija na kieszeń bogatego tatusia. A dlaczego żmija? Dziewczyna nie odezwała się do nas słowem ani w szpitalu, ani w drodze na parking, ani teraz, kiedy znajdowaliśmy się na terenie rezydencji. Irytowało mnie to niemiłosiernie. Szczególnie że kilkadziesiąt minut temu nazwała Chloe kretynką. Moją Chloe.

– Ruda – odezwałem się w końcu, na co nasza nowa koleżanka spojrzała na mnie z wymuszonym uśmiechem na ustach.

– Jestem tu dla Chloe. Nie wiem, co wy za jedni, i mało mnie to interesuje – zwróciła się do nas suchym tonem. – Skoro William chce, abyście tu zostali, proszę bardzo. Zajmijcie pokoje gościnne na drugim piętrze. A ty – spojrzała na mnie ze zwycięskim błyskiem w oku – skoro już zgłosiłeś się na ochotnika, pomóżesz mi przygotować pokój dla Chloe.

Zmarszczyłem brwi, patrząc z oburzeniem na przyjaciół. Alec pokręcił w milczeniu głową, chyba uznając, że nie warto wchodzić z dziewczyną w jakiegokolwiek dyskusje. Vivien szepnęła coś Ailyn na ucho, przez co blondynka zacisnęła usta w wąską linię, aby po chwili przekazać kilka

słów Amy, która zareagowała podobnie. Zack założył ręce na klatce piersiowej i zmrużył oczy, wyglądając tak, jakby chciał coś powiedzieć, jednak ugryzł się w język. Na twarzy Bena błąkał się naprawdę dziwny uśmiech, który jasno wskazywał, o czym myślał, kiedy patrzył na Lorein. Za to Logan jedynie wzruszył ramionami i otworzył bagażnik, po czym wyciągnął z niego walizki. Niektóre rzeczy się nie zmieniały, niezależnie od sytuacji.

Westchnąłem cicho, zamykając auto pilotem, i ruszyłem za zadowoloną dziewczyną do drzwi wejściowych.

– Gabe! – rzuciła do mężczyzny, który stał przy drzwiach, przeciągając drugą literę jego imienia. – William prosi o wykonanie protokołu czterdziestego trzeciego. Wiesz, to ten o dodatkowej ochronie i wyjątkowej ostrożności. – Zaśmiała się i wyciągnęła rękę w stronę klamki.

– Lorein. – Męski głos zatrzymał rudowłosą, która niecierpliwie obejrzała się na ochroniarza. – Chloe zabroniła ci wstępu do tego domu. – Ton jego głosu był niezbyt przyjazny, więc wywnioskowałem, że za nią nie przepadał.

Uniosłem brwi, przyglądając się tej sytuacji. Kim, do cholery, była ta dziewczyna i dlaczego znał ją każdy? Za to Ruda nic sobie z nikogo nie robiła, nawet z tonu Gabe'a. Tylko uśmiechnęła się sztucznie, kiwając przy tym głową.

– Zmieni zdanie. – Poklepała ochroniarza po ramieniu i przekroczyła próg, kierując się wdzięcznym krokiem w stronę schodów.

– Czeka! – zawołałem, tracąc cierpliwość. – Kim ty jesteś?

Dziewczyna zatrzymała się na czwartym schodku i obdarzyła mnie pobłażliwym spojrzeniem, które sprawiało, że miałem ochotę odwrócić od niej wzrok. Biła od niej tak silna aura pewności siebie i wręcz arogancji...

– Ja? – Ponownie się zaśmiała i pokręciła głową, jakby usłyszała słaby żart. – Najlepszą przyjaciółką Chloe.

Nie ruszyłem za żmiją. Zamiast tego zająłem miejsce w fotelu, w salonie, uprzednio chowając pistolet, który nadal znajdował się na podłodze. Słyszałem, jak dookoła toczy się życie, przyjaciele rozmawiają, woda gotuje się w czajniku, jednak nie brałem w tym udziału. Nie miałem pojęcia, na jak długo tak odpływałem. W mojej głowie kłębiły się myśli, które sprawiały, że popadałem w coraz większą ciemność, a jedna z nich przewijała się non stop...

Dlaczego to ja go nie zabiłem?

Wiedziałem, że Scott był zagrożeniem. Wiedziałem, że miał obsesję na punkcie Chloe. Wiedziałem, że nie miał zamiaru odpuścić. Więc dlaczego nic nie zrobiłem? Mogłem zrobić tak wiele...

– Ty, myśliciel! – Czyjś głos przerwał mi pogrążanie się w mroku mojego umysłu, na co zakląłem pod nosem.

Mógłbym przysiąc, że w tamtym momencie miałem ochotę wyrzucić tę rudą żmiją za drzwi. I miałem gdzieś, kim jest i czego chciał ojciec Chloe. Przy odrobinie szczęścia może nie dostałaby kopa na pożegnanie.

Odwróciłem się, przybierając obojętny wyraz twarzy i zatrzymując wzrok na Lorein.

– Mam imię – zauważyłem.

– A ja mam to gdzieś. Podano kolację, rusz się – rzuciła i zniknęła za ścianą.

Westchnąłem, ruszając za nią. Do tej pory nawet nie myślałem o sobie i dopiero teraz poczułem skurcz żołądka: najzwyczajniej w świecie byłem głodny.

Kiedy dotarłem do jadalni, zająłem wolne krzesło i spojrzałem przed siebie. Przyjaciele siedzieli markotni, skupiając się głównie na swoich talerzach. Przyjrzałem się zastawionemu stołowi, decydując się na coś, co wyglądało jak makaron.

– A więc... – usłyszałem ponownie ten sam głos i od razu przewróciłem oczami – ...kim jesteście?

– Myślałem, że masz to gdzieś – mruknąłem z przekąsem, podnosząc wzrok na Lorein.

– Bo mam. – Zaśmiała się wesoło, rozsiadając się w białym krześle. – Jednak jestem ciekawa, skąd tu taki tłum.

– Wyjdź, to zrobi się luźniej – warknęła Vivien, wpatrując się hardo w Rudą.

– Uspokójcie się – jęknął Logan, wzdychając. – To nie czas na kłótnie.

– Ja mam czas na wszystko. – Mówiąc to, Lorein mrugnęła do chłopaka, na co Amy aż się zagotowała, a Ailyn złapała przyjaciółkę za rękę, starając się ją uspokoić.

Atmosfera przy stole była wyjątkowo napięta. Czułem, że cała ta sytuacja źle się skończy. I nie było mi z tego powodu źle.

Zaśmiałem się pod nosem, skupiając na sobie uwagę zebranych. Podniosłem wzrok, opierając się o krzesło, i westchnąłem, patrząc na Rudą. Dziewczyna zmarszczyła brwi, zaskoczona moim zachowaniem. Wszyscy wydawali się zdezorientowani.

– Wiecie co? – odezwałem się w końcu, po dłuższej chwili walki z Lorein na spojrzenia. – Ja się nie dziwię, że Chloe była taką suką, kiedy ją poznaliśmy, skoro wcześniej przyjaźniła się z taką rudą żmiją. – I powiedziałem to na głos.

W pomieszczeniu rozbrzmiał chichot Ailyn i Zacka, którzy jako pierwsi mieli przyjemność poznać uroczą Chloe po jej przylocie do Nowego Jorku.

– Chryste, jaka ona była nieznośna – parsknął chłopak, rozglądając się dookoła. – Myślałem, że mnie zabije, kiedy zacząłem jej pomagać.

– A ja? Gdy zobaczyłam ją w drzwiach sypialni, wiedziałam, że będą problemy. – Ailyn zaśmiała się, odkładając sztućce na talerz.

– Chwała wszystkim bogom, że tak wiele się zmieniło. – Vee westchnęła i pokiwała głową, wspominając stare czasy.

Przyglądałem się im z zadowoleniem wymalowanym na ustach. Z każdym naszym słowem twarz Lorein stawała się coraz bardziej poirytowana. Chciała nas zawstydzić, lecz zamiast tego my robiliśmy to jej. Mówiliśmy o Chloe prawdę, bo ją znaleźliśmy. Znaleźliśmy Riverę od samego początku, kiedy tylko uciekła z Newcastle, a raczej uciekła od Lorein.

– Zamknijcie się wszyscy! – krzyknęła w pewnym momencie Ruda i wstała.

– Zmusz mnie, suko – syknęła Vivien, również podnosząc się z krzesła.

Rozejrzałem się dookoła, starając się znaleźć sposób, aby zapobiec tragedii, która chyba była jednak nieunikniona. Szczęśliwie wojnę przy stole przerwał dźwięk wjeżdżającego na podjazd samochodu. Zaciekawieni wstaliśmy i ruszyliśmy w stronę holu, zostawiając w jadalni wściekłą Lorein. Po chwili i ona do nas dołączyła, przepychając się pomiędzy nami na początek. Gdy drzwi się otworzyły i stanął w nich starszy, podtrzymujący drobną dziewczynę mężczyzna, poczułem, jakbym miał się zaraz rozplakać. *Cholera*, przekląłem, nie mogąc uwierzyć, że się obudziła, a do tego szła prawie o własnych siłach.

– Nie byłem w stanie jej przekonać, że karetka to lepszy środek transportu niż zwykły samochód ani że jej stan nie pozwala na spacer – burknął William, ni to do siebie, ni to do nas. – Nigdy nie będę w stanie się jej wyprzeć. Moja cholernie uparta krew.

Kiedy szatynka uniosła głowę i jej wzrok padł na rudą przyjaciółkę, czas się zatrzymał. Nie takiej reakcji jednak się spodziewałem. Chloe bez chwili zastanowienia wyrwała się ojcu, strącając z komody szklany wazon. W sekundę schyliła się, podnosząc jeden z odłamków, i rzuciła się na dziewczynę z mordem w oczach. W tle dało się usłyszeć westchnienie Carmen i jej szept: „Kolejny wazon...”.

– Ty pieprzona zdziro – warknęła Rivera, przyciskając Lorein do najbliższej ściany i trzymając kawałek szkła przy jej gardle.

Obserwowałem, jak Chloe oddycha płytko, co jakiś czas krzywiąc się z bólu. Jeśli leki przeciwbólowe przestawały działać, nie zwiastowało to niczego dobrego. *Co tu się, do kurwy, odgrywa?*, zastanawiałem się. Czułem się jak w telenoweli. Przez dwadzieścia cztery godziny zdarzyło się tu więcej niż przez ostatni miesiąc mojego życia.

– Hej, Chloe. Tyle lat! – Lorein uśmiechnęła się szyderczo, podnosząc dłoń i falując jej palcami.

– Trzymajcie mnie – sarknęła szatynka, spoglądając na Rudą z nienawiścią, a ja już nie wiedziałem, czy to przerośnięta, czy Chloe naprawdę czuła, że zaraz upadnie i potrzebuje wsparcia. – Jaki trzeba mieć tupet!

– Nudziło mi się – przyznała Lorein, wzruszając ramionami.

– Tatuś po raz kolejny zapomniał o córeczce, zapełniając pustkę wpłatą na konto? – zadrwiła Chloe, na co twarz Rudej stężała. Ktoś tu trafił w czułe miejsce... – Jakim pieprzonym prawem przekroczyłaś próg tego domu?

Co dziwne, nikt nie przerwał tej sytuacji, w której zagrożone było życie Lorein. William tylko westchnął i skrzyżował ręce na torsie, wpatrując się w odgrywaną scenę, a my byliśmy chyba zbyt zszokowani reakcją Chloe na widok, jak stwierdziła Lorein, swojej „najlepszej przyjaciółki”.

– O co robisz taką aferę? To ja powinnam się złościć. Wyjechałaś bez żadnego pożegnania – mruknęła, kręcąc głową. – Przyjaciółki tak nie postępują. Zabolalo.

– I przysięgam, zaraz zaboli bardziej – syknęła szatynka, powstrzymując się przed przebicciem gardła Rudej kawałkiem szkła. Jej dłoń drżała i naprawdę sądziłem, że była w stanie to zrobić.

– Niepotrzebna afera. Dobrze się bawiłyśmy – mruknęła Lorein, spokojnie wpatrując się w Chloe. – Przecież nic się nie stało.

– Nic się nie stało? – Rivera wciągnęła powietrze ze świstem. – Pieprzona zdziro – prychnęła, a jej ciałem wstrząsnął dreszcz. – Owszem, bawiłam się świetnie. Do momentu, kiedy odkryłam, że robisz biznes na tej zabawie. – Przynęła się jeszcze bliżej Lorein, przez co dzieliły je tylko centymetry. Głos Chloe stał się cichszy, kiedy wypowiadała kolejne zdanie: – Wychodziłyśmy na imprezy, poznawałyśmy, jak myślałam, przypadkowych facetów, sypiałyśmy z nimi i było naprawdę fajnie – mówiła, a ja miałem wrażenie, że na jej twarzy na ułamek sekundy pojawił się nikły uśmiech, jednak zastąpił go grymas. – A później dowiedziałam się, że brałaś za to pieniądze. Za nas obie. – Dłoń Chloe ponownie drgnęła, przez co wstrzymałem powietrze. – Zrobiłaś z własnej przyjaciółki dziwkę.

Zszokowani staliśmy i wpatrywaliśmy się w dziewczynę.

Cholera, wiedziałem, że Chloe całym sercem nienawidziła tego miasta, jednak myślałem, że robiła to ze względu na rodzinę. Nigdy nie wspominała nic o znajomych czy choćby przyjaciółkach. Dopiero teraz do mnie dotarło, że nie chciała tu wracać, bo doszczętnie spaliła za sobą mosty. A kto chciałby wracać po spróchniałych belkach?

– A czy była to dla ciebie jakaś różnica? I tak świetnie się bawiłaś. Wyszłaś ze skorupy, zasmakowałaś prawdziwego życia i przekonałaś się, że zasady są po to, aby je łamać. Pokazałam

ci, jak korzystać z tego, co masz. Jak przyjemnie jest pieprzyć zdanie innych i robić to, czego naprawdę się chce, bez tych wszystkich „wypadałoby” czy „powinno się”. Gdyby nie ja, wiesz, co byś zrobiła. Pamiętasz, Chloe? – Lorein uśmiechnęła się triumfalnie. – Pamiętasz, o czym mi mówiłaś na samym początku naszej znajomości? Uratowałam ci życie.

I chyba te słowa przelały szalę goryczy, bo Chloe zastygła w bezruchu, nie odrywając oczu od zadowolonej z siebie Lorein. Jej mina przybrała zboląły wyraz, jakby coś sobie uświadomiła.

– Gabe! – krzyknęła w końcu, po czym nachyliła się w stronę Lorein i wyszeptała coś do jej ucha.

Kiedy mężczyzna znalazł się w holu, spojrzał na scenę, która się tu rozgrywała, i... zbytnio się nią nie przejął. Czyżby kolejny zwykły dzień w domu Riverów?

– Zabieraj stąd tę wywołkę i dopilnuj, aby odjechała. Jeżeli jeszcze raz zobaczę ją w tym domu, będziesz zbierał z podłogi jej zwłoki. – Chloe po wydaniu polecenia cofnęła się o kilka kroków, pozwalając ochroniarzowi wyprowadzić Rudą z domu.

Kiedy zniknęli za drzwiami, szatynka przekleła pod nosem, rzucając kawałek szkła na podłogę. Dopiero po kilku sekundach skupiła na nas swój wzrok, marszcząc brwi. Jej mina jasno wskazywała, że ogarnięta furią nas nie dostrzegła.

Niespodzianka...

– Co wy tu wszyscy robicie? – zapytała nagle, rozglądając się dookoła.

– Witaj w domu! – wykrzyknął Ben, rozkładając ręce na boki.

Zapanowała cisza, idealna cisza wypełniona napięciem i niepewnością. Aż nagle uśmiech, który powoli pojawił się na twarzy Chloe, sprawił, że się rozluźniłem. To był dobry znak. Teraz wszystko miało być już dobrze.

Rozdział 18

CHLOE

„Niezręcznie”. Tak mogłam określić sytuację, w której się znaleźliśmy. Siedzieliśmy w salonie w ciszy, zmęczeni i osowiali. To był ciężki dzień, naprawdę ciężki dzień, i to dla nas wszystkich. Według zaleceń lekarza, który przyjechał pod wieczór, by ponownie mnie zbadać, miałam leżeć w łóżku i najlepiej się nie ruszać. Mój organizm naprawdę potrzebował regeneracji, więc powinien skupić się tylko na tym. Żadnych nerwów, stresów czy używek.

– Jak się czujesz? – usłyszałam w końcu.

Westchnęłam i uśmiechnęłam się lekko, podnosząc wzrok na Matteo i znosząc jego wytrwałe spojrzenie. Twarz blondyna nie wyrażała kompletnie niczego. Całkowity brak emocji, jak manekin. Siedział ze stopą zarzuconą na kolano, trzymając głowę opartą o rękę.

Mógł udawać. Mógł przybrać maskę obojętności i zachowywać się tak, jakby nic się nie stało. Mógł grać, że to wszystko go nie obeszło. Jednak ktoś kiedyś powiedział, że oczy są zwierciadłem duszy i spoglądając w nie, można odczytać nawet najgłębsze emocje. Trzeba tylko wiedzieć, jak patrzeć. I ja to wiedziałam, bo znałam go lepiej niż ktokolwiek.

– Dobrze – odpowiedziałam po chwili. – A ty?

Spojrzał na mnie lekko zaskoczony, bo chyba nie spodziewał się tego pytania. Szybko jednak zarzucił na siebie kolejną maskę, którą był cwaniacki uśmiech.

– Najpierw mnie rzuciłaś, a później prawie umarłaś mi na rękach – stwierdził takim tonem, jakby mówił o pogodzie. – A wpadłaś tu tylko po to, by wpakować swojemu ojcu kulkę w głowę. Kolejny nudny dzień.

Zabolało, choć zasłużyłam. Potraktowałam go okropnie, jakby to, co razem przeżyliśmy, nie miało najmniejszego znaczenia.

Odwrociłam wzrok, zaciskając zęby na wnętrzu swojego policzka.

– Matteo – zaczęłam, jednak nie dane mi było dokończyć.

– A wiecie, co jest najśmieszniejsze? – przerwał mi.

Nie, Matt, nie zrobisz mi tego teraz..., pomyślałam w panice. Spojrzałam na blondyna, który kipiał złością z domieszką drwiny.

– Że ona chce nas chronić. Odeszła, bo chce nas chronić. Ile to minęło od wybuchu? Dziewięć dni? Tak, dziewięć. Dziewięć dni i jeszcze nikt nie próbował nas zabić. – Zrobił przerwę, prychnąwszy pod nosem. – Przed kim ty chcesz nas chronić? Przed nimi? Czy przed samą sobą?

Zacisnęłam zęby, czując potworny gniew, który po chwili został zastąpiony przez bezsilność. Bo Matteo miał rację. Uparcie starałam się ich od siebie odsunąć, ponieważ się bałam. Nie wiedziałam, kim teraz byłam. Nie chciałam ich skrzywdzić swoją zmianą. Nie chciałam sprawić im zawodu, że nie będzie tak jak dawniej.

– Zabiłam człowieka – odezwała się w końcu, patrząc na Matta. – Muszę was przed sobą chronić.

– Zabiłaś jednego, który zabił wielu – zauważył Logan, starając się mnie nieco usprawiedliwić.

– Zabiłaś mordercę, sama stając się mordercą. Bilans wychodzi na zero. – Szyderczy ton głosu blondyna sprawił, że przeszedł mnie dreszcz.

Wzięłam głęboki wdech, kręcąc głową. Oniemiała przeniosłam na chłopaka wzrok, nie wierząc, że to powiedział. Na jego twarzy malowała się taka pewność i przekonanie co do słuszności własnych słów, że poczułam, jakby ktoś uderzył mnie w brzuch, pozbawiając przy tym tchu.

Miał prawo być zły. Miał prawo do wielu emocji. Byłam świadoma, że skrzywdziłam go jak nikt inny. Czułam, że szalała w nim prawdziwa burza emocji, którym musiał dać upust. Nie spodziewałam się jednak, że będzie wyładowywał je na mnie.

Bez słowa wstałam i minęłam zszokowanych przyjaciół, kierując się w stronę schodów. Oczy zaczęły mnie niebezpiecznie szczypać, na co przeklełam pod nosem. Miałam już wszystko gdzieś, ale – jak na złość – zawsze chciałam mieć ostatnie słowo. Dlatego odwróciłam się nagle, stając w progu i wbijając spojrzenie w blondyna, i odparłam:

– Wiesz co, Matteo? Może i jestem mordercą. Prawdziwym mordercą. Może i jestem przewrażliwiona, przez co odsuwam się od was na każdym kroku. Ale myślę, że tylko w sytuacji, gdyby mi na was nie zależało, nie martwiłabym się o wasze bezpieczeństwo.

Twarz chłopaka lekko złagodniała i pojawiło się na niej zdezorientowanie.

– Popełniłam masę błędów. I niektóre z nich będą prześladować mnie do końca życia. – Zawahałam się, słysząc swój drżący ton i próbując sobie uświadomić, że to, co powiem, zostanie między nami na zawsze. Nie będzie od tego odwrotu. – Całe moje życie stanęło nagle na głowie, bo... poznałam ciebie i najpierw całym sercem cię znieawidziłam, a później pokochałam. Dlatego nie każ mi zacząć uważać, że największym błędem w moim życiu byłeś ty.

Pokój wypełniała ciemność, a jedynym źródłem światła był mój telefon. Czułam się okropnie i nie chodziło tylko o fizyczne aspekty. Wpatrywałam się zaszklonymi oczami w ekran, oglądając na nim jeden z występów Lily. Tak strasznie za nią tęskniłam. Potrzebowałam jej. Moje życie się waliło i potrzebowałam mamy, która poprowadziłaby mnie dalej. Zaśmiałam się cicho pod nosem, obserwując to, co działo się na scenie.

Była najlepsza w byciu tancerką i matką.

Kiedy usłyszałam dźwięk otwieranych drzwi, spojrzałam w ich stronę. Do ciemnego pokoju wpadła łuna światła, a w progu stanęła postać.

– Śmiałaś się? – zapytał Logan.

Natychmiast zablokowałam telefon i bez słowa usiadłam na łóżku, po czym włączyłam lampkę nocną, przez co w pomieszczeniu zrobiło się jaśniej. Obserwowałam, jak przyjaciel zamyka za sobą drzwi, podchodzi bliżej i siada obok mnie. Przez dłuższy czas panowała między nami cisza.

– Matteo to idiota – zaczął nagle, na co się spięłam. Poruszałimy drażliwy temat. – Gdyby było inaczej, przyszedłby tu, zamiast wychodzić z rezydencji.

A więc wyszedł. Uciekł.

– Niektóre rzeczy się nie zmieniają. – Wzruszyłam ramionami, starając się nie okazywać emocji.

– Wy się zmieniliście. – Logan uśmiechnął się.

Stop. To nie jest dobry temat na ten wieczór, pomyślałam, bo zaczęło mnie skręcać w żołądku, ale chłopak uważał chyba inaczej:

– Nawet nie wiesz, jaki był, kiedy go poznaliśmy – kontynuował. – Już na powitalnej imprezie w bractwie całował się ze wszystkimi dziewczynami z pierwszego roku alfabetycznie do litery L. Nie żartuję, co chwilę widywany był z inną.

Próbowałam wyobrazić sobie to, co mówił Logan, jednak nawet moja wyobraźnia nie działała na tak wysokich obrotach.

– Był tak cholernie nieempatyczny, że przez jakiś czas Zack pomieszkiwał u mnie i Bena. Naprawdę, życie z Matteo było torturą. Jednak po czasie się do niego przyzwyczailiśmy. Spędzaliśmy razem czas na zajęciach, treningach drużyny, aż w końcu zrobiła się z nas całkiem niezła ekipa. I tak razem przez cały rok, na dobre i... na złe.

Wiedziałaś, kogo chłopak miał na myśli: Lewisa.

– Żałujesz? – zapytałam, zerkając na niego, a on posłał mi zdeorientowane spojrzenie. – Że wszedłeś w to gówno za nimi.

Logan zaśmiał się, jakby usłyszał jakiś dobry żart.

– Szczerze? Nie – odparł, czym mnie zaskoczył. – Gdyby nie Scott, nie mielibyśmy tego „na złe”. To zbliżyło nas chyba najbardziej.

– Wizja wspólnej śmierci, jakie to jednoczące – zadrwiłam, na co Logan prychnął.

– Udało nam się to zakończyć. To była jak wygrana na loterii. Myśleliśmy, że dalej będzie lepiej. Matteo cieszył się z nas wszystkich chyba najbardziej. Wiesz, kim jest jego ojciec, więc gdyby Matt został złapany, miałyby cholerne problemy.

– Senior Cortez prawnikiem, a junior Cortez kryminalistą – powtórzyłam słowa, które wypowiedziałam do Matteo wtedy, gdy dowiedziałam się, czym zajmuje się jego ojciec.

– Dokładnie tak – parsknął Logan, rozluźniając atmosferę. – Potem zaczął się drugi rok i pojawiłaś się ty. Chryste, świat stanął na głowie. Chociaż na początku też nas nie oszczędzałaś.

– Zostawiliście mnie samą w klubie – wypomniałam mu, na co podniósł rękę w obronnym geście.

– Nie samą. Przyszedł Matteo, posiedzieliśmy, razem z Zackiem chcieliśmy się zbierać, a ciebie nigdzie nie było. Matt powiedział, że z tobą zostanie.

– Zack doskonale wiedział, z kim mnie zostawia, i uznał to za bezpieczne dla mnie?

– On i Matteo są jak bracia. Jeden nie sprzedałby drugiego za nic na świecie. Łączy ich naprawdę coś wyjątkowego. Dlatego to Zack zauważył największą zmianę u Matta. A najbardziej wstrząsnęło nami wszystkimi, kiedy przyprowadził cię na noc i nie zrobił nic. Cholera, dziewczyna leżała w jego łóżku, a on nie wykorzystał okazji. Nie żebym popierał jego występki – zaznaczył na koniec. – Kiedy tamtej nocy Zack przyszedł do nas na dywan, myśleliśmy, że będzie jak zawsze. Ściany są cienkie. – Mrugnął do mnie.

Nagle poczułam wstyd. *Chryste, pewnie słyszeli cały ten cyrk*, pomyślałam.

– Ale, o dziwo, słyszeliśmy tylko śmiech, a za jakiś czas ciszę. Ciszę, rozumiesz? Było to tak nienaturalne, że myśleliśmy, że go zabiłaś. Zack był nawet sprawdzić, czy żyjecie. – Logan zaśmiał się wesoło, wspominając moje początki z blondynem. – Matteo Cortez w końcu zaczął mieć ludzkie odruchy, coś niebywałego. Wszystko zaczęło być takie dziwne, że zaczęliśmy się o niego bać. Popieprzone... Ale kiedy przestał widywać się z Jessicą i Scarlett, już naprawdę wiedzieliśmy, że dzieje się coś poważnego. One były jego pupilkami i nagle przestały się liczyć. – Zamilkł na moment, przez co zapanowała ogłuszająca cisza. – Wiesz, kiedy dowiedzieliśmy się, że Matt poleciał do Londynu? Kiedy przeczytaliśmy o tym w internecie. Nie powiedział nam, co chce zrobić. Musieliśmy się dowiedzieć, gdzie jest nasz przyjaciel, z pieprzonego internetu. I nikt nie mógł w to uwierzyć. Tak po prostu po dowiedzeniu się o ciąży wszedł do samolotu i poleciał bez słowa. Wtedy mieliśmy pewność, że się zmienił. Jednak nic nie jest w stanie oddać tego, co się działo, kiedy wrócił. Każdego dnia liczył na to, że przylecisz. Dzień w dzień pił, wciągając w to Zacka. – Pokręcił głową niezadowolony. – Mówię ci to dlatego, Chloe, bo wiem, jak wiele się zmieniło, odkąd wkroczyłaś w nasze życie.

– Tylko mi nie mów, że zmieniałam Matteo, bo będzie to najbardziej denna rzecz, jaką powiesz.
– Jęknęłam, czując, że zbliżamy się do puenty. Logan nie opowiadałby mi tego wszystkiego bez powodu.

– Nie zmieniałaś go, Chloe. Ty go naprawiłaś. Federico nie był idealnym starszym kuzynem. Matteo nie miał z nim łatwo, co pewnie wiesz. Kiedy robisz coś, starasz się, a na końcu i tak zostajesz z niczym, w końcu odpuszczasz. I Matt również odpuścił. Odpuścił emocje, związku, zobowiązania. Ale od pewnego momentu zaczęłaś liczyć się tylko ty. Chloe to, Chloe tamto. Tylko Chloe. Sprawiałaś, że znowu zaczęło mu zależeć. To cholernie wielki wyczyn.

Uśmiechnęłam się pod nosem, czując w środku dziwne ciepło. *Jednak każdy medal ma dwie strony*, pomyślałam.

– Zostawiłam go już tyle razy – westchnęłam, wzięwszy głęboki wdech. – Po tym wszystkim... nie zasługuję na niego.

– Nie zasługujecie na siebie wzajemnie – przyznał Logan, wzruszając ramionami. – I co z tego? Dlaczego panuje przekonanie, że trzeba na kogoś zasługiwać? Ty kochasz jego, a on kocha ciebie. Czy to nie wystarczy? Po co tak utrudniać sobie życie? Przecież to już nie te czasy. On nie zabije dla ciebie smoka, a ty nie napiszesz dla niego miłego wiersza.

Miał rację.

Schowałam twarz w dłoniach, opierając się plecami o ścianę.

– Spieprzyłam to, Logan – stwierdziłam w końcu, decydując się wyznać prawdę o sytuacji, która definitywnie przekreśliła mnie i Matteo. – Przekreśliłam nas, kiedy oddałam mu pierścionek, symbol naszego szaleństwa i wszystkich przeżytych wspólnie chwil. – Spojrzałam na przyjaciela ze łzami w oczach, które pojawiły się tam niespodziewanie. – Nienawidzi mnie i wcale mu się nie dziwię.

Bez wahania wyszłam cicho z budynku, po czym zamknęłam za sobą drzwi kuchenne. Westchnęłam, kiedy chłodny wiatr pogłaskał moje policzki. Ruszyłam przed siebie, podążając ścieżką wyłożoną jasnymi kamieniami. Po ciemku wszystko wyglądało inaczej, a ogród stał się bardziej tajemniczy. Oprócz świateł zainstalowanych w strategicznych miejscach rezydencji świat dookoła mnie oświetlał wielki księżyc. Westchnęłam, kiedy dotarłam do ogrodowej huśtawki, a następnie włączyłam lampki, które się obok niej znajdowały. Ciemną przestrzeń od razu wypełniło sztuczne światło, padające na rosnące tu kwiaty. Uśmiechnęłam się na ich widok. Mimo mojej nieobecności ogród mamy cały czas istniał i miał się naprawdę dobrze. Zaczęłam spacerować po alejkach, przyglądając się dokładniej roślinom. Były piękne, naprawdę napawały mnie zachwytem.

Kiedy zatoczyłam koło, położyłam się na huśtawce, przyglądając się rajowi mamy. Odnosiłam wrażenie, jakby tu była – jej obecność dawało się wyczuć w każdej części tego miejsca. Poczułam dziwne pieczenie oczu, przez co je zamknęłam. Ostatnio często płakałam, zdecydowanie pozwalałam swoim emocjom na zbyt dużo. Czułam się taka spokojna, kiedy wdychałam zapachy tych wszystkich kwiatów i kołysałam się w równym tempie. Mogłam zostać tu na zawsze.

Naprawdę na zawsze...

Jęknęłam cicho, czując, że ktoś mnie podnosi. Otworzyłam oczy, aby rozeznąć się w sytuacji, jednak dookoła panowała ciemność. Moim ciałem wstrząsnął dreszcz, kiedy owionął je wiatr. Zamrugałam kilka razy, nie wiedząc, co się dzieje.

– Śpij – usłyszałam, na co mimowolnie uśmiechnęłam się pod nosem i zarzuciłam ręce na szyję chłopaka, upewniając się, że nie spadnę.

Wrócił. Matteo Cortez wrócił.

Kiedy dobiegł mnie dźwięk zamykanych drzwi, zapadła cisza. Musiało być naprawdę późno. W korytarzu rozbrzmiewały tylko odgłosy kroków blondyna. Westchnęłam, gdy poczułam pod sobą miękką materac. Chwilę później ręce chłopaka zniknęły, zostawiając po sobie nieprzyjemną pustkę.

– Nie – mruknęłam na wpół przytomna. – Zostań.

Kiedy nikt mi nie odpowiedział, otworzyłam oczy i lekko podniosłam się na łóżku. Nasze spojrzenia się spotkały; widziałam, że się waha. Zagryzłam wewnątrz policzka, czując przeraźliwy chłód rozchodzący się od serca. Odwróciłam się na drugi bok i przymknęłam powieki. Nie miałam zamiaru go błagać. Matteo sam musiał podjąć decyzję, a ja byłam świadoma, że mogła być odmienna od tego, czego chciałam. Mimo wszystko poczułam ukłucie bólu, kiedy do moich uszu dobiegł dźwięk zamykanych drzwi.

Wyszedł.

Zaśmiałam się gorzko w duchu. Zbyt wiele nas poróżniło, aby było jak dawniej. To, co się wydarzyło, miało na nas wielki wpływ i najwidoczniej wszystko, co nas łączyło, było w cieniu ostatnich sytuacji. I musiałam się z tym pogodzić, czy tego chciałam, czy też nie. Wygraliśmy wszystkie bitwy, aby na koniec przegrać wojnę o nas. Tego dnia po raz kolejny poczułam szczypanie w oczach, a po chwili po moim policzku spłynęła łza, która skończyła swoją drogę na poduszce. Nic nie szło tak, jak powinno. Zalała mnie taka fala złości i żalu, że miałam wrażenie, jakby ktoś odbierał mi oddech.

Ze stanu niemalże paniki i rozżalenia wyrwał mnie kolejny odgłos. Spojrzałam w stronę wejścia do pokoju, jednak nic nie zobaczyłam, bo wciąż panowała ciemność. Zmarszczyłam brwi, próbując zrozumieć, co się dzieje. Dopiero kiedy czyjaś postać stanęła przed łóżkiem, uśmiechnęłam się w duchu.

– Przesuń się, niezdaro – rozbrzmiał cichy głos, wywołując w moim wnętrzu wybuch niepohamowanej radości.

Jak niewiele czasami brakuje człowiekowi do szczęścia.

Wykonałam polecenie, robiąc miejsce blondynowi, który już po chwili znalazł się obok mnie. Z dozą niepewności rozłożył ramiona i na mnie spojrzał.

Wrócił mój mały i bezbronny chłopczyk.

Bez zastanowienia położyłam głowę tuż przy jego obojczyku, czując dotyk otaczających mnie ramion i znajomy zapach, który przypominał mi dom. Mój prywatny dom. I może to, co robiliśmy – odpychaliśmy się i wracaliśmy – było nienormalne, jednak nigdy nie zamieniłabym tego na nic innego. Zасыpanie tuż przy jego bijącym sercu było czymś, za co mogłabym spłonąć w piekle.

Obudziły mnie głosy, które wyraźnie się ze sobą kłóciły. Marszcząc brwi, podniosłam się lekko na łokciu i spróbowałam wyostrzyć wzrok. Ciężar czyjegoś ramienia przygniatał moją talię, sprawiając mi lekki ból. Zdezorientowana podążyłam wzrokiem w stronę leżącej obok mnie postaci i odetchnęłam z ulgą, widząc śpiącego blondyna. Dopiero w tym momencie uderzyły mnie wspomnienia wczorajszej nocy. *Wrócił...*, westchnęłam w duchu. I to chyba było najważniejsze. Na samą myśl uśmiechnęłam się pod nosem, po czym opadłam z powrotem na poduszkę, czując niespotykane szczęście.

– Miło widzieć cię uśmiechniętą – usłyszałam z drugiego końca pokoju, na co drgnęłam.

Kiedy spojrzałam w tamtym kierunku, moim oczom ukazał się Ben. Stał w otwartych drzwiach mojego pokoju i opierał się spokojnie o framugę, posyłając mi wesołe spojrzenie.

– Ben – jęknęłam, żałując, że przerywał mi taką piękną chwilę.

Wyswobodziłam się z uścisku Matta i opuściłam nogi na podłogę. Wstałam i skierowałam się w stronę drzwi z zamiarem zamknięcia ich beczelnemu chłopakowi przed nosem.

– Jesteś ubrana. – Przyjacieli się zdziwił.

Sprawił tym, że odruchowo się zatrzymałam i spojrzałam na siebie: wciąż miałam na sobie wczorajsze legginsy i koszulkę z krótkim rękawem. Przeniosłam wzrok na Matta, który niczego nieświadomy spał w najlepsze, przykryty do kolan kołdrą, w samych bokserkach. Widocznie wczoraj wyszedł, aby się przebrać i przygotować do snu. A ja, ubrana tak jak zasnęłam na huśtawce w ogrodzie, wylądowałam w łóżku.

– Nadal cię to dziwi? – usłyszałam głos Aleca, który po chwili znalazł się obok Bena. Spojrzał najpierw na mnie, później na śpiącego blondyna i ostatecznie na stojącego obok siebie przyjaciela. – U nich to już nic dziwnego.

– To w jaki sposób oni się godzą? – zapytał Ben, udając zszokowanego.

Przewróciłam oczami, zakładając ręce na piersiach. Zachciało mu się teatrzyków.

– Benjamin – odezwałam się w końcu, choć nie wiedziałam, czy naprawdę chcę brnąć w tę dyskusję. – Znajdź sobie dziewczynę, która będzie nią dłużej niż tydzień, a wtedy pogadamy o związkach.

Alec wybuchł cichym śmiechem, za to sam Ben posłał mi spojrzenie spod przymrużonych oczu, a na jego usta wpłynął leniwy uśmiech.

– Przecież go rzuciłaś – odbił piłeczkę. – Nie możesz mnie pouczać, będąc singielką.

Zmroziłam wzrokiem chłopaka, który zagrał poniżej pasa. Na końcu języka już miałam ripostę, kiedy ktoś mnie uprzedził:

– A kto powiedział, że nią jest?

Odwrociłam się w stronę łóżka, na którym leżał Matteo. Blondyn podłożył dłonie pod głowę, przyglądając się nam z zadziornym uśmiechem na ustach. Wyglądał na naprawdę zrelaksowanego. Po chwili wstał powoli i spokojnym krokiem ruszył w naszym kierunku.

– Matteo Cortez to ktoś, kogo nie można rzucić.

Obdarzyłam go lekko zdezorientowanym spojrzeniem, kiedy bez słowa pocałował mnie w czoło i objął ramieniem. Jeszcze wczoraj uważał mnie za najgorszą, a dzisiaj zachowywał się tak, jakbym była najlepsza... W tym momencie już naprawdę niczego nie rozumiałam. Mimo to spojrzałam z lekkim uśmiechem na Bena, na którego twarzy pojawił się kpiący wyraz.

– Czyli tak się godzicie – zadrwił. – Rozmawiacie. Całą noc. Jakie to dojrzałe i... nudne – zaakcentował ostatni wyraz, ciesząc się jak dziecko.

Westchnęłam, czując się niekomfortowo w tej sytuacji. Bo, cholera, ale kto mi powie, co tu się właśnie wyprawiało?

– Następnym razem będziesz robić za mediatora. – Matt uśmiechnął się cwaniacko, a ja miałam wrażenie, że w tym momencie wrócił Dupek Matteo. – Kto wie, jak wszystko się potoczy. Może patrząc, czegoś się nauczysz.

– Zaraz zwymiotuję – jęknęłam, dając znać rozmawiającym, że ich wymiana zdań zaszła za daleko. Co to w ogóle były za pomysły?

– Zgorszyłeś Chloe – parsknął rozbawiony Ben, kręcąc głową. – Tę Chloe.

– Cuda się zdarzają – rzucił spokojnym tonem Matt, cierpliwie znosząc zaczepki przyjaciela.

– W tej sypialni musiało wydarzyć się o wiele więcej cudów. – Ben swoją wypowiedzią zapewne chciał go sprowokować.

– Chryste. – Sapnęłam.

Wyswobodziłam się z ramion blondyna i bez wahania zatrzasnęłam drzwi tuż przed nosem Bena. Wzięłam głęboki wdech, ciesząc się, że to koniec tej dyskusji. Odwróciłam się na pięcie i stanęłam twarzą w twarz z Matteo. Nie miałam pojęcia, jak się zachować. To, co działo się w nocy i przed paroma minutami... Nie rozumiałam.

– Dziękuję, że przyniosłeś mnie do łóżka – mruknęłam po długiej chwili milczenia, podczas której blondyn tylko mi się przyglądał.

– Zaskoczyło mnie światło w ogrodzie o drugiej w nocy – odpowiedział spokojnie, jakby nic się nie wydarzyło.

Pokiwałam głową, po czym ponownie między nami zapanowała nieznośna cisza.

Czego on oczekuje...?

Nie zastanawiając się nad tym dłużej, wyminęłam chłopaka, kierując się do łazienki. Potrzebowałam prysznic, który doprowadziłby mnie do porządku. Chwili dla siebie, która pomogłaby mi poukładać chaos panujący w głowie.

– Nie żartowałem. – Jego głos zatrzymał mnie tuż w wejściu do pomieszczenia, dlatego spojrzałam zdezorientowana na chłopaka, który wygodnie rozłożył się na łóżku. – Mnie nie można rzucić.

Zdumiona zamknęłam drzwi, po czym stanęłam przodem do lustra. Wyglądałam na tak zagubioną, że nie poznawałam samej siebie. A czy poznawałam Matteo? Nie wiem... Bo co to tak właściwie miało znaczyć? Że znowu zaczęliśmy być razem czy że mieliśmy jeszcze o tym porozmawiać? A może, że nie liczył tego zerwania w hotelu? Im dłużej o tym rozmyślałam, tym więcej opcji pojawiało się w mojej głowie, co zaczynało być nieznośne. Zaciśnęłam powieki, by oddalić od siebie te wszystkie myśli.

Kiedy po kilku sekundach ponownie je otworzyłam, zaczęłam się rozbierać, a potem znalazłam się pod prysznicem. Zamknęłam za sobą szklane drzwiczki kabiny i odkręciłam letnią wodę. Kiedy ta zetknęła się z moją skórą, lekko się skrzywiłam. Dzięki pomocy medycznej poparzenia goiły się jak szalone, jednak miejsca te nadal były bardzo wrażliwe. Nie mogłam doczekać się momentu, kiedy wszystkie rany, przypominające o tamtym zdarzeniu, znikną i tym samym pozwolą mi zapomnieć. Chciałam tylko tyle – zapomnieć.

Moje przemyślenia przerwał ruch widoczny po drugiej stronie pomieszczenia. Strumień wody zagłuszał jakikolwiek inny dźwięk, przez co lekko się zaniepokoiłam. Kiedy drzwiczki kabiny się otworzyły i moim oczom ukazał się blondyn, poczułam lekki strach. Pamiętałam ostatni raz, kiedy Matt widział mnie rozebraną. Wprawdzie wtedy miałam na sobie sportowy stanik i krótkie spodenki oraz byłam szyta przez Federica, jednak bałam się, że teraz będzie gorzej. Już wtedy w hotelu patrzył na mnie... inaczej. Teraz nie wyglądałam lepiej.

Chłopak bez słowa stanął obok mnie i zamknął za sobą szklane skrzydła. Uśmiechnął się lekko, powoli mierzając moje ciało spojrzeniem. Nigdy wcześniej nie chciałam zniknąć tak bardzo, jak w tym momencie.

– Jesteś śliczna – odezwał się w końcu, dezorientując mnie jeszcze bardziej niż kilka minut temu.

Żyłam w jakimś pieprzonym filmie. I wiecie co? Nie chciałam go kończyć. Mogłam zagrać rolę, w której zostałam osadzona. I to z wielką przyjemnością.

– Z tego powodu postanowiłeś wprosić się pod prysznic? Aby mi o tym tutaj powiedzieć? – zapytałam z lekkim sarkazmem, na co blondyn westchnął.

– Nie umiesz grzecznie podziękować za komplement, prawda? – mruknął nieco rozbawiony, podchodząc o krok bliżej. – Przepraszam za każdą rzecz, którą powiedziałem. Emocje zrobiły

swoje. Myśl, że nie chciałaś w tym wszystkim mojej pomocy, chociaż tak cholernie chciałem ci ją oferować, była głośniejsza od zdrowego rozsądku. To, przez co przeszłaś i do czego zostałaś zmuszona... to nie twoja wina, Chloe. Jesteś dobrym człowiekiem i najlepszym, co kiedykolwiek mi się przytrafiło.

I nagle pomyślałam, że to wszystko mi się śni. Że nadal się nie wybudziłam, przez co mój mózg fundował mi senną jazdę bez trzymanki. Nie potrafiłam inaczej wytłumaczyć tego, co wydarzyło się w ciągu ostatnich kilkunastu minut. Ale kiedy niespodziewanie poczułam usta Matteo na swoich, przekonałam się, że to jednak nie był sen. To było zbyt prawdziwe, aby okazało się senną marą.

Spojrzałam na lekko zakłopotanego chłopaka, który się odsunął, kiedy z mojej strony nie nastąpiła żadna reakcja. A to wszystko dlatego, że ostatnio zbyt dużo myślałam. Bez zastanowienia złączyłam ponownie nasze usta razem, chcąc mieć go najbliżej, jak to tylko było możliwe. Matteo zaśmiał się cicho i, przysięgam, był to najpiękniejszy dźwięk, jaki kiedykolwiek słyszałam.

W pewnym momencie blondyn zakręcił wodę i wyszedł spod prysznic, po czym złapał za ręcznik i mnie nim owinął. W krótkim czasie zaleźliśmy się w pokoju, lądując na ciągle niezaścielonym łóżku. Spojrzałam na chłopaka, którego twarz rozpromieniał szalony uśmiech. To zawsze zwiastowało kłopoty.

– Nie pozwolę ci odejść – wymruczał w końcu, wyciągając z szuflady łańcuszek, na którym nadal znajdował się pierścionek. – Nie pozwolę ci odejść, bo cię kocham.

Ze zdziwienia otworzyłam szerzej oczy, nie mogąc opanować swoich emocji. *C-co on powiedział?*, zapytałam samą siebie. Jak w transie patrzyłam na Matteo, który zdejmował z wisiora pierścionek, a potem delikatnie złapał za moją dłoń i wsunął go na odpowiedni palec. Kiedy spojrzał na mnie, na jego twarzy wymalował się lekki uśmiech.

– Znowu masz zawał – stwierdził, nawiązując do sytuacji z naszego ostatniego pobytu w Newcastle i niespodzianki z okazji walentynek. – Pamiętaj, żeby oddychać.

Dopiero teraz uświadomiłam sobie, że z tego wszystkiego wstrzymywałam powietrze, choć moje płuca rozpaczliwie domagały się tlenu. Wzięłam wdech, starając się w sobie pozbierać. Ale... zaskoczył mnie. Nie byłam przygotowana na taki obrót sprawy i przysięgam, że chociaż czułam niewyobrażalne szczęście, panika zaczęła przejmować nade mną kontrolę.

Powiedział to.

Matteo Cortez powiedział, że mnie kocha.

– C-co ty robisz? – wykrztusiłam.

Matteo ponownie się zaśmiał, splatając nasze palce, przez co chłodny metal pierścionka stał się jeszcze bardziej odczuwalny. Chłopak spokojnym ruchem przeniósł nasze dłonie nad moją głowę, wbijając je w materac. Nachylił się nade mną delikatnie, uważnie obserwując moją twarz. Miał stuprocentową kontrolę nad sytuacją.

– Oglądałaś *Bonnie i Clyde'a*? – zapytał, na co zmarszczyłam brwi, bo nie rozumiałam, do czego nawiązywał, jednak po sekundzie przytaknęłam. – Clyde nie zostawił Bonnie, chociaż ta była szalona – szepnął, sunąc swoim nosem po mojej szyi, na co mimowolnie wydałam z siebie ciche westchnienie. – Nie zostawił jej, chociaż wielu uważało, że powinien. – Złożył pocałunek po drugiej stronie szyi, przez co przeszedł mnie przyjemny dreszcz.

Nie mogłam racjonalnie myśleć. Tak strasznie mi tego brakowało – jego bliskości. Skupiałam całą swoją uwagę na słowach chłopaka, jednak on swoim zachowaniem mi tego nie ułatwiał. Jego rozpraszające ruchy stawały się coraz bardziej natarczywe, odbierając mi zdolność myślenia.

– Wiesz dlaczego? – zadał kolejne pytanie, bez przerwy mi się przyglądając.

Cholera, przekłęłam w duchu. Matt wisiał nade mną nagi, pierwszy raz po prawie trzech miesiącach, i chciał bawić się w zagadki? W odpowiedzi tylko pokręciłam głową, nie ufając swojemu głosowi, który bez wątpienia zacząłby drzeć.

Cortez uśmiechnął się, nachylając się jeszcze bardziej.

– Bo ją kochał. I nic innego nie miało znaczenia – odparł cicho zachrypniętym głosem, jednocześnie wykonując delikatny ruch biodrami.

Jęknęłam, czując jego bliskość każdą komórką swojego ciała. Byłam w *domu* i nic innego nie miało znaczenia. A jeśli dokładnie tak czuli się przy sobie Bonnie i Clyde, właśnie w tym momencie dostali moje rozgrzeszenie.

Powolnym krokiem weszłam do jadalni, uśmiechając się delikatnie do zebranych. Spojrzałam na zastawiony stół i poczułam ogromną wdzięczność za to, co miałam w życiu. Gdyby nie znakomici kucharze, właśnie trulibyśmy się jednym z popisowych dań Carmen. Bylibyśmy zgubieni. Usiadłam na swoim miejscu i zajęłam się talerzem z obiadem. Nie minęła chwila, a do pomieszczenia wszedł zrelaksowany Matteo i zrobił dokładnie to samo co ja. Przez dłuższy moment wszyscy siedzieliśmy w ciszy, którą przerwał dopiero Ben.

– Po tym, jak kulturalnie zamknęłaś drzwi... – zaczął z uśmiechem, który nie zwiastował niczego dobrego – ...po kilku minutach wróciłem, aby zaprosić was na śniadanie. Nie otrzymałem żadnej odpowiedzi.

Zaśmiałam się nerwowo, będąc pewna, że w tamtym momencie razem z blondynem znajdowaliśmy się w łazience. Spojrzałam na Matta, który tylko do mnie mrugnął. Chryste, potrzebowałam pomocy, a nie flirtu.

– Wyszliśmy na balkon – odpowiedziałam spokojnym tonem, patrząc na Bena morderczym wzrokiem. Potem rozejrzałam się dyskretnie po zgromadzonych, którzy bez wątpienia łyknęli moje kłamstwo. To, co działo się dzisiaj między mną a Mattem, było na tyle magiczne, że chciałam zachować to na jakiś czas dla siebie. Naprawdę nie miałam nastroju na kłótnie z irytującym Benjaminem, który chyba za cel dnia obrał sobie denerwowanie mnie.

Ben nic nie odpowiedział, najwyraźniej odpuszczając sobie kolejną zaczepkę. Odetchnęłam z ulgą, rozluźniając się i w pełni ciesząc chwilą.

– Zaraz. – Głos ojca przerwał ciszę. Mężczyzna spojrział na mnie wyraźnie zdezorientowany. – Przecież twój pokój nie ma balkonu.

Ben głośno parsknął śmiechem, starając się pohamować, co średnio mu wychodziło. Spojrzenia wyraźnie zainteresowanych przyjaciół były tak odczuwalne, że dobijały mnie jeszcze bardziej. Przysięgam, że gdybym mogła, spłonęłabym właśnie żywcem ze wstydu.

– William – syknęła zrezygnowana Carmen, przykładając dłoń do twarzy, za co, po raz pierwszy podczas całej naszej znajomości, byłam jej wdzięczna.

Matteo również się uśmiechał. Zmroziłam go spojrzeniem, obiecując sobie, że za to zapłaci. Skoro tak chciał się bawić, mogliśmy grać na jego warunkach.

– Znowu się zaręczyliśmy. – Powiedziawszy to, uśmiechnęłam się sztucznie i podniosłam dłoń, pokazując pierścionek. Jednak mój pomysł chyba nie przyniósł oczekiwanego skutku, bo Cortez posłał mi spojrzenie pełne aprobaty; wydawał się zadowolony z faktu, że powiedziałam to na głos przy tyłu osobach.

Nagle wszyscy spojrzeliśmy w stronę końca stołu, gdzie znajdował się mój teraz kaszlący głośno ojciec. Kiedy powoli podniósł się z krzesła, Carmen w mgnieniu oka znalazła się obok niego i zaczęła klepać go po plecach.

– William! – Spanikowany głos kobiety rozbrzmiał w pomieszczeniu. – Niech ktoś poda wody! On się krztusi!

Z lekkim niepokojem obserwowałam, jak Logan chwyta za dzbanek z wodą i miętą i rusza w kierunku starszego mężczyzny. Omiotłam wzrokiem przyjaciół, którzy siedzieli z szeroko otwartymi oczami i przyglądali się zaistniałej sytuacji. Minęło kilkanaście sekund, zanim ojciec się uspokoił i opadł na krzesło. Moja cudowna informacja prawie go zabiła...

– Czy tak wygląda każdy dzień w tej rodzinie? – zapytał wpatrzony w lekko zaczerwienionego mężczyznę Ben, nie kryjąc entuzjazmu. – Bomba! Ma pan może jeszcze jedną córkę?

Rozdział 19

CHLOE

Uśmiechnięta spoglądałam na przyjaciół, którzy po raz kolejny sprzeczały się o to, kto zdobył punkt. Granie w siatkówkę na plaży było o tyle ciężkim zadaniem, że trudno było rozróżnić, kiedy był aut, a kiedy piłka spotykała się z linią boiska. Każdy uważał, że miał rację, i przydzielał punkt swojej drużynie. Przyjemnie było oglądać, jak przyjaciele w końcu byli szczęśliwi – uśmiechy na ich ustach przywracały mi nadzieję. Może i dla mnie była jeszcze szansa?

– To zaskakujące i miłe, że twój ojciec pozwolił nam zostać – usłyszałam męski głos.

Odwrociłam się do Zacka, który od dłuższej chwili wylegiwał się na słońcu. Tak bardzo mu tego zazdrościłam. Chociaż nadchodziła pora ochłodzenia, dzisiejszy dzień zachwyił nas przepiękną, majową pogodą. A ja zmuszona byłam do siedzenia pod parasolem, który zapewniał mi cień; musiałam chronić ciało przed promieniami słońca do czasu, aż poparzenia się zagoją.

– Zaskakuje mnie już od kilku dni – odpowiedziałam spokojnie, przymykając powieki i ciesząc się morską bryzą. – Jakby ktoś go podmienił.

– Może tak okazuje wdzięczność za to, że go jednak nie zastrześliś – zażartował chłopak, na co uśmiechnęłam się sztucznie. – Kiedy powiesz mu o sama wiesz czym?

Lekko spałam się na te słowa. Zack wiedział o przeszłości mojej rodziny i rodziny Lewisów. Nie było to coś, czym mój ojciec się chlubił, jednak w obecnej sytuacji wszystko przestawało mieć znaczenie.

– I jak ty to sobie wyobrażasz? – zapytałam w końcu, kiedy żadna prosta odpowiedź nie przyszła mi do głowy. – „Hej, tato, możesz przestać płacić, bo dla tych ludzi upozorowałam swoją śmierć”? A może: „Hej, tato, całkowitym przypadkiem zostałam alfą grupy przestępczej, terroryzującej od lat naszą rodzinę, ale udaję martwą, więc wszystko będzie dobrze”? Dostanie zawału. – To, co powiedziałam, było okrutne, jednak prawda była właśnie taka: dopóki nikt mnie nie namierzył, byliśmy bezpieczni.

Zack westchnął, uciekając ode mnie wzrokiem.

– I co teraz zrobisz? – mruknął po dłuższej chwili milczenia.

– Będę żyć w nadziei, że zostałam uznana za zmarłą, że mój stołek przejął ktoś inny i wszyscy zapomnieli, że kiedykolwiek istniała Chloe Rivera – odpowiedziałam jak gdyby nigdy nic. – Tylko tyle mi pozostało.

– O czym tam szepczecie? – dobiegł nas głos Matta, a za sekundę chłopak pojawił się obok.

Spojrzałam niepewnie na przyjaciela, który w tym samym momencie zerknął na mnie. Czy my naprawdę chcieliśmy martwić Matta tematem, który nie był najprzyjemniejszy? Zdecydowanie nie, dlatego kręcąc głową, dyskretnie dałam przyjacielowi znak, by milczał.

– Wilczyca gra na czas – wytłumaczył Zack, powoli podnosząc się do pionu.

Przewróciłam oczami na te słowa. I tak musiał jakoś wcisnąć w wypowiedź ten niewygodny temat i zmiksować go ze swoim poczuciem humoru.

Matt przyjrzał się nam uważnie, robiąc zdezorionowaną minę.

– Czy w australijskich papierosach jest coś więcej oprócz nikotyny? – zapytał, łapiąc w dłoń opakowanie, które leżało na jednym z ręczników.

Zack zaśmiał się pod nosem i wstał, po czym ruszył w stronę przyjaciół, tym samym zastępując Corteza na boisku. Z kolei blondyn usiadł obok, obejmując mnie ramieniem. Oparłam się o niego lekko, patrząc przed siebie.

Wciąż nie mogłam do tego przywyknąć. Nie rozumiałam, jak w ciągu dwunastu godzin mogliśmy stoczyć ze sobą dyskusję poniżej jakiegokolwiek poziomu, wytykając sobie przeszłość, a potem wrócić do siebie, jednocześnie znowu się zaręczając. Byliśmy nienormalni.

Nie dziwiłam się ojcu, że tak zareagował. Zaręczyny oznaczały coś stałego, a ja, odkąd zmarła mama, nie przywiązywałam się do niczego. Nawet fakt, że po walkach o dostanie się na drugi rok studiów i dwóch latach ciężkiej pracy w jednej sekundzie rzuciłam to w cholerę, nie zrobił na ojcu żadnego wrażenia. Tak jak powiedział, spodziewał się tego. Bo taka właśnie byłam: szybko się nudziłam, często zmieniałam zdanie. A tu taka niespodzianka. Sęk w tym, że William nie dziwił się najbardziej słowu „zaręczyliśmy się”, tylko „znowu”, które mówiło samo za siebie. Zaskakiwałam go na każdym kroku, jednak zaręczyny były ostatnią rzeczą, o którą by mnie podejrzewał.

– Jak się czujesz? – Głos Matteo przerwał panujące między nami milczenie.

– Dobrze – skłamałam, czując lekki ból głowy. Lekarz powiedział, że to może się zdarzać. Nie chciałam martwić chłopaka czymś, co w tej sytuacji było po prostu normalne. Minęło jedenaście dni – za mało, aby było dobrze. Do tego tabletki od Zacka powoli się kończyły, a leki przeciwbólowe przepisane przez lekarza były dla mojego organizmu jak cukierki, które nic nie dawały.

– Jakie masz teraz plany?

Zacisnęłam zęby. Nie chciałam usłyszeć tego pytania, bo tak naprawdę zostałam z niczym. Po roku rzuciłam zarządzanie i wkręciłam się na drugi rok sztuki, tylko że na uczelni nie było mnie już od dwóch miesięcy, przez co nie podeszłam do egzaminów końcowych. Za kilka dni miałam obchodzić swoje dwudzieste trzecie urodziny, a przez ten czas tak naprawdę nie osiągnęłam nic. Chyba że bycie alfą wpasowywało się w rubrykę „osiągnięcia”.

– Nie wiem – mruknęłam zgodnie z prawdą. W moim życiu było zbyt wiele niewiadomych, abym mogła planować przyszłość.

Szczęśliwie naszą rozmowę przerwał dzwonek mojego telefonu. Odetchnęłam z ulgą i wyjęłam go z torebki, naciskając zieloną słuchawkę.

– Zabiję cię – usłyszałam zdenerwowany głos, na którego dźwięk lekko się skrzywiłam.

– Ethan, braciszku – zaczęłam niepewnie, przypominając sobie, dlaczego wcześniej nie odbierałam telefonów od niego: jego paszport kurzył się na poddaszu, wrzucony za starą szafę. Nie chciałam, aby przyleciał tu za mną, dlatego pozbawiłam go tej możliwości. Teraz był wściekły.

Matteo spojrzał na mnie zniecierpliwiony, więc włączyłam tryb głośnomówiący.

– Przysięgam, jeszcze nigdy nie miałem takiej ochoty zrobić ci krzywdy jak teraz. A, przypominam, w dzieciństwie wpakowałem cię w krzaki róży – mruknął zdenerwowany.

– Wyluzuj, gangsterze. – Matt zaśmiał się, przysuwając się bliżej urządzenia. – Sytuacja opanowana, bohaterko wykonałem zadanie.

Po drugiej stronie na moment zapanowała cisza, a Ethan rzadko kiedy milczał podczas rozmów telefonicznych. Zmarszczyłam brwi, zerkając na blondyna.

– Chloe, jestem w Newcastle. Musimy się spotkać – usłyszeliśmy nagle, przez co na mojej twarzy pojawiło się zdezorientowanie.

Ethan tak nie działał.

– Wszystko w porządku? – zapytałam, zaczynając się denerwować. Miałam złe przeczucie.

– Nasza ulubiona naleśnikarnia, za godzinę.

Otworzyłam szerzej usta ze zdziwienia, kiedy połączenie zostało nagle zerwane. Nie poznawałam zachowania brata – spontaniczne spotkania nie były w jego stylu, a sam fakt, że był w mieście i nie dotarł do domu, napawał mnie niepokojem.

Bez zastanowienia wstałam i zaczęłam zbierać swoje rzeczy. Miałam godzinę, aby dotrzeć na drugi koniec miasta. Moje serce zaczęło szybciej bić, a oddech stał się płytki. Czułam, że coś było nie tak.

– Chloe, co chcesz zrobić?

– Jadę się z nim spotkać – rzuciłam. *To przecież oczywiste*, dodałam w myślach.

– Jadę z tobą – usłyszałam po chwili i zobaczyłam, jak blondyn podnosi się z ręcznika i sięga po koszulkę.

– Zostań – rozkazałam zdecydowanym tonem. Jeśli coś było nie tak, nie miałam zamiaru go w to wciągać. Owszem, byliśmy drużyną, dlatego miałam zamiar pilnować, aby nikt oprócz mnie w tej drużynie nie ucierpiał. – To wielka naleśnikarnia, będą tam ludzie. Nic mi nie będzie. – Zagryzłam wewnątrz policzka, nie dając po sobie poznać, że się denerwuję.

Matteo przyglądał mi się dłuższą chwilę, a później westchnął, stając naprzeciwko mnie.

– Bądź ostrożna – rzucił z niechęcią w głosie, jednak się ze mną nie sprzeczał. – Jeśli do siedemnastej nie zadzwonisz, jadę po ciebie.

Pokiwałam głową na znak, że rozumiem i się zgadzam. W przelocie pocałowałam chłopaka i ruszyłam w stronę parkingu. Miałam godzinę, aby przejechać przez całe miasto i znaleźć się w lokalu. Nie wiedziałam, czego powinnam się spodziewać. Ethan zachowywał się naprawdę dziwnie.

Kiedy po czterdziestu minutach dotarłam pod odpowiedni budynek, zaparkowałam auto i spokojnym krokiem dotarłam do wejścia. Gdy znalazłam się w środku, rozejrzałam się dookoła. Nigdzie go nie było. Dopiero po kilku sekundach dostrzegłam czarne włosy po prawej stronie sali, tuż przy ścianie. Uśmiechnęłam się lekko, widząc w końcu twarz brata. Skierowałam kroki w jego stronę, rozluźniając się. Był tutaj, siedział i czekał. Wszystko było w porządku. I naprawdę tak myślałam, dopóki nie dotarłam do stolika, przy którym siedział, a tak właściwie siedzieli. Wcześniej nie dostrzegłam drugiej osoby, która znajdowała się naprzeciwko mojego brata, ponieważ zasłaniało ją naprawdę wysokie oparcie. Otworzyłam szerzej oczy, nie wiedząc, jak powinnam się zachować. Przeniósłam spojrzenie na brata, który tylko westchnął i schował twarz w dłoniach. Liczyłam jednak na coś więcej: słowa wyjaśnienia, jakiegokolwiek racjonalne wytłumaczenie tej sytuacji, czy coś podobnego. Ponownie spojrzałam na znajomego mężczyznę, a w mojej głowie zapanował chaos.

– Tęskniłaś? – usłyszałam wesoły głos.

Cholera jasna, przecież on nie żył. Byłam świadkiem jego śmierci i mogłam przysiąc na swoje życie, że jego zostało zakończone.

– Ż-żyjesz? – To było pierwsze pytanie, które przyszło mi do głowy.

Chłopak zaśmiał się pod nosem, rozkładając rękę.

– Jak widzisz. – Mrugnął do mnie, opierając się wygodniej o sofę.

Zajęłam miejsce obok brata, cały czas uważając, że mam halucynacje. Pokręciłam głową, przenosząc spojrzenie na Ethana.

– Ty też go widzisz czy to tylko moje poczucie winy? – szepnęłam, nie kryjąc dezorientowania. Przez cały czas byłam pewna, że jego postrzelone ciało strawił ogień.

– Miałaś poczucie winy? Jak słodko – zadrwił chłopak, co uświadomiło mi, że ten cholerny idiota jakimś cudem przeżył.

– Louis, on cię zastrzelił. – Mówiąc to, wysiliłam się na spokojny ton głosu, choć miałam ochotę krzyknąć; nie wiedziałam tylko, czy z radości, czy z rozpacz. Znajdowaliśmy się jednak wśród wielu ludzi, którzy nie powinni słyszeć tego, o czym rozmawialiśmy.

– Zadrasnął – poprawił mnie, odsłaniając dyskretnie bandaż pod obojczykiem. – Ogarnięty furią nie celował dobrze, więc średnio mu to wyszło. Za to ty postanowiłaś mnie tam zostawić, prawie że na śmierć.

– Myślałam, że już nie żyjesz! – pisnęłam, nie mogąc się opanować i tym samym zwracając na nas uwagę kilku najbliższych osób.

Słyszałam przecież strzał. Widziałam, jak jego ciało opadło bezwładnie na podłogę. W tamtej sytuacji nawet do głowy mi nie przyszło, aby sprawdzić, czy żyje.

Patrzyliśmy na siebie w milczeniu. W mojej głowie panował tak wielki chaos, że nie potrafiłam wyrazić słowami tego, co czułam. Cholera, on żył. A ja myślałam, że zginął przeze mnie, bo postanowił mi pomóc. Bo zgodził się postawić Lewisowi i skrócić jego życie. Bo uruchomił bombę...

Bomba.

– Ty pieprzony idioto. Czego nie zrozumiałeś w trzydziestu minutach? – syknęłam w końcu, mówiąc to, co zastanawiało mnie od prawie dwóch tygodni – Trzydziestu. Zero nie ma wartości, jednak w jednostkach czasu „trzy” w porównaniu do „trzy z zerem” to wielka różnica.

– Musiało dojść do przepięcia – odpowiedział, w przeciwieństwie do mnie, spokojnie. – Albo sprzedali ci wadliwą bombkę.

Wzięłam głęboki oddech, starając się przetrwać wszystkie informacje i nie dać się im zwariować. To były równe trzy minuty. Dokładnie trzy. Nie było mowy o przepięciu. Oszukali mnie.

– Zapłaciłam tyle pieniędzy, a wszystko i tak trafił szlag – mruknęłam pod nosem, kręcąc głową.

– Jak chcesz, zrobię ci przelew – usłyszałam w odpowiedzi, na co zmarszczyłam brwi. – Zapłaciłbym każde pieniądze za pozbycie się Scotta.

– Nie chcę waszych brudnych pieniędzy – syknęłam, zaciskając palce na swoich kolanach.

– Naszych brudnych pieniędzy – poprawił mnie, przez co się spięłam. Wpatrywał się we mnie baczny spojrzeniem, którym mówił mi wszystko. – Wiedzą, że żyjesz. Niedługo miną dwa tygodnie, lista zostanie wypuszczona i pozostanie tylko czekać, aż zacznie się polowanie.

Przysięgam, jeszcze nigdy tak bardzo nie czułam nienawiści do tego świata, jak w tym momencie. Nie udało się. Umarłam, ale nie dla nich. Wiedzieli, że żyłam. Polowanie. Pozabijają ich wszystkich, jeśli czegoś nie zrobię. Musiał być sposób, aby tego uniknąć. Nie mogłam dopuścić do masowej rzezi swoich bliskich.

– Chloe, w co ty się wpakowałaś? – Głos Ethana wyrwał mnie z amoku, ale ja jedynie przeniosłam na niego spojrzenie, walcząc sama ze sobą. Brat, nie otrzymawszy odpowiedzi, zerknął na Louisa. – Jaka lista?

– Każdy alfa po wyborze bety kompletuje listę, to znaczy zbiera nazwiska. Po jego śmierci lista to jak Deklaracja niepodległości Stanów Zjednoczonych, najważniejszy papier, jaki istnieje. Po czterestu dniach od śmierci alfy niezależny system wypuszcza listę, która trafia do rąk wszystkich członków organizacji. A później już tylko... – urwał, patrząc na mnie poważnym wzrokiem. – Mogę was wszystkich przed tym uchronić.

Otworzyłam szeroko oczy i dopiero wtedy mnie olśniło. Jego słowo w tym momencie mogło znaczyć wiele. Mógł skłamać, że mnie odwołano, a wtedy nikt z moich bliskich by nie ucierpiał. Ludzie Scotta znaleźliby sobie kogoś na moje miejsce i robiliby, co chcieli, bez udziału mojej osoby.

– Musisz im powiedzieć, że mnie odwołał – odezwałam się zdeterminowana, nie spuszczać twarzy Louisa z oczu. – To wszystkich uratuje i wszystko naprawi.

W odpowiedzi usłyszałam tylko śmiech. Louis obdarzył mnie dziwnym spojrzeniem, które naprawdę mi się nie spodobało. Przez jakiś czas w Buenos Aires myślałam, że się dogadaliśmy i zakończyliśmy wojnę, która trwała między nami od samego początku. Mielśmy wspólny cel, który razem chcieliśmy osiągnąć, jednak teraz... Teraz wszystko wróciło na dawne tory.

– Nie ma nic za darmo, Rivera. – Jego głos brzmiał poważnie. – Może to zrobię, ale najpierw chcę pogadać z waszym ojcem.

I to, przysięgam, całkiem zważyło mnie z nóg. Bo co, do cholery, miał z tym wspólnego William?

– Naszym ojcem? – zapytaliśmy z Ethanem w tym samym czasie; najwyraźniej nie tylko ja nie rozumiałam.

– Sześć milionów rocznie to raczej biznes, który powinno się omawiać twarzą w twarz z darczyńcą – zadrwił, unosząc lekko brew.

Zacisnęłam zęby, czując na sobie spojrzenie brata. Nie miał pojęcia, co się działo. Nie miał pojęcia o niczym. W jego oczach byliśmy prawie że cudowną rodziną z jeszcze wspanialszymi sekretami.

Od kilkunastu minut bez słowa przemierzaliśmy samochodem ulice Newcastle, kierując się w stronę rezydencji. Ethan prowadził moje auto, a Louis zajął miejsce obok niego. Siedziałam z tyłu, uważnie przypatrując się profilowi chłopaka. Czego dokładnie Louis chciał od mojego ojca? Wiedziałam, że pomoc będzie kosztować, jednak liczyłam, że załatwimy to sami i wszystko zostanie między nami. Jakby nie patrzeć, ojciec nadal nie wiedział, jakie zaszczytne miejsce w hierarchii osób zajmujących się przestępczością zorganizowaną zajmowała jego ukochana córeczka.

Dyskretnie wyciągnęłam z kieszeni telefon i napisałam wiadomość.

Do: Matteo

Są tu.

Wysłałam krótką, zdawkową informację i westchnęłam ciężko. To nie mogło skończyć się dobrze. Problemy po raz kolejny mnie dogoniły, chociaż myślałam, że zostawiłam je daleko w tyle. Myliłam się. Ja biegłam, a one czekały na mnie na mecie.

– Jestem twoją jedyną deską ratunku – przypomniał mi Louis, jakby czytał w moich myślach. – Namierzyłem cię w zaledwie dwa dni. Jak idiota wyleciałem z Argentyny do Nowego Jorku, na miejscu zdając sobie sprawę, że już jesteś w drodze do Londynu. I krew mnie zalała, kiedy dotarłem do twojego brata i dowiedziałem się, że jesteś w samolocie do Australii. Doceń, że tak się za tobą uganiam. Postrzelony, poparzony i zirytowany.

Czyli to dlatego Ethan był tu razem z nim. Robił za przynętę, a ja nabrałam się tak, jak zaplanował to sobie Louis. Przymknęłam powieki, walcząc z głosem w mojej głowie, który podpowiadał mi, że dotarliśmy do końca. Każde wybawienie po czasie stawało się źródłem nowych problemów i działo się tak raz za razem. Zapewne tak miało być i teraz...

Kiedy zatrzymaliśmy się pod rezydencją i zobaczyłam, że wypożyczone auta przyjaciół nie stoją na podjeździe, odetchnęłam z ulgą. Miałam wielką nadzieję, że cała ekipa jest naprawdę

dobrze ukryta i Louis nawet nie wpadnie na pomysł, że mogłabym mieć w swoim domu wszystkich ludzi z listy. Ten chłopak był moją ostatnią szansą, co nie było zbyt pocieszające. Jednak wykazał się pomocą, podłączając bombę, a później stając twarzą w twarz ze Scottem i narażając się na jego gniew, za co dostał kulkę. Oboje chcieliśmy śmierci Lewisa, i to nam się udało. Możliwe, że jednak staliśmy po jednej stronie – ja nie chciałam być alfą, a on nie chciał, abym ja była alfą. Zgrywaliśmy się idealnie, mieliśmy identyczne cele i poglądy na niektóre sprawy. Tylko on mógł mi pomóc.

Jednak kiedy weszliśmy do rezydencji i trafiliśmy na mojego ojca, poczułam, jakbym traciła grunt pod nogami. Złowrogi wyraz twarzy Williama sprawił, że poczułam okropne uczucie niepokoju. A wypowiedziane wściekłym tonem dwa słowa taty wystarczyły, abym straciła wiarę we wszystko.

– Louis Lewis.

Oparłam się o Ethana, czując, że mam zawroty głowy. Musiałam się przesyłżeć. Mój ojciec na pewno tego nie powiedział, a nawet jeśli, to musiał się pomylić. Musiał. Jednak cisza się przeciągała, a ze strony mężczyzny nie słychać było żadnych słów wyjaśnienia.

– Co on robi w naszym domu? – Ciche warknięcie Williama sprawiło, że przeszedł mnie dreszcz.

– Też nie cieszę się na tę wizytę, jednak, o ironio, ratuję skórę twojej córki, a tym samym całość tej twojej rodziny – odpowiedział niechętnie Louis, rozglądając się. Kiedy jego spojrzenie padło na mnie, uśmiechnął się lekko. – Chyba nie masz mi niczego za złe?

– Okłamałeś mnie – syknęłam, wpatrując się z nienawiścią w blondyna.

Był jednym z nich. Był z rodziny Lewisów.

– Zataiłem pewne fakty, a to różnica – odpowiedział, opierając się o ścianę. – Zauważ, że pomogłem ci pozbyć się Scotta. To chyba znaczy więcej niż głupie nazwisko.

Zacisnęłam dłonie w pięści, starając się nie wybuchnąć. Cholera, przez tyle czasu nie miałam pojęcia, z kim miałam do czynienia. Nie widziałam żadnego podobieństwa, co więcej, nawet go nie szukałam. Scott nie pałał wielką miłością do Louisa, dlatego też w mojej głowie nie pojawiła się ani jedna myśl, że mogli być rodziną.

– Kim jesteś? – zapytałam w końcu, chcąc mieć jasność. Louis Lewis zabił kogoś ze swojej rodziny. Byłam ciekawa, kim był potwór, któremu zaufałam. Kolejny.

– Ojciec Scotta miał brata, Javiera. Mówiłem prawdę, kiedy powiedziałem, że nie mam nikogo. Bo teraz nie mam. – Uśmiechnął się nieco smutno.

A więc... Louis pomógł mi zabić swojego kuzyna, odparłam przerażona w duchu. *Chryste, czy ja przez cały ten czas byłam aż tak ślepa?* Nie mogłam mu się jednak dziwić. Scott spektakularnie zabił podczas przyjęcia jego ojca – człowiek z wypaloną dziurą w gardle był dla niego prawdziwą rodziną. Ale najbardziej przerażał mnie fakt, że to Louis stał wtedy przy mnie, przytrzymał i był wsparciem... i jednocześnie świadkiem śmierci własnego ojca.

– Przed czym nas chronisz? Wasza rodzina pod pretekstem ochrony lubi sama stwarzać zagrożenie, przed którym trzeba chronić – wtrącił się mój ojciec, na co zrobiło mi się słabo.

On nie wiedział. Nie wiedział, w jak głębokie bagno wpakowała się jego córeczka. Nie powiedziałam mu o tym, kim jestem. Kim zostałam. Nie potrafiłam sobie nawet tego wyobrazić. Ojciec albo zabiłby mnie na miejscu, albo zszedłby na zawał. Na wyjawienie mu prawdy nie było dobrego momentu ani dobrych słów.

Louis spojrział na mnie zaciekawiony, a kiedy podniosłam na niego pełen poczucia winy wzrok, uśmiechnął się szeroko.

– Nie powiedziałaś tatusiowi? – zakpił z rozbawieniem, kręcąc głową. Przeniósł spojrzenie na mojego ojca i rozchylił usta, co oznaczało jedno: wybiła godzina mojego upadku. – William, twoja córka jest alfą.

I naprawdę poczułam, jak zatrzymuje się czas. Na twarzy ojca zagościł kpiący uśmiech, jednak po zerknięciu na mnie przymknął powieki i zacisnął zęby. Moja mina upewniła go, że Louis mówił prawdę i że znaleźliśmy się w naprawdę trudnej sytuacji.

– Chryste, Chloe – mruknął, łapiąc się za głowę i robiąc kilka kroków. – Jak...?

– Scott miał do niej słabość – wypalił Louis, blokując moją odpowiedź. – Taką obsesję, że mianował ją betą po tym, jak zabił mojego ojca, który tę funkcję pełnił. Dopuścił do tego, aby betą został ktoś spoza rodziny, kiedy nadal znajdowali się żyjący członkowie rodu. Kurwa, oszalał. – Louis pokręcił głową, będąc naprawdę pewny swoich słów. – Dlatego go zabiliśmy. Teraz przyszedłem po to, co mi się należy. – Spojrzał na mnie chłodno. – A ty mi w tym pomożesz.

Zmarszczyłam brwi, całkiem zdezorientowana. Myślałam, że to on ma pomóc mi... A tutaj taka niespodzianka. Najwyraźniej mieliśmy pomóc sobie nawzajem.

Spojrzałam podejrzliwie na Louisa, który właśnie sprawdzał coś na komputerze. Nie ufałam mu, ba, bałam się przy nim nawet oddychać, bo jeszcze spryskałby się czymś, co miałoby mnie zabić. Należał do pochrzanionej rodziny, od której wolałam trzymać się z dala. Teraz rozumiałam, dlaczego mi pomógł – on również chciał pozbyć się Scotta, jednak z zupełnie innego powodu: z zemsty i dla dobra otoczenia, ja natomiast z pragnienia wolności. Do tej pory nie patrzyłam na Lewisa tak jak on. Wiedziałam, że Scott uparł się na moją osobę, jednak przy mnie zachowywał się w miarę normalnie, jak na jego „normalność” przystało. Kiedy zostałam betą, nie wiedząc nawet, co to oznacza, myślałam, że to tak wygląda. Nawet nie podejrzewałam, że człowiek, którego gardło rozpuściło się w kilka sekund, był wujkiem Scotta i ojcem Louisa. *Chryste, jakie to jest pochrzanione*, jęknęłam w duchu, bo dopiero teraz, po kilku opowieściach Louisa, dostrzegłam, jak to wszystko zeszło z właściwego kursu. Scott zabił wuja, który jednocześnie był betą, a potem mianował nią mnie – dziewczynę, która nawet nie chciała tam być, zwykłą osobę, bez więzów krwi czy nazwiska, które by mnie upoważniały do zajęcia tego stanowiska. Teraz jedynym kandydatem na alfę był Louis.

– Gotowe – mruknął, rozprostowując plecy. – Wiadomość powinna dotrzeć do wszystkich wyżej postawionych. Zobaczymy, co z tego wyniknie.

Pokiwałam głową na znak, że rozumiem. A wiadomością było nagranie, na którym Louis i ja przedstawiliśmy sprawę tak, jak się miała, to znaczy, że prawnym spadkobiercą całego imperium był on, co nie podlegało dyskusji. Teraz musieliśmy tylko czekać na odpowiedź, czy to zaakceptują. Banda durnych staruchów miała decydować o mojej wolności i bezpieczeństwie wszystkich moich bliskich. To był obłąd. Nie mogłam się doczekać, aż wszystko się skończy.

Kiedy Louis opuścił rezydencję, informując nas wcześniej, że będzie się odzywał, odetchnęłam z ulgą. Bo w końcu mogłam odetchnąć. Obecność blondyna strasznie mnie denerwowała i sprawiała, że nie mogłam się rozluźnić. Przekonana, że uwolniłam się od jednego Lewisa, wpadłam w sidła drugiego. Miałam niebywale wielkiego pecha.

Weszłam na piętro, otwierając po kolei wszystkie drzwi i sprawdzając pokoje. Całe napięcie ze mnie zeszło, kiedy we wnętrzu jednego z pomieszczeń zauważyłam przyjaciół. Siedzieli w ciszy, czekając na jakiegokolwiek informacje. Kiedy tylko mnie zobaczyli, na ich twarzach pojawił się wyraz ulgi.

– Przeraziłaś mnie. – Matteo od razu zamknął mnie w swoich ramionach, na co tylko westchnęłam. Przerazałam samą siebie. – Co się stało?

Omiotłam spojrzeniem miny przyjaciół, szukając w głowie odpowiednich słów, jednak nie potrafiłam ich znaleźć. Przez tę całą nieprawdopodobną sytuację tkwiłam w jakimś otępieniu.

– Louis żyje – powiedziałam w końcu, starając się zabrzmieć spokojnie, co chyba jednak mi nie wyszło, bo Cortez lekko zmarszczył brwi.

– To źle?

– Okazało się... – *Czy ja naprawdę chcę powiedzieć to na głos?* – Okazało się, że jest z rodziny Lewisów.

W pomieszczeniu zapanowała cisza, a męska część grupy spojrzała po sobie.

– Louis Lewis. Co za przypadek. Naprawdę nie umiesz dobierać sobie sojuszników – stwierdził Ben, kręcąc głową. Chciał dodać coś jeszcze, jednak nie pozwolił mu na to kolejny głos.

– Przyjaciół też nie, skoro przyjaźni się z tobą – rzuciła cicho zirytowana Vivien.

Wypuściłam powietrze z płuc, starając się uspokoić oddech. I chociaż niepewność roznosiła mnie od środka, miałam nadzieję.

Nadzieję, że chociaż raz ten okropny los stanie po naszej stronie.

Przez całą noc nie zmrużyłam oka. Nawet uspokajające ramiona Matteo nie potrafiły odgonić wszystkich moich myśli. A najgorsze, że co chwilę rodziły się nowe, jeszcze gorsze od poprzednich. Bo tak naprawdę nie mogłam zrobić nic. I to przerażało mnie najbardziej, bo byłam osobą, która nienawidziła niepewności. Nie znosiłam, kiedy coś szło nie po mojej myśli, a kiedy nie miałam nad czymś kontroli, zalewała mnie fala złości. W takich momentach zawsze musiałam mieć plan B – taką zapasową opcję, w razie gdyby pierwsza się nie sprawdziła. Jednak w tej sytuacji ta druga opcja chyba nie istniała, bo rozwiązania były tylko dwa: albo uznają Louisa, albo nie, a jeśli nie, to możemy mieć prawdziwe kłopoty. Dlaczego zawsze, kiedy próbowałam ratować siebie i bliskich, lądowałam wraz z nimi w kolejnym gównie po pas? Dla nas nie było szczęścia i spokoju? My nie mieliśmy prawa do bezpiecznego życia? Bo jak na razie to właśnie pokazywał mi świat: byliśmy jak przekłęci, spotykały nas tylko złe rzeczy, jedna gorsza od drugiej. Jak długo mieliśmy tak jeszcze funkcjonować?

Nadszedł ten moment: ostatnie dwadzieścia cztery godziny spokoju; doba, która miała zdecydować o wszystkim. Nawet nie potrafiłam powiedzieć, jak się czułam, kiedy wstałam o piątej rano i z zamiarem zrobienia kawy zostawiłam w pokoju śpiącego blondyna. Zazdrościłam mu, że potrafił się wyłączyć i zapomnieć chociaż na tyle, aby odpocząć i zregenerować siły.

Słyszając cichy dźwięk ekspresu, podeszłam do niego, po czym wzięłam filiżankę z kawą i usiadłam na krześle barowym, przy wyspie. Oparłam głowę o rękę, wpatrując się przed siebie. Tkwiłam w jakimś letargu, otępienie nie odpuszczało, co jednak mi nie przeszkadzało. W pewnym sensie relaksował mnie fakt, że nie chodzę po domu podenerwowana, zerkając nerwowo na telefon w oczekiwaniu na połączenia od Louisa. Siedzenie w miejscu i wpatrywanie się w pustą ścianę było w takim wypadku błogosławieństwem.

– Chloe? – Czyjś głos bez ostrzeżenia wyrwał mnie ze stanu odrętwienia.

Zamrugłam kilka razy i spojrzałam w stronę drzwi, w których stał Matteo. Zmarszczyłam lekko brwi, kiedy dostrzegłam, że był ubrany. Przecież przed chwilą jeszcze spał.

– Która godzina? – mruknęłam, rozglądając się lekko dokoła.

– Chwilę po ósmej – odpowiedział chłopak, zerkając na ekran komórki. – Długo tu siedzisz?

Cholera, przekląłam w duchu. *Kiedy minęły te trzy godziny?* Pomrukałam lekko zaskoczona, wbijając spojrzenie w Matteo. Nie chciałam, aby się martwił.

– Przed chwilą przyszedł. – Uśmiechnęłam się słabo, siląc się na wiarygodność.

Matt podszedł bliżej i podniósł filiżankę z kawą. Zerknął na nią, po czym upił łyk. Zacisnęłam zęby, wiedząc, co nastąpi.

– Kawa jest zimna. – Twarz wykrzywił mu grymas. – Od której tu siedzisz? – Blondyn spojrzał na mnie przewiercającym wzrokiem.

– Od piątej. – Westchnęłam ciężko, chowając twarz w dłoniach. Byłam zmęczona, jednak nie potrafiłam zmrużyć oka. Ale w obecnej sytuacji moja bezsenność była chyba czymś normalnym, prawda?

– Idź się przebrać, przygotuję kolejną kawę – usłyszałam tylko w odpowiedzi, na co przytaknęłam i ruszyłam w stronę schodów prowadzących na piętro.

Kiedy znalazłam się w swojej sypialni, spojrzałam z utęsknieniem na łóżko, które było już zaścielone. Z lekkim wahaniem usiadłam na miękkim materacu, po czym położyłam na poduszce głowę. Znowu zaczęłam odczuwać w niej bolesne pulsowanie, a najlepszym rozwiązaniem na jego przeczekanie było po prostu leżenie. Miałam serdecznie dosyć tych bóli, jednak musiałam cierpliwie kibicować mojemu organizmowi, który cały czas otrząsał się z akcji w Buenos Aires.

Jęknęłam cicho, czując, że nieprzyjemne uczucie się nasila. Już miałam wstać, aby sięgnąć po tabletki od Zacka, jednak nie dałam rady, bo kolejna fala bólu powaliła mnie na łóżko. Wpatrywałam się w sufit i zawieszoną pod nim lampę, jednak obraz przed oczami coraz częściej mi się rozmazywał, a powieki stały się bardzo ciężkie. Westchnęłam cicho, licząc skrycie, że zmęczenie wzięło górę nad myślami i już za chwilę znajdę się w błogim stanie snu. O niczym więcej nie marzyłam, a nie prosiłam przecież o wiele. Dopiero kiedy rozmyty świat dookoła mnie zaczął lekko się bujać, zrozumiałam, co się dzieje.

Nie zasypiałam. Traciłam przytomność.

Ocknęłam się, kiedy jasne światło zaczęło razić mnie nawet przez zamknięte powieki. Zacisnęłam je mocniej, starając się uchronić przed blaskiem, jednak to nagle ustało. Jęknęłam cicho i otworzyłam oczy, powoli wyostrając wzrok. Po krótkiej chwili rozejrzałam się dookoła, a moim oczom ukazało się pomieszczenie pełne ludzi. Zmarszczyłam brwi, skacząc spojrzeniem po przyjaciółach i ojcu, którzy przyglądali mi się niepewnie.

– Auć – syknęłam, czując kłujący ból w okolicy zgięcia łokcia. Spojrzałam w tamtą stronę i dostrzegłam małą igłę, trzymaną przez lekarza. *Co on tu robi?*, pomyślałam, bo obecność mężczyzny mnie zdezorientowała.

– I wróciła do żywych – skomentował moją reakcję, chowając kilka rzeczy do torby. A kiedy zauważył moje pytające spojrzenie, wyjaśnił: – Zemdlałaś. Mówiłem ci, że powinnaś odpoczywać i się nie przemęczać. Twój organizm musi się zregenerować. – Westchnął. – Zostawcie nas, proszę, samych – zwrócił się do zebranych, którzy z lekkim ociąganiem skierowali się w stronę wyjścia. – Wyniki twoich badań bardzo mi się nie podobają. Masz w sobie ogromnie dużą ilość hydrokonu i paracetamolu. Leki, które ci przepisałem, nie zawierają tych związków.

Zagryzłam wewnątrz policzka, nie spuszczając oczu z lekarza, który wpatrywał się we mnie wyczekująco. Przecież wiedział. Nie był idiotą, aby domyślić się, co się działo. A mimo to czekał na moją odpowiedź.

– Wspomagam się czasami... vicodinem – burknęłam, na co mężczyzna pokiwał głową.

– Chloe, masz zdrowieć, a nie się truć. – Westchnął, unosząc brew. – Rozumiemy się? Twoje wyjście ze szpitala i przejście pod moją opiekę oznacza, że masz słuchać się moich zaleceń. W innym wypadku wrócisz do szpitala. Twój stan nie jest dobry.

Pokiwałam kilka razy głową. Przecież wiedziałam to wszystko. Znałam warunki, jakie musiałam spełniać, aby być w domu. Byłam świadoma tego wszystkiego, o czym mówił lekarz.

– Mówiłaś, że nic ci nie jest – usłyszałam głos osoby, której się tu nie spodziewałam. Mieli przecież wyjść. Najwyraźniej Matteo niewiele zrobił sobie z prośby lekarza.

– Bo tak jest – odpowiedziałam słabo, decydując się na konfrontację. – Byłam tylko zmęczona po nieprzespanej nocy. Położyłam się i...

– I odleciałaś, dostałaś krwotoku z nosa, nie szło cię dobudzić, a twój układ nerwowy miał wolne, bo nie reagowałaś na bodźce? – przerwał mi chłopak, jawnie powstrzymując swoją złość. – Cholera, Chloe. Tu chodzi o twoje zdrowie!

A *wasze życie*, pomyślałam, hamując się przed wypowiedzeniem tych słów na głos; w obecnej sytuacji były zbędne.

Z opóźnieniem przyłożyłam dłoń do twarzy i poczułam pod palcami charakterystyczną strukturę zaschniętej krwi. Byłam po prostu przemęczona. *Kiedy to wszystko się skończy i wróci do normalności, od razu poczuję się lepiej*, przekonywałam samą siebie. Już tylko jedna kula ciągnęła mnie na dno, dzisiejszy dzień był decydujący w jej sprawie. Więc albo sprowadzi mnie na samo dno, albo ona zostanie odcięta, a ja wypłynę na powierzchnię.

Spokojnie wstałam z łóżka z zamiarem pójścia do łazienki. Minęłam w ciszy obu mężczyzn, po czym otworzyłam drzwi do pomieszczenia.

– Chloe, pamiętaj...

– Wiem, odpoczynek i relaks – przerwałam lekarzowi, zamykając za sobą drzwi i tym samym znajdując się sama w pomieszczeniu.

Westchnęłam cicho, widząc swoje odbicie w lustrze na ścianie – wyglądałam, jakbym wczoraj umarła. Namoczyłam ręcznik i wzięłam się do zmywania zaschniętej krwi ze swojej twarzy. Bezwiednie zaczęłam nucić jakąś melodię pod nosem, starając się uspokoić. Bałam się. Bałam się o siebie, rodzinę, przyjaciół. Ile bym dała, aby cofnąć się do dnia śmierci mamy. Powinnam zostać na tych schodach, zamiast biec do drzwi. Wtedy nic by się nie wydarzyło. Nigdy by się o mnie nie dowiedzieli. Wszystko wyglądałoby inaczej.

– Gdzie je masz? – zza ściany dobiegł mnie spokojny, jednak zdecydowany ton głosu Matteo.

Westchnęłam cicho i podeszłam do drzwi, aby je otworzyć.

– Trzecia szuflada od dołu, pod ręcznikami – mruknęłam, opierając się o framugę.

Obserwowałam, jak Matteo podchodzi do mebla i wysuwa wspomnianą szufladę. Wyrzebał z jej wnętrza pojemnik z tabletkami, po czym minął mnie i wszedł do łazienki. W ciszy otworzył fiolkę i wysypał jej zawartość do toalety. Mimowolnie się skrzywiłam, wiedząc, co czeka mnie dalej bez tych tabletek: nieznośny ból powróci.

– To wszystkie, które masz? – zapytał Matteo po tym, jak spuścił wodę, a tabletki odpłynęły.

– Tak – szepnęłam. *Wszystkie, których nie zdążyłam zażyć.*

Ciężkie westchnienie wypełniło pomieszczenie, a zaraz po nim Matt stanął przede mną i oparł swoje czoło o moje. Tkwiliśmy tak chwilę w ciszy, którą przerwał jego cichy głos:

– Nie będę patrzył, jak się zabijasz. – Matteo wpatrywał się w moje oczy z taką intensywnością, że aż odwróciłam wzrok.

– P-przepraszam – wyduśiłam, bo w tym momencie tylko na tyle było mnie stać.

Drgnęłam, słysząc stłumiony dzwonek mojego telefonu. Spojrzałam na blondyna, który w tym momencie delikatnie się ode mnie odsunął. Przeszłam do sypialni i wzięłam do ręki leżącą na komodzie komórkę. Kiedy dostrzegłam nazwę dzwoniącego, nacisnęłam zieloną słuchawkę.

– Mamy problem – usłyszałam głos Louisa i tyle wystarczyło.

Już wiedziałam, że rozpęta się piekło.

Chłopak nie chciał powiedzieć przez telefon nic więcej, twierdząc, że w taki sposób nie załatwia się tak ważnych spraw, dlatego postanowił przyjechać do rezydencji. Kiedy przekroczył jej próg, miałam wrażenie, że zaraz zejść na zawal. Młody Lewis wszedł szybkim krokiem do salonu, znowu konfrontując się z moim ojcem, który uparcie twierdził, że musi być przy naszej rozmowie.

– I? – ponagliłam Louisa, kiedy usiadł w fotelu i westchnął, chowając twarz w dłoniach. Po chwili posłał mi tajemnicze spojrzenie, ponownie wzdychając.

– Nie poszli na to – mruknął w końcu, przez co poczułam, jak zaczyna brakować mi powietrza.

– Ale zgodzili się, abys mogła przekazać mi dowództwo.

Zmarszczyłam lekko brwi, nie rozumiejąc go, bo przeczył sam sobie. Przecież taki był nasz plan: Louis miałby mnie zastąpić, bym ja mogła zacząć spokojnie żyć. Jednak coś w głosie chłopaka mówiło mi, że to nie wszystkie rewelacje na dziś.

– Ale...? – zapytałam w końcu, chcąc je usłyszeć.

Louis wstał i zaczął przechadzać się po salonie. Spojrzałam na mojego ojca, który siedział sztywno na kanapie i wpatrywał się w chodzącego chłopaka. Mina młodego Lewisa wskazywała, że nie wiedział, jak przekazać mi tę wiadomość. W końcu jednak zatrzymał się i spojrzał na mnie poważnie.

– Będiesz wolna, a ja zdobędę to, czego chcę, ale najpierw wszystkie osoby z listy będą musiały zostać... zlikwidowane.

Rozdział 20

CHLOE

Spojrzałam na białą płytę, uśmiechając się lekko. Położyłam na niej białe lilie, po czym delikatnie przejechałam dłonią po marmurze. Nie było mnie tu od czterech lat. Nie potrafiłam przyjść i spojrzeć jej w oczy. W przenośni, oczywiście. Bo jeśli niebo istniało, a ona w nim była i patrzyła na mnie z góry, to zapewne czuła się rozczarowana. Nie mogłam po prostu przed nią stanąć po tym wszystkim, co wyprawiałam. Byłam wspaniałym materiałem na idealną córeczkę. I w którym momencie coś poszło nie tak...? Dzisiaj jednak musiałam tu przyjść. Ten ostatni raz, zanim świat ponownie miał zamienić się w piekło.

– Gdybyś tylko tu była – westchnęłam, wpatrując się w wygrawerowany na płycie napis: Liliana Roseline Morgan. – Miłość babci do kwiatów nigdy nie przestanie mnie przerażać. Choć ty zachowałeś się odpowiedzialnie i nie dałeś mi imion brzmiących jak nazwy rośliny. – Zaśmiałam się pod nosem, rozglądając dookoła. Musiałam wyglądać ciekawie, rozmawiając z nagrobkiem. – Pewnie widzisz, w co się wpakowałam. Jakież rady?

Odpowiedziała mi cisza. Prychnęłam pod nosem na swoje zachowanie.

– Pewnie się już nie spotkamy – odezwał się znowu. – No wiesz, ty jesteś na górze, ja będę na dole. Ale wiesz co? Jestem na to gotowa. – O dziwo naprawdę byłam przekonana co do prawdziwości swoich słów. – Jeśli ktoś zechce skrzywdzić ludzi, których kocham, będę pierwszą, która pociągnie za spust. A później z dumnie uniesioną głową trafię do piekła. Bo oni są tego warci.

Kiedy ponownie znalazłam się w domu wypełnionym ludźmi, już na starcie dobiegła mnie dyskusja niczym z narady wojennej.

– Będzie dobrze. – Uspokajający ton mojego ojca wyjątkowo mnie drażnił. Może to dlatego, że nie usłyszałam od niego tych słów aż od śmierci mamy.

– Obronimy się – odparł Zack, starając się dodać nam wszystkim otuchy.

– Ma pan może arsenał z bronią? Taki dla kilku osób? – odezwał się Ben lekko kpiącym tonem, na co przewróciłam oczami.

– Nie dam ci broni, kretynie. Skończyłeś sztukę, a nie wojsko – mruknęłam, wchodząc do salonu i posyłając chłopakowi oburzone spojrzenie.

Omiotłam wzrokiem twarze przyjaciół, orientując się w ich nastrojach. Co dziwne, chyba tylko ja byłam przerażona do granic możliwości.

– Musimy poczekać na listę – westchnął Logan, rozsiadając się w fotelu. – Wtedy zaczniemy się martwić.

– Nie rozumiem was – zaczęłam, bo naprawdę nie rozumiałam. – Boję się najbardziej, chociaż jestem bezpieczna. A wy czujecie się jak na wakacjach, chociaż za kilka godzin pojawi się lista z waszymi nazwiskami, które setki ludzi będą chcieli z niej skreślić – zaczęłam się unosić. – Co z wami nie tak?

Byłam wdzięczna światu, że siedziałam teraz tylko z męską częścią znajomych. Aylyn, Vivien i Amy zostały zaproszone przez Carmen na masaże rozluźniające, co dawało nam chwilę na poważną rozmowę. Nie chciałam niepokoić dziewczyn. Nie byłam pewna, czy ich nazwiska były

na liście, jednak im więcej by o tym myślały, tym w większą panikę by wpadały; znałam to z doświadczenia.

– Okej. – Louis zabrał głos. – Lista pojawi się za równe dwie godziny.

Spojrzałam na specjalnie ustawiony na stoliku zegar, na którym właśnie wybiła godzina dwudziesta druga. Lista miała pojawić się o północy czasu standardowego, który obowiązywał w Rosario. Tymczasem w Newcastle zaczynała się właśnie jedenasta rano. Westchnęłam, starając się uspokoić. Nie umiałam wyobrazić sobie tego, co miało wydarzyć się za kilka godzin.

– Prześpij się, Chloe – usłyszałam tuż przy swoim uchu.

Podniosłam lekko głowę, natrafiając na lazurowe oczy.

– Mowy nie ma, nie zostawię cię – szepnęłam uparcie, przez co Matteo słabo się uśmiechnął, złapał za poduszkę, która leżała obok niego, i położył ją na swoich kolanach.

– Tylko się gdzieś ruszę, a się obudzisz – wyjaśnił, klepiąc dwa razy miękki materiał. – Masz odpoczywać.

Przyjaciele zgodnie pokiwali głowami, więc westchnęłam ciężko, niechętnie przystając na propozycję blondyna.

– Jeśli tylko się dowiem, że któreś z was wystawiło stopę za mury tego budynku, przypnę was do rur w piwnicy – zagroziłam, starając się brzmieć groźnie.

– Mam *déjà vu* – parsknął Louis, przez co wszystkie spojrzenia skierowały się na niego. – No co? Podeszła mnie.

Uśmiechnęłam się lekko pod nosem i położyłam głowę na kolanach blondyna, zamykając oczy. Poczulałam delikatne mrowienie skóry głowy, kiedy chłopak zaczął bawić się moimi włosami, tym samym pokazując, że się denerwuje. Naprawdę starałam się nie myśleć o niczym i pozwolić sobie odpocząć, ale przychodziło mi to z trudem. Za dwie godziny miała zacząć się wojna, a ja właśnie szłam spać.

Kiedy otworzyłam oczy, w pomieszczeniu panował mrok. Spojrzałam w stronę okien, w których zauważyłam zasunięte rolety antywłamaniowe. Zmarszczyłam lekko brwi, rozglądając się dookoła, jednak nikogo nie było. Oczywiście z jednym wyjątkiem.

– Jak długo spałam? – mruknęłam, podnosząc się do siadu.

Matteo rozprostował nogi, wydając z siebie jęk ulgi, na co przewróciłam oczami i pokręciłam głową. To był przecież jego pomysł.

– Godzinę – odpowiedział, odwracając się w moją stronę.

– Gdzie wszyscy? – zapytałam, ponownie rozglądając się po salonie.

Na twarzy Matta pojawiło się wahanie, co lekko mnie zaniepokoiło. Zmrużyłam oczy i zniecierpliwiona wbiłam spojrzenie w chłopaka, który podrapał się po głowie, jakby szukał w niej odpowiedzi. W końcu wziął głęboki wdech.

– Louis przywiózł swoje... zabawki. – Spojrzał na mnie niepewnie, a ja przyłożyłam dłoń do twarzy.

– Mam rozumieć, że w tym momencie w domu milionera, szefa Anthares, wpływowego człowieka na całym świecie, znajduje się nielegalna broń? – odparłam, upewniając się, że dobrze zrozumiałam. – Chryste, przecież oni się pozabijają!

Już miałam wstać i ruszyć na poszukiwania znajomych, licząc, że żadne z nich jeszcze nie ma w swoim ciele dziury, ale Matt złapał mnie za nadgarstek, uniemożliwiając mi zrobienie czegokolwiek. Spojrzałam na niego pytająco.

– Chloe, nie musisz być za wszystko odpowiedzialna – usłyszałam. – To dorośli faceci. Poradzą sobie. I tak zrobiłaś dla nas dużo.

– Jednak zbyt mało, skoro ciągle towarzyszy nam wizja śmierci. – Sapnęłam cicho, odwracając od blondyna wzrok.

– Skarbie – odparł, a ja na to słowo mimowolnie się wzdrygnęłam. Było bardzo nie na miejscu, patrząc na sytuację, w której tkwiliśmy. – Nikt z nas nie siedzi w więzieniu. Nikt z nas nie pracuje dla Scotta. Nikt z nas nie umarł. Ty tego dokonałaś. Zrobiłaś dla nas wszystko, poświęcając praktycznie całe swoje życie. Przeżyłaś piekło, starając się nas z tego wyplątać. Dlatego jeśli nadal uważasz, że to za mało, to nie rozumiem.

– Właśnie, nie rozumiesz – westchnęłam rozżalonym głosem. – Ta rodzina zabrała mi wszystko. Zabrała mi całe moje życie. Czasami zastanawiam się, gdzie bym była, gdyby nie zabili mi mamy. Jeździłabym z nią w trasy? Poszła na najlepsze studia w Sydney? Mogłabym liczyć na jej pocieszenia i rady, wchodząc w dorosłe życie? Wszystko wyglądałoby inaczej. To oni wszystko zniszczyli, a dodatkowo później jeszcze bawili się w gruzach, gdy poznałam Scotta. Cały czas byłam jak marionetka, Matteo. Wszyscy oprócz mnie znali scenariusz, a ja tylko wykonywałam polecenia, totalnie nie wiedząc, po co to robię i jakie przyniesie to konsekwencje. Dlatego nie dziw się, że chcę kontrolować sytuację i mieć wszystko przygotowane. Bo teraz to ja piszę scenariusz. I nie pozwolę, aby ktoś cokolwiek w nim zmieniał.

Matteo nie zdążył nic odpowiedzieć, ponieważ przerwał nam dzwonek telefonu. Spojrzałam na ekran, a kontakt, który na nim zobaczyłam, sprawił, że na moment poczułam się zdezorientowana. Dopiero po kilku sekundach oprzytomniałam i zerknęłam na zegar: minuta po północy.

– Tak? – szepnęłam, czując dziwną niemoc.

– Dostałam listę. – Federico miał bardzo zdenerwowany głos.

Wzięłam głęboki wdech, patrząc niepewnie na Matta. Zaraz mieliśmy usłyszeć wyrok.

– Ile osób? – zapytałam pewniejszym tonem, gotowa na wszystko. Jednak chwila zwłoki po drugiej stronie lekko mnie zaniepokoiła. – Federico, ile?

Mijał sekundy, jedna za drugą, w trakcie których wpatrywałam się w Matteo, a on nie spuszczał wzroku ze mnie. Teraz już tylko słowa Federica dzieliły nas od tragedii. Czas dłużył się niesamowicie, albo to ja po prostu przestałam się orientować, jak on działa.

– Jedna.

Jak to... jedna? Zmarszczyłam brwi, myśląc, że się przesłyszałam. Widząc to, Matteo ponaglił mnie ruchem głowy, jednak go zignorowałam.

Jedna... To było niemożliwe. Scott znał moje życie lepiej niż ja sama. Wiedział, kto jest mi bliski i w kogo celować, aby zabolalo.

– Musiałaś się pomylić... – rzuciłam, jednocześnie zaczynając chodzić po salonie i rozważając inne rozwiązania. Nie mogłam pojąć, co miały oznaczać słowa Fede.

– Nie – odpowiedział lekko zdenerwowany. – Chloe, na liście jest tylko jedno nazwisko.

Wzięłam głęboki wdech, czując, jak coraz mniej powietrza trafia do moich płuc. Bo w mojej głowie pojawiło się jedno nazwisko, które Scott zapisałyby na szczycie listy. Nazwisko osoby, której chciałby pozbyć się z mojego otoczenia.

– K-kto? – To było głupie pytanie, ale miałam nadzieję, że Scott naprawdę tego nie zrobił. Miał przecież pełne pole do popisu, żeby móc zniszczyć mi życie, a mimo to wybrałyby tylko ten jeden aspekt?

– Matteo – usłyszałam w odpowiedzi.

Potwierdzenie Federica było jak grom z jasnego nieba – na moment mnie sparaliżowało i chyba naprawdę przestałam oddychać. I choć się spodziewałam, nie wiedziałam jednak, że robi

to na mnie takie wrażenie.

Matteo. Tylko Matteo. Nie Logan, nie Ben, nie Zack, nie Alec, nie Ailyn, nie Vivien, nie Amy. Chryste, nawet nie mój ojciec czy brat. Tylko Matteo.

Kiedy nad grobem mamy mówiłam, że jestem gotowa na wszystko, naprawdę byłam. Byłam w stanie zamordować każdego, kto tylko by spróbował zabić moich bliskich. Jednak dopiero teraz poczułam, co to znaczy być gotową na wszystko. W obecnej chwili byłam w stanie gołymi rękami poderżnąć gardło komukolwiek, kto choćby tylko pomyślał o wzięciu udziału w polowaniu. Bo chodziło o *niego*. Nie liczyło się już nic więcej. On musiał przeżyć, choćbyśmy mieli walczyć całe życie.

– Rivera, pewnie jesteś zdenerwowana. Uspokój się i słuchaj uważnie. – Słowa Fede przerwały mój rosnący atak paniki.

Potrząsnęłam lekko głową, jakbym chciała odrzucić od siebie wszystkie myśli i skupić się na słowach Włocha.

– Znalazłem lukę. Wiem, jak was z tego wyciągnąć. Jednak ostrzegam, to najbardziej popieprzony pomysł, jaki istnieje.

Odwrociłam się powoli w stronę Matteo, słuchając uważnie planu Federica. Mimo że wewnątrz mnie wszystko szalało, moja twarz pozostawała wyprana z emocji. Bo to, co mówił drugi Cortez, naprawdę nie mieściło mi się w głowie. A naprawdę byłam w stanie znieść wiele.

– Oddzwonię – rzuciłam do Federica, kiedy zapytał o decyzję. Nie mogłam podjąć jej sama. Teraz nie chodziło już tylko o mnie, lecz również o Matta, który zdezorientowany siedział przede mną i ze skupieniem wpatrywał się w moją twarz, starając się ukryć swój niepokój. Teraz wszystko zależało od niego.

Kiedy odsunęłam telefon od ucha, zaczęłam zastanawiać się, jak to przekazać. Nie mogłam powiedzieć prosto z mostu wszystkim o wszystkim. Jeśli plan Fede miał się udać, nie mógł wiedzieć nikt.

– Na liście jesteś tylko ty – szepnęłam w końcu.

Na twarzy blondyna pojawił się najpierw strach, a później... szczęście. Tak, jak też cieszyłam się, że nasi przyjaciele są bezpieczni, jednak w tym momencie nadal mieliśmy duży problem: *on* nadal znajdował się na liście.

– Jest dobrze, Chloe. Poradzę sobie. To najlepsza z możliwych opcji... – zaczął, jednak mu przerwałam, nie chcąc słuchać słów, które zaczęły wywoływać u mnie łyzy.

– Federico znalazł sposób, jak cię z tego wypłatać. – Mój głos zaczął słabnąć, przez co Matteo lekko się zaniepokoił.

– Federico? – mruknął zaskoczony, nie rozumiejąc, co do tego wszystkiego ma jego kuzyn.

Wzięłam głęboki wdech, decydując się na powiedzenie tego na głos. W tej kwestii nie miałam wyboru. I tylko decyzja Matteo mogła sprawić, że pojawiłoby się światło w tunelu.

– Jesteś gotowy zrobić najbardziej szaloną rzecz w całym swoim życiu?

Znacie takie momenty, kiedy robicie coś ważnego, jednak nie odczuwacie piękna chwili? Jest to po prostu kolejna czynność, którą wykonujecie. Jesteście w tak wielkim otępieniu, że wszystko przestaje mieć znaczenie, działacie jak automat. Życie staje się wspomnieniem, snem. Nie czujecie się sobą i to, co dzieje się dookoła was, zdaje się wam tak bardzo odległe. Znacie to?

Miałam tak od kilku godzin. Tkwiąc w amoku, stanęłam przed wielkim budynkiem. To był pomysł Federica, na który przystałam od razu, jednak im bliżej celu się znajdowaliśmy, tym

większy niepokój odczuwałam. Odkąd poznałam, co oznacza wolność, nie wyobrażałam sobie jej stracić, a tym bardziej dobrowolnie oddać.

– W porządku? – usłyszałam głos Matteo. Blondyn stał obok mnie i przyglądał mi się z lekkim uśmiechem na ustach.

Po dłuższym namyśle pokręciłam głową. Nie było w porządku. Nie umiałam sobie tego wyobrazić. Bo nie tak powinno to wyglądać, nie w taki sposób. Wszystko było nie tak.

– Jeśli chcesz, możemy się z tego wycofać – zasugerował, widząc, że się waham. – Nic na siłę. Znajdziemy inny sposób.

– Jeśli tam nie wejdziemy, od razu będę mogła wpakować ci kulkę w głowę – mruknęłam, wzdychając.

Zaczęłam wchodzić po schodach, jednak zatrzymałam się, kiedy poczułam silny uścisk na swoim nadgarstku. Pozwoliłam sobie odwrócić się w stronę Matteo, unikając z nim kontaktu wzrokowego. Czułam się strasznie głupio. Przeżyliśmy razem wiele, a kiedy przyszło co do czego, wyglądałam, jakbym planowała uciec. Najwyraźniej słowa były prostsze od czynów.

– Nie wejdę tam, jeśli masz do tego takie nastawienie – powiedział poważnym tonem, nie spuszczając wzroku z mojej twarzy. – Nie musisz tego robić. To za dużo, nawet jak na ciebie.

Wzięłam urywany wdech, przymykając na moment powieki. Wiedziałam, że nie muszę. Do tego nie dało się zmusić człowieka. Jednak w jakim świetle postawiłabym siebie i nasz związek, gdybym teraz odmówiła? To była próba: moja, jego, nasza wspólna. Dlatego nie chciałam go nawet słuchać, skoro uważał, że się dla niego poświęcam. Siedzieliśmy w tym razem, więc albo oboje wygramy, albo przegramy. Ale razem.

– Matteo – zaczęłam, jednocześnie otwierając oczy i poważnie patrząc na blondyna. – Dla ciebie zrobiłabym wszystko. Gdyby tylko było trzeba, zginęłabym za ciebie. I nic więcej nie miałoby dla mnie znaczenia – mówiłam dziwnie spokojnym głosem, którym przeraziłam samą siebie. – I wiem, że ty zrobiłbyś dla mnie to samo.

Na twarzy Corteza na moment pojawiło się przerażenie. Tak jak myślałam, w pierwszej chwili zrozumiał, że ma dać się zabić. Dopiero potem, kiedy przemyślał moje słowa, zaśmiał się pod nosem i przytulił mnie do siebie. Zdezorientowana zmarszczyłam brwi, nie spodziewałam się takiej reakcji. Wszystko jednak stało się jasne, kiedy usłyszałam cichy głos Matteo:

– I'd catch a grenade for ya. Throw my hand on a blade for ya. I'd jump in front of a train for ya. You know I'd do anything for ya. I would go through all this pain, take a bullet straight through my brain. Yes, I would die for ya baby.

Uśmiechnęłam się pod nosem, słysząc słowa piosenki *Grenade* Bruno Marsa, które blondyn spokojnie szeptał do mojego ucha. Matteo-romantyk był rzadkością. Nie spodziewałam się po nim takiej postawy w momencie, gdy postawiono nas pod ścianą, i to dosłownie. Oczekiwałam raczej, że w końcu da upust swojemu przerażeniu i wątpieniu, bo przecież wszystko mogło się wydarzyć, ale nie tego.

– Jestem pod wrażeniem, Cortez – mruknęłam cicho, nie ukrywając, że to, co zrobił, bardzo mi się spodobało.

– Taki był cel. – Na jego twarzy pojawił się dobrze mi znany, cwaniacki uśmiech. – Przejdź przez te drzwi – wskazał bramę wielkiego budynku – a będziesz na to skazana.

Jego słowa sprawiły, że uśmiechnęłam się szczerze, a potem złapałam go za rękę i razem ruszyliśmy w stronę schodów prowadzących do drzwi białej budowli.

Takie skazanie odpowiadało mi najbardziej.

I znowu poczułam to dziwne otępienie, które pojawiło się, gdy tylko opuściliśmy budynek. Nie wiem, co czułam, ale na pewno potrzebowałam czasu; nie byłam w nastroju, żeby wracać do rezydencji i słuchać wszystkich wokół. Nerwowa atmosfera zniknęła, bo byli bezpieczni. Teraz jedynie Matteo był zagrożony, a fakt, że skakali dookoła niego, jakby był umierający, drażnił nas oboje. Bo oni nie wiedzieli. W tym momencie chyba potrzebowaliśmy chwili samotności.

– Będziesz mdleć? – usłyszałam, na co spojrzałam zdezorientowana na blondyna, który uważnie mi się przyglądał. – Jesteś strasznie blada.

– Dziwnie się czuję – odpowiedziałam spokojnie.

Starałam się odnaleźć w obecnej sytuacji. W prawdzie nic się nie zmieniło: wciąż byłam ja i był on, nadal razem, bliżej niż kiedykolwiek wcześniej. Dlaczego więc czułam, że coś było nie tak?

– Wracajmy do domu – mruknął chłopak, ruszając w stronę samochodu, jednak się zatrzymał, gdy zobaczył, że nadal stoję w miejscu. – Chloe?

– Nie chcę – szepnęłam, po czym przysiadłam na schodku.

Blondyn odszedł od auta i stanął przede mną.

Dlaczego teraz tak dziwnie czułam się w jego towarzystwie? Nie tak miało to wyglądać. Nie tak wyobrażałam sobie tę chwilę. Musiałam się ogarnąć i zacząć normalnie funkcjonować. Coraz bardziej irytował mnie mój stan i chciałam wyjść z niego najszybciej jak to możliwe.

Chłopak westchnął i wyciągnął do mnie rękę, przez co spojrzałam na niego zdezorientowana.

– Chodź, Chloe, znikniemy na trochę.

Co on nagle wykombinował?, przemknęło mi przez myśl, jednak bez słowa złapałam go za rękę i pozwoliłam, żeby zaprowadził mnie do samochodu.

Kiedy już zajęliśmy miejsca, Matt odpalił silnik, jednak nie ruszył autem. Siedzieliśmy kilka sekund w ciszy, nie pokonując nawet centymetra.

– Matteo?

– Tak sobie myślę... Gdzie znajdę najlepszy alkohol w okolicy? – Spojrzał na mnie kątem oka, lekko unosząc brew.

Przygryzłam lekko wargę, zaczynając rozumieć, do czego dążył. Mogliśmy zniknąć i naprawdę chciałam to zrobić na kilka godzin. Tym bardziej że w końcu mogliśmy pobyć choć trochę sami.

– W domku letniskowym jest piwnica – zaczęłam, chcąc nakierować go na odpowiedni trop.

– W piwnicy jeszcze tego nie robiłem. – Poruszył śmiesznie brwiami, na co prychnęłam pod nosem.

Jakim sposobem z rozmowy o winie przeszliśmy do rozmowy na całkiem inny temat?

– W porządku. To ja wezmę z niej najlepsze whiskey, a ty zostaniesz tam i przelecisz butelki – odparłam pewna siebie.

Matt w tym samym momencie przekręcił lekko głowę i zerknął na mnie z tajemniczym uśmiechem na ustach.

– Jeszcze to przedyskutujemy – wymruczał w końcu, kładąc rękę na kierownicy. – To którą do tej piwnicy?

Oparłam się o balustradę schodów, obserwując Matteo, który dokładnie przyglądał się butelkom z alkoholem. Jakby naprawdę ważne było to, przez co jutro rano nie będziemy pamiętać dzisiejszego wieczoru.

– Jesteś wybredny. – Zachichotałam, widząc, jak odkłada jedną butelkę i bierze do ręki kolejną.

– Mamy wyjątkowy dzień, więc szukam czegoś idealnego – odpowiedział spokojnie, wdychając, i ponownie odłożył to, co miał w ręce.

Na mojej twarzy pojawił się delikatny uśmiech, kiedy chłopak prawie podskoczył, podnosząc jakąś butelkę. Zaklaskałam, z udawanym podziwem kręcąc głową. Jego zachowanie było po prostu niemożliwe.

Kiedy znaleźliśmy się na górze, wzięłam wcześniej przygotowany koc i koszyk, w którym znajdowały się lampki, zarówno te do wina, jak i te dające oświetlenie. Ruszając przodem, zeszłam po kilku schodkach i zatopiłam nogi w miękkim piasku. Spojrzałam przed siebie, gdzie kilkanaście metrów dalej znajdował się ocean. Kochałam to miejsce najbardziej na świecie. Rozejrzałam się, ale nie zobaczyłam wokół żywego ducha. Było już chłodno, a lato w tym miejscu skończyło się jakiś czas temu, przez co domki letniskowe przestały być zamieszkałe. Gdy dotarliśmy do celu, rozłożyłam koc i spokojnie zabrałam się do wypakowywania wszystkiego, co było w koszyku. Z kolei Matteo nadal trzymał w dłoni butelkę, która była dla niego niczym Święty Graal.

Byliśmy wolni. Byliśmy bezpieczni. Mogliśmy zrobić wszystko, na co tylko mieliśmy ochotę. A dlaczego? Te słowa nadal nie mogły przejść mi przez gardło, a myśli o tym wydarzeniu nadal wydawały się abstrakcją.

Nalałam do lampek whiskey, wypełniając szkło do ogólnie przyjętego poziomu pod tytułem „jest źle”, i podałam jedną Matteo.

– Chcesz dzisiaj umrzeć? – Blondyn parsknął śmiechem, przypatrując się zawartości naczynia.

– Szczerze? Mogę. Mogę z czystym sumieniem umrzeć na zatrucie alkoholowe. Rozwiązałam wszystkie problemy, jestem znowu zwykłą dziewczyną z Newcastle i mam zamiar popełniać dużo błędów. – Mrugnęłam do chłopaka. – Pierwsza lampka do dna.

– Dlaczego? – Skrzywił się lekko.

– Bo pijemy za szczęście, spokój i bezpieczeństwo – odpowiedziałam oczywistym tonem. Za to mogliśmy wypić całą butelkę na raz. W tym momencie niczego bardziej nie pragnęłam.

Blondyn zgodnie pokiwał głową i stuknął lekko swoim kieliszkiem o mój, po czym upił duży łyk, a po nim kilka mniejszych. Poszłam w jego ślady i poczułam, jak moje gardło zalewa ciecz, nie sprawiając mi jednak ani grama bólu.

Bo kiedy przejdiesz przez piekło, alkohol staje się rozkoszą dla twojego podniebienia.

Przymknęłam powieki z przyjemności, delektując się pięknem tego wieczoru. Naszego wieczoru. Kiedy odstawiłam naczynie, wstałam i zaczęłam zsuwać z siebie sukienkę.

– Ale że to już? – zapytał wyraźnie zdezorientowany chłopak z lubieżnym uśmiechem na ustach, na co ze śmiechem przewróciłam oczami.

– Idę do wody, zachód słońca w oceanie to coś niesamowitego – odpowiedziałam, rzucając w Matteo ubranie. – Będiesz tu tak siedział czy się przyłączysz?

Cortez zlustrował spojrzeniem moje ciało. Aktualnie miałam na sobie tylko bieliznę i mimo wielu nadal niezagojonych na skórze ran stanie przed nim było czystą przyjemnością. Przygryzłam lekko wargę, widząc, że w oczach chłopaka pojawia się ten charakterystyczny błysk. Nie czekałam długo na jego reakcję. Szybkim krokiem podszedł do mnie, objął moje plecy, a drugą ręką podciął mi nogi w kolanach.

– Matteo! – pisnęłam zaskoczona, śmiejąc się wesoło.

– Kocham ten dźwięk – wymruczał, składając na moim barku pocałunek. – I kocham ciebie. Najmocniej na świecie.

Nawet nie wiem, kiedy znalazłam się pod wodą, która utrudniła mi wypowiedzenie odpowiedzi. Nie śpiesząc się, wynurzyłam się na powierzchnię, gdzie czekał już na mnie uśmiechnięty blondyn. Czy zachowywaliśmy się głupio? Tak. Jak bardzo? Patrząc na to, że pływaliliśmy w oceanie po alkoholu, to bardzo. Ochlapałam Matteo wodą, odpływając kawałek od

niego i ciesząc się upragnionym spokojem. Byłam wolna od problemów i tego całego gówna. A co najlepsze, Matt również. Czy mogło istnieć coś piękniejszego w tym momencie?

Gdy słońce schowało się za horyzontem, wyszliśmy na plażę i zajęliśmy miejsca na kocu. Tym razem Matteo dobrał się do butelki, nalewając do lampek jeszcze więcej whiskey niż ja wcześniej.

– Teraz pijemy za mnie – zaczął, jednak po chwili się poprawił: – Za nas. A co tam, podzielę się z tobą toastem. Żyjemy, nie mogą mnie już zabić. – Zaśmiał się wesoło. – Skurwysyny nie mogą!

Powiem szczerze, że nastrój blondyna udzielił mi się bardzo szybko. Wiedziałam, jak czuł się w tym momencie. Wolność była naprawdę przyjemną sprawą.

– Za nas – powtórzyłam, wznosząc naczynie. Byłam w tym momencie naprawdę szczęśliwa.

– Ale serio pijemy whiskey z lampek do wina? – jęknął nagle, na co przewróciłam oczami.

– A co? To jakaś zasada? – mruknęłam niezadowolona. Wzięłam pierwsze lepsze szkło, aby mieć z czego pić. Przeszłam tak wiele, że ostatnie, o co chciałam się martwić, to jakieś zasady. – Przecież jesteśmy mistrzami w łamaniu zasad.

Twarz Matteo rozjaśnił delikatny uśmiech, jednak oczy zaszyły mu mgłą. Zapanowała cisza i wydawało mi się, że chłopak pogrążył się w swoich myślach.

– I pomyśleć, że to... – rozejrzał się dookoła, po czym zatrzymał wzrok na mnie i na mojej dłoni – mamy dzięki jednej głupiej grze dwójki studentów, którzy stwierdzili, że mają nudne życie. – Zaśmiał się, a ja mu zawtórowałam. – Oj, będzie o czym opowiadać dzieciom.

Zamarłam w bezruchu, wpatrując się w Matta, który spokojnie upijał właśnie kolejny łyk alkoholu. Nie wiedziałam, czy nie był świadomy tego, co właśnie powiedział, czy postanowił przemilczeć swoje słowa. Ani pierwsze, ani drugie nie było dobre. Alkohol strasznie rozwiązał mu język, mnie zresztą też, bo nie panując nad swoimi słowami, wypaliłam:

– Dzieciom?

Chłopak zamrugał kilka razy, wpatrując się we mnie skołowany. Dopiero po chwili jego oczy otworzyły się szerzej, a mięśnie twarzy zastygły.

– Kurwa – warknął, odwracając wzrok i wbijając go w fale oceanu. – Albo jak wolisz, zaadoptujemy psa. Jest mądry, też będziemy mogli mu opowiadać o przygodach naszego życia, zrozumie. Albo...

Wstałam i usiadłam na udach blondyna, tym samym mu przerywając. Zdawałam sobie sprawę, że byłam przewrażliwiona na punkcie tego tematu. Matteo o tym wiedział, jednak w tym stanie wyrzucił z siebie te słowa kompletnie bezmyślnie. Uświadomiłam to sobie, kiedy usilnie próbował uratować sytuację.

– Zajmij się najpierw chomikiem, a ja zobaczę, czy nadajesz się na właściciela psa – zażartowałam, rozluźniając tym samym atmosferę.

– To brzmi jak zasada – zauważył, kładąc się na kocu i opierając głowę na dłoniach.

Wzruszyłam ramionami, udając jednak niewzruszoną.

– No i co z tego? – szepnęłam, po czym powoli się do niego nachyliłam.

Alkohol szumiał mi w głowie i podsuwał naprawdę różne pomysły. Pisnęłam cicho, kiedy chłopak zwinnym ruchem znalazł się nade mną. Oblizawał usta, co odniosło przewidziane przeze mnie skutki. Wystarczyło tylko kilka zagrań, aby Matt przestał myśleć i skupił się na tym, co tu i teraz. Gwałtownie wpił się wargami w moje usta, nie dając mi szansy na złapanie oddechu. Uśmiechnęłam się lekko, przyciągając go bliżej siebie. Ta chwila naprawdę mogła trwać wiecznie. Nie potrzebowałam do szczęścia niczego więcej. W tym momencie zapomniałam o przyjaciółkach, którzy zapewne nie mieli pojęcia, gdzie się podziewamy. Zapomniałam o ojcu i bracie, którzy bez wątpienia zastanawiali się, gdzie zniknęliśmy.

Byliśmy tylko ja i on. Tylko my.

Jęknęłam cicho, czując, że blondyn zaczął delikatnie sunąć dłonią po wewnętrznej stronie mojego uda. Słyszając moją reakcję, Matteo zaśmiał się pod nosem i nieco się ode mnie odsunął. Spojrzałam na niego zaskoczona, czując dziwny chłód tam, gdzie wcześniej znajdowało się jego ciało. Na mojej twarzy pojawił się jednak spokój, kiedy spostrzegłam, że chłopak powolnym ruchem zdejmuje dolną część mojej bielizny, cały czas utrzymując ze mną kontakt wzrokowy. Nawet nie wiem, kiedy sam pozbył się bokserek i ponownie nade mną zawisnął.

– Powiedz to – szepnął zachrypniętym głosem, całując moją szyję – Powiedz to, a dostaniesz wszystko, czego zechcesz.

– Ko... – urwałam, kiedy chłopak przygryzł płatek mojego ucha, i aż westchnęłam. Czułam, że robił to specjalnie, próbował mnie zdekoncentrować. – Kocham cię.

Z momentem wypowiedzenia przeze mnie tych słów Matteo znalazł się bliżej mnie niż kiedykolwiek wcześniej. Poczułam ucisk w podbrzuszu, a potem ciepły oddech chłopaka na swojej szyi. Aż przymknęłam powieki....

– Jesteś moja – szepnął, wykonując mocny ruch bioder, przez co ścisnęłam dłonią róg koca. – Tylko moja – wymruczał nieco spokojniej, jednak jego ruchy były nadal zdecydowane i mocne. – Kocham cię, Chloe Cortez.

W tym momencie mogłam być kimkolwiek zechciał, byleby tylko ta magiczna chwila trwała.

Rozdział 21

CHLOE

Mruknęłam cicho niezadowolona, słysząc głośny dźwięk. Powoli otworzyłam oczy, starając się znaleźć jego źródło, jednak w pomieszczeniu panowała ciemność. Gdy tylko podniosłam się do siadu, poczułam, jak świat dookoła zaczyna się kręcić. Zerknęłam na zegar wiszący na ścianie i skupiłam się na wskazówkach, które pokazywały chwilę po pierwszej w nocy. Zmarszczyłam brwi, orientując się, że spałam niecałą godzinę. Spojrzałam na miejsce obok siebie, gdzie spał niczego nieświadomy Matteo. Na mojej twarzy mimowolnie pojawił się uśmiech. Cudownym uczuciem było kochać i być kochaną.

– Tak, są tu. – Czyjś głos nagle rozbrzmiał w korytarzu, brzmiał dziwnie znajomo. – Tak, oboje. Oczywiście.

Wpatrywałam się wyczekująco w drzwi, które w końcu się otworzyły i w których stanął wysoki mężczyzna. Oparł się o framugę i założył ręce na torsie, trwając w takiej pozycji przez dłuższy moment.

– Matteo, chyba mam zwidy – mruknęłam do blondyna, jednocześnie szturchając go w ramię, co nie było łatwym zadaniem w tej ciemności.

– Śpij – jęknął, zaczynając szukać mnie dłonią po mojej stronie łóżka, jednak jego ręka natrafiła tylko na poduszkę. – Już ode mnie uciekłaś?

Zaśmiałam się cicho pod nosem, kładąc głowę przy obojczyku Matta, a chwilę później wyładowałam na jego biodrach.

– Mieliśmy spać – zaczęłam, pochylając się w stronę jego twarzy.

– Naprawdę? – Lekko zachrypnięty i obniżony głos blondyna wybrzmiał tuż przy moim uchu, na co przeszedł mnie dreszcz.

Znienacka do pomieszczenia wpadł ten ktoś z korytarza i nam przerwał.

– Okej, wstawać. Zabieramy was do domu.

Razem z blondynem spojrzeliśmy najpierw na pierwszą, a potem na drugą postać pojawiającą się w drzwiach. Zamrugałam kilka razy, zaskoczona zaistniałą sytuacją.

– O, moje zwidy. – Uśmiechnęłam się pod nosem.

– Też je widzę – odparł Matteo, wpatrując się w dwóch ludzi.

– Czy wy dobrze się czu... – zaczął pierwszy cień i w tym samym momencie ktoś zapalił światło. – Chryste! – Chłopak odwrócił się do nas tyłem, wzdychając.

Matt natychmiast zarzucił na nas kołdrę.

– Zboczeńcy! – syknął, mrużąc lekko oczy i chroniąc je tym samym przed światłem.

– To Logan – powiedziała sama do siebie, rozpoznając tatuaż na jego ręce. – O, i jest też Ben!

– Nadal nie pomyliłem się z określeniem – dodał, a ja posłałam blondynowi oburzone spojrzenie. – No co? To oni właśnie stoją w naszej sypialni, w środku nocy, w momencie, kiedy prawie... – Podniósł znacząco brwi.

Przeniosłam wzrok na drzwi, w których nadal stali chłopacy. Logan cały czas był odwrócony do nas plecami, za to Ben opierał się o framugę, uparcie wpatrując się we mnie i w Matteo z dziwnym uśmiechem na twarzy.

– Logan, gdybyś nie wparował tutaj tak szybko, miałbym niezłe przedstawienie – rzucił spokojnie, zerkając na najstarszego z nas wszystkich.

– Jesteś idiotą – powiedział ten drugi, powoli odwracając się w naszą stronę. – Gdzie wy, kurwa, byliście? Zaczęliśmy się martwić.

– Stary, przecież widzisz, gdzie byli. – Ben wskazał dłonią na nas i na łóżko. – Może zapytaj jeszcze, co robili.

– Przeszkadza ci to? – palnęłam, zatrzymując spojrzenie na chłopaku, na co on pokręcił głową ze śmiechem.

– Lorein zapewne nie dorównuje ci do pięt i chłopak jest zazdrosny – zadrwił Logan, ale dopiero kiedy przeniosłam na niego swój wzrok, zorientował się, co powiedział.

– Kto? – syknęłam, znów powracając spojrzeniem do Bena, który w tym momencie nienawistnie wpatrywał się w przyjaciela. – O kurwa. Pieprzony zdrajca.

Logan spojrzał na mnie błagalnie, jednak widząc moją złość, postanowił się wycofać. Za to Ben w końcu zdecydował się na mnie spojrzeć i, przysięgam, gdybym umiała zabijać wzrokiem, chłopak leżałby już martwy na podłodze.

– Napatoczyła się – zaczął, starając się jakoś wytłumaczyć.

– Bo właśnie taka jest Lorein – warknęłam. – Pojawia się nagle i każdy zaczyna myśleć chujem.

– To był tylko seks. Mnie też należy się coś od życia. Może to ruda żmija, ale za to zajebista ruda żmija – zaczął się irytować.

– A znasz stwierdzenie: „Wróg mojego przyjaciela jest moim wrogiem”? – syknęłam. – No, chyba że już nie jesteśmy przyjaciółmi.

Cisza, która zapanowała w pomieszczeniu, wyrażała więcej niż tysiąc słów. W milczeniu owinęłam nagie ciało kołdrą i ruszyłam w stronę łazienki, kątem oka dostrzegając, jak zdezorientowany Matt zakrywa się poduszką. Trzasnęłam drzwiami, pozwoliłam materiałowi swobodnie opaść na podłogę i weszłam pod prysznic.

Czułam się, jakbym została zdradzona. Przecież Ben doskonale wiedział, że Lorein jest pierwszą osobą na mojej liście znienawidzonych osób, a mimo to postanowił ją przelecieć. Faceci byli beznadziejni. Wystarczyło kilka sztuczek, aby stracili głowę i przestali logicznie myśleć. A Lorein naprawdę opracowała swoje triki do perfekcji.

Włożyłam sukienkę, którą wcześniej otrzepałam z piasku, i wyszłam z łazienki, zastając w sypialni Logana.

– Ja tylko pilnowałem. Alkohol, woda, jesteś pijana i w sumie... – plątał się w swoich słowach, na które mruknęłam ciche „okej”.

Wyszliśmy z pomieszczenia, wpadając na korytarzu na wychodzącego z drugiej łazienki Matta, i zeszliśmy na dół, gdzie czekał na nas oparty o wyspę kuchenną Ben. Bez słowa go wyminęłam i chwyciłam w dłoń niedokończoną butelkę z whiskey. Przyjaciele spojrzeli na mnie niepewnie, a ja, ignorując ich, upiłam dwa łyki alkoholu. Jednak to nadal było za mało, aby wymazać z głowy obraz Bena i Lorein. Westchnęłam cicho, zerkając na Matta, który również nie wyglądał na zachwyconego pobudką o pierwszej w nocy. Wyciągnęłam w jego stronę butelkę, którą chłopak odebrał i przyłożył do ust. Poziom adrenaliny zaczął opadać, przez co buzujące w naszej krwi procenty ponownie zaczęły dawać o sobie znać.

– Jedźmy do domu – mruknęłam, po czym pocałowałam chłopaka i ruszyliśmy w stronę wyjścia.

– Ben weźmie auto Matteo – zaproponował Logan, na co blondyn rzucił przyjacielowi kluczyki do samochodu.

Bez słowa wpakowałam się na tylne siedzenie auta Logana, a za sekundę dołączył do mnie Matt. Wtuliłam się w niego, czując, jak humor zaczyna mi się poprawiać – brak obecności Bena działał na mnie kojąco. Przez dłuższy czas jechaliśmy w ciszy, aż Logan, który co chwila na nas zerkał, postanowił włączyć radio. Przyjemna melodia rozbrzmiała po całym wnętrzu samochodu, wywołując na naszych twarzach uśmiechy.

Kiedy dotarliśmy pod rezydencję, powoli wysiadłam z auta, czując, jak świat znowu lekko się kołysze. Czy to niezdrowe, jeśli powiem, że lubiłam ten stan? Po chwili Matt stanął obok i złapał mnie za rękę. Logan tylko spojrział na nas wykończony; najwyraźniej nasz koncert podczas jazdy nie bardzo przypadł mu do gustu. Kiedy Ben dotarł chwilę po nas, ruszyliśmy w kierunku drzwi. Zaraz po przekroczeniu progu w holu pojawiła się reszta naszych przyjaciół.

– Zabiję was – zaczął poważnym tonem Zack.

Spojrzałam kątem oka na blondyna i w tym samym momencie wybuchliśmy głośnym śmiechem. Zdezorientowany Zack zerknął na Logana, który tylko pokręcił głową i głośno westchnął.

– Są pijani – mruknął bez entuzjazmu. – Nie dogadasz się.

Rzadko kiedy można było spotkać Logana w takim stanie, dlatego odwróciłam się w jego stronę, uśmiechając się głupio.

– Martwiliśmy się – odezwała się Vivien, zakładając ręce na piersiach. – Co wam przyszło do głowy? Nagle zniknęliście, nikt nie wiedział, gdzie jesteście, a zbliżała się noc. Dodatkowo ta sytuacja, zagrożony Matteo... Czy wy czasami naprawdę możecie myśleć?

Spojrzałam spokojnie na dziewczynę, podnosząc lewą dłoń. Vee zmarszczyła lekko brwi, patrząc na mnie skołowana. Reszta osób w pomieszczeniu również nie bardzo wiedziała, co się dzieje.

– Wiemy, że znowu się zaręczyciście... – odezwała się po chwili wahania.

Kątem oka dostrzegłam Matta, który powtórzył mój ruch – również uniósł swoją lewą dłoń, ukazując to, co znajdowało się na serdecznym palcu.

W pomieszczeniu cały czas panowała cisza, którą przerwała dopiero Aylyn. Podeszła do nas powolnym krokiem i biorąc głęboki wdech, przeniosła spojrzenie z naszych rąk na nasze twarze. Przez moment badała ich wyraz, aby w końcu wypalić:

– Pojebało was?

Oboje tylko uśmiechnęliśmy się pod nosem.

– Wybaczcie, ale musimy iść, w czymś nam wcześniej przeszkodzono... – Matt najpierw zerknął oskarżycielko na Logana i Bena, a po chwili złapał mnie za rękę i pociągnął w stronę schodów.

Zanosłam się śmiechem, zostawiając zdezorientowane towarzystwo na dole i wbiegając po kolejnych stopniach za chłopakiem. Wszystkie pary oczy wbiły się w Aylyn, która odprowadzała nas wzrokiem.

– Ktoś wie, co tu się właśnie stało? – mruknął Alec, wyraźnie zdezorientowany.

– Hajtnęli się – odpowiedziała słabym głosem Aylyn, kręcąc głową z niedowierzaniem. – Ta dwójka kretynów wzięła ślub.

– Pobrali się i przez to najebali? – zapytał powoli Zack, zerkając niepewnie na dziewczynę.

– Albo najebali i później pobrali. – Vivien, dorzuciwszy to, westchnęła pod nosem. – Z nimi wszystko jest możliwe.

– Jeszcze raz – usłyszałam głos Ethana, przez co głośno wypuściłam powietrze.

Siedziałam na kanapie owinięta kocem, trzymając w dłoni kubek z ziołową herbatą, zaparzoną przez Carmen. Czułam, jak wybucha mi głowa; wczorajszy wieczór był niesamowity, czego skutki teraz ponosiłam. Co chwilę coś przewracało mi się w żołądku, powodując nudności, a chłód, który ogarniał moje ciało, sprawiał, że prawie zamarzałam. Naprawdę czułam się, jakbym miała zaraz umrzeć.

Rozejrzałam się po pomieszczeniu, nie wierząc, że oni naprawdę nic nie zrozumieli. Wpatrywali się w nas z takim szokiem, że zaczęłam myśleć, że nie nadaję się w tym stanie do opowiadania historii. Wzięłam jednak głęboki wdech i spokojnie spojrzałam na osoby znajdujące się w pokoju.

– Dobrze, jeszcze raz – zaczęłam, starając się skupić. – Na liście był tylko Matteo. – Zlustrowałam wszystkich, upewniając się, że nadążają. – Federico dostał listę i przekazał nam tę informację. Powiedział też, że znalazł w zasadach polowania lukę, którą możemy wykorzystać.

– Jesteś mężatką, Chloe – syknął Ethan, zerkając nieprzyjaznym wzrokiem na Matta, po czym wzięła urywany wdech, starając się opanować. – Jak do tego doszło?

– Nie przerywaj jej, to się dowiesz, szwagrze – odezwał się zirytowany Matt, nawet nie spoglądając na mojego brata.

– Zgodnie z jedną z zasad, powinno się wyeliminować wszystkich, którzy są bliscy alfie i znajdują się na liście. Z jednym wyjątkiem: nie zabija się tylko małżonka, jeśli takowy istnieje. Wiecie, przedłużenie rodu i inne takie – wyjaśniłam, obserwując ich reakcje.

Przyjaciele milczeli i patrzyli na nas jak na wariatów. Naprawdę nie wiedziałam, dlaczego tak bardzo się tym przejmują. Byłam przekonana, że postąpiliśmy właściwie. Zaręczyliśmy się przecież z własnej woli, kiedy chcieliśmy odbudować nasze zaufanie, a od tamtego momentu aż do dzisiaj wydarzyło się naprawdę wiele i mimo wszystko my znowu wylądowaliśmy razem. Ślub nie był przymusem czy ratunkiem, był po prostu przyspieszonym wydarzeniem, które pewnie wcześniej czy później miałyby miejsce.

– Czuje się teraz jak idiota... Nie patrzcie tak na nas – mruknął w końcu Matteo.

– Czyli moja jedyna córka... – odezwał się poważnym głosem mój ojciec – ...wyszła spontanicznie za mężczyznę, aby go nie zabili?

Spojrzałam niepewnie na Williama, obok którego stała dziwnie radosna Carmen. Nie ufałam jej teraz bardziej niż kiedykolwiek, bo wyglądało na to, że cieszyła się z mojego szczęścia. Ona się cieszyła! Tak bardzo nie pasowało mi to w tej sytuacji.

– Panie Rivera – zaczął Matteo, westchnąwszy.

– William – poprawił go ojciec, przez co zrobiłam się czujna.

O co, cholera jasna, im chodzi?

– William...? – powtórzył lekko pytającym głosem Matt, niepewnie zerkając na mnie kątem oka. – William, to stałoby się prędzej czy duuuużo później – oznajmił szczerze brzmiącym głosem.

– Nie kazałem jej. Nie namawiałem jej na to. Powiedziałem tylko dwa słowa, które powinna usłyszeć ode mnie już dawno. – Blondyn złapał mnie za rękę. – Będzie dla mnie wszystkim zarówno z pana błogosławieństwem, jak i bez niego.

Uśmiechnęłam się pod nosem na myśl, że Matteo Cortez właśnie postanowił skonfrontować się z moim ojcem. Ciekawiej już chyba być nie mogło. Mój ojciec był naprawdę ciężkim człowiekiem, o czym blondyn wiedział doskonale, a ta sytuacja tylko pokazywała, że mimo to się go nie bał.

William zmrużył lekko oczy, wpatrując się w nieodgadniony sposób w chłopaka.

– Will, Matteo to bardzo uroczy chłopak, a twoja córka jest dorosła.

Nie wiedziałam, kto był bardziej zaskoczony wypowiedzią Carmen: ja czy mój ojciec. Spojrzałam na kobietę, która położyła dłoń na ramieniu mężczyzny, starając się go uspokoić. Coś było nie tak, musiało.

– Masz gorączkę? – zapytałam, zaczynając martwić się o macochę.

– Zasnęłam na słońcu – odpowiedziała z lekką ironią, uśmiechając się delikatnie.

Czy ona właśnie próbowała zażartować?

– To co teraz? – Głos Logana przerwał rodzinną rozmowę.

I zanim ktokolwiek zdążył mu odpowiedzieć, do pomieszczenia ciężkim krokiem weszła kolejna osoba.

– Teraz podróż poślubna – oznajmił męski głos, a ja na ten słowa odwróciłam się w stronę wejścia, w którym stał Louis. – Lecimy we trójkę do Ameryki Południowej. Masz wszystko, czego chciałaś. Nadszedł czas, abyś oddała mi to, co należy do mnie.

Siedząc na niewygodnym fotelu, poprawiłam pozycję i ciężko westchnęłam. Spojrzałam przez okno samolotu, za którym panowała ciemność. Zostały nam trzy godziny do lądowania. Do tej pory nie wiedziałam, co tak naprawdę miałam zrobić. Wszystko wydawało mi się proste: ktoś umiera, ktoś zajmuje jego miejsce, ktoś oddaje władzę – choć to zdarzało się chyba naprawdę rzadko – a ktoś ją przejmuje. Nie rozumiałam, dlaczego musiałam ponownie znaleźć się w Ameryce Południowej, i to w dodatku z Matteo. Nie martwiłam się o niego, kiedy był blisko, jednak sama myśl, że trafi ze mną na moment do tego piekła, mroziła mi krew w żyłach. Był silny, bardzo, w to nie wątpiłam. Nie byłam jednak do końca pewna, do czego mogą posunąć się ludzie, których tam spotkamy.

– Do kogo my właściwie lecimy? – zapytałam Louisa, orientując się, że do tej pory nie zadałam tego pytania i pozwoliłam wywieźć się w ciemno.

Blondyn spojrzał na mnie kątem oka, a jego mina wyglądała tak, jakbym właśnie zapytała go o pogodę. Faktycznie, byliśmy w samolocie pełnym ludzi.

– Z przywódczą rodziną trzymają dwie inne: Rodriguez i Dominguez – odpowiedział spokojnie. – Cała struktura zrodziła się w Argentynie. Głowy rodzin czekają na nas w Rosario. Powiesz i podpiszesz, co trzeba, i będziesz mogła lecieć w podróż poślubną.

Intuicyjnie wyczułam w wypowiedzi chłopaka ironię, na którą jednak nie zareagowałam. Nie potrzebowałam teraz sprzeczek z jedyną osobą, która chciała zabrać ode mnie to całe gówno, zapewniając mi tym samym święty spokój.

Zerknęłam na Matteo, który spał. Ostatnie dni dały nam wszystkim w kość, a jemu w szczególności. Zmęczenie, które doskwierało mu od dłuższego czasu, widoczne było na jego twarzy gołym okiem. Byłam odpowiedzialna za jego stan, bo sama do niego doprowadziłam: zniknęłam na kilka tygodni, oddałam mu pierścionek, a moje czyny sprawiły, że był w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Cieszyłam się, że chłopak chociaż teraz mógł odpocząć. Powinien to robić. Jak najczęściej.

Kiedy z powrotem znaleźliśmy się na lądzie, odetchnęłam z ulgą. Świeże powietrze było czymś, za czym tęskniłam podczas wielogodzinnego lotu. A może chodziło o przestrzeń, której tam nie miałam, a której tak bardzo potrzebowałam?

Bez słowa ruszyliśmy za Louisem, który skierował się w stronę wyjścia z lotniska. Gdy zaczęłam odczuwać dziwny niepokój, zrozumiałam, co ja najlepszego wyprawiałam. Ci ludzie mogli przecież mnie zabić. Nie byłam z przywódczej rodziny i sam fakt, że ktokolwiek wpadł na pomysł przekazania mi dowództwa, był podstawą do odstrzału. *Strasznie namieszalaś, więc czego teraz oczekujesz, Chloe? Ciepłych uśmiechów i życzenia szczęścia na odchodnym? Ogarnij się!*

skarciłam sobie w myślach, starając się pozbierać. Jeśli mieliśmy być bezpieczni, musiałam być alfą, której oczekiwali. Tylko w taki sposób moje zdanie miałoby jakąkolwiek wartość.

Gdy w końcu dostrzegłam ludzi, do których prowadził nas blondyn, przybrałam obojętną maskę, starając się wewnętrznie uspokoić. *To tylko kwestia kilku godzin*, powiedziałam sobie duchu, po czym dumnym krokiem podeszłam do dwóch mężczyzn, stojących przy czarnym aucie. Byłam na nich zbyt skupiona, aby zrozumieć, co przed chwilą wesoło zawołał Louis. Kiedy chłopak wdał się w rozmowę ze znajomymi, uważnie przyjrzałam się jednemu z nich. Byłam prawie pewna, że już gdzieś go kiedyś widziałam, jednak mój mózg całkiem odmówił mi współpracy w celu zidentyfikowania mężczyzny.

– Jak chcecie plotkować, umówcie się na drinka – rzuciłam zniecierpliwiona, wpatrując się czujnym wzrokiem przed siebie.

Głosy ustały, a chwilę później w moją stronę odwrócił się Louis.

– Przeżyłem – zauważył. – Wszyscy, w tym Enrico, cieszą się, że mnie widzą.

– Ja będę się cieszyła, kiedy się pożegnamy – odpowiedziałam, uśmiechając się sztucznie.

Louis westchnął, kręcąc lekko głową. Nie wiedziałam, czy zareagował tak na moje słowa, czy na fakt, że były one prawdą, ale wiedziałam, że nic nie sprawi mi takiej radości, jak zapewnienie, że już nigdy się nie zobaczymy.

– *Que perra descarada*² – usłyszałam cichy pomruk.

Omiotłam spojrzeniem obu mężczyzn, którzy uśmiechali się do siebie porozumiewawczo. Zaciśnęłam zęby, starając się zachować zimną krew. Spokojnym krokiem podeszłam do wyższego z nich, z którego ust padło obraźliwe stwierdzenie. Stałam przed nim i delikatnie wygładziłam pomarszczony materiał jego koszulki, wysuwając powoli nóż zza jego paska. Byli przygotowani na wszystko, a ja mogłam z tego skorzystać. Podniosłam wzrok, patrząc mężczyźnie w twarz.

– ¿*Quién?* – zapytałam beznamiętnie, przekrzywiając delikatnie głowę i lekko dociskając ostrze do klatki piersiowej ciemnowłosego. – *Repite esto por favor.* – Dostrzegłam, jak mięśnie na twarzy mężczyzny się napinają, a on sam wpatruje się we mnie niezadowolonym spojrzeniem. Nie spodziewał się, że zrozumie jego słowa. – *Dilo de nuevo y serán tus últimas palabras.*³

Odsunęłam się od bruneta i wskazałam głową na samochód. Mężczyzna bez słowa otworzył drzwi, za co podziękowałam sztucznym uśmiechem i zajęłam miejsce na tylnym siedzeniu. Po chwili dostrzegłam obok siebie Matteo, a z drugiej strony Louisa. Zmierzyłam wzrokiem tego drugiego, po czym westchnęłam. Teraz dopiero widziałam, że było coś w tym, co ludzie mówili o karaluchach – że przeżyją koniec świata i jeden dzień dłużej. I Louis był tego idealnym przykładem.

Kiedy pojazd się zatrzymał, wszyscy stanęliśmy przed średniej wielkości budynkiem. Kątem oka spojrzałam na młodego Lewisa, który lekko się spiął, a skoro on zaczął się stresować, ja również miałam powody do niepokoju. Mimo to wiedziałam, że nie mogłam zgrywać słabej, bo pokazanie im, że mają nade mną władzę, byłoby krótką drogą do grobu; w końcu nikt nie dyskutowałby z przerażoną dziewczyną, pozbyliby się problemu po swoim. W milczeniu ruszyłam przed siebie, zdecydowanym krokiem pokonując schody.

– Przysięgam, że jeśli wejdę i zobaczę wycelowaną we mnie broń, rozpętam piekło! – krzyknęłam, przypominając sobie sytuację sprzed kilku tygodni, gdzie po przylocie do Buenos Aires zostałam zaskoczona przez komitet powitalny z pistoletami w dłoniach zamiast kwiatów.

– ¡*Bajar las armas!*⁴ – usłyszałam za sobą potężny baryton.

Uśmiechnęłam się pod nosem, rozpoznając głos, którego właściciel godzinę temu nazwał mnie bezwstydną suką. Bez zastanowienia otworzyłam wielkie drzwi i przekroczyłam próg budynku.

Rozejrzałam się dookoła, dostrzegając czterech mężczyzn ze spoczywającymi bezwładnie wzdłuż ciała rękoma, w których trzymali broń. Spojrzałam w prawo na zdeorientowanego Matteo. Uśmiechnęłam się do niego pokrzepiająco, starając się mu pokazać, że nie jest sam, jednak kiedy usłyszałam czyjeś kroki, na mojej twarzy natychmiast pojawiła się maska. Z góry schodziło właśnie dwóch starszych mężczyzn. Zerknęłam na Louisa, który kiwnął delikatnie głową. A więc miałam przed sobą głowy przywódczych rodzin.

– Słynna Chloe Rivera – usłyszałam słowa padające z ust siwego, zbliżającego się do mnie człowieka, dlatego skupiałam na nim wzrok.

– Panów niestety jeszcze nikt mi nie przedstawił. – Spojrzałam na Louisa, którego twarz wyrażała oburzenie. Przynajmniej teraz mogłam jeszcze się nad nim poznęcać, jeszcze przez te kilka minut.

– Pablo Dominguez, Antonio Rodriguez – odezwał się w końcu blondyn, wskazując na mężczyzn.

Uśmiechnęłam się delikatnie, witając się tym samym ze starcami. Kiedy ich spojrzenia padły na osobę stojącą obok mnie, odczekałam chwilę, a potem oznajmiłam:

– Drodzy panowie, Matteo Cortez.

Rozdział 22

CHLOE

Wygodnie rozsiadłam się w fotelu, szybko omiatając wzrokiem gabinet, w którym się znaleźliśmy. Nikt z nas się nie odzywał, każdy po kolei tylko zajmował swoje miejsce. Dwóch blondynów ponownie usiadło po moich bokach, a po drugiej stronie stolika kawowego, na skórzanej sofie znajdowali się nowo poznani mężczyźni. W pokoju pojawiło się również czterech uzbrojonych ludzi, co zaczęło mnie bawić. Aż tak się nas obawiali?

– Dużo zaryzykowałeś, przywożąc go tu ze sobą – usłyszałam po raz pierwszy głos Pabla Domingueza; mężczyzna z ciekawością mierzył wzrokiem Matteo.

– Możliwe – odpowiedziałam spokojnym tonem, otwierając torebkę, aby wyjąć z niej wszystkie dokumenty.

W tym samym momencie Enrico zrobił coś naprawdę głupiego: sięgnął do kabury i sekundę później wystawił przed siebie broń. W końcu zrozumiałam, skąd kojarzyłam mężczyznę – widziałam go raz w rezydencji w Buenos Aires, kiedy przyjechał z kilkoma innymi osobami do Scotta.

Zacisnęłam zęby, zbierając w sobie wszystkie pokłady odwagi.

– Jeśli bardzo chcesz zginąć, po prostu poproś, a ta bezwstydną suką chętnie wyświadczy ci przysługę – zwróciłam się do mężczyzny, który po raz kolejny stanął przeciwko mnie. I kiedy tak mordowałam go chłodnym wzrokiem, on z lekkim wahaniem opuścił broń.

Opanowana, przeniosłam spojrzenie na seniorów, uśmiechając się i kładąc na stolik plik kartek. Spojrzeli zaskoczeni najpierw na siebie, później na dokumenty, a na końcu na mnie. Wskazałam dłonią papiery, nakłaniając tym samym starszych mężczyzn do zapoznania się z ich treścią. Chwilę zajęło im przebrnięcie przez tekst i zrozumienie, co tak naprawdę czytali. Miałam wrażenie, że to najdłuższe minuty w całym moim życiu. Doskonale słyszałam tykanie zegara, które brzmiało jak w zwolnionym tempie.

– Listy nie ma – powiedziała dobitnie, kiedy seniorzy ponownie wbili we mnie swoje baczne spojrzenia.

W pomieszczeniu po raz kolejny zapanowała cisza.

– To w ogóle dopuszczalne? – Siwy człowiek zerknął na przyjaciela, marszcząc brwi.

– Kto to wie – odpowiedział Pablo, przenosząc na mnie podejrzliwy wzrok. – Scott zrobił wszystko, aby ją chronić.

– Chronić? – palnęłam z nutką hysterii w głosie. – Scott Lewis zniszczył mi życie. Groził mi i moim bliskim. Próbował mnie zabić. Dwukrotnie. A na koniec wydał wyrok na osobę, którą kocham. – Zamilkłam, przewiercając seniorów oczami na wskroś. – Niech ktoś jeszcze raz nazwie to ochroną, a wybuchnę.

– Chciał cię zniszczyć, dlatego mianował cię beta? – prychnął Dominguez, rozsiadając się wygodniej na kanapie.

– Nie powiedziałam, że był rozsądny – stwierdziłam poważnym tonem głosu, przypominając sobie szaleństwo Scotta. – Ale ja jestem. I zamierzam nakierować sprawę na właściwe tory.

Mężczyźni spojrzeli po sobie, po czym zgodnie pokiwali głowami.

– Potrzebujemy chwili, by to przedyskutować – stwierdził Antonio, na co przytaknęłam i zgarniając ze sobą Matteo, wyszłam z pomieszczenia.

Musieliśmy czekać.

Wzięłam głęboki wdech, zaciągając się świeżym powietrzem, po czym zerknęłam na zegarek. Mijała trzecia godzina, od kiedy zakończyliśmy rozmowę z seniorami. Nie miałam pojęcia, jak długo mieliśmy oczekiwać na decyzję. Spojrzałam w prawo, dostrzegając kątem oka nadchodzących blondynów, którzy nie odzywali się do siebie słowem. Wymusiłam na twarzy uśmiech i wstałam z krzesła, po czym skierowałam się w ich stronę.

– Wiesz coś? – zapytałam Louisa, nie mogąc wytrzymać tej niepewności.

– Wiem tylko, że ten tu – wskazał na Matta – jest przewrażliwiony.

Spojrzałam na Matteo, marszcząc brwi, lecz chłopak odwrócił ode mnie wzrok. Potem zerknęłam na Louisa, który tylko wzruszył ramionami i ruszył przed siebie w głąb ogrodu.

– Co się dzieje? – odparłam, wpatrując się wyczekująco w blondyna, który zacisnął mocniej zęby. Odetchnęłam głęboko i rozejrzałam się lekko dookoła. – Matteo, to nie czas ani miejsce na ciche dni. Powiedz, o co chodzi, albo zachowuj się jak kochający mąż, aby nam uwierzyli i dali spokój.

Kiedy jednak Matt dalej nie reagował, odeszłam kilka kroków i ponownie usiadłam na krześle, skupiając swoją uwagę na naprawdę wyjątkowo zadbanym i wypielęgnowanym ogrodzie. Byłam też bardzo ciekawa, do kogo należała ta rezydencja – była tak przemyślana i zaprojektowana, jakby ktoś wzorował ją na kształt labiryntu.

– Widziałem twoją reakcję. – Cortez przerwał moje przemyślenia. – Widziałem, jak się tu zachowujesz. Jaka jesteś w tym otoczeniu. I wiesz, co sobie uświadomiłem? Że ty już taka byłaś. Kiedy przyleciałaś do Nowego Jorku, zachowywałaś się bardzo podobnie.

Zmarszczyłam brwi, nic nie rozumiejąc. Co miała moja przeprowadzka do Nowego Jorku z moim zachowaniem w tym miejscu?

– Do czego zmierzasz? – zadałam z wahaniem pytanie.

– A jeśli to jesteś prawdziwa ty, Chloe? Jeśli przez ten cały czas po prostu przyzwyczyłaś się do bycia... taką Chloe, jakiej oczekiwaliśmy?

Teraz naprawdę zgłupiałam. Chciałam mu przerwać, jednak mnie uprzedził:

– Zachowujesz się tu tak kurewsko naturalnie. Zawsze miałaś dryg do rządzenia, a ludzie się ciebie bali. Idealnie tu pasujesz.

Poczułam, jakby ktoś wymierzył mi policzek. Nie miałam pojęcia, że słowa potrafią aż tak zaboleć. I nie wiedziałam, skąd u Matteo pojawiły się nagle takie myśli. To, co powiedział, ani trochę nie pasowało mi do jego osoby. Mógł czuć się tu zagubiony, przerażony czy zdezorientowany, jednak w żaden sposób nie usprawiedliwiałoby to tego, jak teraz na mnie patrzył, co teraz o mnie mówił.

– Co powiedziałaś? – rzuciłam, wstając i podchodząc do chłopaka. – Ja tu pasuję? Pasuję do morderców, do świata przestępczego, do ludzi bez sumienia?

– Nie to miałem... – zaczął, jednak zaciął się na moment. – Przetrwiałaś wszystko, co działo się w Buenos Aires, i nie zawahałaś się wrócić do ludzi, którzy w pewnym sensie byli za to odpowiedzialni. Tyle przeszłaś, zarówno fizycznie, jak i psychicznie. I zastanawia mnie po prostu...

– Próbujesz wmówić mi syndrom sztokholmski? – Zaśmiałam się, z niedowierzaniem kręcąc głową. – Czy ty już całkiem zwariowałaś? Przyleciałam tu, aby uwolnić się od tych ludzi raz na zawsze, a nie żeby siedzieć z nimi przy ognisku i popijać drinki z parasolkami.

– Nie o to chodzi – mruknął w odpowiedzi, unikając mojego wzroku. – Która Chloe jest prawdziwa? Ta spokojna i niepewna, z którą ożeniłem się w Newcastle, czy ta groźna i pewna siebie, która rządziła uczelnią w Nowym Jorku, a teraz przyleciała do Rosario i zachowuje się tak, jakby była w domu?

Nie odpowiedziałam. Bawił mnie fakt, że chłopak rozróżniał jakieś dwie wersje mnie, tak jakby ta sama osoba z mocnym charakterem nie mogła się bać podczas zagrożenia.

– Potrzebuję chwili dla siebie – odezwałam się w końcu pustym głosem, walcząc sama ze sobą.

– Mam cię tu zostawić? Samą? – Chłopak nie wierzył w to, co usłyszał.

Spojrzałam gdzieś w bok, zastanawiając się, czy tego właśnie chciałam. Potrzebowałam jego towarzystwa, aby odnajdywać w sobie siłę, której szczególnie tutaj pragnęłam. W tym momencie czułam jednak tylko osłabienie z powodu jego słów. Musieliśmy porozmawiać, jednak zanim miało do tego dojść, trzeba było rozwiązać dużo poważniejszy problem. Między nami działo się naprawdę coś niedobrego i nie potrafiłam znaleźć przyczyny.

– Nie jestem sama – odpowiedziałam z opóźnieniem, wbijając wzrok w jego twarz. – Oprócz syndromu sztokholmskiego mam przecież jeszcze rozdwojenie jaźni. Spokojna i niepewna siebie Chloe dotrzyma mi towarzystwa.

Pogrążona w ciszy przemierzałam korytarze rezydencji, dokładnie przyglądając się architekturze. Musiał być to naprawdę stary budynek, albo tylko na taki był stylizowany, ponieważ dostrzegałam szczegóły, które były charakterystyczne dla budowli sprzed kilkuset lat. Zatrzymałam swój wzrok na wiszącym pośrodku ściany obrazie, który przedstawiał wschód słońca; nawet ozdoby utrzymane były w mało nowoczesnym stylu. Coraz częściej zadawałam sobie pytanie: „Od jak dawna istnieją te wszystkie rodziny i od kiedy trwa wielkie przywództwo Lewisów?”. Zapowiadało się, że był to już długi kawał czasu.

Kontynuując swój spacer, skręciłam w lewo i nagle usłyszałam śmiech. I to nie było jakiś śmiech, lecz krótki chichot dziecka. Zatrzymałam się, chcąc się upewnić, że się nie przesłyszałam, kiedy jednak po raz kolejny do moich uszu dobiegł ten dźwięk, byłam pewna, że to nie omamy słuchowe. Spojrzałam w stronę drzwi, zza których dochodziły odgłosy, i skierowałam się w ich stronę. Niewiele brakowało, abym nacisnęła klamkę, ale zniemacka usłyszałam czyjś głos:

– Chloe!

Spojrzałam w stronę Louisa, który wyłonił się zza zakrętu.

– Wszędzie cię szukam. Chodź, przygotowali kolację z okazji twojego przybycia.

Zaskoczona podeszłam do chłopaka i ruszyłam za nim w stronę wyjścia.

– Z okazji mojego przybycia? Ja już chcę stąd wyjechać... Jak długo to jeszcze potrwa?

Blondyn zaśmiał się pod nosem, kręcąc z rozbawieniem głową.

– Kto to wie. Zachowuj się, jak należy, a może szybciej podejmą decyzję – odpowiedział spokojnie, wychodząc z budynku.

Lekko zdezorientowana podążyłam za nim i już po chwili dostrzegłam wielką altanę w ogrodzie.

– Louis? – zaczęłam i zanim dołączyliśmy do towarzystwa, zaryzykowałam pytanie: – W rezydencji są jakieś dzieci?

Chłopak odwrócił się z dziwną miną na twarzy, która wskazywała, że wpadłam na naprawdę głupi pomysł.

– Dzieci? – parsknął i zdecydowanym ruchem pokręcił głową. – To miejsce, gdzie załatwiane są największe przekręty na tym kontynencie, a nie przedszkole – odpowiedział, po czym skierował się w stronę Pabla, który wyszedł nam na powitanie.

Musiałam być naprawdę przemęczona i zestresowana, skoro w miejscu pełnym przestępców usłyszałam śmiech dziecka. Albo raczej to głowa po raz kolejny płała mi figle. Wiecie, raz przeraźliwy ból, raz omdlenie, a raz halucynacje. Naprawdę byłam gotowa przyznać, że nie było ze mną dobrze i zaczynałam wariować.

Uśmiechnęłam się grzecznie do starszego mężczyzny i zajęłam miejsce przy stole. Spięłam się lekko, widząc nadchodzącego Matteo, na którym uwieszony był Antonio.

– Wyobrażacie sobie, że ten uroczy młodzieniec nie chciał do nas dołączyć? – powiedział z niedowierzaniem w głosie, niemal siłą sadzając blondyna obok mnie.

– Bardzo lubię historie miłosne – odezwał się nagle Pablo, odkładając dzbanek z sokiem na jego miejsce. – Jak to było z wami? Niecodziennie można spotkać tak młode osoby w związku małżeńskim.

Powoli przeniosłam wzrok na Matteo, który uczynił to samo. Nie rozumieliśmy oboje, co to wszystko miało znaczyć, jednak w obecnym momencie pozostawienie mężczyzny bez odpowiedzi nie byłoby dobrym posunięciem.

– Historia jak każda inna – wyprzedził mnie blondyn, na co zacisnęłam lekko zęby.

Irytacja brała nade mną górę.

– Nie w każdej historii chłopak rzuca się na kilka dziewczyn w ciągu jednego dnia – zażartowałam, splatając nasze palce razem.

– Żadna z nich nie protestowała, same przychodziły. – Matteo ścisnął moją rękę, prawie łamiąc mi kości.

– To się nazywa syndrom sztokholmski – odparłam tajemniczym tonem, wypominając chłopakowi ostatni zarzut, po czym wbiłam paznokcie w jego dłoń.

– Do tej pory nie wiedziałem, że gramy w szachy, a ty chyba traktujesz ludzi jak pionki. Co u Dominica?

I w tym momencie poczułam, że rozmowa zmierza w złym kierunku.

Starsi mężczyźni wydawali się nas nie rozumieć, jednak wyraźnie wciągnęli się w naszą wymianę zdań, za to Louis wyglądał, jakby miał zaraz spaść z krzesła i rzucić się w sam środek ogniska palącego się kilka metrów dalej.

– Dobrze – odparłam krótko, tym samym ucinając temat kolegi. Nie mogłam się powstrzymać przed ripostą: – A co tam u Victorii? A nie, czekaj. Ona nie żyje. – Powiedziawszy to, dosłownie poczułam, jak ciało blondyna spina się na moje słowa. Uśmiechnęłam się sztucznie do mężczyzn, tym samym kończąc nasze przekomarzenie się.

Pomyliłam się wcześniej: Matteo i ja najpierw powinniśmy ze sobą porozmawiać, a dopiero później rozwiązywać problemy i próbować przekonać świat, że się kochamy.

– Widzicie? Miłość bije od nich ze wszystkich stron! – zawołał Louis, mordując mnie wzrokiem. I chyba naprawdę bardzo powstrzymywał się przed rzuceniem czymś we mnie, ponieważ jego dłonie były zacisnięte na krawędziach stołu.

– Zazdrość jest najlepszym dowodem, że komuś zależy. – Antonio jednak nie odpuszczał tematu. – Planujecie rodzinę?

Nie miał prawa zadawać tego pytania. Zamrugałam kilka razy, mając przed oczami Londyn. Czułam, że w tym momencie to ja zamarłam, że jeszcze kilka sekund i naprawdę się rozpadnę. Był to jeden z nielicznych tematów, który mnie po prostu przerastał. Nie wiedziałam, czy to trauma, czy jakiegoś rodzaju wyparcie, jednak doszczętnie paraliżowało to moje ciało.

– Straciliśmy dziecko w wypadku spowodowanym przez Scotta. – Dźwięk mojego głosu bardzo mnie zadziwił. Nie dlatego, że był tak opanowany i wyprany z emocji, ale głównie dlatego, że

w ogóle odpowiedziałam na to cholerne pytanie.

– Chloe była w szóstym miesiącu – dopowiedział blondyn, wyjaśniając moją wypowiedź. – Był to wielki cios dla naszej dwójki.

Poczułam, jak w moich oczach wzbierają łzy. Nie chciałam płakać, nie przy nich. Nie mogłam okazać słabości. Jednak z drugiej strony... może z czystej litości odwołałoby niestabilną alfę? Nie potrzebowali drugiego Scotta.

– Metody Scotta były... – zaczął Antonio, szukając odpowiedniego słowa.

– Okrutne – dopowiedziałam z kamiennym wyrazem twarzy. – Był potworem.

Rozdział 23

MATTEO

Nie tak miało to wyglądać. Chciała spokoju, więc miałem zamiar jej go dać. Kiedy wychodziłem z budynku, w okolicy nikogo nie było – ani jednego żywego ducha, który mógłby mnie zatrzymać. I nagle nie wiadomo skąd wyrósł przede mną Antonio i siłą zawił mnie na wspólną kolację.

Czy naprawdę chciałem zostawiać ją samą? Za nic w świecie. Nie wiedziałem jednak, jak rozmawiać z nią w tym miejscu. To, jak się zachowywała, było tak bardzo dalekie od osoby, którą pokochałem. Nie potrafiłem się w tym odnaleźć, przez co do głowy przychodziły mi same głupoty. Na domiar złego kilka z nich powiedziałem na głos.

Spojrzałem niepewnie na szatynkę, która całkowicie wyłączona ze świata spacerowała między wysokimi krzewami kwiatowymi. Po prostu szła, wpatrując się w rośliny. Westchnąłem cicho i rozsiadłem się wygodniej na ławie w altanie, a w oddali dostrzegłem zbliżającego się do mnie blondyna.

– Jak chcecie rozwodu, załatwimy to później. Najpierw chcę swoje przywództwo. – Louis dosiadł się do mnie.

– Jesteś egoistą – podsumowałem, nie spuszczając wzroku z dziewczyny.

– A ty jesteś idiotą – odpowiedział spokojnie, zarzucając stopę na kolano. – Mieć taką dziewczynę i się od niej odsuwać. To powinno być karalne.

Zmarszczyłem brwi, nie rozumiejąc, do czego chłopak nawiązuje. Zmierzyłem spojrzeniem jego twarz, na której widniał ten charakterystyczny uśmiech. Poczułem, jak krew zaczyna gotować mi się w żyłach.

– Jeśli dowiem się, że kiedykolwiek pozwoliłeś sobie na... – nie zdążyłem dokończyć, bo Louis mi przerwał.

– Nie byłem w stosunku do niej aniołem. Wydarzyło się wiele rzeczy, które miały wpływ na naszą znajomość, i po czasie nie ze wszystkich jestem dumny. Jednak uwierz, to nie ja zaplanowałem wielkie ognisko w Buenos Aires. – Zamilkł na moment, wbijając wzrok w Chloe. – Była w stanie zrobić wszystko, aby się stamtąd wyrwać, aby wrócić do dawnego życia... nawet uwieść mnie. A później po prostu stanęła przed Lewisem, wygarnęła mu, co myślała, i strzeliła. – Ponownie umilkł. – Wszyscy tu jesteśmy potworami, Matteo. Dlatego trzeba być wielkim idiotą, aby nie widzieć, że ona potrzebuje wsparcia. Bo my tu robimy złe rzeczy dla zabawy, a ona, aby przetrwać.

Przeniosłem spojrzenie na trawę, analizując słowa chłopaka. Nie rozumiałem, dlaczego mi o tym mówił, i to właśnie w tym momencie. Nie zauważyłem nawet, kiedy Louis zniknął, zostawiając mnie z moimi myślami samego.

Dlaczego tak bardzo przeszkadzało mi zachowanie Chloe? Nie miałem pojęcia. Może kierował mną strach. Może bałem się, że odnajdzie się tutaj lepiej niż gdziekolwiek indziej. Była alfą, miała wszystko. Jaką miałem pewność, że nagle nie postanowi zostać? Straciła wiele, ale przez to też wiele zyskała. Obawiałem się, że patrząc na mnie, będzie widziała to pierwsze: że to ja będę tą osobą, której widok będzie przywoływał jej niemiłe wspomnienia. Takie wytłumaczenie było

bardzo prawdopodobne, więc albo go do siebie nie dopuszczałem, albo najzwyczajniej w świecie nie chciałem przyznać się do swojej słabości.

Możliwe również, że czułem się niepotrzebny już od wylotu z Newcastle. Chloe miała moc i potęgę, które pokonałyby niejednego. Potrafiła o siebie zadbać nawet w najmniej sprzyjających warunkach, co pokazały tygodnie, które spędziła w Buenos Aires. Wyszła z tego wszystkiego żywa, a później wróciła do Argentyny i postawiła warunki ludziom, którzy nie słuchali nikogo. A co lepsze, została wysłuchana i zaczęła być traktowana jak ktoś ważny. Swoją postawą wzbudzała strach i szacunek, co udowodniła już w pierwszej chwili, niemal dziurawiąc nożem mężczyznę, który niepochlebnie się o niej wyraził. Miała tu wszystko, więc nie rozumiałem, po co w tym momencie byłem jej ja.

Wszystko, co wydarzyło się między nami, najpierw nas zbliżało, aby po chwili nas od siebie oddalić. Byliśmy jak dwa magnesy, raz o biegunach różnoimiennych, raz jednoimiennych: albo było między nami bardzo dobrze, albo tragicznie. Irytowało mnie, że po tym wszystkim jest, jak jest. Może Ailyn miała rację... Może zwariowaliśmy, pobierając się w pośpiechu. Fakt, że blondynka mogła być mądrzejsza od naszej dwójki, trochę mnie przerażał. Liczyłem, że po tej spontanicznej decyzji będzie między nami lepiej. Mieliśmy przestać się bać, przestać uciekać. Nie myślałem jednak, że po tym wszystkim Chloe zmieni się z ofiary w łowcę. Teraz to ona budziła strach, teraz to jej się bali i przed nią uciekali.

Wziąłem głęboki wdech. Byłem żaloszny. Jako mężczyzna powinienem jej bronić, sprawiać, aby czuła się bezpiecznie, tymczasem od kilku miesięcy to ona odgrywała tę rolę. Przejęła pałeczkę, nawet nie pytając mnie o zdanie. Zdecydowała za nas. Nie chciałem, aby tak było. Strasznie mnie to dołowało i frustrowało, stąd też wynikało moje zachowanie.

Bo jak ma czuć się facet, któremu odcięto jaja?

I w tym momencie uświadomiłem sobie, że nieświadomie cały czas miałem do niej o to żal. Zrobiła, co uważała za słuszne, jednak nie obgadała tego ze mną. Rzuciła studia, zostawiła przyjaciół i Nowy Jork, żebym mógł wyjść z aresztu, chociaż byłem niewinny. Zdecydowała bez skonsultowania tego ze mną, przez co teraz czułem się winny za wszystko, co ją spotkało.

Bo robiła to dla mnie.

Jednak czego mogłem spodziewać się po takiej dziewczynie. Silny charakter szedł w parze z uporem i czymś na wzór poświęcenia. Chciała dla nas zbawienia, sama kierując się w stronę piekła. I robiła to za każdym razem, kiedy nas ratowała. Schodziła schodek po schodku, wierząc, że działa na naszą korzyść. Za to też byłem na nią wściekły. Kiedy mówiła, że nie potrzebuje bohatera, nie myślałem, że sama postanowiła nim być.

Uświadomiłem sobie wiele rzeczy, które zdenerwowały mnie jeszcze bardziej. Nie chciałem zostać tu ani minuty dłużej. Zakładaliśmy, że po kilku godzinach decyzja zapadnie i będziemy mogli wrócić do Newcastle wolni i bez obaw, a tymczasem siedzieliśmy tu już kolejną godzinę, będąc gośćmi z przymusu.

Wstałem i ruszyłem w stronę Chloe, która wciąż wydawała się całkowicie wyłączona ze świata. Coś niebezpiecznego siedziało w jej umyśle. Zawsze tak wyglądała, kiedy jej umysł zajęty był opracowywaniem szczegółów jakiegoś rodzącego się w jej głowie pomysłu. To nie zwiastowało niczego dobrego.

– Jak się czujesz? – zapytałem, tym samym wrywając ją z transu.

Chloe przenosiła na mnie swój wzrok.

– Chcę, aby to wszystko się skończyło – mruknęła cicho, nachylając się w stronę niebieskiego kwiatu. Zaciągnęła się jego zapachem i przytknęła powieki, a na jej usta wpłynął ledwo

dostrzegalny uśmiech.

– Przepraszam – wydusiłem z siebie z trudem.

Szatynka w odpowiedzi pokiwała głową na znak, że rozumie.

– To boli, Matteo – odezwała się po chwili, ponownie przenosząc na mnie spojrzenie, w którym naprawdę ulokowany był ból. – Boli, bo znasz mnie lepiej niż ktokolwiek inny, a nie zauważyłeś, ile kosztuje mnie udawanie silnej.

Otworzyłem szczerzej oczy, kiedy dotarł do mnie sens jej słów. Louis miał rację: byłem idiotą. Jakim sposobem on dostrzegł coś, czego ja nie widziałem? Chloe udawała. Grała. Nie była potworem jak oni. Próbowwała dostosować się do otoczenia, aby przetrwać.

Nie zdążyłem odpowiedzieć, ponieważ poczułem silną dłoń na ramieniu. Obejrzałem się zdezorientowany i dostrzegłem niskiego mężczyznę. On naprawdę wydawał mi się przerażający, kiedy pojawiał się tak nagle, bez ostrzeżenia.

– Rodzinna narada? – szepnął rozbawiony, stając bliżej nas. – Chloe, chciałbym porwać twojego lubego na jakiś czas.

Zmarszczyłem brwi, patrząc na postać Antonia, który pomimo sytuacji wyglądał na zrelaksowanego.

– Porwać? – Wyniosły głos Chloe brzmiał inaczej niż ten, którego używała podczas rozmowy ze mną.

– Źle się wyraziłem... Pożyczyć? Zaprosić na wycieczkę? – poprawił się siwy mężczyzna. – Matteo zapewne umiera z nudów.

Spojrzałem na niego podejrzliwie, na co ten tylko się uśmiechnął. Gdy przeniosłem wzrok na Chloe, dostrzegłem w jej oczach niepokój. Dziewczyna zacisnęła zęby, a jej krtań zadrgała. Z pewnością rozmyślała nad odpowiedzią, jakbyśmy mieli możliwość zadecydowania. Antonio prosił, jednak zanim do nas podszedł, miał już zgodę.

– Jeśli spadnie mu choćby jeden włos z głowy... – zagroziła, przesywając spojrzeniem głowę rodziny Rodriguez.

– Skąd ta wrogość? – zapytał zaskoczony mężczyzna.

– Przejorny zawsze ubezpieczony. – Szatynka delikatnie się uśmiechnęła. – Żeby nie było, że nie ostrzegałam.

W ciszy przemierzaliśmy kolejne ulice, jadąc w nieznanym mi kierunku. Kątem oka spojrzałem na siedzącego obok mnie mężczyznę, który wpatrywał się w widoki za oknem. Nie miałem pojęcia, dlaczego postanowił zabrać mnie gdzieś ze sobą.

– Klóćcie się? – usłyszałem nagle padające z jego ust słowa, których sens nieco mnie zaskoczył.

– Słucham?

– Pamiętam, jak to jest być młodym. Człowiek potrzebuje wolności i szaleństw, a nie zamknięcia w klatce – powiedział dziwnie spokojnym tonem.

– Mamy dosyć szaleństw na jakiś czas – mruknąłem, przypominając sobie, co się działo przez ostatnie dwa lata.

– No tak, Scott – westchnął staruszek, jednak nic więcej nie powiedział.

Auto zatrzymało się, kiedy dotarliśmy pod wielką bramę. Antonio wysiadł z samochodu, więc uczyniłem to samo. Ruszyłem za nim w stronę bramy, którą otworzył, i weszliśmy na teren posesji. Rozejrzałem się niepewnie dookoła, nie rozumiejąc, co my tu tak właściwie robimy.

– *Abuelo!*¹⁵ – usłyszeliśmy wesołe wołanie, a kilka sekund później podbiegła do nas dziewczynka. Mogła mieć co najwyżej pięć lat.

– Carla – odparł uradowany Antonio, biorąc małą na rękę.

A ja, jak ostatni idiota, stałem ze zdezorientowanym wyrazem twarzy i nie wiedziałem, co mam zrobić.

– *Padre*⁶ – rzekła kobieta, która właśnie nadchodziła z lewej strony.

I nagle zrozumiałem, że jak piąte koło u wozu wpatrywałem się właśnie w rodzinne spotkanie. Lekko zmieszany uśmiechnąłem się do brunetki, która znalazła się obok nas.

– Moja droga Francesca. – Mężczyzna przytulił córkę.

Zaistniała sytuacja sprawiła, że poczułem się zagubiony. *Co my tu robimy? Co ja tu robię?*, krążyły po mojej głowie te i podobne myśli.

– Moja córka, Fran. A to Matteo – przedstawił nas sobie siwy człowiek. – Przyjaciół.

Delikatnie skrzywiłem się, słysząc ostatni wyraz. „Przyjaciół” to dużo powiedziane. Raczej nie chodziło tu o przyjaźń, lecz o interesy. I to takie, od których uciekł czterdzieści kilometrów.

Przebywając w miejscu z tak dużą liczbą radosnych osób, zacząłem się zastanawiać, jakim sposobem można być cały czas szczęśliwym. Dzieci biegały po całej posiadłości, głośno śmiejąc się i krzycząc. Kobiety spędzały czas razem w dużym salonie, skąd dochodziła muzyka. Za to w ogrodzie kilku mężczyzn zajmowało się przygotowywaniem grilla. Miejsce to było tak niewyobrażalnie spokojne, że miałem wrażenie, jakbym znalazł się na innej planecie. W dodatku nie pomagał fakt, że był to dom jednego z wysoko postawionych członków mafii.

– Dostrzegłeś to Matteo, prawda? – Antonio niespodziewanie pojawił się za mną i oficjalnie został mistrzem w skradaniu się. – Jesteśmy tylko ludźmi. Mamy rodziny, jesteśmy szczęśliwi. Tego cały czas brakowało w waszym życiu.

– Mam rodzinę. Tylko... – zawahałem się, dyskretnie rozglądając się dookoła. – Tylko nie taką. Chloe też ją miała. Do czasu. – Nie chcąc wnikać w sprawy, które mnie nie dotyczyły, uciąłem temat. Z zasady im mniej wiesz, tym dłużej żyjesz, a ja chciałem jeszcze trochę pożyć.

– Scott był potworem. Cała rodzina miała w sobie namiastkę zła. Ale wszystko pogorszyło się, kiedy zmarł Lorenzo i gdy Raquel, matka Scotta, popełniła samobójstwo. Jakby wszystkie ich demony przeszły na ich jedyne dziecko. Już w wieku dwudziestu ośmiu lat był bestią, która nie miała skrupułów. Ale to tylko jeden osobnik. Zazwyczaj jesteśmy bardziej... – zaciął się na moment – cywilizowani. Dbamy o swoich. Nie zabijamy kobiet ani dzieci, a przynajmniej się staramy. To Scott wprowadził terror. Miał w sobie tyle zła, że doprowadziło go ono do szaleństwa.

Nie miałem pojęcia, dlaczego przyszło mi słuchać o człowieku, który zniszczył ostatnie trzy lata mojego życia i naraził mnie i moich przyjaciół na niebezpieczeństwo tyle razy, że nie byłem w stanie tego zliczyć. Odbierając nam poczucie bezpieczeństwa i cały czas stojąc za naszymi plecami jak cień, zmienił nas wszystkich. Nie obchodziły mnie wyjaśnienia na jego temat. Zapłacił za swoje, odzyskaliśmy spokój. Dlatego jedyne, o czym teraz marzyłem, to uwolnienie Chloe z tego, w co wpakował ją Lewis. Wtedy moglibyśmy wyjechać i móc zapomnieć o wszystkim, co nas spotkało.

– Jestem za tym, aby Louis przejął dowodzenie – usłyszałem nagle i naprawdę myślałem, że się przesłyszałem. Antonio był po naszej stronie. – Jest inny niż Scott. Ludzie go znają i szanują, nie ze strachu, ale z sympatii. W naszej „rodzinie” ponownie mogłaby zapanować spokojna atmosfera, bez tego cholernego wrażenia, że coś wisi w powietrzu.

– Czyli możemy wyjechać? Przeprowadzicie jakieś czary-mary przekazujące władzę Louisowi i pozwolicie jej odejść?

Mężczyzna przez moment milczał, przyglądając mi się w dziwny sposób. Rozejrzał się po pomieszczeniu, jakby specjalnie chciał przeciągnąć czas przed udzieleniem mi odpowiedzi.

– Chloe ma w sobie mrok – powiedział w końcu, jednak nie takich słów się spodziewałem. – Ja uważam, że będzie drugim Scottem, co osobiście przeraża nawet mnie. Jednak Pablo... – Westchnął ciężko. – Pablo uważa, że potrzebujemy silnej ręki, jednocześnie groźnej i spokojnej, niebezpiecznej, ale opanowanej. Znał Chloe już wcześniej, z opowiadań Scotta. Widzi w niej coś, co miałyby nam pomóc się zjednoczyć i stać silniejszymi. Nie mam pojęcia, co powiedział mu Lewis – siwy człowiek przeniósł na mnie swój wzrok – jednak cokolwiek to było, przekonało nawet Pabla, że alfą może zostać kobieta, dodatkowo niespokrewniona z przywódczą rodziną.

Jeden do jednego. To dlatego tak długo tam byliśmy. Nie podjęli decyzji, bo ich zdania były sprzeczne. Byłoby zbyt łatwo, gdyby od razu się ze sobą zgodzili. Przecież to, aby choć raz świat nam sprzyjał i stanął po naszej stronie, graniczyłoby z cudem.

Miałem odpowiedzieć mężczyźnie, jednak w tym samym momencie usłyszałem dzwonek swojego telefonu. Spojrzałem na ekran, ale zdezorientowany nie rozpoznałem numeru. Z cichym westchnieniem nacisnąłem zieloną słuchawkę i przyłożyłem urządzenie do ucha.

– Tak? – rzuciłem i w odpowiedzi usłyszałem głos Louisa:

– Kurwa, Cortez, wracaj natychmiast. Nawet nie wiem, jak to opisać, ale mamy poważny problem.

CHLOE

Czy zaniepokoił mnie fakt, że chcieli odciągnąć ode mnie Matteo? Trochę tak, przecież wciąż martwiłam się o blondyna. Wiedziałam, że przy Antoniu nie grozi mu niebezpieczeństwo. Siwy człowiek nie wyglądał na takiego, który zabija z zimną krwią niewinnego człowieka. W jego spojrzeniu było coś, czego nie potrafiłam nazwać. Współczucie? Żal? Jakby wiedział, że zbliża się coś, co wszystko zmieni, i już nigdy nie będzie tak samo. Nie umiałam zrozumieć, co mogłoby być aż tak straszne, jednak dziwnie spokojna byłam przekonana, że nie zagraża to życiu Matta.

Uśmiechnęłam się do Pabla, który właśnie wyszedł z budynku i skierował się w moją stronę. Jego twarz miała dziwny wyraz, a im bliżej mnie się znajdował, tym zdawał się bardziej usatysfakcjonowany.

– Skoro mój przyjaciel postanowił spędzić trochę czasu z Matteo, nie mogę pozwolić, abyś się tu sama nudziła – zaczął, gdy stanął naprzeciwko mnie.

– Mam nadzieję, że Matt bawi się dobrze. Jeśli Antonio skrzywdzi mojego męża, ja będę zmuszona skrzywdzić jego przyjaciela – odpowiedziałam grzecznie, ruszając za mężczyzną. – Nic osobistego, sam rozumiesz – dopowiedziałam, kiedy wbił we mnie swój wzrok. Kryło się w nim coś niepokojącego, jakby zadowolenie z tego, co powiedziałam. Czyżby nie zrozumiał, że mówiłam o nim?

Przemierzyliśmy ogród w ciszy. Dyskretnie zerknęłam w lewo, gdzie dostrzegłam człowieka z bronią, ukrytego za wielkiego rozmiaru krzewem z czerwonymi kwiatami. Zaśmiałam się w duchu, utknąwszy spojrzenie w dróżce, którą miałam przed sobą. A więc Pablo mimo wszystko się mnie obawiał. W pewnym sensie podniosło mnie to na duchu – nie uważał mnie za rozpieszczoną dziewczynę, która owinęła sobie wokół palca Scotta i dostała od niego wszystko. Widział we mnie prawdziwe zagrożenie, przy którym trzeba być cały czas czujnym. Nie powiem, schlebiało mi to. Nie różniłam się jednak od niego bardzo. Choć Louis był pomocny, jego umiejętności skradania się po cichu były na strasznie niskim poziomie.

– Za jaki czas możemy spodziewać się biletów do Newcastle w jedną stronę? – odezwał się w końcu, starając się zagłuszyć idącego za nami blondyna.

– Myślisz czasami o czymś innym niż o ucieczce stąd?

Pytanie Pabla zbiło mnie z tropu. Odpowiedź była oczywista: nie. Gdybym przestała o tym myśleć, mogłoby się to dla nas źle skończyć.

– Dawno temu matka nauczyła mnie, że niekulturalnie jest odpowiadać pytaniem na pytanie, do tego nie na temat – odpowiedziałam hardo, wpatrując się przed siebie. – Możesz czarować, Pablo. Jednak nic nie zmieni mojego zdania. Alfą zostanie Louis.

– Jeszcze trwają na ten temat dyskusje. – Mężczyzna całkiem zignorował początek mojej wypowiedzi, odwołując się tylko do jej końca.

– Jakby nie patrzeć, obecnie to ja jestem alfą. Dlatego odradzam ci wyprowadzanie mnie z równowagi, ostatnio słabo u mnie z cierpliwością. Wyjedziemy, niezależnie od wszystkiego. – Suchy i jednocześnie chłodny ton mojego głosu zaskoczył nawet mnie.

– Jeszcze zobaczymy. – Obdarzył mnie dziwnym uśmiechem i ruszył przed siebie.

Bez słowa poszłam za nim, starając się go dogonić. Razem opuściliśmy ogród, docierając do małej części zielonego terenu, na którym znajdował się rozłożony koc, a kawałek dalej stał stolik z kilkoma krzesłami. Zmarszczyłam brwi, przyglądając się leżącym na nim rzeczom. Pablo rozejrzał się i skierował w prawo, więc zdezorientowana podążałam dalej. Po chwili obok mnie pojawił się Louis i zaczął wyciągać ze swoich włosów liście, przeklinając przy tym pod nosem.

– Tutaj jest nasza księżniczka. – Głos Pabla zabrzmiał dziwnie słodko, co zdezorientowało zarówno mnie, jak i blondyna.

Spojrzeliśmy po sobie w tym samym czasie, czując się coraz mniej pewnie w tej sytuacji. Wszystko jednak stało się jasne, kiedy starszy mężczyzna wrócił do nas, lecz nie sam – na rękach trzymał dziecko, które zaśmiało się i zaczęło błędzić rączką po jego twarzy.

Ten śmiech...

– Mówiłeś, że tu nie ma dzieci – szepnęłam do Louisa, czując się okłamana.

– Bo nie ma. – Blondyn wyglądał na zaskoczonego, czym dał mi do zrozumienia, że tak samo jak ja jest zdumiony widokiem małej.

– Usiądźcie. – Miły ton głosu starszego mężczyzny brzmiał przerażająco, patrząc na sytuację, w jakiej się znaleźliśmy.

Posłusznie zajęłam jedno z krzeseł, zerkając niepewnie na Louisa, który również nie czuł się komfortowo. Pociuszające było jednak to, że mój mózg miał się dobrze, o ile można użyć takiego słowa w moim wypadku. Nie wymyśliłam sobie śmiechu dziecka, kiedy przemierzałam korytarze posiadłości. Nie były to omamy czy przesłyszenie. Dziecko naprawdę istniało – ten fakt jednocześnie mnie cieszył i przerażał.

Przyglądałam się uważnie, jak Pablo uśmiecha się do dziewczynki, poprawiając chustę zasłaniającą małej uszy. Nie wiedziałam, kto zwariował – ja czy on – jednak coś było nie tak.

– Poznajcie Coralie – zaczął, siadając na krześle naprzeciwko mnie i uważnie mi się przyglądając. Spojrzenie to trwało jednak o sekundę za długo, a później zostało przeniesione na dziecko. – Przeurocza z niej istota. Potrafi wyciągnąć z człowieka takie pokłady miłości, o których sam nawet nie wied... – przerwał swoją wypowiedź, bo dziewczynka odchyliła się do tyłu, jednak jego reakcja była natychmiastowa. – Nie miała łatwego życia. Przyszła na świat w dwudziestym trzecim tygodniu. Niesamowity cud, że przeżyła i ma się naprawdę dobrze. – Zmierzył wzrokiem moją twarz. – Przywiózł ją Scott. Zebrał najlepszych lekarzy, którzy opiekowali się nią przez ten cały czas. To dowód, że za pieniądze można kupić wszystko, nawet cud. Każdy z doktorów na wstępie stwierdził, że dziecko nie przeżyje tygodnia. Szybko zmienili zdanie po zobaczeniu trzech milionów. – Zaśmiał się, a ja coraz mniej rozumiałam. – Czy to nie jest niesamowite? Tyle woli walki w jednej małej istocie.

Spojrzałam na dziewczynkę, która zaczęła rozglądać się dookoła. Wygrała życie, Scott wygrał dla niej życie. Była to chyba jedyna dobra rzecz, którą zrobił w ciągu całej swojej egzystencji. Jednak nic nie zmieni już tego, że był potworem. Bo jeden dobry uczynek nigdy nie przeważa tysiąca złych. Dla Lewisa nie było rozgrzeszenia.

– Waleczna dziewczyna. – Uśmiechnęłam się delikatnie, chcąc jakoś pchnąć rozmowę na przód.

Pablo spojrzał na mnie z leniwym uśmiechem na ustach, ponownie wbijając we mnie wzrok o sekundę za długo. Z sekundy zrobiły się dwie, z dwóch trzy. Jakby chciał przejrzeć mnie na wylot lub cieszyć się tym właśnie momentem, który traktował jako wyjątkowy. Dopiero po chwili odezwał się stanowczym, choć miękkim głosem, cały czas się we mnie wpatrując.

– Jaka matka, taka córka.

Rozdział 24

CHLOE

Wiecie, na czym polega efekt kuli śnieżnej? Zaczyna się niewinnie, od jednej, malutkiej kulki śniegu, która wygląda niegroźnie. Stacza się ona powoli po zboczach góry, jednak im dłużej się toczy, tym więcej śniegu po drodze zgarnia. Podczas swojej podróży zbiera kolejne warstwy białego puchu, tym samym rosnąc. Jest coraz większa, silniejsza, cięższa. Zaczyna stwarzać niebezpieczeństwo, a przecież była tylko małą kulką, która mieściła się w dłoni. Jest to proces, który zaczyna się na małą skalę i prawie nic nie znaczy, a ostatecznie przeradza się w coś, czego człowiek nie jest w stanie okiełznać. Nic nieznacząca kula śniegu stała się potworem, który niszczy wszystko na swojej drodze. I tak też było w moim życiu.

Kiedy go poznałam, był zwykłym człowiekiem, który znalazł się w tym samym co ja klubie. Choć teraz coraz częściej odnosiłam wrażenie, że nie był tam przypadkiem. Nie po tym wszystkim, czego się dowiedziałam. Znalazł się w moim życiu jako ktoś kompletnie mi obojętny, jak ta mała, zrzucona z góry kulka. I również rósł w siłę, zaczynając zmieniać się w kogoś niebezpiecznego. Pierwsza warstwa, kiedy w trosce o znajomych postanowiłam złożyć mu propozycję nie do odrzucenia. Druga warstwa, kiedy postanowiłam być częścią jego chorego świata. Trzecia warstwa, kiedy uciekłam do Londynu, a on i tak znalazł sposób, aby mi zaszkodzić. Czwarta warstwa, kiedy zaproponował przeniesienie wyroku. Piąta warstwa, kiedy zrobił Matteo, tym samym zmuszając mnie do wyjazdu. Warstwa kolejna, następna i jeszcze jedna, kiedy rósł w siłę i powoli przejmował kontrolę nad całym moim życiem.

I teraz, gdy już nie żył, a wielka kula śniegu roztrzaskała się o zbudowany przeze mnie mur, myślałam, że będzie lepiej. Że skoro pozbyłam się niebezpieczeństwa, żadne inne zagrożenie mnie nie dosięgnie. Niestety, musiałam stanąć twarzą w twarz z własnym rozczarowaniem. Bo jedna wielka kula roztrzaskała się na kilka małych, które dalej dumnie toczyły się w dół, a co najgorsze, rosły. Z jednej małej śnieżki, pomimo walk i poświęceń, powstało wiele innych, które miały zamiar kontynuować działania przerwane przez mur. Gdyby nie ta pierwsza głupia kula śniegu, nie byłoby żadnego niebezpieczeństwa. Nie byłoby bólu, ucieczek i poświęceń w imię wyższego dobra. Nie byłoby łez ani krwi. Jedna cholerna kula zmieniła życie wielu osób.

A wiecie, co było najgorsze?

To ja byłam tą, która rzuciła pierwszą śnieżkę na zbocze góry.

– Zostawiłeś ją samą?! – dobiegł mnie donośny krzyk z korytarza.

Znałam ten głos. Znałam go doskonale. Zaraz miało rozpętać się piekło.

Siedziałam w którymś z pokoi, do którego przyprowadził mnie Louis. Od dłuższego czasu wpatrywałam się tępo przed siebie, dokładnie lustrując każdy milimetr beżowej ściany. W takim stanie czułam się najlepiej: nie myślałam, nie skupiałam się, po prostu patrzyłam. Kiedy do pomieszczenia weszły dwie osoby, moje zachowanie nadal się nie zmieniło. Podobno podczas szoku człowiek potrzebuje trzynastu minut, aby wrócić do rzeczywistości, by móc się z nią zmierzyć. Przekroczyłam tę liczbę już kilkakrotnie.

– Chloe?

Drgnęłam na dźwięk swojego imienia, które w ustach Matteo brzmiało obco. Chłopak niepewnie do mnie podszedł i kucnął przede mną. Powoli przeniosłam na niego spojrzenie,

jednak widok lazurowych oczu sprawił, że coś ścisnęło mnie w sercu. Powróciłam więc do wpatrywania się w ścianę, ponownie zatracając się w swoim myślach.

– Nie ruszyła się od czterdziestu minut – mruknął Louis, wzdychając.

– Uwierz mi na słowo, ona potrafi tak godzinami – oznajmił Matteo, jednak jego głos docierał do mnie jak przez mgłę.

Wyłączyłam się całkiem z rozmowy mężczyzn, słysząc jedynie szmery. Nie chciałam ich słuchać. Nie chciałam wiedzieć, co mieli mi do powiedzenia. Nie potrzebowałam w obecnym momencie słów wsparcia lub pocieszenia. Nic, co by mi przekazali, nie zmieniłoby jedynej rzeczy, której byłam pewna.

– To nie jest moja córka – odezwał się w końcu, chyba przerywając blondynom rozmowę. Przeniosłam na nich swoje spojrzenie, które nie znosiło sprzeciwu. – Moja córka nie żyje.

– Chloe... – Matteo nie wiedział, jak ubrać w słowa to, co chciał powiedzieć. Jednak ja doskonale wiedziałam, co myśli. I musiałam jak najprędzej wyprowadzić go z błędu.

– Nie daj się w to wciągnąć, Matt – szepnęłam apatycznym tonem. – To banda kłamców, manipulantów i morderców.

– Auć – mruknął Louis, jednak go zignorowałam.

– Bierz się w garść i siłą wymuś na nich decyzję. Mam serdecznie dosyć tego miejsca i chcę wrócić do domu – zwróciłam się do niego, nie kryjąc zdenerwowania. – Chciałeś, abym oddała ci to, co należy do ciebie. Wykonałam zadanie. Teraz ty się zmobilizuj i weź to, co jest twoje.

– Przecież ich nie zabiję – westchnął chłopak, przyglądając mi się uważnie. – Znam Pabla. To faktycznie największa kanalia, zaraz po moim kuzynie.

– Antonio jest po naszej stronie – wtrącił się Matteo, przez co wbiliśmy w niego oczy. – Wie, że Scott przekazał Pablowi coś, co miało mu pomóc przejść nad tobą kontrolę. I nagle Dominguez wyskakuje z informacją, że nasza córka żyje. To idiotyczne, ale ma sens.

Spojrzałam zaskoczona na chłopaka, zastanawiając się, czy jego nagła głupota została spowodowana przez czas, który spędził z Antoniem. Nie wierzyłam, że naprawdę traktuje ich blef poważnie.

– Matteo. W sierpniu zeszłego roku przeżyliśmy piekło. O mało nie zginęliśmy. Straciliśmy ją. Minęło prawie dziesięć miesięcy. Pogodziliśmy się ze stratą. I nie przeszedłam przez to wszystko po to, aby człowiek pracujący dla Lewisów nagle próbował mi wmówić, że trzyma moje dziecko na rękach. – Staralam się powiedzieć to spokojnie, aby dokładnie wszystko zrozumiał. Nie mogliśmy dać się złamać. Kimkolwiek była dziewczynka, nie mogła ona być tą, za kogo uważał ją Pablo. Moja córka nie żyła. Moja malutka córeczka nie żyła. Straciłam ją w wypadku, który spowodował Scott. To on ją zabił.

Blondyn nie zareagował, tylko wpatrywał się we mnie w skupieniu, jakby zastanawiał się nad sensem wypowiedzianych przeze mnie słów. Spojrzałam więc na Louisa, który gwałtownie odwrócił ode mnie wzrok, unikając tym samym konfrontacji.

– Chcę ją zobaczyć. – Głos Matta przerwał panującą w pomieszczeniu ciszę.

Schowałam twarz w dłoniach, nie mogąc go zrozumieć. Takim oto sposobem cofnęliśmy się o sto kroków. A już prawie byliśmy na mecie.

– Zastanów się. – Postanowiłam spróbować przekonać chłopaka, jednak tym razem podjęłam inną taktykę. – Nawet jeśli to prawda, że nasze dziecko jakimś cudem przeżyło, okłamano nas, a Scott zabrał ją z Europy do Ameryki Południowej. – Staralam się, aby niedorzeczność tych faktów dosadnie wybrzmiała. – To co teraz? Mała ma już dziesięć miesięcy. I wychowała się tutaj,

pośród tych ludzi. Widywała ich codziennie, przyzwyczajała się do nich, zaufała im. Jak to sobie wyobrażasz? Dwoje obcych dla niej ludzi, a ona obca dla nas.

Mój instykt macierzyński nie wrócił. Przepadł tego samego dnia, kiedy dostałam potwierdzenie, które złamało mi serce. Straciłam go, kiedy tylko straciłam ją. I teraz nie mogłam nic na to poradzić.

– Chcę ją zobaczyć. – Matteo nie odpuszczał.

Wyrzuciłam ręce w powietrze, poddając się. Jeśli chciał cierpieć przez swoją głupotę, nie mogłam mu tego zabronić. Odradzałam mu to, by go ochronić, jednak nie chciał słuchać. Sam podjął decyzję i w pewnym sensie wierzył oszustom, za co w przyszłości przyjdzie mu gorzko zapłacić.

Kiedy mężczyźni wyszli z pomieszczenia, czułam tylko złość. Byłam zła na siebie, że tak bardzo boli mnie ta sytuacja. Byłam zła na Matteo, który zdawał się wierzyć we wszystkie kłamstwa, jakie mu serwowali. A najbardziej wściekła byłam na Scotta – nawet po śmierci nie dawał mi spokoju, przez co miałam ochotę zabić go ponownie. I jeszcze raz, i kolejny. Strzelać, dopóki nie poczuję ulgi. A podejrzewałam, że nie poczułabym jej nigdy.

Wyjęłam telefon i spojrzałam na ekran, na którym widniały nieodebrane połączenia. Westchnęłam cicho, wybierając numer do jedynej osoby, z którą miałam ochotę obecnie rozmawiać. Po kilku sygnałach usłyszałam głos, który nie zabrzmiał przyjaźnie.

– Jeśli nie nauczycie się odbierać tych pieprzonych telefonów, wszczepimy wam chipy – syknął chłopak, na co przeszedł mnie dreszcz.

– Też miło cię słyszeć, Zack. Jak wyjazd? A w porządku, droga minęła szybko. Co u Matteo? Nic nowego, zachowuje się jak idiota. Jak się czujesz? Dobrze, wspaniale, że pytasz – mruknęłam, rozsiadając się wygodniej na łóżku, przez co w powietrze wystrzeliły drobinki kurzu, przez moment utrudniając mi oddychanie. Najwidoczniej rezydencja rzadko przyjmowała gości.

– Dlaczego nie odbieraliście? Myśleliśmy, że coś się stało – odparł z pretensją w głosie, na co zamknęłam oczy.

Prawie trafili.

– Pojawił się... – urwałam, szukając odpowiednich słów, które określiłyby dziewczynkę – ... mały problem. – Przygryzłam wnętrze policzka.

W tle dało się słyszeć różne głosy i szmery, przez co zorientowałam się, że Zack nie był sam.

– Mówiłem, abyście nie lecieli sami – rozbrzmiał dojrzały, męski głos, na co przeklełam w duchu.

– I co, tato? Miałam zabrać ze sobą armię, która skończyła sztukę? Nie pokonamy ich tańcem czy waleczną piosenką – warknęłam zirytowana.

Dlaczego ten człowiek nie potrafił odpuścić? Radziłam sobie tyle lat sama, nie potrzebowałam ojcowskich rad i wskazówek. Czas na takie rzeczy był wtedy, kiedy William był zajęty budową swojego imperium i nową, młodą dziewczyną. Nie wybaczyłam mu. Może to, że opowiedział mi całą historię, dzięki czemu wiedziałam, dlaczego losy naszej rodziny potoczyły się tak, a nie inaczej, przyniosło mi ulgę. Bez niedopowiedzeń i zatajonych informacji czułam się lepiej, jednak to nie spowodowało, że rzuciłam się mu w ramiona. To on zaczął interesy z rodziną, która wiecznie chciała więcej. To przez niego zabili mamę, a razem z nią całą widownię na sali. To on wprowadził do naszej rodziny smutek i żal, których zwykłe słowa nie były w stanie opisać. To przez niego całe moje dorosłe życie stało się walką o przetrwanie.

– Daj mi Matteo – odezwał się ponownie Zack, na co rozejrzałam się po pokoju, próbując wymyślić dobrą wymówkę.

– To nie będzie możliwe – zaczęłam ostrożnie, słysząc w telefonie podniesione głosy.
– Chloe, co tam się dzieje? – Zack nie odpuszczał, a to tylko prowadziło do coraz większych problemów.

– Muszę kończyć. – Zdecydowałam się na taki ruch, bo na wyjaśnienia będziemy mieli dużo czasu w Newcastle. – Nic nam nie jest. Nie dzwońcie, jeśli nie chcecie wszystkiego utrudniać. Odezwę się za jakiś czas. – I się rozłączyłam.

Mogłam sobie jedynie wyobrazić oburzone miny przyjaciół, którzy nie byli zadowoleni z mojego zachowania, ale trudno, nie ich satysfakcja była teraz najważniejsza. I może brzmiałam jak egoistka, jednak za każdym razem, kiedy walił się świat, tylko z takim podejściem udawało mi się wychodzić ze wszystkiego cało. W tej sytuacji było identycznie.

Liczyliśmy się tylko ja i Matteo, nikt więcej.

MATTEO

Nic nie rozumiałem. Może sprawiałem wrażenie, że to, co działo się dookoła mnie, nie było niczym nadzwyczajnym, jednak w głowie szalało mi tyle myśli, że jeszcze trochę, a zacząłbym mylić prawą stronę z lewą. Nawet kiedy zadzwonił Louis, nie czułem tak wielkiego zdezorientowania, choć był to przecież początek tej sytuacji i wiedziałem najmniej ze wszystkich. Zresztą teraz, im dalej w to wszystko brnąłem, miałem jeszcze mniejsze pojęcie o całej sytuacji.

Rozumiałem Chloe. Doskonale ją rozumiałem, ponieważ wiedziałem, przez co przeszła dziesięć miesięcy temu. Przebrnąłem przez te same wydarzenia, myśli i uczucia. I może wtedy tego nie okazywałem, ale mnie również było cholernie ciężko. Ledwo dowiedziałem się o dziecku, a już za kilka dni je straciłem. To było jak najgorszy koszmar, z którego pragnąłem się obudzić. Jednak sen okazał się prawdą, a ja, będąc z dala od Londynu, walczyłem ze wszystkimi demonami, które chciały mojego upadku.

Czy wierzyłem w to, co mówił Pablo? Nie miałem pojęcia. To wszystko było tak niemożliwe, że przez moment naprawdę byłem w stanie wyśmiać mężczyznę. Jednak po dłuższej chwili uświadomiłem sobie, że naszym życiem rządziły same irracjonalne sytuacje. Nic nigdy nie było proste, przejrzyste i wiadome. Zawsze pojawiały się niespodzianki, które graniczyły z cudem. Nic więc dziwnego, że i tym razem w mojej głowie pojawiła się myśl, że mogło być podobnie. Obawiałem się podstępu, bo doszczętnie zniszczyłby to, co staraliśmy się z Chloe odbudować. Byłby to cios poniżej pasa, jednak biorąc pod uwagę Scotta, który był sprawcą całego zamieszania, nie byłoby to zaskakujące. On nigdy nie grał według zasad i łamał wszystkie tak, jak mu się podobało.

– Słuchasz mnie? – Męski głos sprawił, że ocknąłem się z transu i przeniosłem wzrok na Louisa. – Oczywiście, że mnie nie słuchasz – rzucił zirytowany. – Chloe miała rację: nie powinieneś widzieć dziewczynki. Już po samym twoim spojrzeniu widać, jak bardzo wyprali ci mózg tą informacją.

Zostawiłem jego słowa bez komentarza, bo właśnie w tym momencie przed nami pojawił się Pablo. Mężczyzna posłał mi zwycięskie spojrzenie, a ja z całych sił powstrzymałem się, aby nie zmyć mu tego głupiego uśmiechu z twarzy.

– Jest i tatuś – wymruczał zadowolony, czym przelał szalą goryczy.

Jednym ruchem wyprowadziłem cios, stykając swoją pięść z twarzą mężczyzny. Za sprawą uderzenia Dominguez cofnął się o kilka kroków, przybierając dziwny wyraz twarzy. Złapał się za nos i lekko skrzywił.

– Podejrzewam, że to z emocji, dlatego nic z tym nie zrobię.

– Rób, co chcesz – odpowiedziałem obojętnie, czując się lepiej. Zasłużył.

Mężczyzna spojrział na mnie z drwiącym uśmiechem na ustach i otworzył drzwi, zapraszając mnie gestem do środka. Niepewnie przestąpiłem próg, rozglądając się po pomieszczeniu. Przez moment miałem ochotę uciec, bo, cholera jasna, dawałem się wplątać w walkę z duchem, który znany był pod nazwiskiem Lewis. Kiedy jednak w rogu pokoju dostrzegłem ruch, na moment przestałem oddychać. Powoli ruszyłem w głąb pomieszczenia, przyglądając się małej postaci, siedzącej do mnie tyłem. Nie miałem pojęcia, jak się zachować. Była to chyba najbardziej dezorientująca mnie sytuacja w całym moim życiu. Stawiałem kolejne, ciche kroki, nie chcąc być zbyt głośno, aby nie przestraszyć dziecka. Byłem już naprawdę blisko, kiedy ciemnowłosa dziewczynka odwróciła głowę, o mało się nie przewracając.

A ja natychmiast zamarłem.

Dziwny chłód przeszył moje ciało, powodując dreszcz. Wszystko trwało sekundy. Na drobnej twarzy pojawił się uśmiech, po czym dziewczynka odwróciła się ode mnie, wracając do przerwanej czynności. W ciągu tych kilku sekund doznałem czegoś tak niezrozumiałego, że zaczęło mnie to przerażać. Kiedy para roześmianych, dziecięcych oczu zmierzyła mnie spojrzeniem – i to nie było jakim spojrzeniem, bo dookoła małej, czarnej źrenicy znajdował się lazurowy ocean – czułem, jakbym patrzył w lustro. Świat zwariował. Nie potrafiłem tego wyjaśnić. Wprawdzie nietrudno pewnie znaleźć dziecko z tak intensywnie niebieskimi oczami, jednak fakt, że wyglądały, jakby były odbiciem moich, nie pomagał. To było przecież niemożliwe. Nawet Lewis nie był tak okrutny, aby posunąć się do takich czynów. Nie porwałby wcześniaka i rozkazał mówić, że umarł. Nie mieściło mi się to w głowie.

Odwrociłem się w stronę drzwi, w których znajdowali się mężczyźni.

– Nie jestem kłamcą, Matteo. – Pablo uśmiechnął się lekko. – Wykorzystuję to, co daje los. Przykre, że matka nie poznała własnego dziecka – dodał, wycofując się na korytarz.

Spojrzałem na Louisa, który przyglądał się całej sytuacji nieco zmieszany.

– Jeśli dowiem się, że o tym wiedziałeś – zacząłem podniesionym tonem, jednak nie zdążyłem dokończyć, ponieważ w pomieszczeniu rozbrzmiał płacz.

Przestraszony odwróciłem się w stronę dziewczynki, która wyraźnie pokazywała swoje niezadowolenie jakąś rzeczą. Zerknąłem na blondyna w drzwiach, który miał podobną minę do mojej. Nie miałem młodszego rodzeństwa ani kuzynostwa, więc osoby mierzące mniej niż metr były dla mnie wielką zagadką. Dopiero po chwili obaj zrozumieliśmy, co przeszkadza dziewczynce, a raczej poczuliśmy. Spojrzałem na Louisa błagalnym wzrokiem, jednak chłopak podniósł rękę w geście obronnym.

– Z naszej dwójki tylko ciebie podejrzewa się o bycie ojcem – rzucił, wycofując się. – A jeśli to prawda, przyda ci się ta umiejętność. Pobaw się w odpowiedzialnego tatusia. – I powiedziawszy to, wyszedł.

Przekląłem pod nosem, zerkając na rozżalone dziecko. W pierwszym odruchu otworzyłem okno, chcąc jakoś uchronić się przed uduszeniem. Nikt nie mówił, że dzieci aż tak zanieczyszczają powietrze. Po zaczerpnięciu świeżego powietrza podszedłem do dziewczynki i niezgrabnie wziąłem ją na ręce. W swoim rozgoryczeniu nawet nie protestowała ani się nie przestraszyła, a byłem przecież dla niej kimś obcym.

– Ładny prezent powitalny mi zafundowałaś – mruknąłem, kierując się w stronę czegoś, co wyglądało jak przewijak. To coś miało na sobie rysunki małych żółwików, więc liczyłem, że było to odpowiednie miejsce na takie akcje.

Po kilku próbach zmiany pampersa oficjalnie zyskałem miano najgorszego niby-ojca. Nie potrafiłem zrozumieć, dlaczego dzieci tyle się ruszają. Czy minuta leżenia naprawdę była aż taka okropna? Westchnąłem, zrezygnowany kręcąc głową. Nie nadawałem się do tego. Myślałem, że będzie łatwiej. Teraz jednak chciałem wierzyć tak jak Chloe, że dziewczynka nie była z nami spokrewniona. Nie zasługiwała na tak beznadziejnych rodziców.

Kiedy jednak odwróciłem dziecko na brzuch, zdezorientowany zmarszczyłem brwi. Dostrzegłszy znamię, przejechałem palcem pod linię pampersa. Mała zaśmiała się wesoło, czując łaskotanie, a na mojej twarzy mimowolnie pojawił się uśmiech. Pod opuszkami moich palców znajdowała się mała, płaska plamka w kakaowym odcieniu. Przez moment nie skojarzyłem faktów. Wnioski dotarły do mnie z opóźnieniem, jednak uderzyły mnie z taką siłą, że na moment zamarłem. Szybkim, lecz delikatnym ruchem odstawiłem dziewczynkę na podłogę, po czym skierowałem się do drzwi, przed którymi czekał Louis.

– Zerknij na nią – rzuciłem do niego pośpiesznie, ruszając korytarzem w stronę pokoju, w którym zostawiłem Chloe.

Boże, miej dla nas litość.

Rozdział 25

CHLOE

Siedziałam na parapecie, przyglądając się widokowi za oknem. Piękny ogród byłby czymś niesamowitym, gdyby nie fakt, w jakim miejscu się znajdował. Chciałam jak najszybciej stąd wyjechać i wrócić do domu. Nigdy nie myślałam, że nazwę Newcastle domem, a co dopiero, że będę chciała znaleźć się tam z powrotem. Teraz miałam stamtąd wspomnienia, które były naprawdę miłe.

Rosario działało na nas wszystkich bardzo źle. Kłóciliśmy się, sprzecaliśmy, nie słuchaliśmy. Doskonałym dowodem była decyzja Matteo, który wyszedł pół godziny temu i do tej pory nie wrócił. Czyżby nikczemna pułapka Pabla rozczuliła blondyna do tego stopnia, że właśnie bawił się z dzieckiem w „a kuku!”?

Nie chciałam, żeby cierpiał. Ta sytuacja dotyczyła nas oboje, dlatego nie rozumiałam, dlaczego mi nie zaufał. Najlepiej wiedziałam, jak wszystko się potoczyło, nie było mowy o takiej niespodziance. Pogodziliśmy się ze stratą córki dziesięć miesięcy temu i nie potrafiłam znaleźć powodu, dla którego Matt rozgrzebywał stare rany.

Moje przemyślenia przerwał blondyn, który w tym momencie wpadł zdyszany do pokoju i wbił we mnie spojrzenie tak intensywne, że aż bolało. Po chwili wziął kilka głębszych wdechów, starając się uspokoić szalony oddech. Zmarszczyłam brwi, kiedy zobaczyłam, w jakim był stanie.

– Gonił cię ktoś? – mruknęłam, nic nie rozumiejąc. Powoli wstałam i ruszyłam w jego kierunku.

– Powiedz mi, że nie zakryłaś czegoś tatuażem smoka – wypalił, a ja natychmiast się zatrzymałam i spojrzałam na niego lekko zdezorientowana i wystraszona.

Skąd u niego nagle takie stwierdzenie?, pomyślałam. *Nie mógł przecież się dowiedzieć. Nikt oprócz rodziny nie wiedział.* Pomrukałam szybciej, starając się skupić. Świat stawał na głowie.

– Matteo. – Zaśmiałam się histerycznie, przestając kontrolować swój głos.

– Chloe, powiedz, że pod tatuażem na pośladku nie znajduje się znamię – powiedział otwarcie, a mnie замуrowało.

Matt tyle razy widział ten tatuaż i ani razu nie przyszło mu nic podobnego do głowy, więc...

– Nie możesz o tym wiedzieć – palnęłam bez zastanowienia. – Przecież w ogóle go nie widać.

Twarz Matteo wykrzywił dziwny grymas, aby po chwili pojawił się na niej nikły uśmiech satysfakcji. Nie potrafiłam zrozumieć, do czego chłopak dążył. Skąd te wszystkie pytania i informacje, o których nie miał prawa wiedzieć? Patrzyłam na niego zszokowana, a on jak gdyby nigdy nic usiadł na łóżku z naprawdę triumfalnym uśmiechem na ustach.

– Niech zgadnę – odezwał się w końcu. – Twoja mama też miała w tym, dokładnie w tym miejscu znamię? – podkreślił.

Zastanawiało mnie, dlaczego to cholerne znamię było w tym momencie aż tak ważne. Przecież to była tylko głupia plama.

Opanowana pokiwałam głową na znak potwierdzenia, przez co warga blondyna dziwnie zadrgała.

– Chloe. – Chłopak wstał i powoli ruszył w moim kierunku. – Możesz nie wierzyć im, ale uwierz mi. To jest nasza córka.

Automatycznie zrobiłam krok w tył. Myślałam, że mieliśmy już ten temat za sobą, a tu taka niespodzianka. Cortez nie potrafił odpuścić, musiał postawić na swoim, chociaż doskonale wiedział, że mnie nie przekona. Nie można tak po prostu narzucać swojego zdania innym, zwłaszcza że ludzie zazwyczaj mają już własne poglądy na pewne sprawy, więc tym bardziej nie wiedziałam, dlaczego Matteo nie umiał uszanować moich. Kiedy jednak zaczęłam protestować, blondyn złapał mnie za ramiona, wbijając we mnie swój wzrok.

– Chloe, proszę – szepnął, starając się mnie uspokoić. – Coralie ma takie samo znamię.

Wpadłam do pomieszczenia, nie czekając na Corteza. Co czułam? Cholerne przerażenie. Nie umiałam nazwać tego inaczej, każda cząstka mojego ciała drżała ze strachu.

Ona żyła. Moja malutka dziewczynka żyła. I mimo tego, że nadal nie mieściło mi się to w głowie, ta informacja sprawiła, że moje serce drgnęło, a umysł wypełnił się masą wspomnień z momentów, kiedy nosiłam ją pod sercem. Nie mogłam znieść jednak myśli, że moja córka przeżyła dziesięć miesięcy w tym miejscu.

Zatrzymałam się, widząc Louisa, który z niepewnością wymalowaną na twarzy starał się uspokoić płaczące dziecko.

– Kurwa, alleluja – rzucił, kiedy mnie zauważył. Bez chwili zwłoki oddał mi dziewczynkę, po czym zirytowany wyszedł z pomieszczenia.

Na moment mnie sparaliżowało. Dotyk jej ciepłej skóry był czymś, na co nie byłam przygotowana. Przymknęłam na kilka sekund powieki, biorąc głęboki wdech. Po chwili zdecydowałam się spojrzeć na niespokojne dziecko, które otwarcie wyrażało swoje niezadowolenie. Kiedy para znajomych mi oczu zatrzymała się na mojej twarzy, wygięłam usta nieco ku górze. Jednak już po sekundzie skrzywiłam się, bo poczułam małą dłoń, która pacnęła mnie w policzek, a jej właścicielka ponownie zaczęła płakać.

Dostałam w twarz od własnej córki... Miły prezent powitalny.

Stanęłam przed lustrem, podnosząc lekko sukienkę, w którą była ubrana, aby się upewnić. Ufałam Matteo, jednak to było coś, co musiałam zobaczyć na własne oczy. Wstrzymałam powietrze, dostrzegając ciemną plamkę w tym samym miejscu, w którym znajdowała się moja, zakryta przez tatuaż. Usiadłam w fotelu, oddychając głęboko.

Żyła. I była tu. Moje ukochane maleństwo...

– Ciii – szepnęłam, przytulając do siebie małą istotę. – Już dobrze. Mama jest przy tobie.

Ciągle nie mogłam przyzwycząić się do tego dziwnego uczucia, ale gdy do pomieszczenia wpadł Matteo, wszystko puściło. Po moich policzkach natychmiast spłynęły łzy, których nie byłam w stanie kontrolować, a to, co działo się wewnątrz mnie, było nie do opisanie. Przez moment poczułam się tak, jak po wybuchu w Buenos Aires – zagubiona, przerażona, zdezorientowana – a potem wszystkie te uczucia zagłuszyło inne, silniejsze.

Wściekłość.

Byłam wściekła. I jak niczego innego w życiu pragnęłam w tym momencie zemsty.

Otworzyłam z hukiem drzwi na taras i podeszłam do mężczyzny.

– Jak mogłeś! – Nie panowałam nad sobą. Złość, która mnie ogarniała, zaćmiewała zdolność logicznego myślenia. – Jak śmiałeś pytać nas o rodzinę, kiedy doskonale wiedziałeś, że nasza córka znajduje się kilka metrów dalej! – Z wielką siłą odepchnęłam od siebie krzesło i oparłam ręce na stoliku.

Naprzeciwko mnie znajdował się Antonio, który przyglądał mi się z dziwnym wyrazem twarzy. Mężczyzna wiedział o wszystkim od samego początku. Mydlił oczy mi i Matteo, grając na czas.

– Słysząc cię aż w sędzie – rozbrzmiał męski głos, którego właściciel był za wszystko odpowiedzialny. Może nie bezpośrednio, ale jednak.

Odwrociłam się w stronę Pabla, wrząc z wściekłości. Mężczyzna uśmiechnął się lekko, co przeważało wszystko. Bez zastanowienia ruszyłam po schodach, zbiegając w jego kierunku. Musiał za wszystko zapłacić, tylko tak poczułabym spokój. Zatrzymałam się jednak gwałtownie, widząc broń wycelowaną w moją stronę. Zmierzyłam wzrokiem dwóch brunetów, zaciskając zęby. Mogłam się spodziewać, że Pablo będzie przygotowany.

– Zabieramy córkę i wylatujemy jeszcze dzisiaj – zarządziłam, patrząc z nienawiścią na stojącego przede mną mężczyznę.

Ten zaśmiał się pod nosem, kręcąc głową.

– Kiedy umierał Javier, nie byłaś taka harda. – Pablo podniósł brew, wpatrując się we mnie wyczekująco, ale ja jedynie zmrzyłam oczy, nie rozumiejąc, do czego zmierza. – Trzęsał się. Byłaś przerażona. Widziałem to w twoich oczach.

Przestałam oddychać, słysząc wypowiedziane słowa. Był tam, był w Buenos Aires tej cholernej nocy, na tym cholerny przyjęciu. Widział wszystko, całą egzekucję. Na samą myśl o tym przeszedł mnie dreszcz.

– Javiera osądził Scott. Mam wrażenie, jakby to było wieki temu. Skupmy się na tym, co jest tu i teraz – odparłam lodowatym głosem. – Zabieram córkę. Jeśli mi się sprzeciwisz, ja osądzę ciebie.

– Dokładnie tak. – Mężczyzna wydawał się zadowolony, co kompletnie nie pasowało do zaistniałej sytuacji. – Taką Chloe chciałem z ciebie wydobyć: bezwzględną, zimną, bez granic. – Westchnął teatralnie. – Niestety, Coralie zostaje tutaj. Możesz wyjechać bez niej albo zostać z nią tutaj.

Otworzyłam szerzej oczy ze zdziwienia. I w końcu dowiedziałam się, po co trzymali tu dziewczynkę: była kotwica, która miała mnie zatrzymać w Rosario. Miałam do wyboru albo zostać alfą z rodziną, albo wyjechać i utracić to, co dopiero odzyskałam. Jakby się nad tym dłużej zastanowić, to w sumie nie miałam żadnego wyboru.

– Nie masz dosyć, Pablo? – zapytałam w końcu, uśmiechając się krzywo. – Nie masz rodziny. Nie masz przyjaciół. Oni... – wskazałam dłonią na brunetów stojących po dwóch jego stronach – pewnie nawet cię nie lubią. Są tu, bo im płacisz, więc nie mogą odejść. Całe życie byłeś psem na łańcuchu Lewisów. Nawet teraz, kiedy Scott nie żyje, słuchasz się jego rozkazów, jakby od tego zależało twoje życie. Ludzie z Buenos Aires też nie byli twoimi przyjaciółmi, nie byli też twoją rodziną. Są martwi. – Mówiąc to, zaakcentowałam ostatni wyraz. – Daję ci na tacy ostatniego z Lewisów, jedyne prawowitego spadkobiercę tego gówna, a ty uparcie słuchasz Scotta. Rządzi tobą martwy skurwiel. Co z tobą nie tak?

Mężczyzna zacisnął zęby i przez moment wpatrywał się we mnie z zaciętą miną. Musiałam trafić w jego czuły punkt, ponieważ zapanowała cisza. Słyszałam głośnie bicie swojego serca, które nie miało zamiaru zwolnić. Nie pomagały mu dwa pistolety, wycelowane w jego stronę.

– Dziecko zostaje – odezwał się zdecydowanym tonem Dominguez.

– Od zawsze towarzyszy mi śmierć – zaczęłam. – Moja matka, chłopak, Victoria Lautner, Javier, Ander, Conor, Scott – wyliczyłam, wbijając spojrzenie w twarz mężczyzny. – Poczekaj chwilę, a dołączysz do tej listy.

Odwrociłam się na pięcie i weszłam po schodach, mijając skupionego Antonia. Kierowałam się w stronę budynku, kiedy głośny huk nagle zatrzymał mnie w miejscu. Spojrzałam w prawo, na ścianę, w której pojawiła się dziurka. *No chyba nie...*, pomyślałam, po czym powoli odwróciłam się w kierunku Pabla, który z wielkim uśmiechem na ustach trzymał w ręku pistolet jednego

z ochroniarzy. Serce stanęło mi w gardle, jednak nie zamierzałam odpuścić. Nie teraz, kiedy miałam o kogo walczyć. Miałam ich oboje.

– Żarty sobie robisz? – warknęłam, rozkładając ręce na boki. – Jesteś uważany za jedną z najgroźniejszych osób, a nawet nie potrafisz celnie trafić? – zadrwiłam. Wciąż wypełniała mnie złość, która przysłaniała mi instynkt samozachowawczy. Byłam jak tykająca bomba, gotowa wybuchnąć, niszcząc siebie i wszystkich dookoła.

Na twarzy Domingueza pojawił się złowrogi uśmiech, a po chwili mężczyzna ponownie skierował w moją stronę broń.

– Pablo – rzucił ostrzegawczo Antonio.

W tym czasie przez drzwi przeszedł zdezorientowany Louis, zapewne zaniepokojony odgłosem wystrzału, a potem... Wszystko działo się naprawdę szybko. Louis, widząc pistolet, bez wahania wyciągnął swój i wycelował w jednego z brunetów. Ten wyjął swoją broń i skierował ją w stronę Antonia. Antonio zareagował od razu, mierząc do drugiego bruneta. Ten zaś wymierzył w Louisa. Te kilka sekund zdezorientowało Pabla, więc mogłam wydobyć zza paska swoją broń, którą po przyjeździe tu wręczył mi Louis, i wycelować w starszego skurwiela.

– Nie prowokuj mnie, Dominguez – odezwałam się spokojnie, mimo że byłam zaniepokojona zaistniałą sytuacją.

Pablo zamrugał kilka razy, po czym spojrzał zaskoczony na swojego przyjaciela.

– Kto mierzy do alfy, mierzy do mnie – powiedział hardo Antonio, odpowiadając na jego spojrzenie.

Chyby nigdy nie zrozumieję systemu wartości, którym się kierowali. Głupi tytuł był ważniejszy od wieloletniej przyjaźni, a ja, mimo że zostałam alfą, ciągle byłam marionetką w rękach zmarłego Scotta, który nawet w grobie posługiwał się Pablem.

– Dałem ci wybór, Rivera! – usłyszałam donośny głos. – Nie postawiłem cię pod ścianą, miałaś szansę wybrać. Ale ty się ode mnie tak po prostu odwróciłaś! Trochę szacunku.

Zacisnęłam mocniej zęby, kręcąc głową. Był niemożliwym skurwielem, myśląc, że jego propozycja była wyborem.

– Zabawne, że mówisz o szacunku, celując do alfy – wysyczałam. – Zabieram córkę i oddaję przywództwo Louisowi. Komu się to nie podoba, niech zrobi krok w przód, a z chęcią pomogę mu zmienić zdanie.

Kiedy nie dostrzegłam żadnego ruchu, cofnęłam się w stronę wejścia, po czym weszłam do budynku i od razu skierowałam się do pokoju, w którym zostawiłam Matta z Coralie. Gdy tylko przekroczyłam próg pomieszczenia, natrafiłam na niepewne spojrzenie blondyna.

– Zbieramy się – mruknęłam i zrobiłam głęboki oddech. – Wszyscy.

Chłopak kiwnął głową, po czym ruszył do niczego nieświadomej dziewczynki.

– Mamy problem – usłyszałam od strony drzwi, w których pojawił się Louis; jego twarz nie zwiastowała niczego dobrego.

Przeczesałam włosy dłonią, przeklinając pod nosem. Nie było dobrze. Nie miałam pojęcia, czego się spodziewać.

– Czy chociaż raz możesz przyjść z jakąś dobrą informacją? – Pokręciłam głową, czując się przytłoczona.

– Rosario to same problemy – stwierdził napiętym głosem Louis. – Zostawcie córkę opiekunce, zabierze ją stąd na lotnisko, tam podstawią samolot Scotta. My musimy dokończyć tu pewne sprawy.

Wyszłam na korytarz, słysząc za sobą kroki. Wiadomość od Louisa, tak jak podejrzewałam, nie oznaczała niczego dobrego: dostali nakaz zatrzymania nas, a więc szła na nas cała pieprzona zgraja Pabla. Nie mogliśmy narażać niewinnych. Wiedziałam, co muszę zrobić, jednak nie napawało mnie to radością.

– Coralie będzie bezpieczna? – upewniłam się, zerkając przez ramię na Louisa.

Czy pozostawienie córki obcej dla mnie kobiecie było dla mnie proste? Ani trochę. Odzyskałam ją raptem kilkadziesiąt sekund temu i teraz ponownie musiałam dać ją sobie odebrać, z tą różnicą, że miałam do niej wrócić, kiedy tylko Louis zostanie alfą. Wtedy już nigdy nie zamierzałam jej opuścić.

– Ta kobieta opiekowała się nią przez dziesięć miesięcy – usłyszałam w odpowiedzi. – Nie skrzywdzi jej. Zaczeka na nas w samolocie.

Pokiwałam głową, biorąc głęboki wdech. Nikt nie spodziewałby się, a już na pewno nie Pablo, że rozdzielimy się z córką. Możliwe, że myślał, że będę strzegła jej jak oka w głowie. I choć chciałam, nie mogłam. Była bezpieczniejsza z dala od nas.

– On w ogóle wie, jak z tego strzelać? – odezwał się ponownie Louis, zerkając na Matteo, który trzymał w ręce pistolet.

Szczerze? Nie miałam pojęcia.

– Zatrzymajmy się, to chętnie zrobię ci pokazową dziurę w czaszce – odpowiedział arogancko Matt.

Przewróciłam oczami, słuchając dziecinnej wymiany zdań blondynów. Chyba nie rozumieli, że grali teraz w jednej drużynie, a realnym zagrożeniem był dla nas Pablo.

– Naprawdę będziemy strzelać? – Louis chyba się denerwował, bo zadawał pytania jedno po drugim.

W tym samym momencie usłyszeliśmy odgłosy wystrzałów. Wstrzymałam powietrze, a moje serce na ułamek sekundy się zatrzymało. Z przerażeniem spojrzałam na chłopaka, starając się okiełznać swoje emocje.

– Jeśli chcesz odpowiadać na to dialogiem, nie krępuj się. Pozdrów ode mnie moją mamę, gdy ją spotkasz – mruknęłam, czując się coraz mniej pewnie.

To nie mogło się dobrze skończyć.

Rozdział 26

CHLOE

Wiecie, jak łatwo rozpętać wojnę? Ja właśnie się tego dowiedziałam i doświadczyłam na własnej skórze.

Kiedy wpadliśmy na ludzi Pabla, nie było czasu na zastanawianie się. Mężczyźni ostrzelali połowę korytarza, gdy nas znaleźli, dlatego każde z nas rozbiegło się w różnych kierunkach, próbując nie dać się złapać albo, co gorsza, zabić.

Przekląłam pod nosem, zbiegając po schodach w stronę kolumn postawionych przy wejściu. Zacisnęłam zęby, słysząc strzały na piętrze. Zastanawiało mnie, kto strzelał. Nie musiałam jednak długo się nad tym głowić, bo na górę wbiegł Louis, a on raczej nie strzelałby jako pierwszy.

Z głośnym westchnieniem pognałam do ogrodu; to tam ostatni raz widziałam Pabla. Poprawiałam kamizelkę, którą Louis zabrał z jakiegoś magazynu. Nie należała ona do najwygodniejszych, szczególnie że włożyłam ją pod białą koszulę blondyna. Zatrzymałam się przy krawędzi ściany, ściskając pistolet w dłoni. Cholera, żaden ze mnie Rambo. Ręce trzęsły mi się strasznie, a po plecach spływała strużka potu. Robiłam największe głupstwo, stając jako amatorka naprzeciwko armii wyszkolonych morderców. Jak to szło? Kiedy nie wiesz, co robisz, udawaj, że znasz się na tym najlepiej na świecie...? Czy jakoś tak. W takiej sytuacji właśnie się znajdowałam i starałam się wmówić sobie, że wszystko gra i za kilka minut będzie po wszystkim: zabijemy Pabla, Antonio pozwoli przekazać przywództwo Louisowi i będziemy mogli opuścić to cholerne miejsce jak najszybciej.

Zadrżałam, słysząc huk. Minęła zaledwie sekunda, zanim okno na piętrze zostało rozbite, a potem ktoś przez nie wyleciał i upadł kilka metrów ode mnie. Głośno wciągnęłam powietrze, cofając się pod ścianę. Mężczyzna nie żył, o czym świadczyła kałuża krwi, która powoli zaczęła pojawiać się dookoła niego. Odwróciłam wzrok i ruszyłam przed siebie, starając się opanować drżenie rąk. To mógł być Matteo. To mógł być Louis. Nie miałam wielu osób po swojej stronie, stąd każda z nich była na wagę złota.

– Szybciej! – wydarł się Louis, a po chwili rozbrzmiała seria strzałów.

Przystanąłam, słysząc krzyk dobiegający z piętra. Dopiero teraz do mnie dotarło, jak wielkie niebezpieczeństwo podjęliśmy. Nie byliśmy wyszkoleni, broń w dłoni trzymałam kilka razy w życiu, a gdy zdarzyło mi się strzelać, to jedynie do nieruchomych obiektów. To była głupota, jednak tłumaczyłam sobie, że nie mieliśmy innego wyjścia. Jeśli chcieliśmy stąd uciec razem z Coralie, musieliśmy być pewni, że będziemy bezpieczni. A jak lepiej zapewnić bezpieczeństwo niż poprzez zabicie głównego zagrożenia?

– Stój! – usłyszałam za sobą.

Szlag by to!, przekląłam w myślach i zacisnęłam ze złości zęby. Zamyśliłam się i straciłam czujność.

– Odwróć się, Chloe.

Powoli ruchem wykonałam rozkaz mężczyzny, w panice nie wiedząc, jak inaczej postąpić. Nigdy nie czułam takiej nienawiści jak w tym momencie, gdy spojrzałam na zadowolonego Pabla. Chciał zabrać mi wszystko, nie zważając na nic. Na to nie mogłam mu pozwolić.

– Trzech na jedną? – zapytałam, mierząc wzrokiem ochroniarzy Pabla.

Mężczyzna tylko wykrzywił usta w drwiącym uśmiechu.

– Wiedziałaś, na co się piszesz, kiedy zaczęłaś tę wojnę – usłyszałam w odpowiedzi. – Chyba nie myślałaś, że ją wygrasz?

Starałam się nie reagować impulsywnie, jednak natarczywe emocje bardzo mi to utrudniały. Czułam, jak w środku wszystko pali mnie żywym ogniem, domagając się śmierci tego człowieka. Przez moment mnie to przerażało, szybko jednak dotarło do mnie coś, co cały czas miałam z tyłu głowy, jednak tego do siebie nie dopuszczałam.

Chloe Rivera umarła podczas pożaru w Buenos Aires. Chloe, która się wtedy pojawiła, odrodziła się jak feniks z popiołu, jednak władzę przejęła jej mroczna strona, ta, która wcześniej była trzymana w ryzach.

Kim teraz tak właściwie byłam?

– Już wygrałam – odpowiedziałam spokojnie, patrząc mu w oczy. – Scott nie żyje.

Na twarzy Pabla pojawił się wyraz niezrozumienia i zdezorientowania. Mężczyzna wpatrywał się we mnie, jakby starał się zrozumieć, jednak nie szło mu to chyba zbyt dobrze. A czas jakby się zatrzymał...

– Scott zginął w pożarze, w swojej rezydencji – odpowiedział pewny siebie, przyglądając mi się uważnie. – Wybuch wadliwej bomby, czysty przypadek. Nie wygrywa się dzięki przypadkowi.

– Nie – parsknęłam cicho, kręcąc głową. *Kurwa, kurwa, kurwa, Rivera, milcz!* – Scott zginął od kuli – odparłam mimo karcących myśli. Nie miałam powodów, aby kłamać. Tym bardziej w obecnej sytuacji, kiedy stałam przed nim sama, będąc na celowniku dwóch jego ludzi.

– Kłamiesz – syknął z wahaniem w głosie.

– Kiedy Lewis cię potrzebował, zapewne przechadzałeś się po ogrodzie albo zrywałeś owoce w sadzie – prychnęłam z szaleńczym uśmiechem na ustach.

Było mi już naprawdę wszystko jedno. Najważniejsze, że moja córka była bezpieczna; Matteo i Louis wiedzieli, którędy szybko stąd uciec. A ja miałam dosyć, zmęczenie psychiczne wypełniało każdą cząstkę mnie. Czasami żałowałam, że udało mi się wydostać z rezydencji w Argentynie, w przeciwnym razie miałabym już święty spokój.

Spojrzałam kątem oka na lewe skrzydło budynku i dostrzegłam wychylającą się zza rogu blondwłosą głowę.

– Relaksowałaś się i żyłaś spokojnie w momencie, kiedy Scott miał wycelowany w siebie pistolet.

Gdy Pabla zaczęła ogarniać wściekłość, mięśnie jego szczęki wyraźnie się napięły, a oczy niebezpiecznie mu zabłysnęły. Zrobił kilka kroków w moim kierunku, wyciągając swoją broń.

– Nie próbowałaś go ratować? – zapytał, kiedy zatrzymał się w odległości dziesięciu metrów.

Przeszedł mnie dreszcz.

– Ratować? – Zaśmiałam się kpiąco. – Pablo, ja byłam tą, która trzymała ten pistolet. – Moje słowa sprawiły, że twarz mężczyzny stężała. Kopałam sobie grób i choć wiedziałam, że powinnam przestać, coś mi na to nie pozwalało. Mogłam uwolnić prawdę, która zabijała mnie od środka. – Ja go zastrzeliłam, Pablo. To ja pozbawiłam go... – nie dokończyłam, bo poczułam, jak brakuje mi powietrza.

Siła odrzutu spowodowała, że upadłam na ziemię. Ból głowy po spotkaniu z twardym podłożem pojawił się nagle i stał się strasznie uciążliwy. Widziałam nad sobą tylko niebo, ale moje powieki stawały się coraz cięższe. Walczyłam o to, by ich nie zamknąć, wkładając w to całą siłę, która mi została.

Straciłam ich. Straciłam ich oboje.

Jak to możliwe, że w jednym momencie przestało zależeć mi na wszystkim?

Otworzyłam oczy, jednak nie czułam już bólu. Złapałam się za głowę, upewniając się, że naprawdę nie boli. Dotknęłam okolic mostka, w który wymierzona została kula odbierająca mi oddech. Nic. Zero bólu, zadrapań, siniaków. Nic.

Zmarszczyłam brwi, rozglądając się dookoła. Tu też nie było nic. To jedno słowo idealnie określało wszystko. Po prostu nic. Wzięłam głęboki wdech, rozglądając się. Gdzie byłam? Co tu robiłam?

– Chloe! – zawołał ktoś, a po chwili do moich uszu dobiegł czyjś śmiech, powodując u mnie paraliż.

Wstrzymałam oddech, marszcząc brwi. Niemożliwe. Obejrzałam się za siebie i natrafiłam wzrokiem na twarz, której nie miałam okazji widzieć od siedmiu lat. Spojrzałam w zielone, ciepłe od szczerzego uśmiechu oczy i poczułam się jak w domu.

– Mama? – szepnęłam zdezorientowana, nic nie rozumiejąc. Coś było nie tak, ona przecież nie żyła... I w tym momencie poczułam dziwny chłód. – Umarłam?

Kobieta delikatnie się uśmiechnęła, ciągle nie spuszczając mnie z oczu.

– Chloe, nie! – Krzyk dotarł do nas nagle z każdej strony, przez co zaskoczona rozejrzałam się dookoła. Ten głos też znałam. – Nie, nie, nie!

Szatynka spojrzała lekko w górę, wsłuchując się w przeraźliwy dźwięk. Przymknęła powieki, robiąc głębszy wdech.

Wpatrywałam się w nią, czując, jak ogarnia mnie panika. To nie mogło być prawdą. Jej tu nie było, nie żyła. Więc dlaczego ją widziałam? I dlaczego, mimo całej tej sytuacji, miałam ochotę ją przytulić i już nigdy nie puścić?

– Śmierć – westchnęła cicho Lily, otwierając oczy i wbijając je w moje. – To jeszcze nie twój czas, kochanie. Masz wiele do zrobienia. Słuchaj serca i postępuj w zgodzie z nim.

Zmarszczyłam brwi, czując się zagubiona. Co tu się, do cholery, dzieje?, pomyślałam.

– Chloe, nie! Nie zostawiaj mnie!

W tym momencie poczułam natarczywy ucisk w klatce piersiowej, który ponownie nie pozwolił mi oddychać. Starłam się złapać choć odrobinę powietrza, jednak nie byłam w stanie.

– Nie zostawiaj mnie. Nie zostawiaj mnie z nią samego!

I wtedy uświadomiłam sobie, że nie pierwszy raz słyszę te słowa.

Otworzyłam szeroko oczy, wdychając do płuc tyle powietrza, ile tylko były w stanie pomieścić. Rozejrzałam się spanikowana dookoła, nie wiedząc, co się dzieje. Byłam tak strasznie zdezorientowana i przerażona. Kilka metrów dalej dostrzegłam Louisa, który mierzył do rozbrojonego, leżącego na ziemi Domingueza. Mężczyzna, mimo zagrożenia ze strony blondyna, to we mnie wpatrywał się nienawistnym wzrokiem.

– Nigdy więcej tego nie rób – usłyszałam głos Matteo i zdałam sobie sprawę, że jestem przytulana. – Nigdy więcej nie próbuj nas zostawiać.

Zmarszczyłam brwi, nieznacznie kiwając głową. Ciągle nie rozumiałam: byłam przez moment martwa czy nieprzytomna? Mój mózg wykreował mi tak rzeczywisty obraz, że miałam nadzieję, że to mi się nie przyśniło. Widziałam ją, ani trochę się nie zmieniła. Mówiła do mnie. I słuchała. Wsłuchiwała się w krzyk...

Przeniosłam spojrzenie na twarz Matteo, który z przerażaniem w oczach nie pozwalał odsunąć mi się ani na milimetr. To on krzyczał. Jednak nie po raz pierwszy wypowiadał te słowa. To samo mówił w noc balu, kiedy jego serce o mała nie wysiadło z przerażenia spowodowanego moim zniknięciem w jego śnie. Chociaż „zniknięcie” może być złym słowem. Ja w tamtym śnie umarłam i kilka sekund temu prawie znowu to zrobiłam.

I nagle jakbym doznała oświecenia. Adrenalina ponownie wypełniła mój organizm na myśl o jednym człowieku.

Przykładając dłoń do mostka, który niemiłosiernie bolał, spojrzałam z nienawiścią na Pabla. Strzelił do mnie. Skurwiel do mnie strzelił.

– Pieprzony... – mruknęłam pod nosem, dźwigając się na nogi, po czym najpierw rozpięłam koszulę, a później zrzuciłam z siebie kamizelkę kuloodporną.

Dominguez, widząc to, zacisnął mocniej zęby. Nie wiedział, naprawdę chciał mnie w tamtym momencie zabić.

Rozejrzałam się dyskretnie, lecz nie dostrzegłam nikogo oprócz naszej czwórki. Gdzie byli ludzie Pabla?

– Antonio przekonał innych, że Pablo jest skończony – wyjaśnił Louis, jakby czytał mi w myślach. – Zaatakował alfę.

Pokiwałam lekko głową na znak, że rozumiem. A więc Pablo sam wydał na siebie wyrok i sprawił, że ludzie się od niego odwrócili. Zaatakował mnie, co było czynem nie do pomyślenia. I to był ten moment, kiedy musiałam podjąć decyzję. Nie miałam wielkiego wyboru: albo on, albo ja; albo wieczny strach, albo upragnione bezpieczeństwo; albo ciągła niepewność, albo pożądany spokój.

Miejsce w piekle już i tak na mnie czekało.

Podniosłam z ziemi pistolet i sprawdziłam magazynek. Ostatni pocisk. Przymknęłam na moment powieki, biorąc głęboki wdech. „Słuchaj serca i postępuj w zgodzie z nim”, przypominałam sobie słowa mamy. Otworzyłam oczy, po czym podeszłam do leżącego kilka metrów dalej Pabla i stanęłam obok niego. Jego twarz nie wyrażała nic. Przez dłuższy moment tylko się w siebie wpatrywaliśmy.

– Scott osądził Javiera – zaczęłam z nieprzyjemną chrypką w głosie. – Ja osądzę ciebie.

Nie jestem mordercą. To instynkt samozachowawczy. On albo my.

– Chloe... – Głos Matteo na moment wybił mnie z transu.

Spojrzałam w jego kierunku, spodziewając się dostrzec spojrzenie, którym mówiłby mi, że go zawiodłam. Nie napotkałam jednak oczu chłopaka; te były wpatrzone w twarz Louisa, który mierzył Matteo wzrokiem. Wyglądali, jakby rozmawiali, porozumiewając się w myślach. Zacięty wyraz twarzy młodego Lewisa sprawiał, że wahanie Matta powoli zaczęło ustępować. Cortez przeniósł na mnie wzrok, a po chwili nieznacznie skinął głową. Zamrugałam kilka razy, starając się zrozumieć, co właśnie się wydarzyło: dostałam aprobatę, staliśmy po jednej stronie. Wsparcie – to była prawdziwa siła.

– Pablo Dominguez – powiedziałam nieco głośniejszym głosem, dostrzegając obojętnego Antonia, który pojawił się w otoczeniu kilkunastu mężczyzn. – Strzeliłeś do alfy. To niewybaczalne, dlatego poniesiesz karę. – Zamyśliłam się na moment, zaczynając układać sobie wszystko w głowie. Nie miałam na to siły, ale tylko w taki sposób istniała szansa, by się od nich uwolnić. – Jestem alfą! – krzyknęłam w końcu, rozglądając się po twarzach mężczyzn. Jakim sposobem te słowa przeszły mi przez usta? Nie miałam pojęcia. – Jestem alfą do momentu, aż ten człowiek nie wyda ostatniego tchnienia. Potem przywództwo przejdzie na osobę, która od początku powinna zajmować to miejsce. Ostatni z rodziny Lewisów przejmie rodzinny interes i nikt się temu nie sprzeciwi.

Louis pokiwał głową na moje słowa, za to Antonio przyglądał mi się przez moment. Potrzebowałam tylko jego słowa.

– W momencie śmierci tego człowieka alfą zostanie Louis Lewis.

Uśmiechnęłam się pod nosem, słysząc zgodę Rodrigueza. Niczego więcej w tym momencie nie potrzebowałam do szczęścia. Czułam, jak w moich oczach wzbierają łzy. Wolność kosztowała mnie jedną śmierć. Jeden dodatkowy grzech. Jedno nazwisko dopisane do listy.

Powoli podeszłam do mężczyzny, teraz klęczącego na ziemi, wiedząc, co powinnam zrobić. Louis mówił, że za drugim razem jest łatwiej. Czy było? Nie. Byłam po prostu głęboko przekonana o słuszności tego czynu bardziej niż za pierwszym razem, kiedy pozbawiałam życia Scotta.

– Pablo – mruknęłam cicho, nachylając się do mężczyzny i nieprzerwanie się w niego wpatrując. Był takim samym potworem jak Scott. – Pozdrów ode mnie diabła, kiedy wrócisz tam, skąd przyszedłeś. – Odsunęłam się lekko, wyciągając przed siebie rękę z naładowaną bronią.

Zapanowała cisza. Trwała kilka sekund, w które włożyłam całą swoją nienawiść do tego człowieka. Aż nagle ciszę przerwał głuchy dźwięk.

Strzeliłam.

Rozdział 27

CHLOE

Stanęłam przed wielkimi drzwiami, przez moment wpatrując się w ich strukturę. Byłam w domu. Tylko dlaczego to nie sprawiało mi radości? Dlaczego nie mogłam cieszyć się pierwszymi chwilami pełnej wolności?

Bo w końcu byłam wolna. Ja, moja rodzina, przyjaciele. Po kilku ciężkich i w większości nieświadomych ryzyka latach pozbyłam się rodziny Lewisów z naszego życia i po raz pierwszy nie czułam z ich strony zagrożenia. Louis nie był taki sam jak jego krewni. Teraz wszystko miało wyglądać inaczej.

I wyglądało. Wszystko się zmieniło, w tym po raz kolejny ja. I teraz znowu nie wiedziałam, kim jestem. Dla zwycięstwa pozbawiłam życia człowieka – on przede mną klęczał, a ja z zimną krwią pociągnęłam za spust. Kim była osoba, która to zrobiła?

– W porządku? – Głos Matteo przerwał ciszę, wyrывая mnie z zamyślenia. – Nie przejrzymy tych drzwi na wylot, musimy je otworzyć i przez nie przejść.

Westchnęłam, słysząc lekką irytację w tonie blondyna. Nie miałam mu tego za złe, bo przez ostatnie kilkanaście godzin wpadałam w wir myśli tak często, że praktycznie byłam wyłączona ze świata. Jednak ostatnio wydarzyło się tak wiele, że nie potrafiłam wszystkiego sobie poukładać. I, co gorsza, nie byłam gotowa na pytania, które bez wątpienia miały pojawić się zaraz po przestąpieniu progu.

Przeniosłam spojrzenie na Coralie, która niczego nieświadoma spała w foteliku niesionym przez Matteo. Gdyby tylko potrafiła mówić i wytłumaczyć wszystkim, co się stało, za mnie... Nie byłam materiałem na matkę. Po tylu miesiącach udręki i zamartwiania się, że ją straciłam, pierwszy raz wołałabym, aby jej pojawienie się było złym snem.

Wzięłam głęboki wdech i nacisnęłam klamkę, pchając tym samym płytę. Niepewnie weszłam do środka, nie czując się jednak, jakbym wróciła do domu. Nie minęło dużo czasu, kiedy do naszych uszu dotarły odgłosy kroków. Zza zakrętu wypadła roześmiana Vivien, ciągnąc za rękę Aleca, który z zaangażowaniem jej coś tłumaczył. Kiedy nasze oczy się spotkały, zapanowała dziwna cisza. Przyjaciółka zmarszczyła brwi, prześlizgując się spojrzeniem po mnie, Matteo, aż w końcu po dziecku i ponownie po mnie. Miałam wrażenie, że to wszystko trwało wieki.

– Chloe! – W głosie dziewczyny zabrzmiała nutka ulgi i już po chwili niebieskowłosa rzuciła mi się w ramiona.

Drgnęłam lekko, kiedy Vivien zamknęła mnie w uścisku, tym samym podrażniając wielkiego siniaka tuż przy mostku. Jęknęłam cicho, starając się nie dać po sobie nic poznać. Przyjaciółka odsunęła się lekko, lustrując wzrokiem moją twarz. Wymusiłam uśmiech, zaczynając się czuć osaczana. Potrzebowałam przestrzeni.

– Idziecie czy nie? – dobiegł nas głośny krzyk z salonu, na co zagryzłam wnętrze policzka.

Zaczęło się. Nie musiałam długo czekać, bo kilka sekund później w holu znalazły się dwie kolejne osoby.

– Zabiję was – rzucił na powitanie Zack, kręcąc z niedowierzaniem głową. Spojrzał na Aylyn, która dźgnęła go chwilę wcześniej w bok, a potem uśmiechnęła się do nas przeprasząc i zgromiła chłopaka wzrokiem.

Czułam się nieswojo, patrząc, jak kolejne osoby pojawiają się w pomieszczeniu. Rezydencja była wielka, więc dlaczego wszyscy znaleźliśmy się jednym miejscem? Powoli zaczęłam mieć wrażenie, że brakuje mi powietrza. Jednak dopiero w momencie, kiedy mój wzrok padł na wchodzącego do holu Ethana, wszystko nasiliło się sto razy bardziej.

– Nelly – usłyszałam tuż przy uchu, kiedy spanikowana wpadłam w ramiona brata.

I wtedy wszystko puściło. Byłam w *domu*. Drugie imię, którego używał wobec mnie tylko Ethan, sprawiło, że ponownie mogłam oddychać. Tak niewiele znaczący gest, a działał tak wiele.

Uspokojona odsunęłam się lekko od brata, ciągle jednak czułam jego ramię, którym mnie obejmował. Spojrzałam po przyjaciółach, którzy ze zdezorientowanymi minami przyglądali się sobie wzajemnie, a następnie wbiłam wzrok w Matteo, który lekko się uśmiechał, jednak w jego oczach szalała niepewność.

– Kochani, ja wiem, że wy wszystko robicie szybko i bez naszej wiedzy – usłyszałam głos Vivien, która zmarszczyła delikatnie brwi, szukając odpowiednich słów. – Ale to – wskazała dłonią w stronę śpiącej dziewczynki – nie powstaje w trzy dni.

Ben prychnął pod nosem ze śmiechu, kiedy Vee skomentowała obecność niespodziewanego gościa. Sama dziewczyna wydawała się zmieszana, kiedy zorientowała się, jak zabrzmiały jej słowa, a taki stan u panny Abalay był rzadkością.

Cicho wzdychając, wyswobodziłam się z uścisku Ethana i spokojnym krokiem podeszłam do Matta, po czym stanęłam u jego boku. Przymknęłam powieki, czując palce jego dłoni, które wsunęły się między moje.

– Panie i panowie. – Głos blondyna nie zadrżał, jednak pojawiła się w nim nutka napięcia. – Coralie Cortez.

Od godziny siedziałam zamknięta w pokoju, starając się pozbierać po wydarzeniach w Rosario. Ameryka Południowa stała się moim przekleństwem. Jęknęłam cicho, przykładając do rozciętej rany wacik nasączony spirytusem; lepiej późno niż wcale. Westchnęłam, spoglądając w róg pokoju, gdzie znajdował się dowód na to, że wszystkie moje rany nie były złudzeniem.

– Nigdy nie pozwól strzelać do siebie, gdy masz kamizelkę. Cholernie boli. Bez kamizelki też lepiej nie. Najlepiej w ogóle nie powalaj do siebie strzelać – mruknęłam, patrząc na śpiącą dziewczynkę. Dopiero po chwili zdałam sobie sprawę z sensu wypowiedzianych słów. – Genialna matczyna rada. W takim tempie zacznę opowiadać jej o technikach samoobrony, gdy skończy cztery lata – dodałam.

Nie byłam przygotowana na dziecko. Kiedy nosiłam ją pod sercem, instynktownie wyczuwałam, co się dzieje i jak powinnam postępować. Od tego momentu minęło tak wiele czasu i wydarzyło się tyle, że stałam się całkiem inną osobą. Troska i opiekuńczość, które nigdy nie były moją mocną stroną, praktycznie znikły. Przez długi czas znałam tylko walkę o przetrwanie i przemoc. Jak miałam zająć się dzieckiem, sama będąc w rozsypce?

Kiedy usłyszałam cichy dźwięk, westchnęłam pod nosem i odłożyłam wacik na stolik. Spokojnym krokiem podeszłam do fotelika, w którym właśnie wybudzała się Coralie. Skrzywiłam się lekko, widząc niezadowoloną minę dziewczynki.

– Ośliń mnie, a cię oddam – mruknęłam, biorąc dziecko na rękę.

Przeniosłam się na łóżko i ułożyłam się na nim na plecach, po czym posadziłam córkę na swoich biodrach tak, że opierała się o moje zgięte w kolanach nogi. Coralie obdarzyła mnie dziwnym wzrokiem, albo taki mi się po prostu wydawał. Cóż, dzieci nie miały instrukcji obsługi.

– No tak, z tobą jeszcze o tym nie rozmawiałam. – Westchnęłam i przełknęłam z trudem ślinę. – Hej, jestem twoją mamą. – Uśmiechnęłam się słodko, jednak w tym samym momencie

dziewczynka zaczęła płakać. – Widzę, że jesteś wniebowzięta.

– Może gdyby ton twojego głosu nie wskazywał, że nie wiesz, co robisz, byłoby lepiej.

Spojrzałam w stronę drzwi, w których stał mój ojciec. Chyba jeszcze nie zdążyłam wspomnieć, że był to człowiek-włamywacz: otworzy wszystko tak cicho, że nawet nie zauważysz. Tak samo było w tym momencie. A sytuacji nie polepszał fakt, że nie było go w holu, gdy wróciliśmy, bo razem z Carmen był na spotkaniu firmy i najwyraźniej dotarł tu dopiero teraz.

– Wolałabym jej nie okłamywać już pierwszego dnia w domu – odparłam. – Ale taka jest prawda... Nie mam pojęcia, co robić.

– Gdy urodził się Ethan, też nie wiedziałem – oznajmił, a ja, słysząc, że zapowiada się na rodzinną historię sprzed wielu lat, skrzywiłam się lekko. Ojciec to zauważył, więc wycofał się z tematu. – Ona wyczuwa więcej, niż może ci się wydawać. I, jak widzisz, nie jest zadowolona z twojego przerażenia.

Prychnęłam pod nosem, przez co dziewczynka lekko podskoczyła, robiąc zdumioną minę. Ta jednak była inna od poprzedniej, aż przekształciła się w nieśmiały uśmiech.

– Nawet dziecko się ze mnie śmieje – jęknęłam. – Pomnika matki roku mi nie postawią.

– Pomóc? – usłyszałam po chwili.

Chryste, dlaczego ja wcześniej o tym nie pomyślałam?, skarciłam siebie w duchu. Nie o tym, aby oddać córkę pod opiekę komuś innemu, ale o tym, że to przecież jego wnuczka, nowy członek rodziny. Musiałam wyrzucić z siebie egoizm, który zazwyczaj był moim przyjacielem, lecz teraz, zamiast pomagać, mógł tylko szkodzić.

– Jasne. – Uśmiechnęłam się delikatnie, przekazując dziewczynkę swojemu ojcu.

Od razu zauważyłam różnice w naszym zachowaniu: między nim a dzieckiem nie było żadnego dystansu, tak jak działało się w mojej relacji z nią; u niego wszystko wydawało się prostsze, łatwiejsze. Przymknęłam powieki, nie potrafiąc sobie z tym poradzić. *Oby Matteo miał do niej lepsze podejście, bo inaczej będzie przeklinać nas do końca życia*, pomyślałam.

– Jak ma na imię?

Lekko zaskoczona spojrzałam na Williama, który z fascynacją w oczach wpatrywał się w dziewczynkę. Nie wiedziałam, co powiedzieli mu na dole, ale nie wydawał się zaskoczony jej obecnością. Przynajmniej tłumaczenia miałam z głowy.

– Coralie – mruknęłam, niezbyt zadowolona z faktu, że Scott dzięki naszemu wspólnie spędzonemu czasowi wiedział nawet, jak moim zdaniem brzmiało najpiękniejsze kobiece imię.

– Przynajmniej nie zostałam kwiatkiem – zwrócił się do dziewczynki, na co zaśmiałam się pod nosem.

Wybacz, babciu, ale tradycja nie została kontynuowana ani przez twoją córkę, ani wnuczkę, dodałam w myślach.

– Zejdź do nich. Matteo potrzebuje rzecznika prasowego, sam nie nadaża z odpowiadaniem na pytania waszych znajomych – oznajmił ojciec, na co tylko zacisnęłam zęby, kiwając lekko głową.

Zostawiłam w pokoju Williama Riverę, dziadka, który zdawał się zafascynowany wnuczką. Powoli zeszałam po schodach, po czym przeszłam przez hol, kierując się w stronę salonu.

– Mamuśka! – zawołał radośnie Ben.

Skrzywiłam się, przypominając sobie, że nazwał mnie identycznie, kiedy wróciłam z Londynu. Wtedy się mylił, teraz miał rację.

– Gdzie mała? – Matteo wydawał się dziwnie poruszony nieobecnością Coralie w moim towarzystwie.

– Dziadek właśnie się nią zachwyca. Będzie najbardziej rozpieszczoną wnuczką świata – mruknęłam, ciągle nie mogąc się przyzwyczaić do rozmawiania o dziecku.

– Powinniśmy zaśpiewać *We Are the Champions* czy coś? – odezwał się po raz kolejny Ben, a ja na jego słowa jedynie przewróciłam oczami, ignorując zaczepkę.

Nadal byliśmy pokłóceni, chyba. Nie rozwiązaliśmy sytuacji, która rozwinęła się w domku letniskowym. Na pytanie: „Czy nadal jesteśmy przyjaciółmi?”, odpowiedziała mi wtedy cisza.

– Jak się czujesz?

Przeniosłam spojrzenie na Logana, wzruszając ramionami.

– Zabiłam, żadna nowość. – Sapnęłam, odwracając wzrok.

– Chcesz pogadać?

– Wmawianie sobie, że zrobiłam to przez instynkt samozachowawczy, jednak nic nie dało. – Ponownie skupiłam wzrok na przyjacielu. – To nie była obrona, Logan. To był wyrok.

– Zaparzyłam wam herbatę! – Piskliwy głos Carmen przebił mój mózg, powodując ból.

Spojrzałam na macochę, która z wielką roz wagą niosła tacę z filiżankami. Zmarszczyłam brwi, przypatrując się temu ciekawemu zjawisku.

– Nie, Chloe, nie zawiera trucizny, nie ma w niej kawałków szkła ani do niej nie naplułam. – Odkładając tacę na stolik, zerknęła na mnie znacząco, lecz ja odwróciłam głowę, tym samym nie przyznając się do zarzutów sprzed kilku lat. – Gdzie twój ojciec? Miał z tobą rozmawiać.

Wzięłam głęboki wdech, przymykając powieki. Ona jeszcze nie wiedziała. Nie miałam pojęcia, czy powinnam się cieszyć, czy martwić.

– Jest na górze z wnuczką.

Carmen parsknęła pod nosem, wyglądając tak, jakby wzięła moje słowa za żart.

– Kochana teściowo – zaczął nagle Matteo, przez co aż zmarszczyłam brwi, a w mojej głowie pojawiła się jedna myśl: *Kto?* – Jako że jesteśmy wspaniałą „rodzinką” i nie mamy już przed sobą żadnych tajemnic... – zawsze używał wobec nas tego stwierdzenia, co było nawet zabawne – wybierz się po schodach na górę i przywitaj z naszą córką, bo mam podejrzenia sądzić, że Will zamęczy ją na śmierć.

Kobieta spojrzała na blondyna z lekkim wyrzutem, jednak po chwili na jej twarzy pojawiło się szczere zaskoczenie.

– Pamiętasz, jak do ciebie celowałam? – zaczęłam, jednak widząc miny zebranych, stwierdziłam, że zmierzam w złym kierunku. – Długa historia... Na piętrze znajduje się dziesięciomiesięczna dziewczynka. Mam nadzieję, że masz lepsze podejście do dzieci niż do potraw.

Ciemnowłosa otworzyła usta w geście oburzenia, jednak nagle na jej twarzy pojawił się dziwnie wyglądający uśmiech.

– Chrzań się, Chloe – mruknęła w końcu.

Zatkało mnie. W życiu się tak do mnie nie odezwała. Poprawka: rzadko kiedy się do mnie odzywała, a gdy to robiła, na pewno mnie nie obrażała.

– I vice versa, Carmen! – krzyknęłam, gdy szok minął, ale kobiety nie było już w pomieszczeniu.

Zamrugałam kilka razy, próbując zrozumieć, co tu się wydarzyło i kto podmienił wywołkę, której tak nienawidziłam, na pyskate babsko.

– Lubię ją – skwitował Matteo, rozsiadając się wygodniej w fotelu, na co zmroziłam go wzrokiem.

– Nawet nie próbuj.

Zrobiłam głęboki wdech, siadając na ciepłym piasku. To koniec. Byliśmy w domu, bezpieczni i bez cienia niepokoju. Nadal ciężko było mi w to uwierzyć. Pokonaliśmy wszystkie przeciwności losu, które postawił przed nami świat. Przeżyliśmy. Mogliśmy odetchnąć z ulgą i cieszyć się życiem. Ale co tak naprawdę pozostało nam w tym życiu?

Kim teraz byliśmy?

Nie czułam się sobą. Chloe Rivera Morgan zniknęła, umarła podczas wybuchu w Buenos Aires. Wtedy pojawił się ktoś, kogo nie potrafiłam określić. I ta osoba również zginęła, w momencie strzału w Rosario.

Kim w takim razie się stałam?

– Chloe Cortez – usłyszałam za sobą, na co obejrzałam się przez ramię.

Zmierzyłam wzrokiem chłopaka, nie siląc się nawet na uśmiech. Ben usiadł obok mnie, po czym wbił wzrok w ocean. Mijały minuty, podczas których żadne z nas się nie odezwało. Cisza nie była krępująca, patrząc na fakt, że naprawdę ostatnie, co chciałam zrobić, to rozmawiać z tym zdrajcą.

– Cieszę się, że jesteście cali. – Ben w końcu przerwał milczenie, po czym zerknął na mnie kątem oka.

W tle usłyszeliśmy dźwięk rozbijającego się szkła, więc skupiłam swoje myśli na tej rzeczy. Jak dużo naczyń pozbędziemy się podczas tego przyjęcia? Zapowiadała się naprawdę wielka liczba. Podejrzywałam, że będzie trzeba przewieźć zastawę z rezydencji, bo domek letniskowy stracił wiele kompletów w trakcie imprez, przez co braki mogły być odczuwalne.

– Gdzie Coralie? – Ben się nie poddawał, przypominając mi o swojej obecności.

Westchnęłam cicho, przesypując piasek między palcami.

– Została z Carmen w domu – odpowiedziałam. Miałam nadzieję, że oddanie córki pod opiekę macochy nie było złym pomysłem.

I ponownie zapadła między nami cisza. Ale czego innego on oczekiwał? Przespał się z Lorein, tą Lorein, a później dał mi do zrozumienia, że nie jesteśmy przyjaciółmi. Skoro tak, to nie musiałam silić się na grzeczność względem niego.

– Przepraszam – odparł, jednak nawet ten wyraz nie zrobił na mnie wrażenia. – Zachowałem się...

– Przestań – przerwałam mu, kręcąc głową. – Nie musisz przeproszać. Nie musisz mówić nic.

– Wybaczyłaś mi? – zapytał zaskoczony, odwracając się w moją stronę.

Zaśmiałam się cicho pod nosem, przenosząc na niego spojrzenie.

– Nie. Po prostu mam to gdzieś. – Wzruszyłam ramionami. – Niczego od ciebie nie oczekuję. Sam zdecydowałaś, że nie jesteśmy przyjaciółmi. Nie wiesz, co to lojalność i podejmowanie dobrych decyzji – odparłam lodowato i ponownie wbiłam oczy w fale oceanu, ignorując chłopaka.

Ben jeszcze przez moment siedział obok mnie, dopiero po dłuższej chwili wstał i ruszył w kierunku schodków prowadzących do domku.

Czy byłam chamska? Nie. Byłam szczerą. Nie miałam zamiaru przymykać oka na zachowanie chłopaka. Miał własny rozum, podejmował świadome decyzje, dlatego musiał liczyć się z ich konsekwencjami. Byłam w stanie wybaczyć wiele, a zapomnieć jeszcze więcej. Jednak zdrada była czymś, co nie podlegało wybaczeniu, nawet jeśli chodziło „tylko” o przyjacielską zdradę.

Zacisnęłam zęby, słysząc głosy na werandzie. Jeśli Ben naprawdę miał zamiar wysłać do mnie przyjaciółkę, przyjęcie odbędzie się beze mnie. Potrzebowałam samotności, chwili dla siebie, podczas której mogłabym przemyśleć kilka spraw i zdecydować, co dalej. Bo, jak by nie patrzeć,

miałam do obmyślenia wiele rzeczy. Miałam męża. I córkę... Kiedy z miejsca „niezależnej” przeniosłam się do określenia „matka i żona”? Był to zdecydowanie za szybki przeskok, nawet jak dla mnie. I gdyby tak spojrzeć na to szerzej, to nic nie było dobrze. Z Matteo zdarzyło nam się porozmawiać z trzy razy przez całe dwa dni i podejrzewałam, że nie mijaliśmy się cały czas przez przypadek. Mogłam powiedzieć to głośno: unikałam go. Byłam wściekła na cały świat, nienawiść wypełniała wszystkie moje komórki. Nie miałam ochoty patrzeć, jak go zawodzę. Zmieniliśmy się. I nie wiedziałam, czy lubiliśmy nowych siebie. Nie chciałam tego sprawdzać, to mogłoby zabołec.

– Jak się czujesz? – usłyszałam z góry.

Zadarłam głowę, zerkając na Ayllyn.

– Czy to źle, że chciałabym, nikomu nic nie mówiąc, wsiąść do pierwszego samolotu, lecącego najlepiej do największej dziury w Afryce, aby tam zaszyć się w buszu i wiedzieć, że nikt mnie nie znajdzie, dopóki tego nie zechcę? – mruknęłam zrezygnowana, opierając brodę o zgięte kolana.

Ayllyn westchnęła cicho, siadając obok mnie.

– Brzmi jak dobry plan – odezwała się po chwili. – Rytualne tańce dookoła ogniska, mała chatka, ludzie nieznający tego całego cywilizacyjnego gówna, nowy start tam, gdzie nikt cię nie zna.

Kątem oka zerknęłam na przyjaciółkę, aby upewnić się, że żartuje. Jak wielkie było moje zaskoczenie, kiedy trafiłam na jej całkowicie poważną twarz. Zmarszczyłam brwi, na co ona jedynie wzruszyła ramionami.

– Nie oszukujmy się, Chloe. Ucieczki masz we krwi. Tylko głupiec próbowałby cię uziemić w jednym miejscu. – Spojrzała przed siebie posępnym wzrokiem. – Znikałaś wiele razy, a Matteo nadal uczy się wyciągać z tego odpowiednie wnioski.

– Brzmisz, jakbyś doradzała mi ucieczkę – szepnęłam niemrawo. Jej słowa naprawdę wprawiły mnie w konsternację. Nie miałam pojęcia, do czego dążyła.

– Sugeruję ci, abyś wybrała szczęście. – Uśmiechnęła się delikatnie. – Z Matteo pobraliście się dla bezpieczeństwa. Coralie wyskoczyła z grobu. Cały czas robiłaś, co musiałaś. Teraz powinnaś się zastanowić nad tym, czego pragniesz i potrzebujesz. Zdecyduj tak, abyś za kilka lat niczego nie żałowała.

Spojrzałam przed siebie, mając istny chaos w głowie. Początkowo słowa przyjaciółki zdawały się irracjonalne, jednak z każdą minutą nabierały coraz większego sensu. Bo co tak naprawdę mi teraz zostało? Jutro miałam skończyć dwadzieścia trzy lata, stojąc u boku męża i córki.

Dwadzieścia trzy lata... Nie chciałam zabawy w dom. Nie widziałam się w roli gospodyni, która robiłaby ukochanemu śniadanie do pracy i czekała na niego z obiadem, cały dzień zajmując się dzieckiem.

Dwadzieścia trzy lata... To nie był wiek na tak poważne zobowiązania. Nie czułam się na tyle dojrzała, aby zacząć żyć na własny rachunek, dodatkowo mając pod opieką małe dziecko. Matteo od zawsze nadawał się do tego lepiej. I oczywiście mówiąc „od zawsze”, mam na myśli ostatni rok. Potrafił się o mnie troszczyć, dlatego miałam pewność, że Coralie jest w dobrych rękach. Co jak co, ale miała ojca po takim nawrocie uczuć, że szybko się od niego nie odpędzi. Blondyn był szczęśliwy, pasowała mu rola taty. Widać było to gołym okiem, kiedy zajmował się dziewczynką.

Ja za to chciałam nowych doświadczeń i odzyskania straconych lat, które spędziłam w niewoli, będąc pod władzą Scotta. Marzyły mi się podróże, zwiedzanie świata, zagłądanie do najróżniejszych zakątków planety. Ayllyn miała rację: do miejsca, w którym teraz byłam, doprowadziły mnie poświęcenia, masa wyrzeczeń i kierowanie się wyższym dobrem. Potrzebowałam zrobić w końcu coś dla siebie.

Tylko dla siebie.

MATTEO

Uśmiechnąłem się pod nosem, orientując się, że Coralie zasnęła. Możliwie jak najciszej wyszedłem z pokoju i delikatnie zamknąłem za sobą drzwi. Odetchnąłem z ulgą, mogąc w końcu skierować się do kuchni, aby zjeść kolację. Od dłuższego czasu odczuwałem głód, jednak zanim mogłem coś zjeść, musiałem stoczyć walkę z córką, która była jeszcze bardziej uparta niż jej mama. Teraz, kiedy dziewczynka spała, co oznaczało, że wygrałem, mogłem zrobić, cokolwiek chciałem.

Otworzyłem lodówkę i z ulgą stwierdziłem, że lazania z obiadu nadal się w niej znajdowała. Wyjąłem talerz i usiadłem przy wyspie kuchennej.

Do pomieszczenia wszedł Ben i zerknął na mnie niepewnie.

– Chloe z Coralie?

Odłożyłem widelec, zachowując maniery, chociaż mój żołądek domagał się jedzenia.

– Nie, mała śpi. Chloe wyszła do ogrodu – odpowiedziałem spokojnie, przypominając sobie sylwetkę dziewczyny, która jakiś czas temu, unikając mojego wzroku, wyszła przez tylne drzwi.

– Zabije mnie – mruknął przyjaciel, kierując się w stronę werandy.

Odprowadziłem go wzrokiem, marszcząc brwi. Nie używałbym takich słów w towarzystwie Chloe; w obecnej sytuacji były bardzo... drażniące, jak zapalniczka w pokoju wypełnionym gazem: odpal, a skążesz się na śmierć. Patrząc jednak na wyskok Bena i fakt, że szatynka była w niezłej rozsypce, zaskakujące by było, gdyby nie nastąpił wybuch. Przyjaciel doskonale o tym wiedział.

Uśmiechnąłem się pod nosem, wracając do swojej kolacji. Nabiłem porcję makaronu na widelec i obserwowałem charakterystycznie ciągnący się ser. Nie miałem pojęcia, kto przygotował to danie, jednak mogłem przysiąc, że się w nim zakochałem. Czysta poezja.

– Widziałeś Chloe? Jest u małej? – Czyjś głos przeszkodził mi po raz kolejny, i to przed wzięciem pierwszego kęsa.

Spojrzałem na Carmen z lekkim, choć wymuszonym uśmiechem, ponownie odkładając widelec na talerz. Kobieta stanęła naprzeciwko mnie, wpatrując się we mnie wyczekująco.

– Coralie śpi. Chloe jest w ogrodzie – powtórzyłem słowa, które skierowałem wcześniej do Bena.

Carmen pokiwała głową na znak, że rozumie, i wycofała się w stronę holu.

– Czekaj! Ty to ugotowałaś? – zawołałem, zatrzymując ją. Nie siliłem się na specjalne zwroty. Wyraz „teściowa” brzmiał fajnie, tylko kiedy mówiłem go w żartach lub ironicznie. „Mamo” nie wchodziło nawet w grę, a „proszę pani” było najzwyczajniej w świecie śmieszne. Znaliśmy się, mieliśmy swoją historię, na którą składało się głównie robienie kobiecie na złość, stąd stawiałem na bezpośrednie zwroty. Bo, jak by nie patrzeć, różniło nas dziesięć lat.

Carmen obejrzała się na mnie zdezorientowana, a gdy wskazałem na lazanie, westchnęła.

– Uwierz, chciałam – mruknęła przygnębiona i zniknęła za drzwiami.

Fakt, było to głupie pytanie. Nie była najlepszą kucharką, cóż, nawet określenie „dobrą” w jej przypadku naprawdę nie pasowało.

Spojrzałem na kolację i zdecydowanym ruchem podniosłem widelec, chcąc w końcu zjeść. Kiedy dostrzegłem zmierzającego w moim kierunku Logana, przekląłem pod nosem. *Pieprzyć maniery, pomyślałem. Takim sposobem umrę zaraz z głodu.* Bez zastanowienia wzięłem kęs posiłku, ciesząc się jak głupi.

– Coralie śpi. Chloe jest w ogrodzie. Dajcie mi spokój – rzuciłem z pełnymi ustami, rozkoszując się makaronem. *Cholera, nareszcie...*

Logan spojrział na mnie zdezorientowany i zatrzymał się przed lodówką. Wyjął z niej karton z sokiem i wlał napój do szklanki, a potem oparł się tyłem o blat.

– Nie szukałem ani Chloe, ani Coralie – przyznał, przyglądając mi się podejrzanie. – Wszystko w porządku, Matteo?

– Nie ma o czym mówić – mruknąłem, wbijając wzrok w talerz. Co jak co, jednak niektóre sprawy powinny zostać w rodzinie.

– Nie pierdol, Cortez – westchnął przyjaciel, zamykając drzwi kuchenne. – Mów. Nie ma rzeczy, której w waszej relacji nie przerabialiśmy.

Spojrzałem na Logana, nie ukrywając dłużej swojego zmęczenia sytuacją z Chloe.

– Nie gadamy ze sobą – wyrzuciłem z siebie po chwili. – Unika mnie jak ognia. Przed wylotem do Rosario wszystko było, kurwa, idealnie.

– Co wydarzyło się w Rosario? – Logan zaczął swoją analizę psychologiczną, na co wzruszyłem lekko ramionami.

– Co się nie wydarzyło – zakpiłem, wbijając wzrok w szafkę przed sobą. – Gdybyś tylko ją tam widział. Ona... Jej dusza jakby nie istniała. Nie było w jej osobie nic, co wskazywałoby na to, kim jest. To nie była Chloe. I mam dziwne wrażenie, że dziewczyna, z którą tu wróciłem, też nią nie jest.

Przyjaciel schował twarz w dłoniach, robiąc głęboki wdech, i milczał przez chwilę. Nie poganiałem go, bo naprawdę rozumiałem jego stan; czułem się podobnie. Chloe się zmieniła i żaden z nas nie mógł nic na to poradzić.

– Potrzebuje czasu... – zaczął Logan, zerkając na mnie niepewnie. – Nie istnieje człowiek niezniszczalny. Nie można ot tak zapomnieć o wszystkim, co się stało. Ale z biegiem czasu... – urwał, kręcąc głową. – Co ja pierdołę, to Rivera. Czas nie gra tu roli.

– Właśnie, to Rivera – mruknąłem bez entuzjazmu. – Nie Morgan, nie Cortez. Po raz kolejny Rivera, uosobienie zimnej i obojętnej na wszystko suki. To się, kurwa, nie może udać.

Rozdział 28

CHLOE

Spojrzałam niepewnie w stronę ogrodu, zastanawiając się, czy *ona* kiedykolwiek mi to wybaczy. Po raz kolejny miałam jej udowodnić, że nie zasługuję na miano idealnej córki, czy nawet dobrej córki. Po prostu niszczyłam wszystko, co wpadło mi w ręce. Niszczyłam siebie, relacje, innych ludzi. Jak długo to wszystko miało jeszcze trwać?

– Chloe? – Męski głos wyrwał mnie z zamyślenia i sprowadził na ziemię.

Nawet się nie obejrzałam. Nie chciałam walczyć z całym światem, poza tym myśl o tej rozmowie wyjątkowo psuła mi humor. Nie chciałam z nim rozmawiać.

– Daj spokój, próbowałeś – mruknęłam obojętnie. – Nie wyszło.

– Nie odpuszczę – odparł stanowczo, na co przewróciłam oczami, starając się go ignorować; naprawdę chciałam być sama. – Zachowałem się jak kompletny idiota, jednak taki jestem. Robię głupstwa i liczę, że ludzie mi wybaczą. Jestem egoistą, o czym doskonale wiesz. Dlatego dziwi mnie, że spodziewałaś się po mnie czegoś innego. Ja tak nie działałam.

Zacisnęłam zęby, biorąc głęboki wdech.

– Ben – westchnęłam cicho, odwracając się w stronę chłopaka, który stał kilka metrów dalej i opierał się o latarnię. – Mam tego wszystkiego dosyć. Ktoś ciągle czegoś ode mnie chce. Jedni proszą, drudzy przepraszają. Mam prawie dwadzieścia trzy lata, a cały czas robię coś dla innych. Mam dosyć, Benjamin. Więc... dobrze, wybaczam ci, jeśli to pozwoli mi uwolnić się choć na chwilę spod lawiny twoich przeprosin. Będę przeszczęśliwa, mogąc znowu być twoją przyjaciółką. – Wstałam z trawy, patrząc na chłopaka, który przyglądał mi się podejrzanie. – Chociaż na co ci przyjaciółka, którą niedługo znienawidzisz – dodałam i ruszyłam w stronę budynku, chcąc naprawdę być sama. Im więcej ludzi przychodziło do mnie z różnymi sprawami, tym bardziej zaczynałam zastanawiać się nad tym, co powiedziała mi Ayllyn.

Bez słowa weszłam do swojego pokoju, zerkając w stronę łóżeczka, w którym spała Coralie. Nie zasługiwała na taką beznadziejną matkę. Rok temu była ucieleśnieniem moich marzeń, a teraz z trudem mogłam na nią patrzeć. To okrutne, jak wiele potrafi zmienić się w ciągu głupich dwunastu miesięcy.

Kiedy nad ranem obudził mnie płacz, jęknęłam cicho i podniosłam się do siadu, by wstać do dziecka. Zamarłam jednak, kiedy przy kojcu, który mój ojciec przytargał z poddasza, zauważyłam stojącą postać. Przyglądałam się, jak Matteo podnosi dziewczynkę i odwraca się w stronę fotela. Kiedy nasze spojrzenia się spotkały, poczułam, jak zaczyna brakować mi powietrza. Nie potrafiłam przebywać w jego towarzystwie.

– Wszystkiego najlepszego. – Uśmiechnął się delikatnie, co odwzajemniłam.

– Dziękuję – szepnęłam, czując chrypkę w gardle.

– Przyjęcie o dwunastej – kontynuował, jednak dystans, który między nami istniał, wyczuwalny był nawet z innego wszechświata. – Zabiorę przyjaciół i pojedziemy z twoją rodziną wcześniej, aby wszystko tam ogarnąć. Damy ci trochę czasu na przygotowania.

Pokiwałam głową, zgadzając się.

Opuściłam pomieszczenie w piżamie i skierowałam się schodami na dół. W salonie już znajdowali się Zack z Ayllyn, którzy głośno o czymś dyskutowali. Kiedy mnie zauważyli, na ich

twarzach pojawiły się uśmiechy.

– Jest i solenizantka. – Zack się zaśmiał, przytulając mnie do siebie.

Odwzajemniłam gest, również śmiejąc się pod nosem.

– Sto lat, Chloe! – zawołała Ayllyn, kiedy wzięła mnie w ramiona. – Przetrwasz wszystko.

Uśmiechnęłam się delikatnie, odczuwając lekką niepewność. Od dawna nie obchodziłam urodzin. Ostatnie, które świętowałam, były piętnaste. Później nie miałam z kim ich obchodzić, pomijając swoją „rodzinkę” i prezenty od ojca – na dziewiętnaste urodziny dostałam winnicę, prezent roku, nie mówiąc już o ojcu. Ten niby wyjątkowy dzień nie zaliczał się do szczęśliwych, przynajmniej nie dla mnie. Maj był okropnym miesiącem, bo bolesne poczucie utraty było zdecydowanie silniejsze od radości i chęci celebrowania dnia urodzin.

– Jak samopoczucie? – usłyszałam znajomy głos, kiedy do pomieszczenia wpadli Logan i Alec, uśmiechając się głupio. – No co? Starzejesz się – parsknął ten pierwszy, nie kryjąc rozbawienia.

Przewróciłam oczami ze śmiechem i pokręciłam głową. Byli niemożliwi.

– Przypominam, że ty jesteś z nas wszystkich najstarszy – zauważyłam, zakładając ręce na piersiach.

Logan skrzywił się lekko, po czym na jego twarzy pojawił się wesoły uśmiech. Zmierzwił mi włosy i ruszył schodami na piętro.

Ja również zostawiłam towarzystwo i skierowałam się do kuchni, chcąc przygotować śniadanie. Odkąd wstałam, brzuch skręcał mi się niesamowicie, domagając się posiłku. Kiedy jednak przestąpiłam próg pomieszczenia, natychmiast zostałam zawrócona.

– Wszystkiego najlepszego, kochanie! Ale, Chloe! Kto to widział tak wpadać do kuchni? Tam jest tort. Nie chcę, abyś go widziała przed przyjęciem – zapiszczała Carmen, zgarniając mnie ramieniem i ruszając w stronę jadalni. – Jesteś głodna? Przyniosę ci coś – zaszczębiotała i niemal siłą posadziła mnie na krześle, a następnie wyszła z pomieszczenia.

Minęła chwila, zanim ocknęłam się z szoku. Ona piekła tort? Jeśli tak, to cud, że w powietrzu nie unosił się zapach spalenizny. Westchnęłam cicho, zastanawiając się, co dalej.

Dwadzieścia trzy lata... Mogłam mieć wszystko, jednocześnie pamiętając, że niszczyłam wszystko, co do tej pory zdobyłam. Jednak w którym momencie zaczęłam czuć się źle w swoim własnym domu? Wszystko zmienił ten cholerny wyjazd i z trudem musiałam stwierdzić, że to obecność Coralie sprawiała, że czułam się tak okropnie. Cały rok myślałam, że to ona była naszym ratunkiem, że gdyby żyła, naprawiłaby całe zło w tej rodzinie. Prawda okazała się całkiem odmienna. Ethan, który do tej pory winił się za wypadek, powoli przełamywał się w stosunku do Coralie, ojciec był zachwycony, Carmen zdążyła przeczytać już chyba wszystkie istniejące poradniki, jak postępować z dzieckiem, a ja... A ja czułam się jak niepasujący puzzel w całej tej układance.

Kiedy Carmen wróciła z talerzem pełnym kanapek, uśmiechnęłam się sztucznie, chcąc zachować pozory dobrego samopoczucia. Spojrzałam na tę z żółtym serem, na którym ktoś namalował ketchupem uśmiech.

– Włączył ci się instynkt macierzyński? – zażartowałam, spoglądając na kobietę.

– Widocznie tak, w przeciwieństwie do ciebie – odpowiedziała, po czym westchnęła ciężko.

Zacisnęłam zęby, odwracając wzrok. Jeśli ona naprawdę miała zamiar prawić mi kazania, wyjdę.

– Chloe, proszę.

– Nie – rzuciłam obojętnie, wstając. – Nie będziemy przeprowadzać tej rozmowy, bo obie wiemy, jak się skończy. Powiesz mi, że jestem nieodpowiedzialna, ja w uszczypliwy sposób

skomentuję jedną z twoich wad, a tych ci nie brakuje, i rozejdziemy się w swoje strony. Zróbmy to już teraz. – Ruszyłam w kierunku wyjścia z jadalni, jednak zatrzymałam się w drzwiach i spojrzałam na nią ponownie. – Wiedziałam, że ten stan, kiedy byłaś dla mnie nawet miła, nie mógł trwać długo. I proszę... – westchnęłam na odchodne.

Wyszędłszy z salonu, skierowałam się w stronę schodów, ale zauważyłam ojca, który właśnie wyłonił się z gabinetu. Przeklełam w myślach, kiedy mężczyzna mnie zauważył. *Do czego to doszło, żebym nie mogłam znaleźć spokojnego kąta w rodzinnym domu, który jest naprawdę duży?*, warknęłam w duchu. Urodziny to naprawdę pechowy dzień: wszyscy się do ciebie szczerzą i chcą rozmawiać.

– Twój zniechęcony dzień. – Ojciec chyba czytał mi w myślach. – Mogę cię dobić, życząc ci wszystkiego najlepszego?

– Miło, że chociaż jedna osoba wie, że nie znoszę tego dnia. – Pozwoliłam się mu przytulić, co w naszym wypadku nie zdarzało się często.

– Mam dla ciebie prezent – oznajmił.

I mój entuzjazm zniknął tak szybko, jak się pojawił.

– Co tym razem? Dom? Akt własności winnicy sąsiedniej do tej, którą kupiłeś mi kilka lat temu? Nowe auto? Poprzednie, te z siedemnastych urodzin, rozbiłam celowo. O tym ci chyba jeszcze nie powiedziałam.

– Wiedziałem – westchnął mężczyzna, na co zmarszczyłam brwi. – Jesteś sprytna, Chloe, jednak naprawdę myślałaś, że nikt nie odkryje tego wielkiego kamienia w nogach kierowcy? Ubezpieczyciel odkrył.

Odwrociłam na moment głowę, orientując się, że wcale nie byłam taka cwana, jak mi się wtedy zdawało. Byłam święcie przekonana, że ojciec nie miał pojęcia o krótkiej podróży nowiutkiego auta marki Aston Martin z cegłą na pedale gazu, który skończył swoje życie na jednym z murów poza miastem.

– Okej... – zaczęłam, spoglądając na ojca. – Żeby nie było: niczego nie żałuję.

Mężczyzna prychnął pod nosem, kręcąc głową.

– Do zobaczenia na przyjęciu – pożegnał się i ruszył w kierunku salonu.

Westchnęłam, zaczynając wchodzić po schodach. Nic nie było pewne.

Gdy nadeszła dziesiąta rano, zapanowała cisza. Zostałam w rezydencji sama. Wszyscy znajdowali się już w domku letniskowym, kończąc przygotowania do przyjęcia, a ja siedziałam właśnie na łóżku, przyglądając się rzeczom przed sobą.

Dwadzieścia trzy lata... Jeśli tam pójdę, zgodzę się nieodwracalnie na wszystko, co dał mi do tej pory los. Nie chciałam wybierać ani pierwszej, ani drugiej opcji, jednak pewny był fakt, że potrzebowałam chwili dla siebie. Jeśli im na mnie zależało, powinni to zrozumieć.

Przemierzałam budynek lotniska, kierując się w stronę kas. Cały czas walczyłam sama ze sobą, jednak z każdą sekundą utwierdzałam się w przekonaniu, że to była dobra decyzja i niezależnie od wszystkiego chciałam się jej trzymać. Potrzebowałam tego, więc jeśli przez to miałiby mnie zniechęcić, tak naprawdę nigdy nie byliśmy przyjaciółmi ani rodziną. Po tylu wyrzeczeniach dla innych, w końcu musiałam skupić się na sobie.

Podeszłam do kasy biletowej, ostatecznie wybierając cel swojej podróży. Po dopełnieniu wszystkich formalności skierowałam się w stronę bufetu. Od rana nie zdążyłam nic zjeść, bo kanapki od Carmen zostały w jadalni, gdy wychodziłam, a do odprawy zostało mi jeszcze kilka godzin, które miałam zamiar spędzić tutaj. Dokładnie w tym momencie na zegarze wybiła jedenasta. Przełknęłam ślinę, orientując się, że zostało zaledwie sześćdziesiąt minut do przyjęcia,

na którym każdy się mnie spodziewał. Matteo się mnie tam spodziewał. Miałam rozczarować ich wszystkich.

– Serio, Rivera? – dobiegł mnie znajomy głos, przez co automatycznie się odwróciłam i od razu zacisnęłam zęby, widząc chłopaka, który stał z rozłożonymi rękami i wpatrywał się we mnie z niedowierzaniem. – No nieźle. A myślałam, że bardziej mnie już nie zaskocysz. Myliłem się.

Nie wiedziałam, co miałabym mu odpowiedzieć. Nie istniało żadne dobre wytłumaczenie tego, co właśnie robiłam. Bo bez względu na to, co bym powiedziała, nie zrozumiałby.

– Skąd wiedziałeś? – zapytałam w końcu, na co Ben prychnął.

– Wynioskowałem z naszej rozmowy, że planujesz jakieś wielkie głupstwo. – Założył ręce na klatce piersiowej, kręcąc głową. – Pojechałem za tobą. Lotnisko, Chloe? Szanghaj? Co ty wyprawiasz?

Zamknęłam na moment oczy, zadając sobie to samo pytanie.

– Tam podobno łatwo zniknąć – mruknęłam po chwili, zerkając na chłopaka. – Duszę się tu, Ben. Nie podoba mi się takie życie. Nie miałam wyboru i przez to wylądowałam tu, gdzie teraz jestem. Mam dwadzieścia trzy lata... Mąż i dziecko? Widzisz mnie w tym?

Chłopak westchnął, nie spuszczać ze mnie oczu.

– Widzę zagubioną dziewczynę, która robiła wszystko dla miłości, a teraz chce rzucić to w diabły i wyjechać bez słowa.

Stwierdzenie Bena naprawdę mnie zdezorientowało. I nie swoim sensem, ale samym wypowiedzeniem go właśnie przez niego.

– Dobrze się czujesz, Ben? – zapytałam, nie będąc pewna jego zachowania.

On jednak zignorował moje pytanie, wzdychając ciężko.

– Normalnie miałbym to w dupie. Wiesz, że jestem egoistą, że to, co mnie nie dotyczy, w ogóle mnie nie interesuje. Ale w tej sytuacji... Kurwa, Chloe. Przeżyliście wszystko. Dosłownie wszystko. A teraz chcesz to wszystko zaprzepaścić i go porzucić? Jesteście jak David i Victoria Beckhamowie, tylko w mniej nudnej wersji. Jak Jolie i Pitt.

– Ci drudzy się rozwiedli – wtrąciłam się, na co Ben posłał mi gniewne spojrzenie.

– Zamknij się. Pasują do siebie idealnie i każdy się z tym zgodzi. Sens w tym, że właśnie tak postrzega was świat: jedno dopełnia drugie. Przy tobie Matteo przestaje być irytującym kretyńcem, a, uwierz mi, przetestowałem go podczas twojej nieobecności i dostałem w pysk. Za to ty przy nim... – zawahał się i zaczął szukać odpowiedniego słowa – przestajesz być jędzowatą suką. Czy nie tak powinna wyglądać miłość? Jesteście dla siebie stworzeni. Wasza historia dopiero się zaczyna, a ty już chcesz ją przekreślić?

Przymknęłam powieki, czując, jak coś wewnątrz mnie pęka.

Przysięgałam mu. Przysięgałam na zasady, których wspólnie zgodziliśmy się przestrzegać.

Złamałam je wszystkie.

MATTEO

Zbliżała się dwunasta, przez co w domku panował niemały ruch. Logan trzymał siedzącą na jego barkach Amy, która przywiązywała ostatni pęk balonów do lampy. Vivien z wielkim zaangażowaniem pomagała Carmen ratować tort, który podczas transportu lekko ucierpiał. Rozejrzałem się dookoła, szukając najmłodszej uczestniczki przyjęcia.

Miałem wielkie szczęście. Wszystko nareszcie układało się tak, jak powinno. No, prawie wszystko. Nadal nie potrafiłem dotrzeć do Chloe, która z każdą moją próbą zachowywała się jak spłoszone, gotowe do ucieczki zwierzę. Podczas pobytu w Rosario byłem pewien, że odnalezienie

się w nowej rzeczywistości będzie dla nas ciężkie: dla mnie, bo wszystko się ułożyło, a dla Chloe, bo wszystko się rozsypało. Wiedziałem, że będzie musiało minąć trochę czasu, zanim nasze życie wróci do normy. Tęskniłem za wspólnymi porankami, jej uśmiechem, a nawet za niewinnymi sprzeczkami, które często pozwalałem jej wygrywać, aby widzieć na jej twarzy satysfakcję. Bez wątplenia stała się moim słabym punktem, na co nie umiałem nic poradzić. Na przestrzeni naszej znajomości nigdy nie potrafiłem się od niej uwolnić.

Chloe, którą spotkałem na dachu akademika, była jak powoli wyniszczający mnie narkotyk. Dopiero z biegiem czasu dostrzegłem, że to nie ona sprowadzała mnie na dno, lecz gra. Ciągle chciałem jej więcej, jednak nie było to możliwe, bo graliśmy. Nie byliśmy ze sobą szczerzy. Kłamaliśmy. A najmocniej bolało mnie to, że stwarzaliśmy pozory.

Przez te dwa lata zdarzyło się tyle, że szczerze mogłem powiedzieć, że przeżyliśmy wszystko. Byliśmy niepokonani. Nikomu nie udało się nas zniszczyć. Była dla mnie najważniejsza, jednak ostatnimi czasy odnosiłem wrażenie, że działało to tylko w jedną stronę. Nie widziałem już w jej oczach tych iskier, które zawsze były jej nieodłączną częścią. Nie widziałem uśmiechu, który potrafił rozchmurzyć najgorszy dzień. Dlatego podjąłem cholernie ciężką dla mnie decyzję. Robiłem to, aby była szczęśliwa.

Dałem Chloe wybór.

Kiedy dostrzegłem siedzącą na tarasie Aylyn z Coralie na kolanach, ruszyłem w ich kierunku. Dziewczynka uśmiechała się wesoło, co dodawało mi sił w tej niełatwej dla mnie sytuacji.

– Powiedziałaś jej? – zwróciłem się do Aylyn, która przeniosła na mnie swoje spojrzenie.

– Tak – mruknęła, kiwając głową.

Powtórzyłem za nią ten gest, wpatrując się w fale oceanu.

Dałem jej wybór. Wysługując się Aylyn, przekazałem jej, że musi wybrać tak, aby była szczęśliwa, ale teraz... cholernie obawiałem się jej decyzji. Ten ruch był nieodwracalny. Jeśli postanowi odejść, pięknie mi serce, jednak nie będę miał do niej pretensji. Chciałem, aby była szczęśliwa.

– Nie zostawi was. Jestem tego pewna – odparła Aylyn, która mimo wszystko starała się mnie wesprzeć.

Sytuacja była o tyle ironiczna, że jeszcze rok temu ta dziewczyna była pierwszą, która zrobiłaby wszystko, aby nas od siebie odsunąć.

– Ja nie jestem pewien już niczego.

Kiedy wybiła dwunasta w południe, byliśmy gotowi. Każdy czekał na przybycie solenizantki, dla której to wszystko było zorganizowane. Siedzieliśmy, rozmawiając podekscytowanymi głosami, kiedy nagle drzwi wejściowe się otworzyły. Roześmiane towarzystwo wbiło w nie wzrok, nie dostrzegając jednak Chloe.

– Wybaczcie spóźnienie – mruknął markotnie Ben, siadając na krześle pod ścianą.

Wszystkie spojrzenia skupione były teraz na nim.

– Gdzie ty byłeś? – odezwała się Amy, zerkając niepewnie na brata.

– Ratowałem świat. – Sapnął, patrząc w podłogę. – Chyba mi nie wyszło.

Przeniosłem wzrok na Logana, który wyglądał na nie mniej zdezorientowanego niż ja. Ben bez humoru był naprawdę rzadkim zjawiskiem. Przyjaciel wzruszył lekko ramionami, przekazując mi, że nie ma pojęcia, o czym mówi Ben.

Westchnąłem cicho, ponownie przenosząc spojrzenie na drzwi. Kwestią minut było, aż szatynka przekroczy próg. Uwielbiała zjawiskowe wejścia, a te spóźnione były najlepsze. Kiedy

jednak minęło piętnaście minut i nic się nie zmieniło, wstałem i zacząłem nerwowo chodzić po pomieszczeniu. Coś było nie tak.

– Matteo – odezwała się spokojnie Aylın, przez co skupiłem na niej swój wzrok, co było naprawdę wielkim błędem. Patrzyła na mnie ze szczerym bólem wymalowanym w oczach.

– Nie. – Zaśmiałem się nerwowo, kręcąc głową. Przechesałem włosy dłonią, biorąc głęboki wdech. – Niemożliwe. Jej decyzja... Nie mogła...

– Matt, proszę – nie odpuszczała. – Miałeś świadomość, że tak może być.

Słowa dziewczyny ledwo do mnie docierały.

– Co się dzieje? – zapytała Vivien, która nic nie rozumiała.

– Pozwolił jej odejść. – Głos Bena przerwał ciszę, a ja, zaskoczony, przeniosłem wzrok na przyjaciela, bo przecież... on nie mógł wiedzieć. – Nie umiałem jej zatrzymać. Przepraszam.

Zamrugałem kilka razy, łącząc wątki. Ben podejrzewał, że będzie chciała zniknąć. Próbował z nią porozmawiać i tym samym nakłonić do podjęcia innej decyzji. Tak, jak powiedział, ratował świat, mój świat, który właśnie w tym momencie się zawalił.

Dałem jej wybór, nie osobiście, jednak pokazałem, że jest inne wyjście. Mimo to do tej pory nie przeszło mi przez myśl, że dla niej lepszym rozwiązaniem okaże się ucieczka. Nawet nie dopuszczałem do siebie, że Chloe mogłaby skorzystać z okazji, aby zacząć wszystko od nowa. A jednak odeszła.

Usiadłem ponownie na krześle, chowając twarz w dłoniach. Zrobiłem dla niej wszystko. Patrząc na to, jaki byłem dwa lata temu, teraz stałem się innym człowiekiem, przy niej i dla niej. A ona... Nie miałem pretensji, poczułem po prostu zawód. Tak, Chloe zdecydowanie mnie zawiodła.

Nagły huk przerwał ciszę i tym samym moje myśli. Podniosłem głowę, przenosząc spojrzenie tam, skąd dobiegł dźwięk. Mógłbym przysiąc, że nie miałem pojęcia, co czułem. Myśli i emocje miały mną tak bardzo pierwszy raz w życiu.

Stała tam. Stała w drzwiach, nie robiąc ani kroku więcej. W jednej ręce trzymała rączkę walizki, a druga torba przewieszona była przez jej ramię. Dziewczyna płakała, o czym świadczyły zaszkłone oczy i rozmyty makijaż. Zagryzła wargę, krzywiąc się lekko, kiedy dostrzegła moje spojrzenie. Nie ukrywałem tego, co czułem. Pozwoliłem jej dostrzec ból, który w tej chwili mnie wypełniał. Pokazałem też całe rozczarowanie, które rozrywało mnie na części.

Chloe wciągnęła gwałtownie powietrze. Widziałem po jej oczach, że dostrzegła moje emocje, i już po chwili kolejna fala łez zalała jej policzki. Była świadoma, że wszystko zepsuła, i nie kryła rozgoryczenia. Poczucie beznadziei, które ją wypełniało, było wyczuwalne na kilometr. Rozumiałem ją doskonale. Skąd? Bo sam czułem się podobnie. Ale mimo wszystko wybrała mnie. Wybrała nas. Nie mogłem jej pokazać, że dokonała błędnego wyboru – wtedy bez wątpienia stracilibyśmy siebie na zawsze.

Z całych sił powstrzymując łzy, wstałem i zrobiłem kilka kroków w jej stronę. Nie spuszczała wzroku z mojej twarzy aż do momentu, w którym zamknąłem jej drobne ciało w swoich ramionach. Dziewczyna, łkając cicho, zarzuciła mi ręce na szyję i się do mnie przytuliła.

– Przepraszam – jęknęła w końcu, a ton jej głosu łamał mi serce.

Zamrugałem kilka razy, odganiając te cholerne łzy i przytulając ją mocniej. Spokój ducha, jaki zacząłem odzyskiwać, był nie do opisania.

Byłem we właściwym miejscu.

I trzymałem w rękach cały mój świat.

Epilog

CHLOE

Jak bardzo okrutną kobietą bym się okazała, gdybym powiedziała, że nie żałuję niczego, co wydarzyło się w moim życiu? Patrząc na ostatnie dwa lata, słowa te brzmiały niedorzecznie. Jednak tak właśnie było.

Nie żałowałam wyjazdu do Nowego Jorku. Ucieczka w to miejsce była dobrym pomysłem. Poznałam ludzi, którzy stali się dla mnie rodziną. Zobaczyłam, że ból, jaki wypełniał mnie przez lata po śmierci mamy, można wyciszyć. Dopuszczałam do siebie emocje, które przestałam zagłuszać, a nauczyłam się nad nimi panować.

Nie żałowałam niczego, co miało związek ze Scottem Lewisem. Prawda, która była ukrywana przede mną przez wszystkich, stała się jednocześnie wybawieniem. Dowiedziałam się tak wiele i zmieniłam tak wiele, że nie szło tego zrozumieć. Pozwoliłam sobie na okropne czyny, jednak to właśnie one sprawiły, że byliśmy wolni. Ja, moja rodzina, przyjaciele odnaleźliśmy spokój.

Nie żałowałam żadnej decyzji, którą podjęłam. Życie zmuszało mnie do różnych wyborów, jednak zawsze starałam się dokonywać ich w zgodzie ze sobą. Rzadko były zgodne z prawem i na pewno nigdy nie podjęłabym ich po raz drugi, jednak nie miałam o to do siebie pretensji. Wtedy właśnie tego chciałam.

I w końcu, nie żałowałam tego pocałunku na dachu, który zmienił wszystko. Nie znałam wtedy nawet imienia chłopaka, który przyparł mnie do ściany i sprawił, że poczułam coś, czego w tamtym momencie nie rozumiałam. Przeznaczenie. Po czasie dostrzegłam, że była to iskra przeznaczenia. To właśnie na dachu, podczas niespodziewanego pocałunku, niewidzialna siła związała nas ze sobą na zawsze i po wsze czasy. Podczas tego wybuchowego spotkania naszych demonów gwiazdy uśmiechnęły się, wierząc, że połączyły właściwe dusze. Nie ułatwialiśmy im zadania, jednak za każdym razem, gdy kończył się świat, zawsze odnajdywałam spokój w lazurowym oceanie, który odbijał się w *jego* oczach.

Spojrzałam na plażę, gdzie Matteo budował z piasku niewielkie wzniesienia, które już po chwili były niszczone przez roześmianą Coralie. Widok ten sprawił, że na moją twarz wpłynął delikatny uśmiech. Miałam wszystko. Straciłam wiele, jednak zyskałam jeszcze więcej.

Przeniosłam wzrok na niebo, mrużąc lekko oczy. *Miałaś rację, mamó, pomyślałam, unosząc delikatnie kąciki ust. To nie był mój czas. Mam tu jeszcze wiele do zrobienia.*

Zaśmiałam się pod nosem, słysząc głos Matta z plaży, bo, jak się okazało, Coralie właśnie postanowiła zjeść piasek.

Ale pomściłam cię, mamó. Ludzie odpowiedzialni za twoją śmierć nie żyją. I nie żałuję tego, mamusiu. Nie żałuję. A jeśli odkupienie wymaga skruchy, zostaną potępiona na wieki, bo nigdy nie będę umiała żałować swoich czynów. Bo nie żałuję. Zrobiłam wiele okropnych rzeczy, jednak niczego nie żałuję.

Przerwałam swoje myśli, widząc zмирzającego w moją stronę blondyna z dzieckiem u boku. Wyciągnęłam rękę, przejmując tym samym córkę, która oblizywała się z wielkim zaangażowaniem.

– Smakowało jej – zażartowałam, pozbywając się resztek piasku z twarzy dziewczynki, a ona przytuliła się do mojej klatki piersiowej, zamykając oczy.

Zaadaptowała się wyjątkowo szybko, co uwolniło moją duszę od nieokreślonego ciężaru. Była tu z nami, a ja musiałam być matką. Chciałam nią być i wierzyć, że Coralie będzie lepsza ode mnie. Wierzyłam w to całym sercem.

Kiedy poczułam dłonie na swoich ramionach, uśmiechnęłam się pod nosem, a chwilę później poczułam na swojej szyi usta chłopaka, który błędził nimi po mojej skórze.

– Matteo, dziecko – szepnęłam, orientując się, że dziewczynka śpi. Podniosłam wzrok na Corteza, lecz on tylko uśmiechnął się cwaniacko.

– Dziecko-łóżeczko. Chloe-łóżko – wymruczał tuż przy moim uchu, nawiązując do gry w hasła.

Przygryzłam wargę, kręcąc lekko głową. Matteo nadal był niemożliwy, w każdym tego słowa znaczeniu.

Delikatnie podniosłam się z leżaka, trzymając blisko siebie Coralie. Weszłam do domku i skierowałam się do pokoju, gdzie stało łóżeczko dziewczynki. Ostrożnie położywszy ją na miękkim materacu, upewniłam się przez moment, że nadal śpi i nie obudzi się w momencie, kiedy tylko przekroczę próg.

Minęła chwila, nim opuściłam pokój i skierowałam się do sypialni, w której już znajdował się blondyn. Stałam po prawej stronie łóżka, przyglądając się wygodnie leżącemu chłopakowi. Po kilku sekundach złapał mnie za nadgarstki i zwinnym ruchem przerzucił nad sobą, przez co wylądowałam po drugiej stronie łóżka. Zaśmiałam się pod nosem, zerkając w stronę Corteza.

– Co ci chodzi po głowie? – zapytałam, widząc jego zamyśloną twarz.

Zamrugął kilka razy, jakbym wyrwała go z transu.

– Chciałem mieć cię na chwilę tylko dla siebie – odpowiedział, odgarniając delikatnym ruchem kosmyk moich włosów, który opadł mi na twarz.

Uśmiechnęłam się lekko, ciągle nie mogąc uwierzyć, że mam tak wielkie szczęście. I niemal przez swój błąd je straciłam.

– Po tak długim czasie – zaczął, przejeżdżając palcami za moim lewym uchem – powiesz mi, co znaczą te tatuaże?

Na mojej twarzy pojawił się szczery uśmiech, kiedy uświadomiłam sobie, że sama myśl na temat znaków na moim ciele i ich znaczenia nie wzbudziła we mnie negatywnych emocji.

– Motyl za uchem symbolizuje zmiany. – Wzruszyłam ramionami, zerkając zaintrygowana na Matteo. – Zrobiłam go tydzień przed przylotem do Nowego Jorku. Chciałam wtedy zmian, cholernie.

– Bardzo sensowny tatuaż – zauważył chłopak, na co delikatnie się uśmiechnęłam. – Rivera i rozważa, to średnio pasuje do dawnej Chloe.

Roześmiana pokręciłam głową, po czym zerknęłam na jego znamię na twarzy. Też nigdy mi o nim nie opowiadał.

– A to? – Przejechałam palcami po bliźnie na skroni, która zawsze mnie fascynowała i dodawała mu uroku.

– Federico – mruknął, a ja, słysząc imię kuzyna Matteo, zmarszczyłam brwi. – Miałem osiemnaście lat. Odbił mi kolejną dziewczynę. W ruch poszły pięści. Był starszy, silniejszy, nie miałem szans. Skończyło się rozciętym łukiem brwiowym, biadoleniem mamy i zawiedzionym spojrzeniem ojca. Od tego momentu nie dogadywaliśmy się najlepiej i nadal nie dogadujemy, stąd mam do nich takie podejście. Aż w końcu uciekłem do Ameryki na studia... Wszystko, byle by tylko nie widywać mordy Fede i rozczarowanych spojrzeń rodziców. Jedyny syn, z zaplanowaną karierą prawniczą jeszcze przed swoim urodzeniem, został agresywnym kretynem, który się bił.

W końcu zagadka dystansu Matteo do rodziców i niechęci do Federica została rozwiązana, a prawda była naprawdę sensowna.

– Nigdy mi o tym nie mówiłeś – odparłam stłumionym głosem. – To naprawdę wiele wyjaśnia.

– Nie było kiedy opowiadać – wymigał się zręcznie, posyłając mi wesoły uśmiech. – A smok? No wiesz, na pośladku, zakrywający znamię.

– To biodro – sprostowałam, na co blondyn posłał mi spojrzenie pełne zwątpienia.

– Uważałam na biologii. – Mrugnął do mnie. – Jestem pewny, że to pośladek.

Westchnęłam cicho, przewracając oczami. Jednak dopiero po chwili zdałam sobie sprawę, że Matteo cały czas mylił się co do znaku tatuażu, a ja nigdy nie wyprowadzałam go z błędu.

– Uważałeś na biologii? – zapytałam kpiąco, patrząc, jak na jego twarzy pojawia się dezorientowanie. – To nie jest smok. To feniks.

– Nie przerabialiśmy mitycznych stworzeń – odpyskował i podpierając się na łokciu, nachylił się nade mną. – Odkąd zaświeciłaś mi przed oczami tyłkiem w moim pokoju, po zabawie w klubie, byłem przekonany, że to smok. No wiesz, pasowaliście do siebie z charakteru: plułaś ogniem, że strach było podchodzić.

Uderzyłam go lekko w klatkę piersiową, marszcząc czoło.

– To feniks – powtórzyłam. – Ze smokiem łączy go tylko ogień. Symbolizuje odrodzenie. Nawet po śmierci mamy wiedziałam, że muszę się pozbierać i być silna. Czy istnieje stworzenie silniejsze od feniksa, który odradza się z popiołów za każdym razem? – Zamilkłam na chwilę. – Ja też tak chciałam. Zakryłam znamię, które przypominało mi, kogo straciłam, chcąc walczyć o odrodzenie. I wstawałam z kolan za każdym razem, gdy odnosiłam porażkę. Wychodziłam z tych piekielnych płomieni zawsze, bez względu na wszystko.

– Dosłownie – wtrącił się Matteo, posyłając mi znaczące spojrzenie.

Buenos Aires.

Miał rację. Wyszłam z tych cholernych płomieni, nawet nie pamiętając, w jaki sposób. Ale przeżyłam ogień, który wydostał się z samego piekła i pochłonął samego diabła.

– Skoro ty zostałam feniksem – blondyn przerwał ciszę i moje myśli – to ja zostanę smokiem. Gorący duet.

Zaśmiałam się głośno, orientując, o jakich rzeczach rozmawiamy. Ale to w tym wszystkim było najlepsze: znowu potrafiliśmy gadać o głupotach, po prostu ciesząc się swoim towarzystwem.

– A Coralie? – pociągnęłam temat dalej. – Córka smoka i feniksa. Tytuł roku.

Matteo parsknął śmiechem, rozbawiony kręcąc głową.

– Ten tytuł w zupełności jej wystarczy – odpowiedział. – Nie byłem geniuszem matematycznym, jednak pamiętam, że minus i minus dają plus. Będę błagał wszystkich bogów, aby nasze dwa charaktery, połączone, stały się swoimi przeciwieństwami i dały jej tym samym niebiańską osobowość. Ona jest naszą najlepszą częścią.

Uśmiechnęłam się pod nosem, słuchając, jak balansujemy na linii motywów piekielnych i niebiańskich. Jednak Matteo miał znowu rację: Coralie była najlepszą częścią nas.

– Lubię, gdy tak pan mówi, panie Cortez – wymruczałam cicho, unosząc kącik ust.

– Cała przyjemność po mojej stronie, pani Cortez – szepnął tuż przy moim uchu i przygryzł jego płatek.

Jęknęłam cicho, po chwili łącząc nasze usta w pocałunku.

Matteo Cortez był wszystkim, czego potrzebowałam. Świat mógł się skończyć, a ja nawet bym nie drgnęła, bo miałam jego. Miałam ich. Nic więcej nie miało znaczenia.

Droga Chloe z przyszłości,

jestes tam, gdzie powinnaś być. Przeszłaś długą i trudną drogę, aby być szczęśliwa. Wybacz sobie wszystkie błędy, jakie popełniłaś. Wszystkie wybory i poświęcenia doprowadziły cię właśnie do tego miejsca.

Do niego.

Do nich.

Niestrudzenie walczyłaś o miłość, dlatego kiedy dopadnie cię zwątpienie, spójrz na nich – na mężczyznę, który zrobiłby dla ciebie wszystko, oraz na życie, które stworzyłaś i dla którego jesteś wszystkim. Podjęłaś walkę i wygrałaś wojnę. Przeżyłaś każdą tragedię i poświęciłaś tak wiele, aby móc powiedzieć, że jesteś szczęśliwa. Zrobiłaś to dla siebie i dla tych, którzy cię kochają. Jesteście rodziną. Nie porzuca się ludzi, którzy oddaliby za ciebie życie.

Pamiętaj, złożyłaś obietnicę.

Na zawsze i po wsze czasy.

Razem do końca życia i jeden dzień dłużej.

*,Cause I don't wanna lose you now
I'm lookin' right at the other half of me
The vacancy that sat in my heart
Is a space that now you hold
Show me how to fight for now
And I'll tell you, baby, it was easy
Comin' back here to you once I figured it out
You were right here all along
It's like you're my mirror
My mirror staring back at me
I couldn't get any bigger
With anyone else beside me
And now it's clear as this promise
That we're making
Two reflections into one
,Cause it's like you're my mirror
My mirror staring back at me, staring back at me
Yesterday is history
Tomorrow's a mystery
I can see you lookin' back at me
Keep your eyes on me
Baby, keep your eyes on me
(Justin Timberlake – Mirrors)*

Podziękowania

Każda historia ma swoje zakończenie, jednak to, że kończy się książka, nie oznacza, że kończy się historia. Chloe i Matteo już na zawsze pozostaną w Waszych sercach i pamięci. Ludzie, którzy pokonali wszystkie przeciwności losu, poświęcali się i walczyli o miłość do samego końca, dostali swoje piękne zakończenie. I chyba każdy się ze mną zgodzi, że po tym wszystkim zasługiwali na nie jak nikt inny.

Chciałabym podziękować Wam – czytelnikom – za miłość, którą obdarowaliście historię Chloe i Matteo. Dziękuję wszystkim, którzy byli ze mną od samego początku i z niecierpliwością oczekiwali na nowe rozdziały na Wattpadzie. Dziękuję tym, którzy poznali moje dzieciaki dopiero na papierze, za to, że daliście mi szansę i zobaczyliście potencjał w pięknej, choć bolesnej historii.

Dziękuję mojemu otoczeniu za wsparcie, motywację i wiarę we mnie, kiedy sama ją traciłam. Z całego serca pragnę podziękować moim najbliższym: mamie, tacie i bratu za wsparcie oraz życie moją pasją i sukcesem. Ostatni rok był dla nas naprawdę intensywny i jestem ogromnie wdzięczna za wszystko, co dla mnie zrobiliście. I choć nie zawsze rozumieliście, to wiem, że staraliście się to zrobić. Kocham Was.

Dziękuję Wydawnictwu, które dało mi szansę na postawienie losów Chloe i Matteo nie tylko na mojej prywatnej półce, ale i na półkach wielu księgarni. Odkąd wsiąknęłam w świat książek, miałam dwa marzenia: pierwsze – wydać książkę; drugie – wydać ją nakładem Wydawnictwa NieZwykłego. Poprzez jedną decyzję spełniliście oba te marzenia, sprawiając, że stałam się najszcześniejszym człowiekiem na świecie. Nigdy tego nie zapomnę.

Dziękuję również Kindze – najcudowniejszej redaktorce pod słońcem – za to, co zrobiła podczas naszej współpracy. Za zapał, zaangażowanie, cierpliwość, miłość do tej historii i wielkie pokłady wyrozumiałości. To ty sprawiłaś, że zakochałam się w napisanej przez siebie historii na nowo. I zawsze będę o tym pamiętać.

Pragnę podziękować również ludziom, którzy odgrywają wielką rolę w mojej pisarskiej pasji. Alicja, Robert – zawdzięczam Wam naprawdę wiele. Nasze wspólne pisanie i sprinty sprawiały, że motywowaliśmy się wzajemnie do pisania, jednak nigdy nie powiedziałam Wam, że uratowaliście moją pasję w momencie największego kryzysu. Gdyby nie Wy, dawno bym się poddała i nigdy nie doszłoby do wydania tej historii. Ala, słowa nie są w stanie wyrazić tego, jak wiele znaczy dla mnie to, co zrobiłaś dla Chloe i Matteo. Bez wątplenia zasługujesz na tytuł Matki Chrzestnej tej historii. Dziękuję za to, że ulepszałaś treść jeszcze w momencie, kiedy pomysł wydania nie istniał nawet w mojej głowie. Dziękuję, że odpowiedziałaś na ten jeden komentarz. Pasja pozwoliła mi znaleźć przyjaciółkę i chociaż mieszkamy po dwóch stronach Polski, jesteś jedną z ważniejszych dla mnie osób.

I na koniec chciałabym podziękować sobie. Natalia, zrobiłaś to. Kilka lat temu napisałaś coś, co nie miało rozdziałów, planu, a czasami nawet sensu, ale pisałaś z serca i to sprawiło, że powstała historia pełna emocji. Dziękuję ci, że wtedy nie zrezygnowałaś. Dziękuję, że się nie poddałaś, bo to za sprawą tej wytrwałości dostałyśmy szansę na spełnienie marzenia, o którym wtedy nawet nie śniłaś. A dzisiaj... dzisiaj mamy całą trylogię na naszej półce. Książki te na swoich półkach mają również ludzie w całej Polsce. Zrobiłaś to, dziewczyno. Spełniłaś marzenie. Osiągnęłaś sukces.

DZIĘKUJĘ.

Playlista

Rag'n'Bone Man – *Human*
Halsey – *Devil in Me*
Beth Crowley – *Monster*
Lana Del Rey – *Gods & Monsters*
Halsey – *Control*
Ariana Grande – *Breathin*
Ellise – *Angels Don't Cry*
Nirvana – *Smells Like Teen Spirit*
Halsey – *Gasoline*
Imagine Dragons – *Radioactive*
Halsey – *Angel On Fire*
Lana Del Rey – *Born to Die*
Imagine Dragons – *Demons*
Molly Sandén – *Phoenix*
Halsey – *Castle*
Metallica – *Nothing Else Matters*
Demi Lovato – *Heart by Heart*
Justin Timberlake – *Mirrors*

¹ Javier, *amigo!* – (z hiszp.) Javier, przyjacielu! (przyp. red.).

² *Que perra descarada* – (z hiszp.) Co za bezwstydną suka (przyp. red.).

³ *¿Quién? Repite esto por favor. Dilo de nuevo y serán tus últimas palabras* – (z hiszp.) Kto? Powtórz to, proszę. Powiedz to jeszcze raz, a będą to twoje ostatnie słowa (przyp. red.).

⁴ *¡Bajar las armas!* – (z hiszp.) Odłóż broń! (przyp. red.).

⁵ *Abuelo!* – (z hiszp.) Dziadek! (przyp. red.).

⁶ *Padre* – (z hiszp.) Ojciec (przyp. red.).